3 1761 08822274 0

Dostałam od wujcia
Nysia Z., 18 listopada 1911 r.
12 lat.

ZYGMUNT KRASIŃSKI
(1812–1859)

I/II
500-

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1838).

ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1826)

Z PORTRETU JANUAREGO SUCHODOLSKIEGO.

LP
K 8965 K
Krasiński, Zygmunt, Hrabia
Pisma... wyd. zup.

JÓZEF KALLENBACH

ZYGMUNT KRASIŃSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LAT MŁODYCH

(1812—1838)

v. 7

TOM PIERWSZY

499059
26 10 49

LWÓW 1904
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SP.

W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELL. W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

Str.

Słowo Wstępne VII

Księga Pierwsza. Dom i Szkoła.

I. U Kolebki 3

II. Dom Rodzinny 14

III. Dziecko 29

IV. Student Uniwersytetu 52

V. Sąd sejmowy 65

VI. Zajście w Uniwersytecie 75

VII. Twórczość okresu warszawskiego 83

Księga Druga. Rok w Genewie 125

Księga Trzecia. Rok cierpienia.

I. We Włoszech 205

II. Powstanie Listopadowe 219

III. Drugi pobyt w Genewie 231

IV. Po upadku powstania 274

V. Twórczość 298

VI. Ostatnie miesiące w Genewie. Wyjazd. . . . 318

Objaśnienia i uzupełnienia 331

Dodatki: Wizerunki: *a)* Zygmunta Krasińskiego z r. 1826. *b)* Jana Krasińskiego. *c)* Wincentego Krasińskiego. *d)* Maryi z Radziwiłłów Krasińskiej.

Rodowód Zygmunta Krasińskiego.

SŁOWO WSTĘPNE.

Przed dwunastu laty ukazało się duże dzieło Prof. Stanisława Tarnowskiego o Zygmuncie Krasińskim. Od tego czasu przybyło sporo cennego, nowego materyału, który pozwala dziś dokładniej wniknąć w dzieje duchowe autora „Nieboskiej“ i „Irydyona“. Dzięki inicyatywie wnuka Poety, Adama hr. Krasińskiego, ukazały się dwa tomy korespondencyi z Henrykiem Reeve, rzucającej bardzo wiele światła na młode lata Zygmunta Krasińskiego; wyszły młodociane, francuskie utwory z okresu genewskiego, ukazały się fragmenty „Wandy“, rzecz o „Trójcy w Bogu i człowieku“. Wreszcie nowe krytyczne wydanie tekstu „Pism Zygmunta Krasińskiego“, dokonane po kilkuletnich studyach przez p. Tad. Piniego, pozwala objąć całokształt myśli twórczej piewcy „Psalmów“. Nadszedł słowem czas, w którym można się było pokusić o skreślenie życiorysu Z. Krasińskiego na podstawie nowej, obszerniejszej. Przewidywał to autor najlepszej książki o Krasińskim w tych słowach: „Uzupełnienie i prostowanie dzisiejszych wiadomości i sądów, niech będzie zadaniem tych, co kiedyś będą ich mieli więcej i lepsze, z nowych źródeł powzięte“.

Wszystkie te względy wpłynęły na spełnienie dawno żywionego zamiaru napisania monografii, opartej na nowych podstawach, nikomu dotychczas nieznanych. Oprócz bowiem już wymienionych, drukiem ogłoszonych, nowych materyałów do biografii, mógł autor oprzeć się na niewydanych jeszcze listach poety do ojca, jenerała Winc. Krasińskiego do syna, a także na listach Danielewicza do jenerała. Wnuk Zygmunta Krasińskiego pozwolił korzystać z tej prawdziwej kopalni najcenniejszego do budowy dzieła kruszcu. Rzec śmiało można, że nie byłoby tej książki, gdyby nie było tych nowych o Poecie wiadomości, które wnuk jego nam uprzystępnił i przybliżył. Zamieszczone w naszej książce wyjątki z nieznanych listów dadzą tylko przedsmak tego, czem się kiedyś stanie wydawnictwo całej korespondencyi Zygmunta Krasińskiego z ojcem, zamierzone w przyszłości. Miejmy nadzieję, że nim nadejdzie setna rocznica urodzin twórcy „Nieboskiej“ i „Psalmów“, otrzyma społeczeństwo nasze z rąk wnuka poety kilka tomów tych niezrównanych listów, które — bez względu na mnóstwo cennych dla biografii szczegółów — same w sobie zawierają klejnoty spostrzeżeń historycznych, filozoficznych i moralnych, w oprawie przepysznego słowa polskiego.

Z listów tych mogliśmy tu podać w krótkich urywkach to tylko, co rzucało światło na życie poety i rozwój jego ducha. Musieliśmy się oprzeć silnej pokusie podawania stron całych ciekawej i świetnej korespondencyi, nie chcąc zwiększać objętości tomów. A przecież nawet te wyjątki z listów podawaliśmy nieraz z wahaniem i po dokładnej tylko rozwadze. Przecho-

dziliśmy te same obawy, które miał przed dwudziestu sześciu laty Prof. St. Tarnowski, kiedy ogłaszał po raz pierwszy wyjątki z listów do Adama Sołtana, dotyczące miłości poety z lat 1835—7. Zdaje nam się, że jakkolwiek słuszne dawniejsze skrupuły dziś nie mają już racyi bytu, to piękne usprawiedliwienie, które wówczas Profesorowi Tarnowskiemu pozwoliło ogłosić nieznane wyjątki korespondencyi z Sołtanem, może obecnie i do nas się zastosować:

„Nie dla prostej ciekawości, ani z zamiłowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdem ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzch wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracyę dla pięknie wyrażającego się cierpienia, przytoczyliśmy te wyjątki. Dla takich tylko względów nie bylibyśmy się poważyli wydobyć ich z milczenia... Ale zdawało nam się, że wyjątki niektóre z tych właśnie listów Krasińskiego ogłosić można, a nawet trzeba, bo one lepiej, niż cokolwiek innego, odpowiedzieć mogą zwycięsko na pewne o nim mylne i niekorzystne wyobrażenia“. (Przegląd Polski, styczeń 1877 r., str. 84).

Obfitość listów z lat 1830—1840 jest po prostu przygniatająca. Samo rozpatrzenie się w mnóstwie materyału i wydobycie odpowiedniej dla monografii treści zabrało już wiele czasu. Wprowadzenie zaś tej cennej treści do wątku opowiadania, na pozór łatwe, okazało się także w wykonaniu zawiłe. A tak dość wcześnie opatrzył się autor, że dzieło o całem życiu Zygmunta Krasińskiego mogłoby się stać dzie-

łem całego życia i że na teraz z wielu względów trzeba poprzestać na obrazie tylko lat młodych.

Jest rok, będący w życiu Zygmunta Krasińskiego granicą dwu wielkich okresów: to rok dwudziesty szósty jego życia, rok 1838. On sam miał to przeświadczenie, że wtenczas kończyła się jego młodość, że rozpocząć się miał wiek męski. My zaś dzisiaj, obejmując całość jego niedługiego żywota, widzimy, że istotnie rok 1838 zamyka i zewnętrznie i wewnętrznie jeden okres, dla siebie całość tworzący. W roku tym bowiem ustają zwolna zamierające już od niejakiego czasu stosunki z panią Joanną, a z samym nowym rokiem 1839 występuje na scenę życia jego pani Delfina. Urywa się z rokiem 1838 korespondencya długoletnia z Reevem, a rozpoczyna się żywa wymiana filozoficznych myśli z Augustem Cieszkowskim. Ustają utwory, odznaczające się zewnętrznie nawet pewną stylową manierą, jak „Pokusa“ i „Noc letnia“, a zwolna przysposabia się grunt dla „Myśli Ligenzy“ i „Przedświtu“.

Słowem i w życiu i w poezyi rozpoczyna się z rokiem 1839-ym nowy okres, vita nuova; do tego więc roku tylko dochodzi nasza praca i u wrót jego staje. Dla opracowania bowiem dalszych lat brak nam jeszcze robót wstępnych: nie mogliśmy przerobić olbrzymiego materyału, zawartego w nieznanej korespondencyi z lat 1840—1859, sam zaś tylko obraz filozoficznych studyów poety, wykazanie powolnej a stałej i tak ciekawej ewolucyi myśli jego teleologicznych i historyozoficznych, wymaga lat całych wyłącznej pracy w spokoju ducha, o który nie zawsze łatwo, albo raczej zawsze trudno. — Ktokolwiek przystąpi do opra-

cowania owych świetnych lat „Przedświtu“ i „Psalmów“ będzie miał wielkie zadanie, nie tyle estetyczne co filozoficzne przed sobą, będzie musiał sięgnąć do samych przepastnych głębin długoletnich dociekań wielkiego myśliciela, nietylko rozważyć zależność Krasińskiego od prądów filozofii ówczesnej, ale także wykazać istotną jego oryginalność.

Nie przesądzając przyszłości, dajemy tylko to, na co nas dziś stać: opowieść o latach młodych poety i o twórczości lat owych. Dajemy okres pełen niepokoju i udręczeń, prawdziwą „Sturm- und Drangperiode“ tego nieznykłego życia. Staraliśmy się zawsze, by poeta sam siebie objaśniał swemi listami i dlatego tyle ich dosłownych daliśmy wyjątków. Gdzie tych listów nie było, tam zastępowaliśmy je korespondencyą osób najbliżej poety stojących, a więc jenerała Krasińskiego, Danielewicza lub Reeva. Światła tu nigdy nie może być za wiele. Nie znamy drugiej natury duchowej równie trudnej do zrozumienia, równie pełnej pozornych sprzeczności, płynących z organizmu przeczulonego i znękanego samem brzemieniem bolesnych przejść, któremi los obarczył jedyne dziecko nerwowej i schorowanej matki. Do różnych smutków jego duszy zaliczyć trzeba w pierwszym rzędzie tę niepokojącą świadomość wewnętrznego rozłamu swego ducha na dwie istoty: kontrolującą i kontrolowaną, z których druga jakby wyzywa pierwszą i na przekór jej czyni, a za to pokutuje potem ciężko i łzami rozbroić się stara nieubłaganego sędziego własnych czynów.

Kto zna poezyę Krasińskiego, ten widzi jednę tylko

stronę świątyni ducha jego i ani się domyślać może wspaniałej rozmaitości i rozmiarów całego gmachu.

Poezya jego jest wzniosłą pieśnią jego życia, ale życie samo, poznane w szczegółach, zawiera ogrom nauki dla nas i jest równie cenną jak poezya spuścizną. Cierpienia jego i męki serdeczne powinnyby nas i uczyć i krzepić: polskie-to bowiem cierpienia i polskie męki. Najłatwiej chyba trafić im do przekonań i charakterów naszych. Te wewnętrzne zgryzoty i szarpania się są chyba polskiej duszy najłatwiej dostępne: a tam, gdzie Włoch lub Anglik widziałby tylko gorączkę nerwów chorych lub przesadę poety — my odczuwamy ból i rozpacz patryoty. Stan uczuć jego jest naszym stanem, cierpienia jego nie przestarzały się, bo w nas żyją, rozłam ducha, co jemu życie zatruwał i nasze dziś nęka i dlatego on nam tak bliski, tak bliźni, tak zawsze współczesny.

* * *

Autor spełnia miły obowiązek, dziękując serdecznie tym osobom, które ułatwiły mu pracę, lub ozdobiły ją cennymi przydatkami. Ile ta książka zawdzięcza Adamowi hr. Krasińskiemu rzekło się wyżej. Dr Józef Bieliński wzbogacił rozdział monografii, dotyczący czasów uniwersyteckich, ważnymi dokumentami, które oświetlają znane zajścia po pogrzebie senatora Bielińskiego. Dr Józef Korzeniowski dał nam kopie ciekawych listów jenerała Krasińskiego do swego Dziada. Liczne a nieznane wizerunki ożywią tę książkę i wprowadzą czytelnika w świat ówczesny. J. O. księżnej

Maryi Lubomirskiej i hrabiance Natalii Potockiej zawdzięczamy tak interesujące, nieznane i ważne portrety pani Bobrowej. Wszystkim wymienionym osobom składa autor jak najgorętsze podziękowanie.

* * *

W końcu zwracamy uwagę łaskawych czytelników na szczegół następujący: ze względów księgarskich format tej monografii zastosować się musiał do formatu „Pism Zygmunta Krasińskiego". Skutkiem tego liczne uwagi i objaśnienia, znajdujące się w rękopisie u dołu, trzeba było przenieść na koniec tomów, aby nie skracać kolumn tekstu, nie wielkich z powodu formatu. Ma to swoje dobre strony, bo nie rozrywa uwagi czytelnika i daje mu jednolity wątek opowiadania. Ale wiele osób nie zechce już sobie zadać trudu odczytywania końcowych uwag i objaśnień. Otóż zwracam osobną uwagę czytelnika na te dopełnienia końcowe. Znajdzie on tam nieraz dokumenty w całości, których druk w samym tekście byłby zepsuł proporcye; znajdzie ważne wyjątki z pamiętnika jenerała Winc. Krasińskiego z r. 1831, urywki z listów młodocianego autora „Grobu Reichstalów" do pani Załuskiej i t. d.

* * *

Pracę tę rozpoczął autor przed laty na ziemi szwajcarskiej, prowadził ją nad Wisłą, kończył nad Niemnem. Nie jedno zawdzięcza ona powiewom krzepiącym gór alpejskich, tchnieniom mazowieckich równin,

szumom sosen litewskich. Tak się złożyło, że różne czynniki wpłynęły na coraz bliższe, lepsze poznanie Zygmunta Krasińskiego, który po ojcu przejął mazowieckie i podolskie tradycye, po matce litewską zadumę i wytrwanie; — a z Helwecyą wiązały go na resztę życia jasne wspomnienia tej młodości, co wykuła żywot cały.

W Warszawie, dnia 29 listopada 1903 r.

KSIĘGA PIERWSZA.

DOM I SZKOŁA.

I.

U Kolebki.

Zygmunt Krasiński urodził się w Paryżu, 19 lutego 1812 r., przed samą wiosną, »pamiętną wiosną wojny, wiosną urodzaju«, kiedy to serca polskie ogarnęło »jakieś dziwne przeczucie jak przed świata końcem, jakieś oczekiwanie tęskne i radosne«.

Napoleon był u zenitu swej sławy i potęgi...

Kiedy Jenerałowa Krasińska tuliła w Paryżu do piersi jedyne, wątłe dziecię, Wincenty Krasiński dążył na czele dzielnych swych szwoleżerów z wielką armią, w tym istnym pochodzie ludów różnojęzycznych, posłusznych skinieniu Wodza, »boga Wojny«:

»Wszyscy na Północ!
Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny,
Wojna! Wojna!«

Odrywał się Wincenty Krasiński od kolebki długo wyczekiwanego dziedzica imienia i sławy, zadawał gwałt sercu, posłuszny głosowi obowiązku, który wołał go na pole nowych, ostatnich już może bitew,

mających uwieńczyć trudy lat tylu, ziścić nadzieje Polaka przelewającego krew przy boku Napoleona — dla Polski! Szła wiosna, »piękna mara senna«,

... kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!

* * *

Księstwo Warszawskie, będące dla Napoleona wielkim magazynem wojskowym, wygodną placówką wobec Prus i Rosyi, dla Polaków było kosztowną szkołą polityczno-administracyjną, zarodem nowego życia, które nie dawało się zagłuszyć i zadeptać najgorszym, najcięższym nawet warunkom.

Rosły serca na widok pułków polskich, ale do radości zaraz sączyła się gorycz niepewności i obaw. Z powodu przeglądu wojsk i budowania twierdzy w Modlinie, pisze Niemcewicz 18 sierpnia 1811 r.: »Jeżeli widok tak pięknego wojska ojczystego zachwycał radością, stawały łzy smutku patrząc na 17.000 biednego pospólstwa, zegnanego o mil kilkadziesiąt dla robienia koło tej twierdzy; bodajby tylko utwierdziła tę nieszczęśliwą Polskę, której nawet imienia dziś wymówić nie wolno. Nie uwierzą następcy nasi w przyszłych wiekach, ile pracy, trudów, wydatków, a co najczulsza, ile upokorzenia nie pewność, ale błędna tylko nadzieja odzyskania ojczyzny kosztuje«.

Zamęt w pojęciach już wtedy był znaczny. Po rewii na obiedzie jenerał Zajączek w imieniu swojem

i wojska całego wnosi zdrowie Napoleona, przysięgając mu wierność dozgonną... Tenże Zajączek będzie w kilka lat potem Namiestnikiem Kongresowego Królestwa, jako wierny poddany Aleksandra I. Ale nie o to tu chodzi, tylko o fakt, że wojsko polskie przysięga wierność Napoleonowi, »jak gdybyśmy — woła zgorszony Niemcewicz — nie mieli monarchy, jak gdybyśmy byli tylko departamentem francuskim«.

»Nie jesteśmy uważani, jak tylko składem rekrutów wojska francuskiego, do tego punktu, że bez żadnej ceremonii wszystkie pułki polskie legii nadwiślańskiej, będące w Hiszpanii, dostały numera francuskie i do wojska francuskiego wcielone«.

Z wrodzoną otwartością mówił przytem tegoż roku Napoleon do księcia Józefa Poniatowskiego: »Wskrzeszenie Polski nie wchodzi w plan mój. Podział jej jest największą niegodziwością, ale ja nie mogę się robić Don Quixotem, bym krzywdy niewinnych wetował«.

Z początkiem r. 1812 notuje Niemcewicz w swym pamiętniku: »Zastanowiwszy się nad niedostatkiem, trudnościami i niepewnością losów i nadziei naszych, dziwić się i uwielbiać potrzeba nad tym duchem gorliwości i wytrwania, który pomimo tylu zrażeń panuje we wszystkich. Trudnimy się edukacyą, lubo profesorów niema z czego płacić. Szkoła lekarska, z gorliwości tylko założona w Warszawie, szkoła prawa, biblioteki, ogrody botaniczne, Towarzystwo literackie, rolnicze, kadeci etc., wszystko albo z małym funduszem, albo darmo utrzymywane i pracujące.

Jeśli Polska powstanie, niech przynajmniej wie potomność nasza, cośmy wytrzymywali, jakeśmy pasowali się dla niej«.

Wojsko pochłaniało wszystkie zasoby biednego Księstwa Warszawskiego. Lista cywilna z początkiem 1812 r. od sześciu miesięcy płatna nie była. Natomiast wyczekiwania polityczne doszły do obłędu niemal. W chwili zbrojnego gotowania się Rosyi i Napoleona, uczucia narodowe łudziły się po obu stronach Niemna: tu zapewniano, że Napoleon wskrzesi Polskę, rozgromiwszy Moskwę; tam Aleksander I za pośrednictwem Adama Czartoryskiego ujmował sobie szlachtę uprzejmością swą i dobrocią. Szale były o tyle nierówne, że za Napoleonem przemawiały świetne tryumfy, urok niezwyciężonego wodza, tu zaś wspomnienia Maciejowic, rzezi Pragi i tylu gwałtów sromotnych. Napoleon i Aleksander starali się prześcignąć w obietnicach dla Polski, a poczciwy Niemcewicz w marcu 1812 r. zapisał te charakterystyczne naiwnością słowa: »Tak długo, z tylu ofiarami, nie mogliśmy się doczekać jednej Polski, — wkrótce ujrzymy ich może dwie, daj Boże, bez wojny domowej«. Niestety, los srodze zadrwił sobie z nadziei Niemcewicza. Wojna 1812 r. upamiętniła się pożogą i zniszczeniem ziemi polskiej i litewskiej, a z ran tych nie prędko się kraj wyleczył. Już w maju, zanim wojsko Napoleona wyszło z Polski, pisze rozczarowany pobytem armii »przyjacielskiej« Niemcewicz: »Z prywatnemi obelgami szerzą się coraz bardziej publiczne krzywdy: ... Wszędzie lud poopuszczał wioski i w lasach się pokrył; po-

zdzierane strzechy z dachów, nie widać, jak gołą ziemię i niebo. I cóż, że się ziemia wypleni, byleby królestwa podbijać! Bodajby i tak drogą ceną dokupić się ojczyzny, bodajby cierpienia pokoleń dzisiejszych zapewnić mogły szczęście następnych«. Wojska francuskie, saskie, westfalskie dopuszczały się bezkarnych gwałtów na polskiej ziemi: »któż wyliczy rabunki! — a tak naród wszędzie krew swą za Napoleona lejący, doznaje krzywd i obelg, jak gdyby podłem i bezbronnem był żydowstwem!« (Niemcewicz, 323). Za całą pociechę miał nam starczyć dowcip króla westfalskiego: »Mon armée n'est pas une armée de demoiselles«.

Wychowaniec Stanisławowskiej epoki, nie łatwo zapalny Niemcewicz, pisze po wybuchach radości powszechnej w czerwcu 1812 r.: »Wrodzona jest w sercu człowieka kochać ziemię ojczystą: nie dziw, że ją kochają mieszkańcy łagodnego nieba, obfitej ziemi, że kochają ojczyznę świetną i poważną. Lecz kochać ją pod cierpkiem niebem, ubogą, wycieńczoną, obdartą, bez rozkoszy, same tylko w udziale mającą cierpienia, Polak tylko jeden może«.

Napoleon umiał nadzieje nasze rozniecić, uczucia rozpalić do najwyższego stopnia zapału i uniesienia. Odchodzono niemal od zmysłów z radości w Warszawie w czerwcu 1812 r.

> Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
> »Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!«

»...*Tłum gwałtownych poruszeń mięsza myśli porządek:*' ciężko jest tłumaczyć się w chwili, gdzie

wszystkie zdolności duszy są tylko czuciem samem. ...Sejm nasz zwołanym był na dzień 26 czerwca. Groźna postawa Europy, przytomność w stronach naszych, na czele niezliczonych Narodów, pierwszego Bohatyra i najpotężniejszego w świecie monarchy, troskliwość obywatelska od tylu lat w każdym ważnem zdarzeniu rokująca pomyślność dla rozszarpanej ojczyzny — wzniecały w sercach wszystkich najtkliwsze oczekiwania«.

A jenerał Wincenty Krasiński w listach do żony, pisanych z obozów, z zapałem, nie dającym przystępu najmniejszemu zwątpieniu, wołał, jakby echo pieśni legionów: »...będziem Polakami« — »Zygmuntek może bydź pewien, że będzie Polakiem«. Ta pewność dodawała sił jenerałowi w trudach wojennych, które w przekonaniu jego już są bliskie końca. Dnia 11 września sądzi, że pokój będzie rychło zawarty. Nadchodzi zdobycie Moskwy, jej pożar, który W. Krasiński uważa jako karę Bożą za rzeź Pragi.

Katastrofa okropnego odwrotu w zimie 1812 r. nie złamała energii i przywiązania Krasińskiego do Napoleona. Zapewne doszły go wtedy wyrzekania matki, starościny Opinogórskiej, których echem stawała się jenerałowa. Odpisuje Wincenty Krasiński żonie ze Smoleńska 10 listopada 1812 r. w tych krótkich, stanowczych, a godnych zapamiętania słowach: »Si je servais Alexandre, je le servirais fidèlement. Mais une fois servant l'Empereur, il n'ya ni privation ni perte, ni sacrifice que je ne ferais pour lui... *Elle* (matka) *est russe — moi polonais*«. — Uwydatnia się tu cały kontrast przekonań

ówczesnych politycznych, dzielących matkę od syna. Takie to były czasy, w których dusze polskie nie wiedziały, skąd wyglądać ratunku, a przecież serca biły zgodnie dla ojczyzny tylko. Książę Józef Poniatowski i książę Adam Czartoryski jednego przecież pragnęli, a w różnych znaleźli się obozach...

Jenerał Krasiński walczy wytrwale w r. 1813 pod Lützen, Bautzen, Dreznem i Lipskiem, coraz więcej rozkochany w synku, którego dorywczo tylko widuje i napieścić się nim nie może.

Zreorganizowawszy pułk swój, gotował się jenerał do kampanii 1814 r., którą wśród zimy rozpoczął, dzień i noc na deszczu, w błocie, o głodzie, bijąc się z wściekłością rozpaczy. W bitwie pod Brienne walczy przeciw Rosyanom nie dobywając szabli, z harapnikiem w ręku.

Wiadomy koniec tej kampanii. Z Fontainebleau 6 kwietnia 1814 r. pisał W. Krasiński do żony, przebywającej w Paryżu: »Role nasze skończone. Nigdy nie widziałem nic równie wielkiego, jak Cesarz... Jedź do Polski — amnestya już dana, urządź nasze sprawy, ja przyjadę do Warszawy. Nie chcę już nigdzie służyć, chcę wrócić spokojnie i używać prawdziwego szczęścia przy Twym boku. — Moja duszo, kominek, ciepłe piwko...« Pisał to z głęboką boleścią w sercu, po rozbiciu najświetniejszych nadziei, w których łączył Polskę z Napoleonem.

Napoleon resztki wojska polskiego powierzył jego dowództwu, zaszczycając go listem chlubnym dla tych dzielnych wojowników, którzy od Madrytu do Moskwy szli za nim w przekonaniu, że lejąc krew swą, wzbudzą

życie nowe nad Wisłą i Niemnem. Teraz resztki tej armii, z upoważnienia Aleksandra I, odprowadził Wincenty Krasiński w lecie 1814 r. do Warszawy. Powrót ten był od granic ziem polskich niemal tryumfalnym pochodem. Z zapałem przyjęła Warszawa jenerała Krasińskiego, wracającego na czele dzielnych Krakusów. Ale czekały go bolesne chwile: rozwiązanie i rozpuszczenie pułku szwoleżerów, z którymi lat tyle przebył. Dokonał tego jenerał 25 lutego 1815 r. Z rozdartem sercem pisał do żony: »Już się stało... już niema szwoleżerów! Co ma dusza cierpi, tego nikt nie wyrazi...« Wyjechał wtedy W. Krasiński z Warszawy na Podole do matki swej, zrazu zapewne z zamiarem zaniechania karyery wojskowej i poświęcenia się interesom rodzinnym, nadwątlonym długą nieobecnością w kraju.

Polska rozpoczynała nowy okres bytu politycznego. Konstytucya Królestwa zapowiadała autonomię wcale znaczną, sejm, własne wojsko, wolność prasy, wolność osobistą, wolność sumienia i druku, równość w obliczu prawa, niezależność sądów, odpowiedzialność ministrów, współudział narodu w ustawodawstwie przez sejm, złożony z senatu i izby poselskiej, unią personalną z Rosyą i t .d. W tych warunkach mogłaby się była przynajmniej część dawnej Rzpltej rozwijać normalnie, gdyby konstytucya była istotnie w zupełności dochowaną. Niestety, nieprzyjazne prądy partyi wojskowej rosyjskiej oddziałały wcześnie na Aleksandra I, który już dawnego zaufania do Adama Czartoryskiego nie miał, a z opinią szowinistów rosyjskich, niechętnem okiem na swobody kon-

stytucyjne Polski patrzących, liczyć się musiał. Od samego początku był wielki cierń, kolący i jątrzący, w nowym organizmie Królestwa Polskiego: był to wielki książę Konstanty, brat cesarza Aleksandra I, który nie troszczył się o żadną konstytucyę, ale rządził despotycznie wojskiem polskiem. Konstytucya nie dawała mu prawa do mieszania się w rządy cywilne — ale człowiek ten, przywykły do stosunków służalczych w Rosyi, nie dbał o żadne przepisy prawne. Bystrem okiem dostrzegł odrazu Adam Czartoryski niebezpieczeństwo, grożące konstytucyjnemu życiu Królestwa ze strony w. ks. Konstantego; wszystkie jego listy w tej sprawie do cesarza Aleksandra pozostały jednak bez skutku.

»Pod pozorem utrzymania karności w wojsku polskiem, chciał je uczynić bezwolnem narzędziem swojem, a domagając się ślepego i bezwarunkowego posłuszeństwa, jakiem się odznaczali sołdaci moskiewscy, karał samowolnie, srodze i w hańbiący sposób żołnierzy i oficerów różnych stopni za najlżejsze przekroczenia dziwacznych częstokroć przepisów i rozkazów swoich«.

Nadaremnie *już w październiku* 1815 r. przestrzegał ks. Adam Czartoryski, w proroczych niemal słowach, Aleksandra I. Już w kilka miesięcy potem doszło do tego, że oficerzy w wojsku polskiem, nie mogąc znieść upokorzeń i zniewag, doznanych od w. księcia, a nie chcąc gwałtownemi czynami narażać bytu Królestwa, kończyli samobójstwem.

Ks. Adam Czartoryski, donosząc o tem Aleksandrowi I, załączał mu, jako smutny alegat, list jednego

z takich samobójców, adjutanta jenerała Krasińskiego, Wilczka. W tym liście pisał Wilczek przed samobójstwem do siostry swej, między innemi, co następuje:

»Widzę towarzyszów broni i rodaków zhańbionych, chwałę ojców naszych podeptaną, prawa najlepszego z władców gwałcone codziennie. Słowem, zostawiam kraj mój biedny bez obrony, wydany na zachcianki jednego człowieka. Ileż to razy omal nie stałem się zabójcą! Jakiż to byłby cios dla ciebie siostro! Tak! chciałem się poświęcić, aby wyswobodzić nas z więzów haniebnych, które nas gnębią na przekór woli najlepszego z Monarchów. Zważywszy jednak, że skutki nie odpowiedziałyby może mym nadziejom, wolę pozbawić się życia, które mogłoby się stać fatalnem dla mej ojczyzny«.

Czartoryski dodawał w swym liście do Aleksandra I, że Wilczek był młodzieńcem powszechnie lubianym i żołnierzem odznaczającym się (*très distingué*). Mówiąc zaś o ogólnej sytuacyi w kraju, donosił w tymże liście:

»Wogóle panuje tu od niejakiego czasu jeśli nie wzburzenie, to wielkie przygnębienie. Jest to choroba moralna bardzo zaraźliwa, której przedewszystkiem ulegają uczciwi ludzie. Lękają się oni, by rząd nasz, zawsze tu źle traktowany (rudoyé), któremu zagrażają ciągle oszczerstwa w Petersburgu, rząd, krępowany w swobodzie dyskusyi (!) i działania, z niewielu środkami, by działać z pożytkiem, z jeszcze mniejszemi środkami, aby co dobre utrzymać, nie stracił energii i kredytu, wreszcie uszanowania dla samego siebie. Wiem dobrze, że W. Cesarska Mość nie tego sobie życzy; ale mimo Jej woli, która działa ze zbyt znacznej odległości, sprawy zdają się przybierać kierunek dla kraju niepomyślny«.

Gdy tak się działo z samego początku Królestwa Kongresowego, czyż można się dziwić, że w 15 lat potem przyszło do rewolucyi listopadowej! Czy raczej

nie dziwić się cierpliwości polskiej, która tylu ofiarami, rzucanemi na pastwę molochowi — Konstantemu, starała się okupić szczątki swobody politycznej?

Co mógł myśleć o tych samobójstwach wojskowych jenerał Krasiński? Co myślał na wieść o samobójstwie oficera napoleońskiego, swego adjutanta, Wilczka? Czy nie burzyła się w nim krew polska, czy też obojętnie znosił zniewagi wojsku polskiemu wyrządzane? Jasnej odpowiedzi nie dają nam ani zwierzenia poufne jego przyjaciół, ani listy. Spróbujmy wniknąć w charakter i pobudki działania tego człowieka, który był ojcem ukochanym Zygmunta Krasińskiego.

II.

Dom Rodzinny.

Ród Krasińskich, herbu Korwin, na Mazowszu już w XIV wieku znany i znaczny, zakwitnął zwłaszcza w wieku XVII. Stanisław Krasiński, wojewoda Płocki († 1617 r.), pięciu synów zostawił; z tych najstarszy Ludwik († około 1640 r.), starosta płocki, kasztelan ciechanowski, dał początek linii, z której wyszli Adam, Biskup Kamieniecki i Michał, marszałek konfederacyi Barskiej, podkomorzy rożański, który »cały majątek Oyczyznie poświęcił«. Michała synem młodszym był Jan, późniejszy starosta opinogórski, wychowany przez stryja swego, biskupa Adama. »Gdy wrócił z wojażu do Opola, do swey ciotki, z Krasińskich Xiężney Lubomirskiey, kasztelanowey krakowskiey, znalazł projekt, przez familię zrobiony, ożenienia go z Panną Czacką, Podczaszego koronnego córką; co później przyszło do skutku«. Z małżeństwa tego ze siostrą Tadeusza Czackiego przyszedł na świat w Boremlu (woj. wołyńskie) d. 30 stycznia 1783 r. Wincenty, wśród następujących okoliczności: »Moia matka w ciąży będąc, dawnym zwyczaiem jechała, by rok nowy 1783 zacząć w domu rodzicielskim. Wywrócona

w Boremlu, dobrach swey stryienki, musiała się u niey zatrzymać, a po 30 kilku dniach cierpień na świat mnie wydała; zawieziony iak nie żywe dziecko do kościoła wtenczas; gdy moy oyciec dowiedziawszy się o chorobie i przypadku żony, przemieniał konie w Boremlu, gdzie usłyszawszy o nieszczęściu, iakie mą matkę spotkało, 30 stycznia udał się do kościoła, mnie pod szubę wziął, a uczuwszy ieszcze trochę życia, szukał mamki, którą znalazłszy, mnie oddał iey; trzy dni oczu nie otworzyłem i piersi nie przyiąłem, a do siedmiu lat słabowity, nie miałem żadney nadziei życia. Wyratowany od oyca, byłem iego ulubieńcem. Nadto wiele matkę kosztowałem, bym nie zaznał cierpkich przypomnień, a nieraz był przyczyną między małżeństwem utarczek. Może więcej do oyca przywiązany, nie zasłużyłem na to przywiązanie, które móy brat młodszy posiadał. Lecz gdy w dzieciństwie śmierć go zabrała, nigdym nie potrafił obiąć iego mieysca w sercu matki«. (*Ze wspomnień Jenerała Krasińskiego).*

Jan Krasiński, starosta opinogórski, rotmistrz Kawaleryi Narodowej, zbyt młodo umarł, z wielką szkodą dla kraju, który potrzebował wówczas jak najwięcej ludzi gorącego serca i najczystszych zasad. Wybrany posłem województwa podolskiego na pamiętny sejm 1788 r., który dzięki jego właśnie inicyatywie przedłużył się i urósł na czteroletni, odznaczył się śmiałem i stanowczem wystąpieniem jako obrońca swobód i godności coraz bardziej przez ościenne dwory poniewieranej Rzeczypospolitej. Z mów jego Kościuszkowski już wieje duch i wielkiej rewo-

lucyi przeczucie. Sporo tam śmiałości i energii, wielka znajomość praw i dziejów naszych, a w stylu, obok tradycyj najlepszych krasomówstwa polskiego, jakaś rzymska jędrność i tacytowska krótkość wysłowienia. Spokój sumienia, czystość pobudek, gorąca i rozumna miłość ojczyzny cechują te przemówienia sejmowe Jana Krasińskiego. Mało kto wówczas z taką pewnością, że mu kłamu nie zadadzą, mógł mówić: »interes ani prywata mną nie władają, bo od żadnej nie pensyonowany Potencyi, obstając przy winnych obowiązkach Oyczyznie, utracić zysku tego, lękać się nie mam przyczyny«. Słów też nie przebierał, owszem silnych i prostych używać lubił; ciętość ironicznych zwrotów wobec króla, a w stronę »Nayiaśnieyszey Imperatorowey Jeymości«, musiała dojąć do żywego. Ze słowami umiał Jan Krasiński łączyć czyny. W dobrach swoich dziedzicznych, w Dunajowcach na Podolu, zniósł za życia poddaństwo, a w testamencie z d. 20 lutego 1790 r. czyn ten szlachetny w prostych stwierdził słowach:

»Jako zaś zniosłem poddaństwo osobiste w dobrach moich dziedzicznych Dunajowcach, tak i teraz toż samo potwierdzam«.

Śmierć przedwczesna (1 marca r. 1790) tak dzielnego posła na sejm i zasłużonego krajowi obywatela była niepowetowaną stratą dla jedynego dziecka, siedmioletniego Wincentego: »W siedmiu leciech straciwszy oyca, któren zaczął bydź iednym naywiększy wpływ w kraiu maiącym, chociaż dopiero 33 rok życia liczył, straciłem i opiekuna i wszystko razem. Guwernerów odprawiono (!),

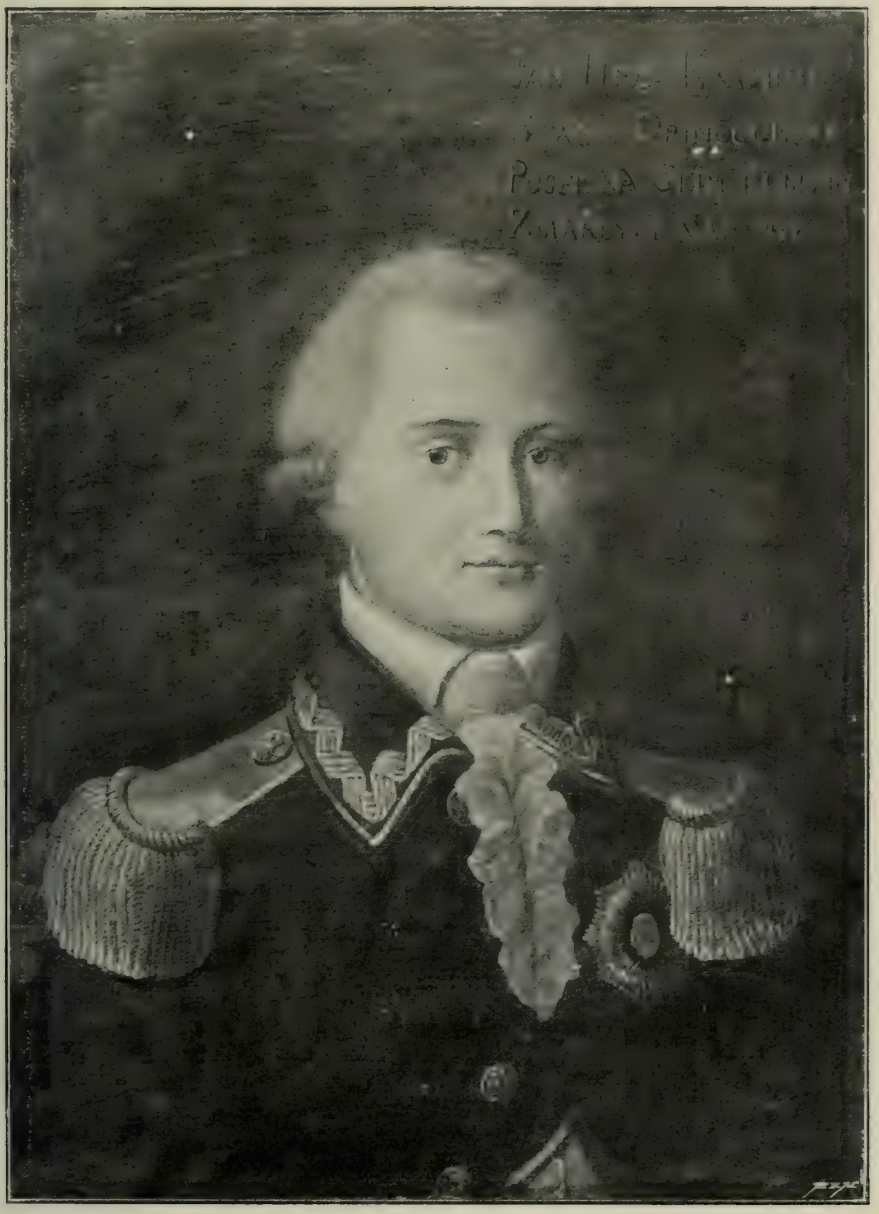

JAN KRASIŃSKI

STAROSTA OPINOGÓRSKI, POSEŁ NA SEJM CZTEROLETNI,

DZIAD ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

mnie na wieś zawieziono. Pamiętam, jak przez sen i dobroć oyca i dbanie o mnie i prezenta, jakie on dawał, i to, żem u twey matki bywał, żeśmy się żoną i mężem nazywali, że mnie Królowi prezentowano, żem w mundurze officerskim chodził, żem z oycem ieździł, po wielkich salach bywał w dziecinnych latach...«. Jedynakiem zajęła się matka, która, jak już słyszeliśmy, dla różnych powodów własnego dziecka nie lubiła. Była to ciekawa postać surowej staropolskiej pani.

Starościna Opinogórska nie odznaczała się wdziękiem niewieścim. Rysami przypominała znakomitego brata swego, Tadeusza Czackiego, ale męska jego piękność tu jakby w karykaturze się odbiła: małe, przenikliwe, wąsko oprawione i złośliwie zmrużone oczy, przedzielał nos długi, bardzo długi, zwieszający się nad ustami, skrzywionemi w brzydki grymas. Twarz ta musiała dziwnie razić i jeszcze się brzydszą wydawać przy pięknem, szczeropolskiem obliczu małżonka jej, Jana Krasińskiego. Starościna Opinogórska była postrachem rządców swych, rezydentów, ekonomów i domowników. Ludzie dorośli, nawet wojskowi, najchętniej kryli się przed nią; służba drżała. Niewiasta to była dziwnego autoramentu, niesłychanej powagi, despotycznego usposobienia, wielkiego skąpstwa. Obiegał o niej następujący czterowiersz:

Nie ładna, lecz rozumna,
Grzeczna — ale dumna,
Wolność broni ustami:
Chce być równą, lecz z królami.

Jedyny syn rygoru nie znosił. Częste były z matką

nieporozumienia. Pobyt w domu był dla syna przykrym nieraz; z rodzicielskiego domu do krewnych i pod ich opiekę się uciekał.

Z biegiem lat przybywało matce rzeczywistych lub urojonych powodów do niezadowolenia z syna. Młodziutki dwudziestoletni Wincenty ożenił się rychło, ale wśród okoliczności, nie miłych dla matki; pojął pannę z możnego rodu, bogatą, ale starszą od siebie, brzydką, a więc wyglądać mogło, że ożenił się dla majątku. Tą panną bogatą była księżniczka Radziwiłłówna Marya, sierota, wychowująca się przy ojczymie, marszałku Małachowskim, który dbał bardzo o polskość księżniczki. W liście z Knyszyna z d. 19 czerwca 1792 r. pisze St. Małachowski do wychowanicy swej: »nie opuszczam pisać do Wść Panny w oddaniu Jey responsu, a tym zachęcić Jey do pisania listów po polsku, lubo dla Niey być ma z trudnością; lepiey użyć iey teraz, jak potym, gdy konieczność wypadać będzie, bo nikt temu wierzyć nie będzie, aby Polka po polsku pisać nie umiała. Przeto życzę W. Pannie pisywać do mnie; tym wprawisz się w polskie listów pisanie«.

Panna zrazu uważała małżeństwo to za rzecz niemożliwą, trochę śmieszną; przyszłego męża nazywała w listach chłopczykiem. Ujęta zapewne pięknością i wdziękiem »chłopczyka«, oddała mu rękę bez trudności i przykrości.

Ślub odbył się we Lwowie d. 12 września 1803 r.; miał zatem wówczas Wincenty Krasiński zaledwie lat 20. Przystojny, smukły, zgrabny i ugrzeczniony, powszechnie się podobał. Wyjechał z żoną za granicę,

w Paryżu poznał pierwszego konsula; niebawem uledz miał wszechmocnemu czarowi cesarza Francuzów. Żądny działania, zawiązał w Warszawie tajne patryotyczne towarzystwo »Przyjaciół Ojczyzny«, które jednak »dla komerażów i intryg osobistych« spełzło na niczem.

Wincenty Krasiński, w oczekiwaniu lepszych czasów, odjechał z żoną na Podole. Tutaj pożycie wspólne ze starością opinogórską nie zapowiadało się najlepiej. Matce małżeństwo to nie było miłe. Syn, ożeniwszy się dla majątku z panną starszą od siebie, spadał niżej w opinii matki.

Nie brakło wreszcie starościnie opinogórskiej jeszcze jednego powodu do niezadowolenia z syna. Wincenty Krasiński na wieść o wkroczeniu Napoleona do Wielkopolski, pospieszył do Poznania i ofiarował swe służby cesarzowi Francuzów, mile od niego przyjęte. Matka nie oceniła uczuć patryotycznych syna, który w zwycięzcy Prus i Austryi przewidywał niedalekiego pogromcę Rosyi i wskrzesiciela Polski. Niewiasta w innych wychowana zasadach, nie cierpiała rewolucyi francuskiej i jej naturalnego syna, Napoleona. Czy niechęć ta była wynikiem wpływu emigrantów francuskich, licznych wówczas w kraju naszym legitymistów, czy na dnie jej był instykt narodowy, nie wierzący Napoleonowi, ten sam instykt, który trzymał zdala od Napoleona Kościuszkę i Adama Czartoryskiego — trudno dziś wiedzieć; to pewna, że starościna opinogórska uważała za zgorszenie i wstyd, aby potomek senator-

skiego rodu szedł w służbę wojskową pod komendę »uzurpatora i parweniusza«, Bonapartego.

Wincenty Krasiński znalazł jednak w wojsku napoleońskiem to, czego pragnął: ujście dla energii młodzieńczej, rycerskiej, dalej niezależność, oddalenie od ogniska domowego, które skutkiem tak niefortunnego zbiegu okoliczności nie zapowiadało wiele radości. Od r. 1806 do 1814 trwał wiernie Wincenty Krasiński przy boku Napoleona, zdobywając rany, rangi, tytuły i sławę dzielnego wojownika. Przywiązanie do Napoleona było tak silne, że nawet groźba wydziedziczenia przez matkę nie zdołała ani na chwilę zachwiać wierności jenerała dla cesarza Francuzów.

W Paryżu, gdzie stale jenerałowa W. Krasińska przebywała, przyszedł na świat d. 19 lutego 1812 r. długo z upragnieniem pożądany syn, który na chrzcie św. otrzymał imiona: Napoleon Stanisław Adam Feliks Zygmunt. Była to najradośniejsza chwila w życiu małżeńskiem jenerała. Od lat tylu wyczekiwanego dziedzica fortuny i sławy serdecznie, namiętnie ukochał Wincenty Krasiński.

Pułk jego zajmował zimowe kwatery w Chantilly. »Skoro tylko małżonka jego do sił wróciła, przeniosła się z Paryża do miejsca pobytu męża. Urodzenie syna pułkownika powitał radośnie pułk cały, który swego dowódcę otaczał miłością i zaufaniem. Drobne niemowlę stało się ulubionem pułku dziecięciem i nieraz wiarusy, okryci bliznami i zaszczytnemi oznakami męstwa, brali go na ręce, pieścili się z nim i bawili«. Dziecięcą pamięcią nie zapamiętał jednak Zy-

gmunt ani osoby Napoleona, ani dni jego chwały i potęgi.

Ojciec z daleka, w obozach pod Wilnem, Możajskiem, przy łunie pożaru Moskwy drżał o zdrowie dziecka swego, niepokoił się o żonę, wątłą z natury, skłonną do melancholii i przywidzeń. Czule karcił ją w listach, że poddaje się myślom czarnym, że egzaltacya i wyobraźnia rozbujała, lubująca się w myślach ponurych, może skwasić jej życie i ich pożycie, błaga ją, by nie myślała o śmierci, by się bawiła na koncertach i balach. Wypytuje się w każdym liście o »Napoleonka«, bo tak wówczas zwali rodzice jedynaka, zapowiada, że za powrotem »zje go« z pieszczot.

W Witebsku marzy o matce i dziecku. Widzi jej drobną postać, jak z malutkim »Napoleonkiem« przechadza się po lesie w Chantilly, a w Moskwie snuje plany o wychowaniu jedynaka i lęka się, by go pieszczotami nie popsuto.

Z listów tych, pisanych dorywczo w obozach i przemarszach, przebija się czuły ojciec i dobry mąż. Wierzymy najchętniej, że po rozstaniu się z Napoleonem w r. 1814 jenerał Krasiński niczego więcej nie pragnął, jak spokojnego, cichego ogniska domowego. W całem jego usposobieniu nie możemy się dopatrzeć ani źdźbła czysto wojskowych upodobań, które cechują zwykłego rębajłę (»Haudegen«). Owszem, na dnie charakteru jego leżało zamiłowanie spokoju i tych »Muz«, które milkną wśród szczęku oręża. W czasach wojennych skupuje czy to w Paryżu, czy w Madrycie rzadkie księgi i rękopisy, uczęszcza do

bibliotek hiszpańskich, francuskich i w. i. i spędza w nich godziny całe. Oto przykład charakterystyczny. W końcu sierpnia 1812 r. w Smoleńsku ma kwaterę przy cesarzu Napoleonie; ale dowiaduje się, że jenerał Zajączek dostał złe mieszkanie; ustępuje mu więc swego pokoju, sam przenosi się do biblioteki. Znajduje tam jakieś stare rękopisy polskie i zamiast spać, zaczyna je czytać i część nocy spędza na czytaniu. Jakże w tem niepodobny do innych jenerałów napoleońskich!

Umysł to był wyższy, dążący do kształcenia się, pragnący uzupełnić braki dorywczej i niekompletnej za lat szkolnych nauki. Do pióra miał pociąg od dawna. Już podczas kampanii hiszpańskiej zamierzał napisać dla żony »Rzut oka na Hiszpanię« i obszerny plan dzieła w liście jej posyłał. Czytał niezmiernie wiele, a gdy w pierwszych latach Królestwa Kongresowego upragnionej doczekał się ciszy, stał się jednym z najpilniejszych i najgorliwszych członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Ale w trzydziestym trzecim roku życia trudno zamknąć się choćby nawet w najpiękniejszym pałacu i skazać się na dobrowolną bezczynność. W tych latach ambicya, chęć odznaczenia się w każdym człowieku przemaga. Młody, rwący się do życia jenerał poszedł za przykładem innych towarzyszów broni, wstąpił do służby w wojsku polskiem Królestwa, pomimo zapewnień, dawanych żonie w chwili bolesnej rozstania z Napoleonem, że pragnie tylko ciepłego piwa i kominka. W r. 1818 mianowany jenerał-adjutantem cesarza Aleksandra I, trudne ma stano-

wisko wobec w. ks. Konstantego, który nie cierpiał w wojsku polskiem wspomnień napoleońskich, tak drogich sercu i pamięci W. Krasińskiego. Krew musiała się w nim burzyć na każdorazowy fakt bezczeszczenia publicznie przed frontem oficerów napoleońskich. Samobójstwo kapitana Wilczka, tak bliskiego i wspomnieniami hiszpańskiemi i stanowiskiem służbowem, dotknęło najboleśniej najczulszych strun jenerała. Ale ciężkie rozczarowanie po upadku Napoleona, którego gwieździe tak ślepo zaufał W. Krasiński, nauczyło go zimno i trzeźwo patrzeć na sprawy publiczne. Sama powściągliwość szlachetna Wilczka, który wolał siebie życia pozbawić, niż gwałtownym postępkiem naruszyć świeży byt Królestwa — była przykładem, jak się hamować trzeba, znosić wiele, aby ocalić jeszcze więcej. Jenerał Krasiński zaczął »politykować« z w. ks. Konstantym, starał się rozbrajać go dowcipnemi słówkami, jednak nie uniknął zatargów z nim i zajść przykrych. Chronił się wówczas w domowe zacisze i krzepił widokiem dziecka, w którem widział przyszłego powiernika najgorętszych uczuć i pragnień.

Konstantego tyranie, okrucieństwa i dziwactwa dzikie znoszono dla miłości kraju, w nadziei niedalekiej, lepszej przyszłości. Aleksander I nieraz w rozmowach poufnych z Adamem Czartoryskim i z prezesem senatu Zamojskim przyrzekał, że do Królestwa przyłączy Litwę, wzywał do spokoju i ufności, sam się łudził i w najlepszej wierze łudził naród.

Wincenty Krasiński, mianowany senatorem-wojewodą, otwierał sejm pogodny 1818 r., jako jego mar-

szałek. Był wtedy u zenitu popularności i twórczości. Jako mówca sejmowy nie mógł się mierzyć z ojcem swoim, nie miał jego łatwości wysłowienia, ani staropolskiego toku słowa: przecież po ojcu wziął współczucie dla uboższych. Na sesyi z d. 2 kwietnia 1818 r., gdy omawiano sprawę rozgraniczeń własności ziemiańskich, w te słowa przemówił:

»Nie od możnych i majętnych tylko jesteście wybrani: liczniejszy rzęd uboższych obywateli ufnością Was zaszczycił. Oni tąż samą ręką bronią oyczystą władali, którą kray bogacą i Was żywią. Ich dzieci płakać na Was będą, ieźli ze źle zrozumianego oporu zostawicie ciężary, obarczycie ich prawnictwem i zostawicie podnietę pieniactwu, które ostatni potrzebom domowym wydziera zasiłek«.

Jako autor nie odznaczał się gładkością stylu i poprawnością form; zadziwia natomiast i zastanawia w ojcu Zygmunta Krasińskiego zamiłowanie w wyrazach niezwykłych, złożonych: »piękność *własnotwórcza*, opowiadali *przedłużnie*, *wszystkopoświęcenie*, piorun *siedmiogórny*, *rozjadłe* złorzeczenia, *księgoskłady* i t. p.

Zostawszy członkiem król. Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie (»czynnym« d. 6 lutego 1820 r.), wygłasza różne mowy pochwalne, interesuje się żywo pracami Towarzystwa, składa mu liczne dary w rzadkich rękopisach, księgach i wykopaliskach.

Pałac, niegdyś Czapskich i po nich przez jenerałową odziedziczony, zapełniał Wincenty Krasiński kosztownemi meblami, zdobił staremi portretami przodków. Zebrał piękną i bogatą zbrojownię, o bi-

bliotece nie zapomniał, do której stare dzieła zbierał, nowe w ozdobnych wydaniach sprowadzał. Zaczął prowadzić życie przystojne, wystawne.

Była w nim tradycyjna żyłka polskiego pana, lubiącego przepych, gościnnego, żądnego popularności. Dla popularności posuwał też gościnność jak najdalej. »Święcone« wówczas bywało może najobfitsze w domu jenerała. »Cała niemal publiczność warszawska aż do aktorów teatralnych, miała w niem udział«. Krasiński bowiem (zaznacza Kaj. Koźmian), zaniedbywał często możniejszych, a za popularnością ubiegać się i opinię wszystkich klas jednać sobie lubił. Powagą nie raził, a uprzejmością pociągał«.

Grunt duszy był dobry; ojciec Zygmunta usposobienia był wesołego, żartami umiał rozbrajać nawet hypochondryą żony, żartować potrafił także z siebie. Kajetan Koźmian zaznacza w swych pamiętnikach, że jenerał Krasiński, »nawet dotknięty czasem w swoją powagę, w swoje małe próżności, w arystokracyę, umiał się sam z siebie śmiać i żartobliwość żartobliwością pokrywał«.

W jednym z licznych listów do żony swej dał jenerał Krasiński następującą własną charakterystykę, która dobrze go maluje; światła i cienie są tu hojnie nagromadzone:

»Kiedy się zastanawiam nad sobą, znajduję, że daję się unieść sercu memu, albo *pierwszemu porywowi*, bez rozmysłu w chwili decyzyi, *upór zaś potem nie pozwala mi zmienić postanowienia.*

Natura dała mi wszystko, aby mnie uszczęśliwić, a ja nie umiałem z jej darów skorzystać. Odziedzi-

czyłem piękne imię, jestem bogatym, przystojnym, umysł mam żywy, górny, śmiały i szlachetny, pełen ambicyi, ale bez zawiści; lubię naukę, ale bez trudu; chcę być bogatym, a jestem rozrzutnym; nie jestem bogobojnym, a nie lubię bezbożnych; jestem libertynem, a szanuję moralność; jestem trzeźwym, a lubię zabawić się; rad się podobam, a umiem boczyć się; szanuję płeć piękną, a złe mam o niej wyobrażenie; lubię wykwintne towarzystwo — a nie cierpię przymusu. Dumny jestem i żądny popularności, chciwy pochwał, *a nic sobie nie robię z opinii*. Radbym być prawie doskonałym, a miary żadnej zachować nie umiem. Widzisz z tych szczegółów, że zastanawiam się nad sobą, a to już jest krokiem naprzód, by się stać lepszym. Powtarzam sobie codziennie z Pascalem: »Kim jesteś? skąd idziesz? dokąd idziesz?«

(Z Illingen 22 kwietnia 1809 r.).

Tę charakterystykę należy mieć w pamięci, kiedy się zechce wniknąć w pobudki politycznego działania jenerała w latach późniejszych.

Szczęśliwe miał usposobienie jenerał, a zapewne i duży zasób stoicznej rezygnacyi, kiedy mógł być wesołym nawet we własnym domu, zamieszkałym przez matkę i żonę, dwie panie, które mało miały wspólnego między sobą, chyba to jedno, że każda na swój sposób nękała jenerała. Starościnę opinogórską już znamy. O jenerałowej słów kilka teraz powiedzieć trzeba.

Niewielka, rysów nieregularnych, oczu dużych, pięknych i inteligentnych, cery schorowanej, była matka Zygmunta wątłego zdrowia, a usposobienia melancho-

JENERAŁ WINCENTY KRASIŃSKI
OJCIEC ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

licznego. Złe zdrowie oddziaływało najniekorzystniej na humor, który był zmienny, kapryśny, dla otoczenia męczący. Serce było najlepsze, głowa pełna urojonych zmartwień, podejrzeń, przywidzeń, któremi trapiła męża z bliska i z daleka. Z głębi Rosyi musiał ją jenerał w r. 1812 uspokajać i błagać, aby nie poddawała się egzaltacyi i hypochondryi: »Widząc wszystko w czarnych kolorach, możesz tylko skwasić nasze życie«. A z Moskwy w liście do niej każe ucałować jedynaka i życzy mu: »niech nie ma twojej głowy, ale wszystkie twe przymioty«. Życzenie to nie spełniło się. Zygmunt Krasiński odziedziczył po matce organizm delikatny, nerwowy, przeczulony, skłonność do melancholii, urojeń i przywidzeń, ale także serce najlepsze, umysł lotny, dowcip niepospolity. Rzadkie miała jenerałowa chwile wesołości, ale wtedy jaśniała rozumem i oczytaniem. Rodzaj inteligencyi był lotniejszy, niż u jenerała, który czuł dobrze wyższość żony w niektórych względach i uważał ją za swego ducha opiekuńczego. Dochowały się jej albumy, w których zapisywała sobie ustępy piękniejsze z przeczytanych książek francuskich, polskich lub angielskich; znać stąd bogactwo i rozmaitość lektury. Rysowała dobrze; zachowała się jej kompozycya (gouache), przedstawiająca scenę rycerską powitania czy pożegnania młodego wojaka u progu zamku gotyckiego. W gotyku empire'owym była widocznie rozmiłowana, gdyż mamy różne próby rysunku kominków gotyckich itp. Jenerał przejął od żony to zamiłowanie w pseudo-gotyku; średniowieczne tło pierwszych powiastek Zygmunta może mieć swe

źródło, między innemi, także w opowiadaniach i upodobaniach artystycznych matki.

Pod cienką powłoką francuszczyzny i wielkoświatowych manier kryła się polska dusza i poetyckie uczucie. Syn przyznawał jej potem nawet dar proroczy. »Wychowana w szkole cnoty, bo w domu ś. p. Stan:sława Małachowskiego, liczne w swem życiu dała dowody, jak mocno utkwił w jej sercu przykład prawdziwego przywiązania do ojczyzny tego nieśmiertelnego męża, Marszałka Czteroletniego Sejmu. Najlepsza Polka, była także najlepszą obywatelką, matką, żoną i przyjaciółką«. Szczerze religijna, sama wpoiła w dziecko ukochane zasady wiary, a w ostatnie lata, z powodu wzrastającej choroby nerwów, usunęła się całkiem w domowe zacisze, oddana wyłącznie wychowaniu dziecka. Najgorętszem jej pragnieniem, wyrażonem w testamencie, było, aby dziecko jej wyrosło na dobrego chrześcijanina i dobrego Polaka.

III.

Dziecko.

»Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie tarzasz się po trawnikach, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z...

Zkąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami?...

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: Jakie śliczne dziecię!«

NIEBOSKA KOMEDYA.

Dzieckiem już zapowiadał Zygmunt Krasiński niezwykłe zdolności i dziewczęcą niemal czułość. Gdy czasem zapadał na zdrowiu, odpowiadał na pytanie, że go bardzo boli, że nie trzeba o tem matce mówić, bo ona i tak już jest cierpiącą. W piątym roku życia polubił i przywiązał się mocno do znacznie starszej księżniczki Sapieżanki i powtarzał, że z nikim innym się nie ożeni, tylko z nią. Dowiedział się wkrótce, że księżniczka zaręczona i że niebawem wyjdzie za mąż. Zapłakał na tę wiadomość Zygmuś, a kiedy go

pocieszano, że znajdzie kiedyś żonę podobną do Sapieżanki, wykrzyknął w uniesieniu: »O nie, drugiej Anny być nie może na ziemi, tak jak dwóch słońc na niebie niema!« Porównanie obiecujące i niezwykłe u 5-letniego dziecka.

Kiedy go ktoś z gości żartując nazywał ulicznikiem, hultajkiem itp., pobiegł Zygmunt ze skargą do matki. »A cóżeś mu odpowiedział?« zapytała matka. »Zamilkłem — odrzekł — bom nie chciał być grubianinem«. Ten rys grzeczności, jak najdalej idącej, zachowa Zygmunt na zawsze. Przytomności umysłu dowodzi fakt, że przed Aleksandrem I, który zażądał, aby mu wiersz jaki wygłosił, zaczął z ogniem, śmiało patrząc w oczy carowi, deklamować ustęp z Woltera »śmierć Cezara« od słów: »Tu dors Brutus«.

Cesarzowej matce, która w r. 1819 zwiedzała Warszawę, na jej zapytanie, czy chce być jej rycerzem obrońcą? odpowiedział dowcipnie i wymijająco: »Non, Votre Majesté, n'a pas besoin de défenseurs n'ayant point d'ennemis«.

Zdolności musiały być zdumiewające, skoro zdecydowali się rodzice na bardzo wczesne rozpoczęcie nauk jedynaka. Emigrantka francuska, pani Delahaye, była boną małego Zygmunta, uczyła go początków języka francuskiego, którym zapewne i rodzice często rozmawiali. Już w 8-ym roku życia pisuje Zygmunt Krasiński francuskie listy do matki i do ojca. Równocześnie kształci się w polskim języku pod kierunkiem nie byle kogo. Józef Korzeniowski obejmuje kierunek nauk i dozór domowy. Taki nauczyciel mógł się zainteresować takim uczniem. Dochowała

MARYA Z RADZIWIŁŁÓW KRASIŃSKA
MATKA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

się korespondencya jenerała z Korzeniowskim (bez (bliższej daty, ale przed końcem maja 1820 r.), rzucająca wiele światła na te początki nauk niezwykłego dziecka.

Na zapytanie jenerała (może z Opinogóry), jak się ma Zygmunt, który jakąś lekką chorobę przechodził, odpowiada J. Korzeniowski, że »Zygmuntek zdrów już zupełnie« i że z ucznia jest zadowolony. »Uczy się dziecię dobrze i z ochotą, przytem wesołe, je dobrze, skacze jeszcze lepiej, śpiewa z arfą, brzęczy pałaszem, rezonuje (nb. sam na sam ze mną) o polityce i moralności (!!); słowem mam tu w miniaturze trubadura i rycerza, aktora i filozofa«.

Uradowany jenerał odpisuje:

»Nie mogłeś mi większego ukontentowania zrobić, iak mi pisząc i donosząc o małym. Jego pierwiastkowo rozwiiaiące się przymioty, lub nadzieia cnoty, są iedyną pociechą, mogę powiedzieć, skołatanego i ściśnionego tylu politycznemi i domowemi przygodami serca i nim ieszcze me uczucia się odżywiaią«.

Jenerał ocenił wartość Korzeniowskiego jako człowieka i jako poety. Zwie się w listach jego »dobrym przyjacielem«, prosi o jego wiersze; wielka szkoda, że jenerałowa (mająca już tylko niespełna dwa lata życia) z powodu postępów choroby swej stawała się coraz przykrzejszą dla domowników, czem zrażony Korzeniowski, postanowił się usunąć. Widział to jenerał i lękał się stracić takiego nauczyciela. Zaradzić stanowi rzeczy nie mógł. Spodziewał się czas jakiś, że może Korzeniowski będzie wyrozumialszy na ka-

prysy chorej osoby. Otrzymał jeszcze jeden od niego list, bardzo ciekawy i charakterystyczny:

»JW. Jenerale! Raz dopełniając rozkazu JWJenerała, drugi raz dogadzając samemu sobie, pisałem o Zygmuntku. W rzeczy samey miło patrzeć, iak rozum iego coraz nowych sił nabiera, iak w każdem zdarzeniu okazuie bystrość poięcia, przytomność umysłu, chęć nieograniczoną dowiadywania się i uczenia. Im bardziej go poznaię, tem mocniey się przekonywam, że można o nim iak naypochlebnieysze mieć nadzieie; byleby w dalszym wieku, to iest po skończeniu edukacyi, wizyty, bale (na co JWJenerał zapewne nie pozwoli) nie były ostatecznym celem, i byle brak zatrudnienia i jemu i krajowi użytecznego i ważnego, nie uczynił z nadzwyczajnego dziecięcia pospolitego młodzieńca. To, com tu powiedział, iest rzetelnem, szczerem i tem mniey podeyrzanem bydź powinno, że żadnego nie mam interesu do ganienia lub chwalenia Zygmuntka; oddalaiąc się albowiem z domu JWJenerała, nie iako o wychowańcu moim, lecz już iako o dziecięciu ze wszech miar interesuiącem mówię. *Czwartek, Warszawa*«.

Odpowiedź na ten list maluje tak dobrze i miłość własną jenerała i namiętne ukochanie dziecka i piękny jego stosunek do Józefa Korzeniowskiego, że nie wahamy się w całości odpowiedzi tej przytoczyć:

»Od kilku czasow znaiąc przyczyny, które wiodą WWPDobr. do porzucenia edukacyi mego syna, w którey tyle pokładałem nadziei, znaiąc iego sposób myślenia, szczyrze się przyznam, iż nie miałem dosyć

śmiałości zacząć tey rozmowy, która miała rozstrzygnąć los mego dziecięcia.

Niebo mnie iego iednego dało, nadaiąc mu tyle darów, ile mało inne posiada. Tym bardziey truchleię nad ich przystosowaniem i użyciem.

Chowaiąc go dla kraiu, własnego imienia sławy, nie mam innego celu, iak wpoić w jego młodocianą duszę te cnoty i przymioty, które są iedne w stanie zachować niewzruszone iego i me szczęście.

Dopełnienie tych życzeń w pracy WWPDobr. tylko i w jego przykładzie widzieć mogłem. Wytrwanie iest także przymiotem. Szczęśliwym bym się sądził, gdybym mógł i tego w nim znaleść przykład.

Nasz sposób widzenia równy, tak polityczny, iak domowy, zapewniał, iż się nie omyliłem. Gdy list iego zerwał ieszcze zostaiące nadzieie, do iego serca iako przyiaciel się udaię. Chciey bydź rownie dla mnie dobrotliwym, iako niebo, co mi dziecie dało, przykładaiąc się do zdziałania z niego człowieka i ukształcenia tylu przymiotów.

Zdziałamy nierozerwany przez obce osoby układ; mnie spokoyność zostawisz, nadzieie spełnisz, a tobie zasługę, żeś kraiowi dał godnego obywatela.

Jeśli zaś nie może bydź inaczey, chciey mi przynaymniey podać sposobność dania dowodów tey szczyrey przyiaźni, którą mu wiecznie zachowam. 23 maia 1820. (podp.) Krasiński«.

Korzeniowski nie dał się zatrzymać. Po nim objął ster wychowania Piotr Chlebowski; jak z listów jego

wnosić należy, był to człowiek bardzo wykształcony i obywatelskim ożywiony duchem, ale despotyczny, popędliwy i zbyt szorstki dla wątłego dziecka. Nauka domowa miała na celu doprowadzenie chłopca do wyższych klas Liceum warszawskiego. Niezwykłe zdolności Zygmunta Krasińskiego z jednej, wielka ambicya ojca z drugiej strony sprawiły, że nauka ta odbyła się w dziwnie przyspieszony sposób.

Chwali się dziecko w liście do matki z d. 10 listopada 1820 r., że umie nieźle deklinować *scriba*, *scribae*. Dziewięcioletni Zygmunt czyta Bielskiego (15 lutego 1821 r. »bitwę morską Wizymira z królem duńskim«), a równocześnie Chlebowski rozpoczyna z nim arytmetykę. Z dochowanych zeszytów widzimy, jak prędko, za prędko uczyć się jej musiał Zygmunt Krasiński.

Pierwszy zeszyt, zaczynający się dodawaniem, »skończono 26 lutego 1821 r.« Dziewięcioletni uczeń oblicza tam już takie zagadnienie: »Robotników 17 przez 6 dni na tydzień, a po 12 godzin na dzień pracujących, zrównało ziemię na ogród w 9 tygodniach i 4 dniach, co godzina trzy stopy kwadratowe wyrównywając. Jakież było pole tego ogrodu? I co ta robota kosztowała, rachując po dwa grosze za każdą stopę kwadratową?«

W zeszycie »Przykłady« Nr. 2 mamy na str. 14 u dołu dopisek ręką Chlebowskiego:

»We 45 dni po chorobie trwaiącey od 18 maja aż do 4 lipca 1821 r. zaczął znowu przykłady dalsze pisać Zygmunt Krasiński. Świadczy Chleb.«

Na str. 15 u góry: *Dzielenie ułomków*. Po przykła-

dzie 32-gim zanotował Chlebowski po rosyjsku, aby uczeń nie odczytał: »большая ссора съ Графинею«. Możemy łatwo domyśleć się, o co tu poszło.

Surowy mentor pragnął, aby uczeń po dłuższej przerwie, spowodowanej chorobą, powetował czas stracony; zadawał mu zapewne więcej i to właśnie w porze najtrudniejszej dla dziecka, bo wśród lata, gdy tyle pokus w ogrodzie i na polu. Matka litowała się nad dzieckiem, może broniła je od przepracowania, stąd: »wielka kłótnia«, po której jednak tryumfował Chlebowski, bo nieszczęśliwe »Ułomki« (zeszyt II) »skończono 29 sierpnia (!!) 1821 r.«

Początki łaciny, polskiego, francuskiego i arytmetyki wypełniły zimę r. 1821/22. Na wiosnę r. 1822 choroba jenerałowej postępowała szybko. Od roku niemal była obłożnie chora. Jenerał czule pielęgnował ją w chorobie. W końcu marca r. 1822 zapadła ciężko. Dnia 12 kwietnia umarła. »Od kilkunastu już dni opatrzona świętemi Sakramentami, z największą spokojnością ostatniej oczekiwała chwili. Żegnała krewnych i przyjaciół, błogosławiła syna i starała się pocieszyć strapionego męża. Na jego umarła łonie«.

Mały Zygmunt rozpaczał i nie dawał się utulić. Jenerał natychmiast po zgonie małżonki wyjechał z synem do Opinogóry, pragnąc oszczędzić dziecku strasznego widoku zamykania zwłok do trumny i pogrzebu. Tymczasem w Warszawie odbyły się uroczystości żałobne.

Wincenty Krasiński odczuł serdecznie stratę małżonki. Nie mógł się pogodzić z brakiem tej, którą

za ducha swego opiekuńczego uważać był przywykł. Godzinami modlił się przy kanapie, na której nieboszczka umarła; błagał ją, by mu się objawiła.

A. E. Koźmian mówi, że »uderzony tym dotkliwym ciosem, przez rok prawie cały odosobnił się od świata, oddał się cały niepocieszonemu smutkowi i jedynych pociech w miłości dla jedynego syna poszukując, otoczył go podwójną pieczołowitością, tak, że stał mu się ojcem i matką«.

Jenerał oddał się całą duszą wychowaniu jedynaka. Zygmunt Krasiński chętnie później opowiadał, że ojciec jego po zgonie jenerałowej nieraz długie poświęcał mu godziny. Zamykał się z nim w osobnym pokoju, tam wpajał weń miłość ojczyzny i nienawiść obcego jarzma; kazał powtarzać przysięgi Hannibala przeciw Rzymowi. Opowiadał mu dzieje ojczyste, utwierdzał w umyśle jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela, tam kazał sobie przysięgać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wierny pozostanie. Nie sprzeniewierzył się tej dziecięcej przysiędze syn.

Ubóstwiał wtedy ojca, widząc w nim ideał wcielony rycerza i obywatela polskiego. Cały późniejszy stosunek syna do ojca wyrasta z tych dziecinnych wspomnień. Te zamykania się w pokoju, te przysięgi, przestrogi i zaklinania były jakby szeregiem zwycięstw pokojowych okrytego bliznami jenerała nad wątłą i wrażliwą duszyczką chłopięcą. Wtedy to Zygmunt popadł, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo w zależność, że tak powiem, psycho-fizyczną od ojca. Młodziutka dusza jego zawierzyła całkiem

i bez zastrzeżeń ojcu, mówiącemu o Polsce, o jej chwale i upadku, o Napoleonie, co miał ją wskrzesić, o swych nadziejach na przyszłość...

Jenerał z dumą i radością patrzał na olbrzymie postępy dziecka w naukach. Jeszcze za życia matki miał ośmioletni Zygmunt sporą biblioteczkę, złożoną z 172 tomów (polskich książek 39, francuskich 133 i jedna niemiecka).

Wśród polskich nie brakło oczywiście *Nowego Elementarza Polskiego* z obrazkami, *Gramatyki* Kopczyńskiego, był i *Świat Malowniczy*, ale był także dar babki, 26 tomów *Wyboru Pisarzów Polskich* wydania Mostowskiego, a w nim arcydzieła naszej poezyi i prozy dla użytku szybko rozwijającego się chłopca.

20 października 1822 r. odbyło się poświęcenie kościoła w Ciechanowie, należącym wówczas do jenerała Krasińskiego. Po tej uroczystości kościelnej otrzymał tamże Zygmunt Krasiński Sakrament bierzmowania.

W jesieni 1822 r. Chlebowski rozpoczął z wychowankiem swym znowu regularną naukę łaciny, polskiego, arytmetyki itd. Tłumaczenia na łacinę z polskiego pisane były jeszcze na podwójnych liniach. Pani Delahaye, która przywiązała się czule do dziecka, pozbawionego pieszczot matki, starała się ze swej strony, aby francuszczyzny Zygmunt nie zaniedbywał. Może za przykładem matki nieboszczki, u której widywał albumy, sprawił sobie Zygmunt podłużną książeczkę, ładnie oprawną w czerwoną skórę ze złoconemi brzegami i na wewnętrznej białej

stronie okładki dziecinną ręką i ortografią dużemi literami wypisał:

Albaume
Sigismond Krasinski

Wpisywał tu sobie na podwójnych liniach wiersze francuskie, polskie i różne sentencye, z których tę przynajmniej warto tu umieścić, bo istotnie była ona dla Zygmunta Krasińskiego hasłem życia całego:

Il faut plus aimair (!) *sa famille que soi meme, sa patrie plus que sa famille, le genre humain plus que sa patrie.* *Lettre sur la France.*

Są tam jeszcze wypisy ze »Śpiewów historycznych« i długi wyjątek z polskiego przekładu tragedyi »Athalia«; ale kart zapisanych nie wiele (25 na 225 stron), bo pewnie czasu na to nie stawało.

Rzadko zdarzyła się chwila wytchnienia i chłopak dowcipny płatał niewinne figle. Świadczy o tem list polski bez daty, na podwójnych liniach (zapewne z r. 1822), z adresem:

Xiędzu Szyszcze (!)
WMPanu i Dobr.
Wielmożny Xięże Szyszko.

Pozwól W. WaćPan Dobrodziey, bym Mu powinszował krzyża i nominacyi na Dziekanią.

Zapewne dwór Jego żeński powiększonym będzie, temu więc za lat 12 się rekomenduię.

Zygmunt Krasiński.

Potem dopisek francuski z życzeniami pani Delahaye, »la bonne de Sigismond«. Przy niej można było takie listy pisać; nie byłby na nie pozwolił surowy

p. Chlebowski, który zawsze pędził do nauki. Do łaciny wcześnie przyłączyła się greka, a musimy przyznać nauczycielowi, że uczył doskonale, bo z dochowanych rozbiorów gramatycznych, preparacyj i tłómaczeń z greki na łacinę (Luciana i Iliady) widać, że Zygmuntowi nauka greczyzny przychodziła z łatwością. W »preparacyach« wymagał Chlebowski, aby uczeń notował obok wyrazu, potrzebnego do przekładu, także spokrewnione z nim etymologicznie, a tym sposobem nietylko utrwalał w pamięci znaczenie wyrazu, ale wzbogacał zapas językowy i mimowoli zaprawiał do głębszego wnikania w ducha języka helleńskiego.

Z nadejściem letnich upałów przenoszono naukę z pałacu na Krakowskiem Przedmieściu do Opinogóry.

Starostwo opinogórskie od kilku już pokoleń było w posiadaniu Krasińskich. Za Napoleona nadane było czasowo Bernadottemu, »księciu Pontecorvo«, ale znów wróciło do Winc. Krasińskiego, który od Aleksandra I otrzymał potwierdzenie dawnego polskiego nadania. Obszerne włości, należące do tego starostwa, ciągną się od Ciechanowa do Pałuk i Kołaczkowa, granicząc z rodowem gniazdem, Krasnem, będącem wówczas w posiadaniu krewnej jenerała, z innej linii Krasińskich.

Kiedy po wojnach napoleońskich rozejrzał się w ojcowskiej Opinogórze młody dziedzic, nie znalazł tu zagospodarowanego majątku. Duży, stary dwór, wznosił się na wzgórzu, panującem nad okolicą płaską i mało zadrzewioną. Wszystko było opuszczone i prozaicznie smutne. Jenerał park około domu za-

łożył, stawy niewielkie oczyścił, kapliczkę na drugiem wzniesieniu opodal stojącą od upadku podźwignął. Dwór typowy polski, z ogromną salą do zebrań i biesiad, ozdobioną portretami królów polskich (fikcyjnymi), pań z XVII i XVIII wieku, liczne miał pokoje wygodne, z oknami na okolicę, monotonną wówczas, a nieurozmaiconą jeszcze dzisiejszemi drzewami.

Dwór w Opinogórze.

Ale dla małego Zygmunta Krasińskiego to był raj swobody i uciech chłopięcych. Tu mógł biegać do woli, odwiedzać sąsiednie wsie i folwarki, zapomnieć bodaj na chwilę o algebrze i greckich słówkach. Krótkie bywały wakacye i niezupełne, bo Chlebowski nawet w sierpniu zadawał lekcye. Wybujały nad lata zdolności chłopięce. Ojciec, który chciał mieć w jedynaku fenomen zadziwiający rozumu, z dumą i radością patrzał na rozwój dziecka, a ulegając wreszcie podszeptom próżności, która była jedną z najsilniejszych pobudek działania w całem jego życiu,

urządził na wielką skalę we własnym domu egzamin dwunastoletniego Zygmunta. A. E. Koźmian, który pamiętał ten fakt, tak go opisuje: »Sprosił na tę uroczystość ojciec najznakomitszych ówczesnych mężów krajowych, w stolicy przebywających, najcel-

Sala »napoleońska« w dworze opinogórskim.

niejszych nauczycieli szkół. Młody uczeń obudził podziw i uradował wszystkich przytomnością umysłu, żywością odpowiedzi, obfitością zaczerpniętej nauki. Postępy jego, zwłaszcza w językach, literaturze, w historyi i jeografii starożytnych, przeszły wszelkie oczekiwania. Był to dzień prawdziwie uroczysty i radosny i dla syna i dla ojca i dla przyjaciół jego«. Na

innem miejscu wspomina znowu, że niezwykłem pojęciem, pamięcią bez granic, żądzą nauki obdarzony młody uczeń zadziwiał nadzwyczajnemi postępami i żadnemu z rówieników prześcignąć się nie dał. Kierownicy jego zanadto może wymagali od zdolnego ucznia. Nieraz surowo się z nim obeszli, »a tak pamięć porannych dni jego życia obciążały niemiłe wspomnienia«.

W nagrodę świetnego egzaminu otrzymał od ojca w lecie 1825 r. strzelbę; unosi się nad jej zaletami, donosi z Opinogóry o pierwszych zabitych kuropatwach, polowaniu na kaczki w błotach ciechanowskich, i rozpoczyna już pisać do ojca listy ciekawe dla nas, z wyraźnemi dowodami budzącego się pisarskiego talentu. Wczesna, forsowna nauka sprawiła, że dziecko nie miało prawie czasu być dzieckiem, a myśli swe zaczęło wyrażać jak dorosły. Ponieważ zaś naczytało się wyrażeń górnych i stylu Księstwa Warszawskiego, więc też chodziło zrazu na szczudłach wyszukanych frazesów. Nic pod tym względem bardziej charakterystycznego, jak te napół dziecinne, napół chłopięce listy 13-letniego Zygmunta, które jenerał z prawdziwym pietyzmem przechował. Od pierwszego zaraz, z d. 24 lutego 1825 r., kreślonego z dziecinną starannością na liniach, mamy to wrażenie, że chłopiec naśladuje jakiś niedawno przeczytany zwrot klasyczny. Zaczyna się ten list tak:

»Przecież dzisiaj mróz czterostopniowy ścisnął *słabemi* okowy (!) błoto po ulicach; zamiast chmur czarnych piękny lazur nieba rozwesela oko, przy-

zwyczajone w teraźnieyszey zimie do posępnych widoków«.

Rozpoczynają się te »*czarne chmury*«, które będą stałą niemal przyprawą listów młodocianych Zygmunta, a z których jeszcze w 10 lat potem drwić będzie jenerał. 4-go sierpnia 1825 r. uraczy go synek takim obrazkiem z Opinogóry: »Opuściła nas pogoda, czarne chmury pokryły niebo, znów szumny wiatr wypuścił Eol (!), a chwilami deszcz oschłą skrapia ziemię«.

Od najwcześniejszego dzieciństwa da się u niego zauważyć styl retoryczny, z którym stanie do walki żywe poczucie natury i wielka na jej wdzięki wrażliwość. Tegoż 1825 r. wczesną jesienią odbywa Zygm. Krasiński w towarzystwie mentora Chlebowskiego pierwszą swą większą podróż. Jedzie z Warszawy na Garwolin, Żelechów, Krasnystaw, Włodzimierz, Poryck, Beresteczko, Krzemieniec i Jarmolińce do dziedzicznych Dunajowiec na Podolu i na każdym popasie pisze pierwszy swój »Dziennik Podróży«, notuje skrzętnie wrażenia. Trzynastoletni podróżnik zadziwia nas swemi spostrzeżeniami o nastroju poważnym.

Przejeżdżając przez Adamów i Wolę Gutowską, widzi, że: »grunta częścią dobre, częścią nieurodzajne« i nadmienia, że »lud podlaski pracowitszy od mazowieckiego«, lecz zaraz w nocie u dołu stronicy dopisuje: »Tak przynaymniey się zdaie próżniakowi, iadącemu wygodnym powozem i ziewającemu po nudnych piaskach«.

Lud go widocznie obchodzi żywo. Podlaski nazywa szczęśliwszym od mazowieckiego dlatego, »że wsie

wszystkie prawie przy wodzie i lasach leżą — przy każdej prawie chałupie znajduje się kilka drzew i ogród«.

Ta dziewięciodniowa podróż na Podole bardzo go rozwija i kształci jego pogląd na świat i ludzi.

Poryck budzi w nim niedawne wspomnienia Czackiego: »Tu przemieszkiwał Czacki, tu on pomyślał ożywić duch narodowy i strapioną dźwigać oyczyznę«. Beresteczko nasuwa mu wspomnienie krwawej bitwy, rzezi, Krzemieniec stawia przed oczy fakt, że tam »uczniów przeszło sześćset«. Aż w Dunajowcach po skończonej podróży skupiają się jej wrażenia; los chłopa ruskiego w taką się krystalizuje syntezę. Zważmy, że to trzynastoletni myśliciel pisze:

»Zacząwszy od Krasnego Stawu lud iest iuż po większey części ruskim, a od granicy wszędzie obrządek ruski panuie. Piękne położenie i wesołe widoki Wołynia uprzyiemniaią drogę. Rozległe stepy Podola wystawuią żyzność i obfitość wielką. Chłop ruski często zamożnieyszy od mazowieckiego, ale uciśniony przez panów, będących często w zmowie z żydami, nie śmie podnieść głowy. Każdy pan jest królikiem u siebie despotycznym. Pan otoczony kozakami patrzy bez litości na męki zadawane z jego rozkazu włościanom, a ludzkość spodlona wygląda zbawiciela. Takim zbawicielem mógłby być mąż cnotliwy, któregoby wymowa miękczyła skamieniałe serca panów na cierpienia włościan. Ale taki sposób lepieyby się udał w średnich wiekach, kiedy ieden pustelnik wymową i wpływem religii tysiączne za sobą prowadził narody.

Takim zbawicielem mógłby się stać rząd, wglą-

dając w postępowanie nieludzkie panów z włościanami.

Trzeci środek naylepszy i jedyny jest: większa oświata«.

Jakie to nadzwyczajne ujęcie trudnego przedmiotu! Jakie zrozumienie prawdziwego stanu rzeczy i jak bystro urodzaj ziemi przeciwstawiony niedoli ludu! Jak już tutaj dźwięczy przeszłość »zakuta w zbrojną stal« w owym zwrocie ku wojnom krzyżowym, a równocześnie trzeźwy rzut oka na teraźniejszy rozłam społeczny widzi »cierpienia włościan« i »skamieniałe serca panów«, i to wszystko nazywa po prostu »spodloną ludzkością«! Jak on już szuka »zbawiciela« dla tej ludzkości...

A niech nikt nie mówi, że to jest pozowaniem malca, udanem lub poddanem mu (może przez towarzysza podróży) zamyśleniem się nad dolą wieśniaczą — nie! To nie z głowy, przeładowanej nauką płynęło, ale z głębi czującego, kochającego serca. Bo oto w tydzień potem zwiedza Zygm. Krasiński Podole i jary naddniestrzańskie i Ladawę Aleksandra Czackiego i tegoż wieś Serebryńce, a chwaląc w liście do jenerała dom »pana Aleksandra« i porządek w jego gospodarstwie, dodaje te znamienne słowa: »a co mi się naylepiey podobało, że go bardzo kochaią chłopi«. Takich słów się nie pisze z głowy.

Zachwyty młodziutkiego Telemacha nad pięknościami Podola ostudza poniekąd nieubłagany mentor. W podróżnych tłumokach znajduje się Iliada, a Zygmunt pisze 9 września 1825 r. z zapałem, nie wiem czy bardzo szczerym: »Codzień tłómaczę *boskiego* Homera«...

Przepiękne widoki jarów podolskich wzbudzają w nim zachwyt, wywołując pierwsze opisy wdzięków przyrody. W liście z 16 września 1825 r. znajdujemy następujący krajobraz:

»...rano w sobotę 11 września wyjechaliśmy z Bernaszówki. Mgła przeszkadzała nam do rozeznania przedmiotów. Długo dosyć jechaliśmy, wysiadając gdzie zła była droga. Wyjechaliśmy na ogromną górę. Tu nam się pyszny widok okazał. Mgła opadająca napełniała cały dół i jary okoliczne. Wystawiała ogromny przestwór jakby wodą białą *(śnieżną)* napełniony, na którym unosiły się bałwany różnego kształtu, czarne, o które obijające się promienie świetnego słońca czyniły widok wzniosły i wspaniały...«

Młodziutkie pióro nie zdolne tu jeszcze wysłowić, wyrazić zachwytu szczerego. On czuje więcej, niż może powiedzieć; widać to po nim, jak »myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie« — ale on już wie, gdzie piękno, on się już upaja promieniami wschodzącego słońca, igrającemi na skłębionych oparach Dniestrowych, a przyjdzie czas, kiedy mu ten obraz podolski odtworzy się w duszy i wtedy napisze:

»Od baszt św. Trójcy do wszystkich szczytów skał ...leży mgła *śnieżysta*, blada, niewzruszona, mara oceanu, który miał brzegi swoje ...i głębokości swoje, gdzie dolina, której nie widać, i słońce, które jeszcze się nie wydobyło. ...Powoli śpiące obszary budzić się zaczynają — w górze słyszać szumy wiatrów — z dołu promie-

nie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu wyziewów...

Słońce ze wzgórz na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury...

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu...«

Tamten obrazek ręka dziecka kreśliła, ten ręka tytana — ale ten sam człowiek widział i odczuł pierwsze, stworzył drugie.

Widoki podolskie rozszerzyły horyzont społeczny i ideowy. To też zwycięstwa Grecyi, strząsającej wówczas okowy tureckie, wywołują zapał w 13-letnim Zygmuncie:

»Ucieszyłem się — pisze do ojca — ze zwycięstw Greków«, a wydobycie się ujarzmionego tego narodu na wolność nazywa »najpiękniejszym fenomenem politycznym«.

A w związku z tym zapałem może mniej przykre były preparacye greckie do Iliady.

Należy sobie wyobrazić wówczas Zygmunta jako chłopca małego wzrostu, owalnej twarzy, szatyna z dużemi, piwnemi oczyma, trochę czerwonawą cerą. Dużo wdzięku i dobroci było w ustach prawie dziecinnych.

Obojętnie donosił ojcu z Dunajowiec pod koniec swego pobytu 27 września 1825 r.: »Nowina Podolska, że dzisiaj, t. j. w dzień św. Michała, są zaręczyny Panny Delfiny Komarówny z P. Mieczysławem Potockim, co bardzo gniewa Pana Orłowskiego«.

Gdybyż mógł się domyślać, czem kiedyś dla niego będzie nie panna, ale pani Delfina!...

Powróciwszy z Podola, zabrał się Zygm. Krasiński tem raźniej do pracy, ile że był to ostatni rok domowej nauki. Chlebowski uważał, że domowe wychowanie do czasu tylko jest dobre, a przygotowawszy przez r. 1826 wychowanka swego tak, aby mógł być przyjętym na zwyczajnego ucznia ostatniej klasy Liceum, we wrześniu t. r. zaprowadził go do zapisu i tak opisuje jenerałowi pierwsze wrażenia szkolne swego ucznia. Rektor Liceum, Linde, obrażony na jenerała, niechętnie przyjmował jego syna do swej szkoły. Po zapewnieniach Chlebowskiego, że wychowanek jego »żadney płochości politycznej nie popełni«, Linde zgodził się na przyjęcie. »Tymczasem Zygmunt pociągany był do zdania examenu z religii przez X. Prefekta. Bronił się od tego, wymawiając się tem, że wczoraj zdał wszystkie examena i że dziś tylko do zapisu przyszedł; aż sam Rektor spór ten rozstrzygnął: wziąwszy Zygmuntka za rękę, stawił go przed Prefektem, który po kilku zapytaniach uznał go zdolnym do klasy VI, lubo pytania były tak dziwaczne i humor odpowiadającego podrażniony, że na żadne prawie nie odpowiadał,— łzy mu były w oczach, a śmieszek na ustach.

Ztąd poszło, że na wszystko szkolne patrzy teraz jeszcze z pogardą, wszystko zdaje mu się być niższe od niego. W kolegach swoich widzi chłopców bijących się i wadzących z sobą i ma to im za złe; lubo sam żadney zabawy nie odbył dotąd bez mocowania się z kuzynkami. Bierze się wszakże szczerze do pracy i widać, że nie chce się dać nikomu wyprzedzić. Naywiększą korzyść zapewnia dla niego

szkoła z tego względu, że musi ze swojej głowy układać i pisać odpowiedzi na podane themata, do czego w domu niepodobna go było skłonić. A jeżeli są nieprzyzwoitości publicznej edukacyi, nigdy one nie dorównywają złym skutkom i nałogom w domowem wychowaniu zdarzającym się — osobliwie w młodzieńczym wieku. Jedyne tylko dobro i wielostronne ukształcenie ucznia mi powierzonego powodowało mną, żem JWu Jenerałowi zaproponował przyjęcie do swego domu Xiędza Chiariniego; równie i teraz nie w innym celu poradziłem uczęszczanie do Lyceum«. (24 września 1826 r.).

Oto jak mu czas schodził w ostatniej klasie Liceum warszawskiego:

»Chodzę codzień do Lyceum zrana, to jest od pół do 8 ey aż do 11-ey i popołudniu od drugiej do czwartej. We wtorek i czwartek popołudniu zupełnie wolne. Jest dosyć do roboty, ale nie nad siły. Dają w Lyceum polski, francuski, łaciński, niemiecki, grecki język, oprócz tego historyą, literaturę, geografią, matematykę. Szósta klasa jest dosyć liczną, gdyż przeszło pięćdziesiąt uczniów zamyka. Codzień o 10-ej zrana dziesięć minut wolnych jest, podczas których przybiegam do domu na śniadanie...«.

Zachowane kajety licealne z nauki greckiego, historyi, matematyki świadczą o wielkiej pilności; że wymagania ówczesnego Liceum były niemałe, dowodzi chociażby ten fakt, że 14-letni Zygmunt Krasiński przerabiał z algebry działania z ilościami urojonemi, teoryą postępu i logarytmów, przechodził wreszcie początki analizy geometrycznej.

Ale równocześnie rozmarzał się »Freyszycem« na scenie warszawskiej i tak ojcu wrażenia swe opisywał:

»Muzyka, mówią, nie tak piękna, jak w sztuce »Sroka złodziej« — ale za to opera więcej do dramy podobna, ma dużo akcyi, ustawicznie pioruny grzmią, ustawicznie na scenie strzelają, diabłów wywołują, którzy w ognistych przychodzą postaciach. Osobliwie drugi akt, gdzie Strzelec w nocy w lesie leje kule zaczarowane, jest pełny duchów, strachów, niedopyrzów, gromów etc., etc. bardzo w guście romantycznym, a pomimo, co Pan Koźmian mówi, że to są duby średnich wieków, jednak Freyszyc bardzo zabawny«.

W lipcu 1827 roku siadał Zygmunt Krasiński do końcowych egzaminów licealnych. Egzaminy piśmienne były wówczas bardzo długie i bardzo uciążliwe.

Donosi ojcu d. 4 lipca 1827 r., że poprzedniego dnia siedział w Liceum od 6-ej zrana do 4-ej popołudniu i pisał ćwiczenia łacińskie.

Nazajutrz siedział znowu od 6-ej zrana do 6-ej wieczorem i przez te 12 godzin napisał »robotę polską«. Taki na nią nam temat zadali: »Wykazać niedostateczność prawideł moralności z samego rozumu wypływających i wskazać wyższość zasad moralności chrześcijańskiej«. A następnych dni czekały go znowu roboty francuskie i niemieckie. Wszystko to odbywało się pod surowym napozór nadzorem. Po tylogodzinnej pracy Zygmunt ma jeszcze dość sił, aby

zabawić ojca opisem, jak się to takie egzaminy piśmienne odbywają:

»Czarownik kilka razy przychodzi na dzień do nas, zagląda pod stoliki, czy słowników lub książek nie mamy. Ciągle zaś przy nas siedzi profesor. Nie wolno ani słowa gadać jeden do drugiego, lub się radzić, jednak nie zachowują tego przepisu, bo się śmieją, gadają i krzyczą, i nie tak to jest nudne, jakby mogło być«.

Były też chwile uciążliwe, kiedy wśród upałów lipcowych trzeba było po piśmiennych egzaminach zasiąść do ustnych. Pierwszy to raz narzeka Zygmunt:

»Dużo mam bardzo do roboty. Cały dzień siedzę w klasie, a wieczorem pracuję, osobliwie nad matematyką...«

Wreszcie po ostatecznych egzaminach ukończył w r. 1827 Liceum i wstąpił do uniwersytetu warszawskiego.

IV.

Student Uniwersytetu.

Pobyt Zygmunta Krasińskiego w Uniwersytecie Warszawskim trwał od jesieni 1827 r. do 24 marca 1829 r. Zapisany na Wydziale prawa i administracyi, słuchał wykładów przepisanych na pierwszym kursie tego wydziału, ale uczęszczał także na wykłady innych wydziałów. Widzimy bowiem z notat jego i listów do ojca, że w marcu 1828 r. zdaje »pierwszy egzamin z fizyki« i egzamin z filozofii. Notuje skrzętnie wykłady z historyi powszechnej, a nadto w domu uczy go prywatnie X. prof. Chiarini starożytności wschodnich i biblijnych w porównaniu ze starożytnościami greckiemi i rzymskiemi; bierze od niego lekcye języka arabskiego i tłumaczy zdania Alkoranu na język łaciński.

Żywy, dowcipny, ruchliwy, nie należał do spokojnych »trusiów«, bogobojnie w ławce siedzących. Dał się we znaki i kolegom i profesorom. Ówczesny rząd uniwersytecki trzymał uczniów w rygorze niemal gimnazyalnym. Prowadzono »Księgę pilności i obyczajów uczniów Król. Uniwersytetu w Warszawie«; w r. szkolnym 1827/1828 znajdujemy tam pod Nr. 43 takie świadectwo:

»*Krasiński Zygmunt*, prawa i administracyi.

Spowiedź wielkanocną: odbył.

Co do mszy, nauki religii i prelekcyj: regularny.
Pilność: pilny.
Obyczaje: bardzo płochy.
Napominany, przestrzeżony lub ukarany: Za niespokojne zachowanie się w audytoryach.

Uwagi. W I kwartale: w początkach był niespokojnym, teraz znacznie się poprawił. W II kwartale: Ukarany aresztem na godzin 24 za pokrzywdzenie kolegi.

Zdanie ogólne: Zdatny, pilny i obyczajny, lecz płochy«.

Zygmunt Krasiński nie wiele zapewne martwił się urzędowemi uwagami rządu uniwersyteckiego. Rozpoczynał 16-y rok życia, pochłaniał powieści i poezye bez braku i smaku, czytał tam tyle o czułych sercach, kochających i kochanych bohatyrach, że wreszcie sam pragnął pokochać. Pod mundurem studenta uniwersytetu biło serce wrażliwe już na wdzięki niewieście. W pałacu rodzicielskim, pod opieką jenerała, mieszkała wówczas wychowanica jego, młodziutka słomiana wdówka, pani Amelia z Bronikowskich Załuska, której mąż Roman oczekiwał w więzieniu śledczem na wyrok sądu sejmowego. O kilka lat starsza od Zygmunta, kochająca go jak braciszka, nie domyślała się, że była przedmiotem jego tajemnych wzdychań. Nie domyślał się też niczego jenerał, a czujnego oka matki nie było już, niestety. Jenerał często dla licznych spraw majątkowych wydalał się z Warszawy do Opinogóry, Knyszyna, Dunajowiec i t. d. Długie wieczory zimowe schodziły wtedy Zygmuntowi na sprzeczkach i nieporozumieniach z panią Załuską, które on ojcu obszernie opisywał, żartobliwie zwąc panią Amalię »mocarstwem

nieprzyjacielskiem«, »*les puissances belligérantes*« i t. d. W liście z d. 22 stycznia 1828 r. czytamy: »Z Panią Załuską iestem *in statu quo*. Gada do mnie, przycinki robi, drwi, śmieie się ze mnie, ia zaś z zmarszczonemi brwiami siedzę spokoynie, czasem odpowiem, czasem zamilczę, czasem rzutem wzroku przymuszę ią spuścić oczy, ale przez cały obiad nayczęsciey *je suis en but te à ses plaisanteries* — ale darmo«. Na innem znów miejscu: »Chodzę do akademii, w wieczór bywam, po zawarciu *des preliminaires de Léoben* u Pani Załuskiej. W wieczór często gramy z Baronem w karty. Pani Delahaye bywa z Augustem. Wszystko spokojnie i wszystko cicho. Niebo *pochmurne*...« Spokój i cisza były tylko pozorne. Z początkowych niewinnych sprzeczek i przekomarzań się miał wyjść szesnastoletni młodzian z serduszkiem zranionem. A z temi pierwszemi podmuchami miłości schodzą się pierwsze próby literackie. Słyszymy o jego przekładzie łacińskim Mickiewiczowskiej »Świtezianki«! Powstają drobne powiastki jego, np. »Pan Trzech Pagórków, ułamki ze starego rękopismu«, utwór napisany w Opinogórze (6-go kwietnia 1828 r.) z dedykacyą jenerałowi, wierszami (10 strofek 4-wierszowych), a wśród nich takie, niezbyt rytmiczne, ale pełne prawdy określenie chwały:

»Chwała! cóż bowiem czyni pierś niezłomną,
Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
Ah! ta myśl tylko, że nas nie zapomną,
Że w sercach ziomków odżyjem po zgonie»!

»Pan Trzech Pagórków«, to hołd złożony dziedzicznej Opinogórze, to próba śmiała upoetyzowania

najpospolitszego krajobrazu, który był mu drogi, bo tam pacholęce, swobodne, letnie pędził miesiące. W tej dziecinnej robocie są już drobne ziarenka szlachetnego kruszcu.

Ten sam pałac, w którym w czasie nieobecności jenerała było »wszystko spokojnie i wszystko cicho«, nabierał życia, gwaru i wesołości z przyjazdem gospodarza. Lubiał on wystawne życie ku niemałemu zmartwieniu oszczędnej starościny opinogórskiej, lubiał, by o nim mówiono. Próżność była u niego osobistą »i była niebezpieczniejszą od tej, familijną. Chciał sam błyszczeć i świecić i chciał, żeby błyszczał i świecił jego dom«. Chęć wyniesienia się i popularności przeważała nad szlachetnemi pobudkami. Popularność starał sobie wyrobić słynnemi literackiemi obiadami, na których bywali wszyscy, zajmujący się sprawami publicznemi i postępem piśmiennictwa. Czwartkowe (według Koźmiana: sobotnie, po wykładach Osińskiego) obiady u jenerała Krasińskiego mają swą kartę w dziejach literatury naszej, a starcia klasyków z romantykami tam się właśnie odbywały. Na tych głośnych obiadach bywali zwykle: Niemcewicz, Kaj. Koźmian, Osiński, czasem jenerał Fr. Morawski, Brodziński, Fr. Salezy Dmochowski, z młodych: Witwicki, Gaszyński i Odyniec.

»Gospodarz uczonych obiadów, wierny zasadzie neutralności, zapraszał reprezentantów obu kierunków i zwykle podjudzał jednych przeciw drugim, z czego wszczynały się z początku żwawe dysputy, przeplatające każdą potrawę, a na wety wywiązywała się zajadła kłótnia, ubliżająca nieraz dostojeń-

stwu lub powadze tego lub owego klasyka, który sobie poprzysięgał więcej nogą nie wstąpić w dom jenerała«. Po tygodniu jednak wracał.

Na słynnych tych obiadach nie bywał syn jenerała: jednak ich odgłos dochodził do niego za pośrednictwem Odyńca. »Oddychał on tem powietrzem, które dom ojcowski napełniało i które, choć bezwątpienia nie stworzyło w nim ducha poetycznego, bo ten od Boga był mu dany, rozwinęło w nim jednak usposobienie do pisarskiego zawodu. Wrodzoną wrażliwością umysłu chwytał on wszystko, co do imaginacyi i duszy przemawiało i w gronie rówieników lubił się zajmować przedmiotami, które rozbierano i o które spierano się w towarzystwie, jakie ojciec jego u siebie zgromadzał«. (A. E. Koźmian).

Powodem zainteresowania się obiadami literackiemi nie były dla Zygmunta same tylko rozprawy klasyków z romantykami. Do spraw estetycznych mięszały się bardzo silnie sprawy serca. Zygmunt Krasiński coraz więcej rozmarzał się studencką miłością do pani Załuskiej. Odyniec, który bywał wówczas częstym gościem na obiadach u jenerała, dostrzegł rychło, co się święci, a w *Listach z podróży* przekazał nam kilka szczegółów, które skądinąd znajdują potwierdzenie w listach Zygmunta do ojca. Pisze Odyniec: »Ja o tem wiedziałem przez to, że po każdym czwartkowym obiedzie, na których on (Zygmunt) jeszcze nie bywał, a ona (Załuska) prezydowała zwykle, jako jedyna dama i gospodyni domu, musiałem mu zdawać sprawę ze wszystkich jej słów

u stołu, istotnie nieraz bardzo trafnych albo dowcipnych, a których on był ciekawszy, niż literackich dysput z klasykami«.

Istotnie szesnastoletni chłopak rozmarzył się na dobre, spotykając w domu codzień uroczą młodziutką mężatkę. Zakradał się do jej salonu, z ukrycia godzinami patrzył na nią, zazdrościł tym, co ją odwiedzali, szalał poprostu.

Nie domyślał się niczego jenerał. Zygmunt zaś, korzystając z nieładu, panującego w olbrzymim pałacu ojcowskim, żył nienormalnie, wrodzoną nerwowość podniecał sztucznie herbatą, której wiele z rumem wypijał. Następstwem tego były bezsenne, pełne gorączkowych marzeń noce...

W dodatku zasmakował we fajce; pomimo zakazu ojca, ćmił ją potajemnie wraz z przyjacielem i koleżką Konstantym Gaszyńskim, aż wreszcie jenerał, przyłapawszy syna na gorącym i dymiącym uczynku, zgromił za skrytość, ale umiarkowanego palenia pozwolił. Gaszyński, wchodząc raz do pokoju Zygmunta, widzi go przy kominku z dużym cybuchem, palącego fajkę — zdrętwiał z przerażenia na myśl o jenerale, dowiedziawszy się jednak o pozwoleniu, pochwycił uradowany za węgiel i z tryumfem wypisał nad kominkiem: *Żyj ero fajkowa!*

Odtąd we wspomnieniach przyjaciół będzie to termin techniczny na oznaczenie błogich lat młodocianej swobody — a w listach swych do Gaszyńskiego będzie się z czasem podpisywał ostrożny Krasiński jako: *Erofajkowy.*

Atmosfera duchowa i literacka epoki sprawiła, że

Sigismond Krasiński prie Mr Jasinski
aujourd'hui lundi 22 Juillet de lui
faire l'honneur de venir passer la soirée chez lui, Palais de
ses parents, le 1829.

Les personnes invitées sont priées de ne pas fumer la pipe.

syn jenerała Krasińskiego wcześnie bardzo zaczął oddychać literaturą i marzyć o sławie pisarskiej. Na obiadach literackich wprawdzie nie bywał, ale dokładne echa sporów namiętnych budziły jego ciekawość i zapalały do rozczytywań się w najnowszych płodach romantyzmu. Nic to, że w ciągu marca 1828 r. w uniwersytecie zbliża się pora egzaminów z filozofii i — fizyki. On dostał od Waleryana Krasińskiego najnowszy utwór Mickiewicza: Wallenroda, i pochłania go namiętnie. A jak go rozumie! Jak się unosi nad nim w listach do ojca: »Zdaje mi się — pisze 26 marca 1828 r. — że jeszcze Polska nic takiego nie miała. Ten charakter ciemny, ponury, ta zdrada mściwa — wszystko serce przeraża, umysł wzbija, duszę przenosi do piekielnych marzeń. A jakie piękne wiersze, jaka moc, energia, harmonia — wszystko tchnie żalem i smutkiem, żalem, który nam tak przystoi«.

Mickiewicz olśniewał go stylem poetyckim, rozpalał żarem uczucia, ale był jeszcze, na ogół biorąc, za trudny, za silny dla 16-letniego młodzieniaszka. Był natomiast inny pisarz, który utworami swemi historyczno-legendowemi, romantyzmem średniowiecza, fabułą przystępną dla chłopięcego umysłu, działał na razie bezpośrednio na fantazyę i poddawał łatwe pomysły — to Walter Scott. Doskonale objaśnił to J. Tretiak: »Zaczynano — mówi — wówczas tłómaczyć i naśladować u nas Walter-Scotta, a jednym z pierwszych naśladowców był stały uczestnik zebrań w domu jenerała, Niemcewicz. Uwielbienie dla W. Scotta nawet wśród najzaciętszych klasyków nie spotykało oporu. Tak więc Z. Krasiński już w otoczeniu swojem mógł

znajdować silną zachętę, aby się zwrócić ku temu genialnemu powieściopisarzowi. Godził się przytem W. Scott doskonale z arystokratycznemi przekonaniami i sympatyami, które ojciec wpajał w syna: czarodziejska wyobraźnia W. Scotta, wywołując przed oczy świat średniowieczny, oblewała go idealnem światłem, owiewała urokiem jego instytucye, przedstawiała w najponętniejszych barwach życie rycerskie, budziła cześć dla przeszłości i żal za nią. Walter Scott wywarł ogromny wpływ na młodzieńczą wyobraźnię naszego poety«.

16-letni Zygmunt uległ czarowi opowiadań Walter Scotta, rozmiłował się w idealnym świecie średniowiecznym i zapragnął niebawem odtworzyć tę przeszłość, a to na podstawie swojskich tematów. Pisze więc za wzorem powieści Walter-Scotta swego »Zbigniewa«, tę trzytomową powieść, która w toku pisania nazywać się będzie także »Hanną z Ciechanowa«, aż wreszcie ostanie się przy ceremonialnym tytule: *Władysław Herman i dwór jego.*

Powieść ta, zaczęta w r. 1828, zapewne uległa potem przeróbkom. Tymczasem fantazya, nie mogąca poprzestać na odległych czasach Władysława Hermana, zwróciła się do barwnej, awanturniczej, pełnej rozmaitości epoki wojen trzydziestoletnich, którą zapewne z rozczytywania się w dziejach powszechnych lepiej mógł poznać. Obok więc rozpoczętego »Zbigniewa« pisze powieść »oryginalną«, jak na tytule czytamy: *Grób Rodziny Reichstalów.*

Wedle słów A. E. Koźmiana, użył on chwil, godzinom snu odjętych, na napisanie tej powieści.

Fr. S. Dmochowski, ku niemałej zapewne dumie młodziutkiego autora, wydrukował tę powiastkę w Rozmaitościach, dodatku literackim do »Gazety Korespondenta Warszawskiego« w maju 1828 r.

Nadchodzi tymczasem jesień 1828 r. i nowy rok szkolny w uniwersytecie warszawskim. W końcu września t. r. uwiadamia Zygmunt ojca o rozpoczętych wykładach: »Od 8—9 mam codzień administracyę wykładaną przez P. Kunata, od 9—11 w sobotę konstytucyę przez Engielkiego, od 3—5 we środę, czwartek i piątek prawo polskie przez Bandkiego, od 5—6 w poniedziałek, środę i piątek literaturę przez Brodzińskiego, a we wtorki i piątki od 4—5 prawo kanoniczne przez X. Szaniawskiego«.

W domu było nie zbyt przyjemnie: »Babula ciągle iest zdrową, ale nie w naylepszym humorze. Robię, co tylko mogę, by iey usłużyć i nie gniewać na siebie, po całych godzinach czytam iey zrana Fraysynusa, w wieczór *L'histoire de la grande armée* przez Ségura. To dzieło osobliwie bardzo się iey podobało, bo Ségur zupełnie iednego z nią iest zdania, co się tyczy chęci Napoleona uwolnienia Polski«. Czasami szedł do teatru i starał się zdać sobie sprawę z wartości estetycznej danego utworu. Znać tu już myślącego krytyka: »Byłem za pozwoleniem babuli zawczoray w teatrze na nowey komedyi Fredra (!) pod tytułem »P r z y i a c i e l e« — może to naylepszem iest z iego utworów. Charaktery do naywyższey komiczności posunięte, osobliwie iest w tey sztuce porównanie arystokracyi pieniężney i rodu. Oboiey z nich wydane śmieszności, ale tak mistrzowsko, że trudno

prawdy, choć trochę przesadzoney, nie poznać, — oprócz tego, mieysca są bardzo piękne co do wierszy i zupełnie wzniosłe — namiętności bardzo pięknie malowane i to zdaie mi się stanowi cechę Fredra, że on w naywiększey części swoich komedyi, podziela sztukę na dwie części. Iednym osobom nic nie daie komiczności — wszystko u tych uprzywileiowanych istot iest szlachetnem, one są bohaterami. one robią intrygę, a dopiero *les accessoires* są komiczne, dopiero przyboczne osoby śmiech wzbudzaią, a pośród nayżywszey komiczności, naywiększych żartów i śmieszności wznosi się zawsze coś szlachetnego i poważnego, coś z takiem ukształtowanego talentem, że otaczaiąca płaskość i śmieszność skazić go nie może« (29 września 1828 r.).

Rok szkolny zdawał się iść spokojnym trybem w uniwersytecie. W listopadzie 1828 r. zaszedł jednak fakt niemiły, w którym i Zygmunt Krasiński ubocznie odegrał pewną rolę. Dnia 14 listopada, na wykładzie historyi prof. Bentkowskiego, ktoś wśród słuchaczów rozmową wykładającemu przeszkadzał. Zdawało się Bentkowskiemu, że to Ludwik Wołowski i po wykładzie ostro go za to skarcił, pomimo, że ten zapewniał go o swej niewinności. Gdy Bentkowski w ostrym tonie nakazywał Wołowskiemu milczenie, inni uczniowie »zaczęli okazywać swoje nieukontentowanie«. Rzekł im Bentkowski: »Panów razem przestrzegam, że takie gburowskie postępowanie hańbi uczniów uniwersytetu«. Na lekcyi następnej 17 listopada obrażeni uczniowie »wytupali« Bentkowskiego. Pierwotna kara surowa złagodzona

została w ten sposób, że główni winowajcy: Ludwik Wołowski i Leon Łubieński skazani zostali na cztery dni aresztu (zamiast relegacyi na 2 lata), następujący zaś uczniowie otrzymali dwa dni aresztu (zamiast cichej relegacyi na rok jeden), przyczem porządek osób jest tu wskazówką większej winy: *Zygmunt Krasiński*, Mieczysław Potocki, Dominik Magnuszewski, Julian Dąmbski, Konstanty Danielewicz, Aleksander Miączyński. Zygmunt Krasiński zatem wiedzie rej w kategoryi uczniów, skazanych na dwudniowy areszt. Można sobie wystawić, co się działo w pobliskim pałacu na wiadomość, że syn jenerała ma spędzić noc w kozie. Ile to znieść musiał biedny Zygmunt ostrych przymówek od babki, ile surowych wyrzutów od ojca! A jak unikać musiał wzroku pani Załuskiej! Z karceru uniwersyteckiego pisał skruszony młodzieniec do ojca kilka listów na bibulastym papierze. Widać, że to krótkie więzienie upokorzyło go niemało:

»Kochany Papo!

Pod samym strychem siedzę w ciepłym pokoiku, wiatr zimny naokoło mnie, naprzeciwko okna wieże św. Krzyża się czernią. Piszę i czytam. Teraz iadłem kolacyę, niezadługo położę się spać — niech Papa pewnym będzie, że drugi raz coś podobnego mnie nie spotka. Niech mi Papa przebaczy moie przewinienia. A ia przyrzekam uroczyście, że święcie dotrzymam słowa danego. Zygmunt Krasiński.«

Źle zaczęty rok szkolny nie wesoło się zapowiadał. I w uniwersytecie i w mieście nie mówiono o niczem innem, tylko o Sądzie Sejmowym, o wyroku uniewinniającym, o gniewie Mikołaja i korespondencyi

jego z Radą Administracyjną Królestwa Polskiego (grudzień 1828 r.). To wszystko, o czem zaraz szczegółowiej pomówimy, trzymało w naprężeniu miasto całe. Zygmunt Krasiński smutny był przez całą tę zimę, jakby w przeczuciu decydujących w życiu jego wypadków. 11 stycznia 1829 r. pisał do nieobecnego w Warszawie ojca: »...Bardzo smutno w domu bez Papy, wieczory u Babuli długie, dnie w pokoiu także długie, wszystko idzie niezmiennie, posępnie, czas się toczy poważnie, powoli, tak jak postylion saski. Monotonia, rozerwana tylko świstem wichrów, lub brzękiem srebra, którym stół nakrywają, wielowładnie panuie; ogień nawet wolniey zdaie się palić na kominku. A do tego czas zimny, niebo *pochmurne*, zasłane pościelą zimy dachy i bruki, wiatr ostry...«

Młody autor interesował się też żywo, czy najnowszy utwór jego znajdzie łaskę w oczach rodzica: »Jeśli Papa rzucił okiem wśród podróży i ważnieyszych zatrudnień na *Zbigniewa*, zapewnie nie podoba mu się charakter Mestwina, ale musiałem go tak zbrodniczym wydać, żeby Zbigniewa uszlachetnić, bo ten i ten występny, ale pierwszy w zamiarach i czynach, drugi tylko w czynach«. (Tenże list).

Kiedy tak uczeń uniwersytetu warszawskiego ogłaszał »Grób Rodziny Reichstalów«, a przygotowywał do druku »Zbigniewa«, utwory przepojone ideą zemsty, tymczasem naokoło niego atmosfera polityczna stawała się coraz więcej duszną i parną. Zanosiło się coraz widoczniej na burzę, w której pobudki zemsty i odwetu miały odegrać piorunującą rolę.

V.

Sąd sejmowy.

Ostatnie lata panowania Aleksandra I zaznaczyły się w Królestwie szeregiem faktów, dowodzących, że ufność narodu do króla ustąpiła miejsca podejrzliwości obustronnej. Konstytucya była zredagowana niedokładnie i dawała pole do nieporozumień, stawianych nieraz bardzo ostro. W Sejmie wytworzyła się opozycya, kierowana przez braci Niemojewskich z Kaliskiego, stąd partyą Kaliską zwana. Była ona poniekąd echem mów Benjamina Constant i jenerała Foy; nie liczyła się z arcytrudnem położeniem Królestwa. Była niewczesną, choć zrozumiałą wobec szaleństw w. ks. Konstantego. Aleksander I nie chciał żadnej parlamentarnej opozycyi uznawać; w myśli jego, sejm miał być wyrazem p o t r z e b i ż y c z e ń kraju, do *krytyki* rządu nie miał się mięszać. Były to pierwsze kwasy, które niebawem miały zatruć życie konstytucyjne Królestwa.

Od r. 1820 mnożą się w Europie objawy wzmożenia się absolutyzmu z jednej i krecia robota stowarzyszeń tajnych z drugiej strony. Szereg faktów wpły-

nął zniechęcająco i zastraszył Aleksandra I: zamordowanie Kotzebue'go, ajenta rosyjskiego w Niemczech, księcia de Berry we Francyi (1820 r.), wreszcie powstania w Neapolu i Hiszpanii. Zjazdy monarsze w Opawie (listop. 1820), w Weronie (1821) i Lublanie uchwaliły zasadę zbrojnej interwencyi w razie wybuchnięcia rewolucyi gdziekolwiekbądź w Europie. Rozpoczęto prześladować związki uniwersyteckie młodzieży, w Niemczech naprzód; w Wilnie doprowadza Nowosilcow do aresztowania Filaretów i do ustąpienia Ad. Czartoryskiego z kuratoryi wileńskiej. W Aleksandra I wmawiają, że hydra rewolucyjna korzysta z jego liberalnych zarządzeń.

Na dobitek stan finansowy Królestwa, które odziedziczyło po Księstwie Warszawskiem niemoc ekonomiczną, doszedł w r. 1821 do tego, że skarb począł zalegać w wypłatach, od 2 miesięcy nie dawał płacy urzędnikom publicznym, na żołd dla wojska nie miał dostatecznej gotówki. Nowy minister skarbu, książę Lubecki, odwołał się do patryotyzmu, wykazując, że finansowe kłopoty Królestwa mogą i polityczny byt tegoż skompromitować. Rozpoczął się ucisk fiskalny. Lubecki w środkach nie przebierał, ale bądź co bądź skarb wypełnił. Założono wówczas Tow. kredytowe ziemskie i Bank Polski.

Niekonstytucyjne rządy, gwałty Konstantego, wpłynęły na tworzenie się tajnych towarzystw patryotycznych, którym dodawały bodźca moralnego nastrój rewolucyjny Włoch i Hiszpanii ówczesnej, tudzież ogólne niezadowolenie z wyników kongresu wiedeńskiego; były to jakby ostatnie fale rozbudzonych

i zawiedzionych przez Napoleona nadziei, dążących *quand même* do jakiegoś urzeczywistnienia wielkich pragnień swobody.

Od r. 1819 istniało na polskiej ziemi wolne mularstwo narodowe. Na rozkaz Aleksandra I wszystkie loże w Królestwie zamknięto. Wtedy wielki mistrz lóż utworzył tajemny związek Węglarzy polskich. Po wstąpieniu do tego związku jenerała Umińskiego i pułkownika Prądzyńskiego (1821 r.), po naradach utworzono 3 maja t. r. powszechne narodowe Towarzystwo patryotyczne. Związek ten, podzielony na 7 prowincyj, rozwijał się energicznie. W r. 1822 dochodziła liczba związkowych do 5000. Do związku wcisnął się ajent policyjny Karski i wydał główne osoby związku. Zyc i Dzwonkowski odebrali sobie życie w więzieniu. Łukasiński nie wyjawił związku. Cichowski męczarnie zniósł, uwiecznione w opowiadaniu Adolfa w III części Dziadów. Po daremnem 2-letniem śledztwie oddano Łukasińskiego, Dobrogojskiego, Dobrzyckiego, Koszuckiego, Machnickiego i Szredera, wbrew ustawie urzędowej, pod nadzwyczajny sąd wojenny, którego prezesem był jenerał Hauke, minister wojny. Wyrok wykonano 1 października 1824 r. na placu Krasińskich; skazanych zakuto w kajdany i odesłano do twierdzy w Zamościu.

Towarzystwo patryotyczne przycichło, ale nie zamarło, owszem wzrosło do 8000 członków. Na czele stanęli teraz podpułkownik Krzyżanowski, Jędrzej Plichta i Wojciech Grzymała. Tymczasem Łukasiński chciał się wyrwać z twierdzy przy pomocy współwięźniów. Zamach na straż nie udał się. Katowany

pod pałkami zaczął Łukasiński niejedno zeznawać, co zaraz odwoływał.

Po śmierci Aleksandra I wybuchło powstanie dekabrystów 1825 r. w Petersburgu. Śledztwo z Pestlem, Bestużewem i Murawiewem wykryło związek sprzysiężenia rosyjskiego z Towarzystwem patryotycznem polskiem. Zeznania spiskowców rosyjskich potwierdziły to, co wymęczono pałkami na Łukasińskim. W styczniu i lutym 1826 r. uwięziono mnóstwo osób w Królestwie i ziemiach zabranych. Po ukończeniu śledztwa z Łukasińskim i innymi chodziło o to, kto ma sądzić? W. ks. Konstanty i Nowosilcow byli za sądem wojennym, ale Lubecki, bardzo już wpływowy w rządzie Królestwa i w Petersburgu, umiał przekonać króla Mikołaja, że w tej sprawie powinien wydać wyrok tylko sąd sejmowy (§ 142 konst.). Mikołaj zwołał w kwietniu 1827 r. sąd sejmowy przeciw Sew. Krzyżanowskiemu, Stan. Sołtykowi, Majewskiemu, ks. Dembkowi, St. Zabłockiemu, Wojc. Grzymale, And. Plichcie i Romanowi Załuskiemu, oskarżonym o zbrodnię stanu. Prezesem sądu zamianował król Piotra Bielińskiego.

Opinia publiczna była po stronie więźniów stanu. Senat polski miał zadecydować, czy było zbrodnią stanu myśleć o odbudowaniu całej ojczyzny. »Na podstawie nowo przeprowadzonego śledztwa uznał sąd sejmowy, mimo przeciwnego zdania prokuratora, że oskarżonym, którzy opierając się na oświadczeniach Aleksandra I, nieraz ponawianych, pragnęli połączenia ziem polskich, a żadnym czynem gwałtownym nie zamanifestowali życzenia swego, nie

można zarzucać zbrodni stanu według określenia zawartego w ustawie karnej co do tej zbrodni, i że jedyną winą, w jaką popadli rzeczywiście, jest nieodkrycie spisku rosyjskiego', o którym wiedział Krzyżanowski i inni. W braku więc dowodów prawnych uwolnił ich od zarzutu zbrodni stanu, a za nieodkrycie spisku rosyjskiego skazał Krzyżanowskiego na 6 lat, innych na 3—2 lata więzienia, Sołtyka, Zabłockiego i Załuskiego uwolnił całkowicie. Wyrok zapadł jednomyślnie — tylko jenerał Krasiński, w myśl wniosku prokuratora, głosował za karą śmierci«.

Wyrok sądu sejmowego dogodził najserdeczniejszym pragnieniom narodu polskiego, ale rozjątrzył w. ks. Konstantego, obruszył do żywego Mikołaja. Publiczność warszawska na rękach niemal nosiła sędziów senatorów, Mikołaj I zaś twierdził w liście własnoręcznym do w. ks. Konstantego, że prezes sądu, senator Bieliński, uchybił obowiązkom względem króla i ojczyzny i sam powinien być oskarżony o zbrodnię stanu. Stosownie do przedstawień w. ks. Konstantego, nadesłał król Mikołaj zapytanie do Rady Administracyjnej, »czy wyrok sądu sejmowego przypisać należy mylnym wyobrażeniom o naturze zbrodni stanu, czy też chęci podniecania najwystępniejszych zamiarów?« Ministrowie polscy radzili przez dwa miesiące nad tem, co odpowiedzieć na takie zapytanie? Rada Administracyjna, zestawiwszy mniemania wszystkich ministrów, przełożyła królowi (10 grudnia 1828 r.) w formie urzędowej ich zdanie zbiorowe, przypisujące wyrok sądu sejmowego ułó-

mności ustawy karnej, obowiązującej w Królestwie, a nie złej woli senatorów. Był to zręczny wybieg Lubeckiego, który wprawdzie ocalił jego własną sytuacyę w Petersburgu, ale Mikołaja I nie przejednał. Senatorowie pozostali aż do zatwierdzenia wyroku pod dozorem policyi w Warszawie. Mikołaj I zatwierdził wreszcie wyrok, ale rozkazał rządowi Królestwa, aby wszystkim senatorom sądu, *z wyjątkiem jen. Krasińskiego,* oświadczył niezadowolenie monarchy. Proces Towarzystwa patryotycznego zakończył się pozornem zwycięstwem opinii publicznej Królestwa, ale w zasadzie przesądził on już stosunek narodu do Mikołaja. Rewolucya była tylko kwestyą czasu i to niezbyt długiego.

Jenerał Krasiński nie taił swych zapatrywań. Zanim jeszcze rozpoczął sąd sejmowy swe czynności, Wincenty Krasiński wypowiedział otwarcie swe zdanie. Kaj. Koźmian przechował nam ważne pod tym względem szczegóły. Na jakimś obiedzie rozprawiano »o trudnem położeniu przyszłego sejmowego sądu, powołanego do potępienia tego, co każdy dobry Polak w sercu nosi i doczekać sobie życzy«. Krasiński ze zwykłą sobie otwartością, a może i nieostrożnością rozprawiając, nie taił trudnego położenia. »Ubolewam — rzekł — nad nierozwagą i zaślepieniem tych, co się dali wciągnąć w spisek rosyjski przeciw cesarzowi Aleksandrowi, lecz nie taję mego przekonania, że komu z nich dowiedzionem będzie należenie do spisku, mam go za zbrodniarza stanu, bo naraził na zgubę to, co mamy, i czego, jako ciało konstytucyjne, to jest senat, obrońcami od wszelkich zama-

chów jesteśmy, a jeżeli mam za zdrajców stanu cywilnych, podwójnie uważam za takich wojskowych, jak np. Krzyżanowskiego, który zgwałcił przysięgę rycerską i wierność chorągwi, pod którą służy«.

Na to Niemcewicz z oburzeniem rzekł: »Więc życzenie niepodległej Polski, jako Polak, uważasz za zbrodnię stanu? Nie pojmuję tego patryotyzmu, który dotąd wyznawałeś«. — »Nie *życzenie* potępiam, które sam, jako dobry Polak, w sercu noszę, lecz kuszenie się nierozważne o dopięcie tego życzenia, niepodobnego w tej chwili do uiszczenia, a przez to zgubnego i równie występnego przeciw Polsce dziś istniejącej, jak przeciw władzy, której zaprzysięgliśmy wiarę«. — »Więc oskarżonych potępisz w sądzie sejmowym?« — »Nie wiem, pójdę za mojem przekonaniem, według dowiedzionej lub niedowiedzionej winy«.

Po skończonym obiedzie wyszedł Niemcewicz rozgniewany, mówiąc do Kaj. Koźmiana: »Odtąd noga moja w jego domu nie postoi i rozumiem, że każdy prawy człowiek to samo zrobi«. — Niemcewicz był wielką powagą w ówczesnej opinii. Zdania jego o Krasińskim zaczęły krążyć po Warszawie, wielu zaprzestało bywać u jenerała. Zmiennym jest ogół. Popularnemu do niedawna jenerałowi śmiano nawet zarzucać, że zdradzał przed w. ks. Konstantym tok obradowania sądowego. (Powodem pogłosek był fakt, że jako komendant gwardyi codzień musiał się stawiać po rozkazy, a niedość przezorny Krasiński złą wybrał do tego porę, bo po każdej sesyi senatu do

w. ks. Konstantego spieszył). Kaj. Koźmian zapewnia na podstawie zeznań brata swego, biskupa kaliskiego i arcyb. Woronicza, że jenerał Krasiński »zachował się (w czasie sądu sejmowego) z umiarkowaniem, że skłonniejszy był znaleść oskarżonych niewinnymi, niż karać surowo winnych«.

Dlaczego zatem, sam jeden z senatorów, za karą śmierci głosował? — Bo tak mu dyktowało wewnętrzne, silne przekonanie. Z rozmowy jego z Niemcewiczem widocznem było, że nie da się uwieść podszeptom serca, ale wypełni konsekwentnie wymagania rozumu i wojskowego honoru. Wyjaśniając Niemcewiczowi swój punkt zapatrywania, położył jenerał Krasiński dwukrotnie nacisk na doniosłość przysięgi: »Krzyżanowski zgwałcił przysięgę rycerską i wierność chorągwi«, a dalej: »władzy zaprzysięgliśmy wiarę«. Kto, jak on, wiernie wytrwał przy boku Napoleona, póki go sam cesarz Francuzów z przysięgi wierności nie zwolnił, ten świeżej przysięgi na wierność Królowi Mikołajowi lekceważyć nie mógł. Tu jest klucz do zrozumienia i głosu jenerała w sądzie sejmowym 1828 r. i postąpienia jego w rewolucyi listopadowej.

Ogół odwrócił się wówczas od niego i za renegata poczytał. Dziś wiemy, że niesłusznie, że jenerał Krasiński głosował za skazaniem członków Towarzystwa patryotycznego z całkiem zrozumiałych pobudek, które sam najlepiej określił, mówiąc do Niemcewicza: »Nie życzenie potępiam, ale kuszenie się nierozważne o dopięcie tego życzenia...«

Dziś, kiedy mamy poza sobą bolesne doświadcze-

nia lat 1831 i 1863, kiedy niema u nas już żadnego poważnego, politycznego stronnictwa, któreby śmiało otwarcie, czy skrycie do zbrojnego wzywać powstania — dzisiaj spokojnie już możemy ocenić pobudki działania Wincentego Krasińskiego, możemy oddać mu sprawiedliwość i powiedzieć, że dał wówczas rzadki u nas przykład hartu duszy i obywatelskiej odwagi, kiedy śmiało poświęcić chciał jednostki dla ratowania bytu narodu. A historya polska przez usta jednego ze swych mistrzów dała już świadectwo prawdzie. Kalinka, który bystro przejrzał i ocenił warunki ówczesne, mówi tak o członkach Towarzystwa patryotycznego, których działalność narażała byt Królestwa Polskiego:

»Bóg w swem niewyczerpanem miłosierdziu podawał nam drabinę, po której trzeba było tylko cierpliwie wstępować ze szczebla na szczebel, aby bezpiecznie wyjść na sam szczyt. I czy to wszystko było tak małą korzyścią, aby się godziło ją niszczyć? ażali ci, co te korzyści na szwank wystawiali, byli względem narodu niewinni? Jakież prawo mieli odbierać Polsce to, co miała, a czego zastąpić jej nie byli zdolni? kto ich upoważnił do wyrzeczenia, że już zbliża się czas do ostatecznej o śmierć lub życie rozprawy? Że byli między nimi ludzie szlachetni, pełni zapału i miłości ojczyzny, któż temu przeczy? ale odkądże to wolno dla indywiduów, którzy zresztą własną lekkomyślnością ściągnęli na siebie karę, poświęcać kraj? Że kobiece serce mogło się tutaj zawahać, to pojmujemy; ale mąż stanu, ale senator

powinien, kiedy potrzeba, gwałt zadać uczuciu, pilnować zasady«.

Taksamo *myślał* zapewne niejeden z senatorów Królestwa Polskiego w r. 1828; tak *zrobił* tylko jeden z nich: Wincenty Krasiński. Rozumiemy dziś dobrze pobudki szlachetne tych, co pragnęli rodaków, dążących do niepodległości ojczyzny, oswobodzić; chciejmy także zrozumieć i wniknąć w pobudki działania tego, który wbrew żądzy popularności, tak łatwej przecie do zadowolenia, wyżej nad dobro jednostek stawiał szczęście przyszłych pokoleń.

VI.

Zajście w Uniwersytecie.

Co się działo tymczasem w duszy i w sercu szesnastoletniego młodzieńca? Czy zdawał on sobie jasno sprawę z położenia, w jakiem się ojciec jego znalazł? Trzeba przypuścić, że zrazu nie. Najbliżsi koledzy szkolni i przyjaciele, Gaszyński lub Danielewicz, ci mu z pewnością nie powtarzali krzywdzących pogłosek o jenerale, nim jeszcze wyrok sądu sejmowego zapadł. Ale po wyroku? Gdy Warszawa cała niemal na rękach sędziów nosiła, co uniewinnili, a przynajmniej od śmierci uratowali członków Towarzystwa patryotycznego, czy wtedy mógł on nie wiedzieć, że tylko ojciec jego za karą śmierci głosował? A jeśli wiedział? jakiż nawał sprzecznych uczuć wstrząsnął nim całym! Jakież noce bezsenne, różne od tych, rozmarzonych rojeniami serca i rojeniami literackiemi, spędzał teraz, aby znaleść odpowiedź na pytanie: dlaczego ojciec nie tak głosował, jak inni, jakby serce polskie pragnęło? Dlaczego nie bywa już u nas stary Niemcewicz, dlaczego tylu innych przestało bywać? Co się stało? Czyż ojciec nie ten

sam, napoleoński żołnierz, co za Polskę krew przelewał?

Pytania te rojem natrętnym cisnęły się do młodej duszy i nie dawały spokoju. Ojca badać nie śmiał, z przyjaciółmi mówić o ojcu nie chciał, a drugiego Kalinki przy sobie nie miał...

Ale miały nadejść gorsze dla niego chwile. Dnia 6 marca 1829 r. umarł senator wojewoda Piotr Bieliński, prezes sądu sejmowego. »Stolica przygotowała się na uczczenie zasług jego w hołdzie pogrzebowym. Nie chcąc w nim dozwolić udziału młodzieży szkolnej (pamiętano zapał, jaki była przy pogrzebie Staszica objawiła), władza uniwersytecka z wyższego polecenia ogłosiła nakaz, aby w dniu obrzędu wszyscy bez wyjątku uczniowie znajdowali się na prelekcyach«.

Niepotrzebny zakaz rozdrażnił tylko młodzież akademicką; wszyscy studenci uniwersytetu związali się słowem, że na pogrzeb Bielińskiego pójdą. »Jenerał Krasiński zażądał p o d o b n o od syna przyrzeczenia (mówię *podobno*, bo zawsze syn temu zaprzeczał), że się okaże powolnym rozporządzeniu zwierzchności uniwersyteckiej«. W Pamiętnikach swych A. E. Koźmian w innych słowach rzecz przedstawia: »ojciec zakazał znajdować się na pogrzebie Bielińskiego, a r a c z e j (?) żądał niepotrzebnie, aby w tym razie posłuszeństwem woli ojcowskiej udowodnił swoją miłość synowską«. Pierwszy raz znalazł się Zygmunt w położeniu bez wyjścia — albo raczej z wyjściem bolesnem dla młodej duszy, kochającej Polskę i ojca, a zmuszonej w tym dniu wybierać między powszech-

nym aktem patryotycznym, a niezłomną wolą ojca. »Wyobraź sobie — mówi A. E. Koźmian — że masz wybierać śmierć ojca lub matki, syna lub córki, a pojmiesz męczarnie tych, których los stawia między sprzecznemi targaniami sumienia«. Zygmunt Krasiński z rozpaczą w duszy uległ rozkazowi ojca, w dniu pogrzebu Bielińskiego, dnia 13 marca 1829 r., znalazł się sam jeden ze studentów w gmachu uniwersyteckim i jeden jedyny słuchał wykładu prawa polskiego, od którego mógł był przecie zwolnić jedynego słuchacza prof. Bandtke.

Koledzy Zygmunta Krasińskiego dowiedzieli się o tem i na drugi dzień, dnia 14 marca, przed i po prelekcyi Osińskiego, obrzucili go gorzkiemi wyrzutami, »mieniąc go niegodnym swojej kompanii«. Niedawny przyjaciel jego, Leon Łubieński, znieważył go najdotkliwiej, obdarł mu znaki akademickie z kołnierza. Małego wzrostu, mizerny, wątły Zygmunt byłby uległ brutalnej przemocy, gdyby nie pomoc i obrona wiernego druha Konst. Gaszyńskiego; raz jeszcze przyszło do podobnie przykrej sceny w uniwersytecie. Obronił Zygmunta wówczas drugi przyjaciel, Konstanty Danielewicz.

Takich chwil nie zapomina się na resztę życia, chociażby się było najpospolitszym ze śmiertelników, a cóż dopiero gdy się ma wrażliwą duszę przyszłego poety.

Rozpacz, wściekłość, żądza odwetu musiały trząść nim, jak wichry jesienne wątłem drzewkiem. Jeszcze po latach wielu, gdy inne cięższe, zmartwienia pierś mu gniotły, odzywała się ta pierwsza, serdeczna

blizna; w *Niedokończonym poemacie* mówi młodzieniec do Aligiera (Danielewicza):

»Ot, widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówieników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane schody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny... Nieprawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach. Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! krzyczą: »panicz! panicz!« jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół — za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał...

»Krzyknąłeś — oni odpadli odemnie, jak liście suche odpadli odemnie...

»Tak, czuję jeszcze twój uścisk. Słyszę jeszcze głos twój: »oni niesprawiedliwi. Ty bądź więcej, niż sprawiedliwy — przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach«. — Potem zeszliśmy razem, a tyś przechodząc wśród nich spokojnym czasem powtarzał głosem: »hańba wam!«

Być więcej, niż sprawiedliwym, jak doradzał Danielewicz, trudno było, jak trudno! rozdrażnionemu młodzieńcowi. A przecież przełamał się i kolegom przebaczyć potrafił. W tydzień po głównem zajściu

miał miejsce następujący fakt, który podajemy tu według urzędowego raportu inspektora Carré do inspektora jeneralnego przy uniwersytecie warszawskim. (Na ważniejsze ustępy zwracamy uwagę drukiem rozstrzelonym:)

»Gdy dziś uczeń Zygmunt Krasiński wszedł do auditorium, gdzie od 5—6 literatura polska przez W-o profesora Brodzińskiego wykładaną być miała, dało się słyszeć po lewej stronie małe szurgotanie nogami, które ustało, jak tylko tenże uczeń, poprosiwszy o głos, z niemałym zapałem do obecnych uczniów w te się odezwał słowa: »oskarżony jestem, jakobym miał powiedzieć, że mąż, który niedawno pochowanym został, nie wart jest szacunku. Ponieważ tego przed nikim nie powiedziałem, że nawet o tem nie myślałem, ogłaszam za fałsz i potwarz, co tylko w tej mierze kto powiedzieć może; gdy twierdzą, żem miał któremu z kolegów oświadczyć, niechaj występuje ten, który miał to odemnie słyszeć. Niechaj występuje! Dlaczego nikt się nie odzywa?! Gdzie jest?! Co mam z tego wnosić, zdaje się, że więcej nie potrzebuję dla przekonania, że na mnie potwarz rzucona jest. Byłem wprawdzie z tej przyczyny od kolegów znieważony, lecz im to z serca daruję, nie oskarżyłem ich i nie oskarżę«. Jak skończył te słowa, wszedł W. Brodziński do audytoryum. Prelekcya była wykładana w przykładnej spokojności. Ledwie opuścił salę, występuje uczeń Leon Łubieński i zapewnia wszystkim słowem honoru, że to jemu powiedział Zygmunt Krasiński, gdy

szli razem na prelekcyę finansów. Tu dopiero wszczęła się żywa kłótnia między jednym i drugim. Nareszcie po długich sprzeczkach Zygmunt Krasiński wyzwał formalnie Leona Łubieńskiego na pojedynek, nazywając go kłamcą i potwarcą. Wtem WBrodziński, któremu podinspektor Rosiński dał znać, powrócił do auditorium. Uwiadomiony od podpisanego o wszystkiem, wzywał uczniów, aby do przybycia JWRektora zatrzymali się w audytoryum. Dopiero zabrał głos, gdy doniósł mu bedel, że JWRektora w domu niema. Tyle dokazał prośbami, uwagami i znaną wymową, iż do podania sobie przyjacielskiej ręki obydwie strony nakłonił z wielkiem ukontentowaniem obecnych audytorów, którzy przez niejaki czas jednomyślnie wołali: »zgoda, zgoda, niechaj wszystko będzie zapomniane!« Gdy to się stało, spokojność ledwie nie była przerwana przez krzyki jakiejś cudzej młodej osoby (Gurowski), której kazano wyjść z audytoryum. Zaraz po skończeniu prelekcyi chciał inspektor wydziałowy wszystko ustnie W-u Inspektorowi Jeneralnemu opowiedzieć, lecz nie zastawszy go w domu, ma za obowiązek uskutecznienia tego na piśmie.

Dan w Warszawie 20 marca 1829 r.

Honoryusz Carré«.

Napróżno Brodziński pogodził pozornie dwóch młodzieńców. Krzywda, Krasińskiemu wyrządzona, była zbyt ciężką. Łubieńskiemu nie przebaczył on ani wtenczas, ani nawet po latach, gdy go ten o przebaczenie błagał. Rada uniwersytecka skazała obu na

»ciche oddalenie z uniwersytetu« (relegacyą) dnia 24 marca 1829 r.

Zajście to w uniwersytecie starło przedwcześnie złudzenia i rojenia młodzieńcze; zaszczepiło w duchowym organizmie Zygmunta, z natury już po matce do smutku skłonnym, jakiś zarodek goryczy, którą przesiąkną wszystkie jego, nieliczne w życiu radości. »Kto wie, mówi współczesny A. E. Koźmian, czy ta godzina uniwersytecka nie była dla Z. Krasińskiego tą chwilą, która nadała całemu życiu jego kierunek i właściwy charakter jego uczuciom syna i Polaka. On sam wyraził tę myśl w tym wierszu, w którym rzekł, że

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały."

A stary Kaj. Koźmian, który patrzał w długiem swem życiu na niejedną nikczemność ludzką, zapisał na starość w Pamiętniku swym (III, 319) te ostre i prawdziwe słowa: »Wielu z zapalonych śmiałków, którzy pierwsi ręce wznieśli dla znieważenia Zygmunta Krasińskiego, dziś posiada intratne urzędy, u obecnej władzy jest w znaczeniu, kiedy przeciwnie Zygmunt Krasiński, już dziś mąż dojrzały, trawi życie jak męczennik najszlachetniejszch uczuć, dowodząc ciągle, czem był już podówczas i jakie zasady prawdziwej miłości ojczyzny, w domu rodzicielskim nabyte, w duszę jego wrosły...«

Jenerał Krasiński mógł być z syna zadowolony; dał on »próbę kochania«, ale ojciec zrozumiał teraz,

że syna w Warszawie dłużej zatrzymać znaczyłoby to narażać go na ciągłe obelgi rówieśników. Wykształcenie rozpoczęte, a tak fatalnie przerwane, musiało gdzieś znaleść ciąg dalszy. Pora było namyśleć się, co zrobić.

Tymczasem Zygmunt miał przymusowe wakacye już od końca marca 1829 r. Można być pewnym, że całą wiosnę, lato i jesień tego roku spędził pracowicie w Warszawie i Opinogórze; w książkach szukał nietylko rozrywki, ale ukojenia w ciężkim smutku. Pisał dalej drobne powiastki historyczne na wzór Walter-Scota, wykończał swego *Zbignieva*. Wprawdzie i powiastki te (Mściwy Karzeł i Masław, Zamek Wilczki) i powieść historyczną o Władysławie Hermanie ogłosi Zygmunt Krasiński dopiero w roku następnym, ale powstały one z wszelką pewnością w Warszawie i Opinogórze przed wyjazdem jego za granicę i noszą współczesne, charakterystyczne znamiona. Zanim młodociany ich autor Polskę opuści, rozpatrzmy się dokładniej w literackim jego dorobku z okresu warszawskiego.

VII.

Twórczość okresu warszawskiego.

Namiętne rozczytywanie się w powieściach i poezyach, zwłaszcza zamiłowanie w utworach Walter-Scotta, zwróciło wcześnie fantazyę, niemal dziecinną jeszcze, ku przeszłości dziejowej polskiej. Zależało przedewszystkiem na uświetnieniu stron rodzinnych, dziedzicznej Opinogóry, równin mazowieckich, Ciechanowa, ruin książęcego zamku, wznoszących się nad szeroko rozlewającą Lidynią — tych wszystkich miejsc, które w dzieciństwie swem i pacholęcem wieku przebiegał tylekroć Zygmunt Krasiński.

Umysł jego badawczy częste sobie zadawał pytanie: »skąd nazwisko *Opinogóra*?« Nie mogąc nigdzie znaleść »początku lub powodu takiego imienia«, puścił wodze dziecinnej fantazyi; skoro historya nie dawała mu objaśnienia zagadki, sięgnął do przedhistorycznej epoki, do czasów pogańskich, kiedy to »horda słowiańska«, nie znająca jeszcze chrześciaństwa, »zamieszkiwała płaszczyzny, a Opin, *pan trzech pagórków,* władał nad nimi«. Tak powstała błaha co do treści historyjka »Pan Trzech Pagórków«, uświe-

tnienie Opinogóry, złożone w hołdzie jej dziedzicowi d. 6 kwietnia 1828 r. Nie tyle się tu dziwić temu, co słabe, jak raczej temu, co już dobre i dobrze wyrażone. Zadziwia chęć dobrania archeologicznego tła (»srebrna Dziedzilia«, Marzanna, Poświst, dalej nazwy słowiańskie głównych figur opowiadania). Znamienną cechą będzie odrazu zamiłowanie w krwawych, mściwych i okrutnych postaciach. Opin jest dziecinnie przerażający; jest to jakiś cyklop, druzgocący na prawo i lewo bez potrzeby: »maczuga Opina siała rzeź i — rany(!) — miecz ciężki druzgotał głowy wrogów... mógł być Lwem — wolał zostać Tygrysem«(!).

Wstęp i koniec, to jakby ramki, obejmujące właściwy obrazek Pana Trzech Pagórków. Kiedy dziś historya Opina nic już nas nie obchodzi, te ramki, te osobiste zwierzenia i wspomnienia zachowały swą wartość; rzeczowo i formalnie są najlepszą cząstką na wpół dziecinnego utworu.

Komuś, co pierwszy raz widzi ciechanowskie łąki i mokradła, wyda się okolica ta najzwyklejszą w świecie; dla niego drogi tam najmniejszy krzaczek. »Ledwie, że każdego kwiatka nie pamiętam«. Czem dla Mickiewicza w dzieciństwie były ruiny baszt nowogrodzkich, tem dla podrastającego Zygmunta Krasińskiego stały się »ciechanowskiego zamku ostatki«. Dawały oparcie rojeniom o »dzielnych rycerzach«, »hożych dziewicach«, mostach zwodzonych itd. Ale rozmarzony przeszłością student uniwersytetu boleśnie odczuwał współczesny stan swej ojczyzny. Sąd sejmowy wisiał jak miecz Damoklesa nad głowami wszystkich. To też nawet do tej nie-

winnej powiastki o fantastycznym Opinie mięszają się gorzkie rozmyślania o dzisiejszym stanie, »obecnych nieszczęściach«. Już tu się znaczy gorąca miłość rodzinnej ziemi: »Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o zczerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dźwięczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. Ręka, która je ujmowała, spoczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wije się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrzenki łzami, zdają się płakać nad zbiegłemi laty, nad dzielnemi pany. Codzień kamień odpada, codzień część wieży runie na ziemię; nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują, a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zardzewiałej broni. Dumałem ja w tym zamku, zmęczony biegiem, kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypominałem sobie dzieje ojczyzny. Wiatr czasem przerwał milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypomniał obecne nieszczęścia. Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mię nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy. Promienie pochodni niebios zlewały się na mnie i, żałobnym światłem oblewając ostatki dawnej chwały, trącały o leżące kamienie, o wijące się rośliny, a kiedy natrafiały na ułamki miecza lub zbroi, w promienistych rozlewając się strumieniach, zdawały się radować, że na niewolniczej ziemi spotkały ślady dawnej wolności«.

Już z listów trzynastoletniego Zygmunta z Podola przebijało żywe poczucie wdzięków nałury, wyrażone tam jeszcze nieudolnie. Częstsze obcowanie z przyrodą wydaje po latach trzech obrazki o barwach pełniejszych, bezpośrednich: »Cały dzień goniłem za lisami i zającami, nie zważając na schylające się ku zachodowi słońce. Właśnie już teraz ostatnie światła promienie złociły iglastych sosen wierzchołki i szczyty poważnych dębów; ptaki rozliczne ostatnim śpiewem modlitwę wieczorną wznosiły do Boga; gdzieniegdzie liść zaszeleściał pod lotną stopą zwierza, wracającego do nocnego łożyska, czasem kraska lub różnobarwna sójka przeleciała nad głową i, pociągnąwszy dalej, siadła na jakiem drzewie — tam oblana promieniami słońca, zdawała się unosić po falach złotego potopu. — Wietrzyk raz, nizkie poruszając krzewy, igrał z każdym liściem i kwiatem, drugi raz, okręcając się na około stuletnich lasu olbrzymów, nachylał ich gałęzie na wszystkie strony. — Czasem też zupełna panowała cisza«. — Zwracają w końcu uwagę naszą pierwsze wiersze, w których klasyczny tok Niemcewicza łamie się w końcowych strofkach (8 i 9). Znać tam już powiew Mickiewiczowskiej »Ody do Młodości«.

Pomimo licznych, przeważających stron słabych »Pana Trzech Pagórków«, pomimo naturalnego całkiem rozmiłowania się w okropnościach drugorzędnego romantyzmu i krzywych rysów nieudolnej jeszcze ręki, pierwszy ten datowany utwór Zygm. Krasińskiego ma

pewne cechy charakterystyczne, które w historyi jego ducha należało tu uwydatnić.

Ważniejszym bez porównania jest drugi utwór młodziutkiego autora: Grób Rodziny Reichstalów. Jest to pierwsza, dziecinna prawie w swych usterkach, próba ujęcia dłuższego opowiadania w zaokrągloną całość. Przy ocenie tej powiastki ciągle mimowoli ma się na myśli późniejszego autora arcydzieł i dla tego nie jest się dość dla niej sprawiedliwym. Są tam dzieciństwa — nie przeczę. Ale jest kilka rysów śmiałych, zadziwiających u 15-letniego młodzieniaszka; jeśli nie ma tam jeszcze pazurów lwa, to są już pierwsze przebłyski upodobań, zamiłowań, które z czasem stężeją i urosną do charakterystycznych objawów z epoki »Nieboskiej« i »Irydiona«.

»Grób rodziny Reichstalów« ma tytuł o tyle niewłaściwy, że z grobem tym opowieść sama nie wiele ma do czynienia. Grób jest fantastyczną dekoracyą, w której się chłopiec genialny rozmiłował zgodnie z nastrojem drugorzędnego romantyzmu, pełnego trumien, strachów, upiorów, lochów podziemnych i t. p.

Właściwa fabuła: miłość Wallensteina do Minny Reichstal, przymus dziewicy, córki astrologa Reichstala, do małżeństwa z wstrętnym jej Wallensteinem, otrucie się Minny, wreszcie pomszczenie tej śmierci przez brata Minny, ostatniego z Reichstalów, który po kilkunastu latach w przebraniu jako Leslie Wallensteina zabija — ta fabuła dziecinną nie jest. Sam pomysł nie byłby się zrodził w byle jakiej szesna-

stoletniej głowie; wykonanie było słabe, siły zawiodły młodziutkiego autora, który szedł tu za hasłem: »Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił«.

Wykonaniu przeszkodziła przedewszystkiem zbyt jeszcze dziecinna wyobraźnia, lubująca się w dekoracyach fantastycznych, oświetleniu niezwykłem ludzi i zdarzeń, wyobraźnia dobierająca umyślnie czarnych lub jaskrawych barw, byle osięgnąć natychmiastowy, brutalny efekt: (lejący deszcz, opis pokoju astrologa, mowa Wallensteina, powrót astrologa ze Wschodu do »Egry«, grób Reichstalów, charakterystyka Leslie'a i t. d.).

Charakterystyki są powierzchowne, dotyczące ubiorów raczej, niż duszy. Ale pobudki działania są trafnie, po ludzku odczute, chociaż nie dość po literacku rozwinięte. Astrolog Reichstal zmusza córkę do poślubienia Wallensteina, bo sam uwielbia znakomitego wojownika, a co ważniejsza: gwiazdy wróżą mu wielką przyszłość. Minna Reichstal nie cierpi Wallensteina. Dlaczego?

Uważa się to za kardynalny błąd »Grobu«: »nieokreślony i niewytłómaczony miłością ku innemu wstręt Minny ku Wallensteinowi, wstręt tak wielki, że przełamanie jego (?) jest powodem jej śmierci, wydaje się błędem powieści«. Jak gdyby antypatya do Wallensteina musiała być koniecznie wywołaną miłością dla »innego« — jak gdyby nie mogła mieć źródła w szlachetniejszych, moralnych pobudkach! Minna jest niezwykłą dziewicą. Krasiński pisze może za wiele o jej licach, włosach, wstążkach i przepaskach, za mało o niej samej; ale wśród drobnych,

zewnętrznych szczegółów umieszcza przecież taki rys charakterystyczny: »zadziwiłby się każdy widząc, że dzieło czytane przez osiemnastoletnią dziewicę było rozprawą o śmierci, niedawno wydaną przez pewnego protestanta i dowodzącą, że nie jest zbrodnią zginąć z własnej ręki, żeby uniknąć hańby lub nieszczęścia«. Dla bacznego czytelnika, pomnego, że jest to powieść z dziejów wojny trzydziestoletniej, rozgrywającej się na tle kontrastów religijnych i katolicyzmu — ten fakt, że Minna zaczytana w książce protestanta, nie cierpi wroga protestantów Wallensteina, może dać nieco do myślenia.

W ogóle, w rodzinie Reichstalów religia odgrywa ciekawą rolę. Astrolog Reichstal w »pustyniach Arabii« poślubił niegdyś »muzułmankę« Fatymę. Przyjmuje ona w Eger chrzest wraz z dziećmi. Ale w gruncie duszy Fatma pozostała wierną wierze swych ojców. Przed samą śmiercią, »w ostatniem jej westchnieniu usłyszano słabo wymówione słowa: »Bóg jest jeden a Mahomet jego prorok«. Minna odziedziczyła po matce pewną miękkość wschodnią. »Urodziła się Minna z pięknemi przymioty, z sercem czułem na męki innych, ale jej dusza nie miała tej mocy, której trzeba na poświęcenie się wiecznym cierpieniom i boleściom, żeby ratować i zapewnić szczęście drugim. Przekonała się z czynów i słów Wallensteina, że sercu jego prawdziwa miłość niedostępną była. Że jedna w nich tylko władała duma i pycha, niczem nie powstrzymana... A pędzić życie z takim człowiekiem zdawało jej się,

że to jest zamienić złudzenia i błogie chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła«. Jest zatem powód antypatyi do egoisty, pysznego Wallensteina dostatecznie zaznaczony, choć nie dość rozwinięty.

Ciekawszym i z wielu względów ważniejszym dla nas jest charakter brata Minny, Alana Reichstal. — Z początku powieści mało o nim słyszymy. Występuje w rozdziale IV jako kapitan z pułku Lichtensteina, młodzieniec butny i energiczny. Nic nie wie o »niebezpieczeństwie« grożącem siostrze, o przymuszonym jej ślubie z Wallensteinem; przybiega za późno, aby obronić siostrę, która już w rozpaczy trucizny zażyła. Postanawia się zemścić na Wallensteinie, tę zemstę przekazuje mu Minna krótko przed zgonem.

Rozdział VI jest najciekawszy, bo maluje dobrze, jak na 16-letniego pisarza, gorączkowy stan brata, pragnącego pomścić przedwczesny zgon siostry. Szatan ukazuje się Alanowi, który zawiera układ z nim o duszę swą i »własną śmierć, mającą nastąpić zaraz po śmierci Wallensteina«. Przed zwłokami matki i siostry Alan wygłasza przysięgę zemsty okrutnej, pogańskiej, jak na wnuka Fatymy przystało:

»Całe moje życie, wszystkie chwile poświęcę zemście nad Wallensteinem. Ścigać go będę, krok w krok za nim postępować... Miałem piękny zawód przed sobą. Ale ja go teraz zamienię na zawód krwi i rzezi, pomsty i śmierci... i t. d.

Cierpliwie, po nieudanym pojedynku z Wallensteinem, czeka Alan lat piętnaście na spełnienie przy-

sięgi. Dokonywa jej jako Leslie, pod obcem nazwiskiem, w przebraniu godnem Wallenroda i pod maską, bardzo Wallenroda przypominającą: »Wpadał czasem Leslie w czarną posępność. Wtenczas nienawidził świat i ludzi... Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice... głuchy był na wesołe pienia, na uniesienia radości...

(Minstrelów hymny i piękności względy
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Na krasne lica spoglądał z daleka,
Od czarującej rozmowy ucieka).

On także, tak jak Wallenrod, »daleko od ojczyzny w rozpaczy młode strawił lata«, byle kiedyś dogodzić zemście. »Mnie nic prócz zemsty nie wzrusza, wre ona w mojem sercu«.

Tak zatem mamy w grobie Reichstalów do czynienia z tragicznym konfliktem woli ojca z wolą dziecka (Astrologa i Minny); z konfliktu tego rodzi się idea zemsty, która wypełnia resztę utworu. Jestto charakterystyczne dla przyszłego twórcy Irydyona, który już tutaj na lat niemal 10 przed wydaniem swego arcydzieła wprowadza bohatyra poświęcającego zbawienie swej duszy dla dogodzenia namiętności zemsty, wprowadza szatana, zawierającego układ na wieczność. Alan mówi szatanowi: mnie Wallenstein, a tobie ma dusza. Kiedyś wykrzyknie do Massyniszy Irydyon: »Mnie Rzym, tobie duszę moją!«

Prof. J. B. Antoniewicz, który trafnie dostrzegł tej zarodkowej komórki zemsty, co przeniesiona

z powiastki o trzydziestoletniej wojnie na ruiny Rzymu wystrzeli bujnem drzewem pod włoskiem niebem, scharakteryzował też doskonale Grób Reichstalów: »Estetycznego i stylistycznego sądu ta powiastka nie znosi, ale to pewnem, że pisząc ją Krasiński czuł i rozumiał więcej, niż wiedział i mógł«.

Utwór to, zrodzony w bujnej imaginacyi studenta pod wpływem rozczytywania się w historyi wojny 30-letniej, z niewielu śladami Walter Scotta, które pozostawiła po sobie »Narzeczona z Lamermoor« zwłaszcza w scenie podpisania aktu ślubnego. Nagłówki rozdziałów noszą wyjątki liczne z Mickiewicza, a mianowicie strofki ze Świtezianki, zdania z Sonetów, Grażyny, IV. cz. Dziadów, nadto cytaty z Szekspira, Lamartina, wreszcie z Trembeckiego.

Już samo zestawienie nazwisk dowodzi w 16-letnim chłopcu wielkiego, a zarazem gorączkowo bezładnego oczytania.

Gdyby wreszcie mnie zapytano, czy jest tam w Grobie Reichstalów jakaś iskierka talentu, czy w pospolitej rudzie szarej opowieści błyszczy przecież tu i ówdzie jakiś atom szlachetnego kruszcu — odrzekłbym, że tak, że to, co jest wzięte z bezpośredniej obserwacyi natury, lub z opowiadań starszych jest naturalne, naiwne, świeże. Znać, że dziecko wzrastało w sferze wojskowo-ziemiańskiej. (Np. ustępy z rozdziału IV. t. IV. str. 44—46. Poczucie piękności natury jest żywe, acz nieudolne porównania świadczą jeszcze o młodziutkiej, niewprawnej, ręce (str. 35 »Ustała burza...«)

Stylistyczne usterki są raczej wynikiem niewykoń-

czenia, niż nieumiejętności. Dodajmy zaraz, że Dmochowski jako redaktor mógł niejedno wygładzić i poprawić. Autografu nie znamy. Co pozwala się domyślać poprawek obcej ręki, to pewna nierówność stylu. Dyalog zdradza 16-letniego autora, ale opisy i charakterystyki są nieraz bez zarzutu, czasem wprost ładne. Na przykład ten ustęp z młodości astrologa: »Gwiazdy są skazówkami mego życia, rzekł do siebie i t. d. (IV. 39).

Próbowano odszukać źródło literackie »Grobu«, ale dotychczasowe poszukiwania nie wydały pomyślnego wyniku. Prof. Antoniewicz próbował bezskutecznie dowieść wpływu Schillera (dramatu: Historyi Wojny) wreszcie radził szukać źródeł »Grobu w powiastkach Walter-Scotta, a gdyby i to zawiodło, przeszukać »niemieckich naśladowcow Walter-Scotta«. Zdaje mi się, że ta ostatnia »peryferya« wpływów jest stanowczo u Krasińskiego wykluczona, Mamy w »Grobie« do czynienia z przeróżnymi mott'ami z Mickiewicza, Lamartina, Szekspira, nawet z jakiegoś Bezimiennego, którym może był sam Krasiński; ale nigdzie niema śladu żadnego van der Felde, Tschokkego lub Rochlitza. Cała sfera umysłowa, w której się obracał młodziutki autor Grobu Reichstalów wyklucza z góry bezpośrednie *niemieckie* wpływy (t. j. nie za pośrednictwem przekładu francuskiego lub polskiego).

Natomiast wpływ Walter-Scott'a da się stwierdzić, choć nie w tej mierze, by tytuł »Grobu« jako powieści oryginalnej mógł ulec zaprzeczeniu.

Wykazał p. M. Reiter wpływ widoczny jednego ustępu »Narzeczonej z Lamermoor« — ktoś inny wykaże nam może jeszcze wpływ jakiegoś opisu lub niezwykłego zdarzenia z innej powieści Walter-Scota. — Ale pomysł całości »Grobu Reichstalów« zbyt jest naiwny, by musiał być koniecznie skądsiś zapożyczony.

Ogólny rzut oka na »Grób R. Reichstalów« wykazuje zamiłowanie w nadzwyczajności, w niezwykłych scenach (trup Fatymy zakonserwowany, Alan wydziera po zabiciu Wallensteina »z drżących piersi bijące jeszcze serce« bohatera, i t. p.), w kreśleniu charakterów przeważa widoczna skłonność do wyzyskania konfliktów i starć między zaciętymi, nieustępującymi sobie postaciami. (Astrolog i Minna-Alan i Wallenstein.) Arystokratyczny wreszcie punkt widzenia przebija wyraźnie już teraz:

»Wallenstein chcąc pojąć córkę astrologa za żonę, nie zniżał się, bo ród Reichstalów świetniał zawsze blaskiem męstwa i sławy...

Bliższe rozpatrzenie młodocianego tego utworu wykazuje zatem obok przelotnych czynników, działających na wyobraźnię studenta, pewne rysy, delikatne jeszcze ale z biegiem lat mające się wyraźniej uwydatnić i nabrać cech stałego współczynnika twórczości.

Inne drobne utwory z lat 1828 — 1829 ukazują się w druku w ciągu 1830 roku, (kiedy Z. Krasiński bawi już za granicą), w czasopiśmie, którego współwydawcą był serdeczny przyjaciel K. Gaszyński.

Kolej ogłoszenia anonimowych powiastek Krasińskiego nie może jednak być dowodem chronologicznym pierwotności utworu. Niejeden rękopis mógł na wyjezdnem zostawić Krasiński Gaszyńskiemu, tem bardziej, że kiedy w połowie października 1829 r. Warszawę opuszczał, K. Gaszyński z pewnością o »Pamiętniku dla płci pięknej« mówił z przyjacielem, jako o przedsięwzięciu niedalekiem urzeczywistnienia.

Rozpatrzmy się w tych drobnych powiastkach.

Oto najpierw *Mściwy Karzeł i Masław Książę Mazowiecki,* Powieść narodowa. (Pam. dla p. p. I, 145 do 152, 191 — 198.) Układ, styl, pojęcia, dziecinne są i tak miejscami naiwne, że trzeba dać tej »powieści narodowej« miejsce tuż obok »Rodziny Reichstalów«, a może nawet przed nią jeszcze. Zarazem trzeba uprzedzić, że to nie jest ani »narodowa« ani historyczna powieść.

Krótki wątek opowiadania tak się przedstawia:

Już po ucieczce Ryxy z Polski, za czasów Masława »srogiego łupiezcy« żyje w swym zamku Joanna z Gozdawy (niedaleko Opinogóry), można i bogata pani. Po śmierci męża swego bardzo jest zajęta Masławem, który nie żywi dla niej zbyt przyjaznych uczuć. Joanna zaczyna go nudzić. »Czas by się pozbyć tej rozmiłowanej wdowy«. Masław pozuje na strasznego dziwomężа: »oczy krwią zaszłe, długa broda i wąs gęsty«. — Joanna przecież godna ze wszech miar tego człowieka. Zazdrosna o swoją dworkę Elżbietę, męczy ją różnemi sposobami. Kropla krwi męczonej dziewicy pada na śniadą twarz

Joanny. Po umyciu twarzy widzi Joanna, że miejsce krwią zwalane bieli się po starciu jak »śnieg na górach«. Ofiarą tego odkrycia pada biedna Elżbieta, zamordowana przez karła, oddanego całkiem Joannie. »Joanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją umyła«. Odtąd jaśniała urokiem białej twarzy, a ponieważ od czasu do czasu potrzeba było powtarzać krwawe kąpiele dla utrzymania białości lica, ginęły zatem dziewice »jedna po drugiej«. Z rozpoczęciem powieści ma właśnie zginąć Zbisława z Czernic (miejscowości w pobliżu Opinogóry) narzeczona Jordana z Bordan.

Karzeł ma już dość zbrodni, a skoro mu Joanna wzgardą płaci, postanawia uwiadomić Jordana o niebezpieczeństwie, grożącem jego narzeczonej. W chwili stanowczej ocala Jordan Zbisławę, idzie z nią na skargę do Masława, ucztującego u Joanny i wpada z deszczu pod rynnę, gdyż Masław dawno już pożądliwem okiem na Zbisławę spoglądał i teraz pragnie ją mieć przy swoim boku. Jordana wtrąca do więzienia a gdy Zbisława nim gardzi, każe Masław do słupów przysionka zamkowego przywiązać Joannę, Jordana, Zbisławę i Karła; puszcza wszystko z dymem. U stóp wzgórza Gozdawskiego przygląda się pożarowi Masław z orszakiem rycerzy, wreszcie jedzie ku pobliskiej wiosce na nocleg. »Czas by się przespać, jużeśmy długo biesiadowali, a dobre miała wino Joanna«. Na tem koniec.

Oczywiście dekoracya nie pozostawia także nic do życzenia i jest w zupełnej harmonii z treścią dziecinnie przerażającą: »Słońce już zaszło a czerwone

chmury zapowiadały straszliwą burzę, ciemność zalegała obszary«.

Niektóre uwagi poboczne miały dowodzić, że »mściwy karzeł« wcale dobrze jak na XI wiek, ćwiczony był w psychologii.

»Zazwyczaj — rzekł Karzeł — oczy wierniejszemi są od uszu, bo to co widzimy, więcej nas uderza nad odgłosy i poszepty ludzkie«.

Już ta uwaga przekonywa, że o kolorycie epoki nie może tu być mowy i skądże wreszcie miał się 16-letni chłopiec zdobyć na to, czemu nie podołają nawet w pół wieku potem powieściopisarze »historyczni«?...

On się po prostu ćwiczył w rysunku postaci i charakterów, w dyalogu i układzie, a wątku do tej powiastki dostarczyła wzmianka o zamku węgierskim Kseith, zamieszczona w Miscelaneach »Dziennika Warszawskiego« z r. 1826. Czternastoletni Krasiński wyczytał tam (tom VI, 75 — 77) następujący artykuł:

»W podróży opisowo malowniczej ponad brzegami Waagi przez barona Miedniańskiego, drukowanej w Pesth 1826 r. znajduje się następująca historyczna okoliczność. Zamek Kseith nad Waagą przedstawia teraz gruzy i zwaliska. Należał on kiedyś do Mathiasa Korwina i Maxymiliana II i dostał się Elżbiecie Batorównie, synowicy Stefana Batorego, króla polskiego, a żonie Franciszka Nadasdy. Księżniczka ta nadała nieszczęsną sławę temu zamkowi, w którym przez wiele lat dopuszczała się okrucieństwa, jakiego prawie dzieje nie wystawiają przykładu. Kazała ona wychowywać w swoim pałacu ubogie dziew-

częta, które uposażała i wydawała za mąż co rok w czasie niektórych okoliczności; ale karała gwałtownie i srogo najmniejsze uchybienia i zdawała się mieć upodobanie, poglądając na cierpienia tych niewinnych istot. Dnia jednego w szalonem uniesieniu uderzyła gwałtownie jedną z tych nieszczęśliwych tak, że krew bryznęła jej na twarz. Zbliżywszy się do zwierciadła dla otarcia twarzy, zdało się jej, że w miejscu skrwawionem ciało stało się bielsze, piękniejsze i świetlejsze. Wnet przychodzi jej na myśl, azaliż nie mogłaby się odmłodnić, we krwi ludzkiej się kąpiąc. Dwie stare służące i karzeł nadworny Fitzko pomagali jej w wykonaniu tak okropnego zamiaru. Młode dziewczęta znikały, jedna po drugiej, i, co zaledwie można pojąć, więcej niż 300 zostało zamordowanych dla kaprysu tej okrutnej niewiasty. Pewien młodzieniec, utraciwszy tym sposobem swoją narzeczoną, powziął podejrzenie, a rozrzuciwszy złoto, wydostał nawet szczątki nieszczęśliwej, którą opłakiwał. Zapalony gniewem, przejęty boleścią, leci do Presburga i napełnia całe miasto wyrzekaniem żałości i rozpaczy. Grzegorz Thurzo, kanclerz królestwa, widząc, że chodzi o znakomitą osobę, udał się sam na miejsce, zeszedł niespodzianie cztery potwory na gorącym uczynku, właśnie w tej chwili, gdy ofiara ostatniego oddawała ducha, opierając się pierwej nadaremnie swoim zabójcom.

Natychmiast uformowano proces, którego akta zostały wydrukowane dla zaspokojenia powszechnej ciekawości i oburzenia. Dwie owe kobiety skazano na ucięcie prawej ręki i głowy, karła na utratę ręki

i spalenie żywcem. Księżnę wtrącono do ciemnego więzienia w którem po trzech latach umarła, roku 1614«.

Nie będziemy znęcać się nad drobną powiastką Krasińskiego, przejętą, jak widzimy, bardzo wiernie z obcego źródła, pełną naiwności i niedokładności. Natomiast należy należy przypomnieć jeszcze raz tytuł dziwaczny, w którym na pierwszy plan wysunął młodziutki autor Karła z epitetem charakterystycznym a w jego pojęciu chlubnym: Mściwy Karzeł! Po mściwym Allanie Reichstalu mamy teraz mściwego Karła. I on także »przysiągł zemstę« i dokonywa jej wprawdzie kosztem niemałym, skoro i sam ginie i dwoje narzeczonych — wszystko mu niczem, na chwilę przed straszną śmiercią całopalenia »z dzikością« spogląda na Joannę z Gozdawy i urąga ofierze swej zemsty: »Jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! płeć jej od lilii bielsza! szkoda, że ją dym okopci!.. krwi trochę, krwi trochę...« Słusznie stwierdza p. M. Reiter na Mściwym Karle, że Krasiński w plastyce charakterów mściwych ćwiczył się od początku swego zawodu pisarskiego.

Oto inna powiastka p. n. *Zamek Wilczki.*

Jest to z porządku wydrukowania ostatni z utworów, pomieszczonych w »Pamiętniku dla płci pięknej« — ale dowody wewnętrzne przemawiają stanowczo za wczesnem, warszawskiem jego pochodzeniem. Temat swojski jest tu według szablonu obrobiony, ale trochę spokojniej podany, niż w »Reichstalach« lub »Mściwym Karle«. Treść „Wilczków«

nie jest znowu zmyślona, ale z historycznej opowieści wzięta. Znalazł ją Krasiński w wydawnictwie p. t. »Wanda« z r. 1825, gdzie na str. 199 — 200 mamy artykuł Milewskiego *Trębowla i jej okolice:*

»Obronny niegdyś zamek Wilczki, a dziś zupełnie spustoszały, dokoła oblewa rzeka Strypa. Jeden ze starostów Wilczków dostał się w niewolę turecką pod Chocimem: po dziesięciu latach powróciwszy do rodzinnego miejsca znalazł żonę swą już innemu poślubioną. Była to pani z domu Złotnickich, która straciwszy losem wojny męża, popadła w ciężką chorobę. Powziąwszy jednak wiadomość w kilka lat od powracających ziomków z niewoli tureckiej o śmierci męża swego, dała się nakłonić familii, zaślubiła rękę innemu. — Po dziesięciu latach starosta Wilczek w całej okolicy miany powszechnie za umarłego, wraca z niewoli w ubiorze pielgrzyma, wycieńczony długoletniemi cierpieniami, niepoznany od dworu i żony, przyjęty był w zamku z tą gościnnością, jaka zawsze znamionowała charakter Polaków. Dano wieczerzę; przy niej gdy opowiadać zaczął przygody swojej niewoli, najmłodszy syn jego 13 lat mający, temi słowy odezwał się: »Pielgrzymie, zwiedziłeś jak powiadasz Ziemię świętą, byłeś przez lat tyle w niewoli; o, gdybyś mógł uprosić u Boga, iżby tak jak i dzieciom twoim powrócił nam ojca, którego okrutni zabrali nieprzyjaciele«.

Wyrazy te obudziły silne uczucia miłości rodzicielskiej; nieszczęśliwy ojciec porwał z uniesieniem syna i zawołał! »Bóg ci go wraca, synu!..« lecz nie dokończywszy reszty słów z radości w objęciach sy-

nowskich skonał. Przytomni zostawszy w osłupieniu nadzwyczajnością tego zdarzenia, wkrótce odkryli straszną tajemnicę, lecz już było za późno; żadne bowiem środki lekarskie nie potrafiły go przywrócić do życia. Żona w rozpaczy udała się do pobliskiego klasztoru i tam w ślubach zakonnych resztę dni swoich dokonała. Całe zaś to zdarzenie w jednej z sal zamkowych dla uwiecznienia pamiątki odmalowanem zostało«.

Opowiadanie to wyzyskał szczegółowo Krasiński, rozszerzył reminiscencyami z »Narzeczonej z Lamermoor« i Kenilworth, a w charakterystyce głównej osoby, Henryka Wilczka, dał znowu folgę osobistym skłonnościom i nowemu dziecięciu swych rojeń pisarskich przekazał familijne rysy Alana i Mściwego Karła:

Henryk Wilczek był »uprzejmy dla innych, lecz ten który go obraził, darmoby szukał przebaczenia winy; krwią musiał ją przypłacić, a mściwy oręż Henryka umiał sobie zawsze utorować drogę do serca nieprzyjaciela ojczyzny lub osobistego wroga. Namiętności Wilczka wybuchały z żywością, kiedy iskra pożar wiecznie tlejący w sercu zapaliła«. Gdy umarł, jeszcze na twarzy jego »malowała się nienawiść, ostatnie uczucie, którem oddychał«.

Przed rozdziałem III. tej powiastki umieszcza Krasiński motto: »Zemsta jest rozkoszą bogów. — Stare przysłowie«.

Możnaby to stare przysłowie umieścić jako godło znamienne wszystkich trzech utworów młodocianych Krasińskiego. Reichstal, Mściwy Karzeł i Wilczek

dyszą żądzą odwetu, zemsty. Należy jednak zauważyć, że w Wilczku idea zemsty pojawia się pod koniec dopiero, jak *Deus ex machina*, aby ogniem bengalskim nadzwyczajności dodać uroku legendzie historycznej, która nic o zemście nie mówi, ale każe Wilczkowi umrzeć »z radości w objęciach synowskich«.

Przystępujemy teraz do najobszerniejszego utworu z czasów warszawskich, do owego »Zbigniewa«, o którym już słyszeliśmy, a który wychodzi dopiero w r. 1830 w trzech tomach p. t. Władysław Herman i jego dwór.

»Pod tym napisem — doniósł Pamiętnik dla płci pięknej« w zeszycie z d. 1. Maja 1830 r. (II. 135) — wyszła z drukarni przy Mazowieckiej ulicy w trzech tomach powieść historyczna, z dziejów narodowych XI wieku napisana. Sprzedaje się po główniejszych księgarniach i właściwych składach za cenę złp. 10«.

Krasiński był już wtedy od kilku miesięcy w Genewie i z niemałem zadowoleniem mógł w następnym zeszycie »Pamiętnika« wyczytać krótką, a bardzo pochlebną wzmiankę o swym utworze. Podał tu Gaszyński — boć on był zapewne autorem dwudziestokilkuwierszowej recenzyi — przedewszystkiem dokładniej tytuł utworu; dowiadujemy się przynajmniej o inicyałach autora: »przez N. K.« Sama recenzya nie mogła na nic przydać się autorowi, ani go w niczem pouczyć. Gaszyński chwali niemal wszystko, a gdzie się ośmieli coś wytknąć, zaraz sam osłabia wrażenie słów ostrzejszych, np. »obrazy silnie działające na umysł, a choć niekiedy za okropne,

przecież nigdy nie odstępujące od prawdy«; recenzent chwali trafność charakterów, a opis śmierci Mestwina, »zajmujący rozdział ostatni trzeciego tomu« nazywa »samą poezyą«.

Przecież nawet przyjaciel nie mógł przemilczeć, że w utworze tym Krasiński snuł tylko wątek Walterskotowskich pomysłów. »Jak w Kenilworcie Walterskota — mówi Gaszyński — przy Lejcestrze snuje się ciągle Warnej do wszystkich pociągający go występków, tak Mestwin, jakby duch złego, opanowawszy serce Zbigniewa, wiedzie go z zbrodni do zbrodni; aż nareszcie ocuca się Zbigniew nad samą przepaścią i poznawszy chytre namowy podłego sługi, własną ręką go karze«.

Jak widzimy, Gaszyński na lat 60 wyprzedził krytyków dzisiejszych i śmiało wskazał główne źródła natchnień Krasińskiego w tej dobie.

Treść utworu jest uboga i mogłaby się w trzech rozdziałach zawrzeć; młodzieńcza gadatliwość sprawiła, że mamy rzekomą powieść historyczną w trzech tomach, że zatem objętością jest Władysław Herman największem dziełem Krasińskiego, a treścią należy do najsłabszych.

Powieść właściwie mogłaby mieć (jakoż miała) tytuł: »Zbigniew« lub »Zbigniew i Mestwin« bo ci dwaj więcej działają tu i znaczą niż Władysław Herman i dwór jego.

Dorywczy syn Władysława Hermana, Zbigniew porywa Hannę z Ciechanowa, córkę Wszebora zacnego rycerza; na zamku swym potajemnie z nią ślub bierze. Wszebor i Mieczysław, syn Bolesława

Śmiałego, zakochany w Hannie, przetrząsają Księstwo całe, aby odszukać Hannę, a dowiedziawszy się w końcu, że Zbigniew ją w zamku swym ukrywa, oblegają zamek z znacznem wojskiem: krew bratnia z obu stron hojnie płynie.

Wprawdzie wystarczyłaby ojcu Hanny wiadomość prosta, że Zbigniew poślubił ją i że córka jego jest prawowitą żoną Zbigniewa: cóż kiedy Zbigniew należy do natur dziwnie upartych i o ślubie swym z Hanną nie mówi ani ojcu jej ani swemu ojcu, Władysławowi Hermanowi — nie mówi zaś dla tego, że wówczas nie byłoby racyi pisać *trzech* tomów, a Krasiński byłby musiał na krótkiej powiastce poprzestać. Już z tego widać, na jak kruchej podstawie opiera się długa i monotonna budowa owej »powieści historycznej«.

Jak w »Wilczkach« mamy *czarny charakter* uosobiony w rycerzu niemieckim von Glennaberg, który jest *spiritus movens* a zarazem złym duchem Jana ze Złotnik, tak i tu ma Zbigniew złego ducha przy sobie; jest nim także Niemiec, także rycerz. Mestwin, wcielenie zbrodni i szatańskich pomysłów. Rządzi on Zbigniewem jak kuglarz maryonetką i doprowadza go do steku okrucieństw i zbrodni.

Inne figury, występujące w powieści, pozbawione są wszelkich cech oryginalniejszych.

Krasiński nie zgubił wprawdzie nigdzie wątku opowiadania i utrzymał wszystkie postacie w pewnym, z góry obmyślanym nastroju — niestety, wyobraźnia jego siliła się naprożno o to, aby rzecz samą urozmaicić, a uwagę czytelnika do powieści przykuć.

Wszystkie osoby mówią tu do zbytku i prawie nigdy nagadać się nie mogą. W największym zgiełku bitwy rozprawiają jak przy garncu miodu pod lipą.

Kolorytu epoki Władysława Hermana niepodobna oczywiście wymagać od 17-letniego powieściopisarza. Dowiódł on niesłychanej, jak na młodziutki wiek, pamięci, posiłkując się stosownie i bez jaskrawego pogwałcenia prawdopodobieństwa historycznego przypomnieniami z Walterskota, który podał mu gotowy niejako formularz, schemat przeciętny średniowiecznych strojów, zwyczajów, nawet krajobrazów.

Obok Walterskota najważniejszym źródłem dla Krasińskiego była oczywiście *Historya narodu polskiego* przez Naruszewicza. »Stosunek Zbigniewa do ojca jest historycznie wierny. I w historyi i w romansie ma Władysław Herman szczególną słabość dla Zbigniewa, choć on był tylko jego synem, jak mówi historyk »dorywczym«. Nie zamilcza Krasiński tego faktu. Większego użytku atoli z tego motywu, który w historyi wielką rolę odegrał, Krasiński nie robi, prawdopodobnie dla »większej przystojności«. Że się Krasiński nie będzie krępować historycznymi faktami, było łatwem do przewidzenia. Jakoż zmienia dowolnie wiek i stosunki osób historycznych.

Pierwszy raz kusi się Krasiński w tej powieści o wprowadzenie postaci humorystycznej. Historycznie późniejszego Skarbimira, hetmana i pana Krakowskiego, zmienia na pana Gulczewa i Kościelca, robi z niego skąpca i tchórza. Postać to nieudana. Co się tyczy zależności od Kenilwortha Walterskota, już Gaszyński zwrócił na to uwagę; idąc za tą wska-

zówką doszedł prof. Antoniewicz do całego szeregu motywów analogicznych, nietylko z Kenilwortha przejętych, ale także ubocznie z »Purytanów« i »Ryszarda Lwie-serce«.

Obok Walterskotta i Naruszewicza wpłynęła także na Krasińskiego tragedya Niemcewicza p. t. »Zbigniew«. Z historyi nie mógł się niczego Krasiński dowiedzieć o małżeństwie Zbigniewa. Znalazł je w tragedyi Niemcewicza, który tak się usprawiedliwia: »Przydałem żonę Zbigniewowi, tkliwą, pełną słodyczy i rozsądku, by burzliwą męża zaciętość tem mocniej wystawić«. W osobach tragedyi wymienia Niemcewicz: »Dobrosława, żona Zbigniewa — potajemnie mu zaślubiona«. Niemcewicz odsyła wreszcie tych, co o prawdzie przytoczonych czynów przekonać się zechcą« do III. tomu Naruszewicza. — Wpływ tragedyi Niemcewicza w ogóle nie jest wielki: szczególnie Dobrosława podobna do Hanny.

Zasadnicze właściwości natury duchowej młodego autora i tutaj występują na jaw. Typów szlachetnych nie umie jeszcze nakreślić. Taki Mieczysław np. ma być przeciwstawieniem Zbigniewa, ale wygląda blado i niepozornie; podobnie Hanna, nadzwyczaj cnotliwa i zupełnie bierna, nie może w czytelniku obudzić sympatyi. Natomiast Mestwin i Zbigniew, jako »czarne charaktery« są widocznie ulubieńcami fantazyi Krasińskiego. Obaj są mściwi (Mestwin w nazwisku już zemstę przypomina) i nie przebierają w środkach, byle celu dopiąć.

Zbigniew ma jednak jakieś szlachetności przynajmniej odruchy, Mestwin jest prawie wcieleniem złego

Oto kilka próbek charakteru Mestwina: »Hanna moją będzie, albo też jeżeli odrzuci Mestwina, dozna jego zemsty, zemsty, której przykład zagrzmi w przyszłości, zemsty niewidzianej dotąd«. — Gdy Hanna ma zginąć od trucizny, ręką jego zadanej: »Kiwnął na grających w drugiej stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia przez muzyczne tony rozpierzchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w której miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak uroczą dlań była, nie wydał ani głosem ani twarzą żadnego wzruszenia...«

Ogólna charakterystyka z samego początku utworu ma nas przygotować na najstraszniejsze czyny Mestwina: »Było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się, że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych.

Charakter Zbigniewa: »krew żywiej po żyłach zawrzała, słodkie uczucia, zapełniające duszę ustąpiły gwałtownej żądzy zemsty«. Kiedy mu Mestwin opowiada plan »okropnej zemsty«, mającej zgubić Hannę i Mieczysława, Zbigniew »miotający wzrokiem na wszystkie strony, całemi piersiami zawołał:

»Gromadźcie się duchy zbrodni, uwieńczcie moje i mojego powiernika skronie. Wyzywam was do walk, odpowiedz szatanie! odpowiedz, czybyś zdołał powziąć taki zamiar lub przystać na podany sobie. Nie, nigdybyś takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej jak ja miłości...« i t. d. Porównać wreszcie trzeba końcową tyradę

Zbigniewa, streszczającą się w tych słowach: »Dla mnie świat zniknął, jedna została się z e m s t a«. W ostatnim pojedynku z Mestwinem, »ramię Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności, skupione w jednej chęci z e m s t y«.

Zemsta szaleje tu po prostu w tej trzytomowej powieści, szerzy spustoszenie i zbiera trupy. Nawet spokojny poniekąd, szlachetny, a Krasińskiemu widocznie sympatyczny bohater drugorzędny, Henryk z Kaniowa, przysięga z e m s t ę nad Mestwinem i dokonać jej pragnie aż do końca samej powieści, w czem go jednak wyręcza Zbigniew.

Nawet cień zabitego Mieczysława nie przebacza, lecz z drugiego świata wzywa Zbigniewa do pomsty.

»Mąż zbrojny okropnem wejrzeniem spoglądał z pod szyszaka, otworzył usta i wyrzekł: z e m s t a, z e m s t a. A mury długiem echem powtórzyły z e m s t a... Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: »Mestwin« i powtórzył: z e m s t a«.

Co się tyczy techniki pisarskiej, to przeważa konwencyonalny, walterskotowski i drugorzędnie romantyczny nastrój. (Władysław Herman na tronie: jest on królem L e c h i i, i podpisuje się na pergaminach znakiem krzyża, »bo nie było wtenczas zwyczajem, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu«).

Naiwne pojmowanie epoki zaznacza się w następujących szczegółach:

H e t m a n i w o j e w o d a Sieciech na rozkaz króla »ma uczynić p r z e g l ą d w s z y s t k i c h d o m ó w miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy

w srogiem więzieniu Hanna z Ciechanowa; hetman i wojewoda spełnia tu funkcye komisarza policyi.

Krajobrazy ponure kreśli Krasiński z upodobaniem (por. np. Ulrych wśród świstu wichrów i huku piorunów).

Biskup Stefan miał być w pojęciu autora postacią poważną; nieudolne wykonanie czyni z niego figurę niemal pocieszną, a w ruchach sztywną: Na widok samobójstwa Ulrycha »biskup wzdrygnął się i... podniósł oczy do nieba«.

Ten sposób pisania trwa niemal do końca samego *Władysława Hermana;* wszelako nie da się zaprzeczyć, że w miarę jak się zbliżamy do ostatnich rozdziałów, styl nabiera mocy i barwy.

Prof. Antoniewicz dostrzegł bystro tej wewnętrznej ewolucyi w układzie i charakterach postaci. Być może jednak, zawcześnie widzi tę zmianę już od połowy dzieła; a w każdym razie nie zauważył istotnej, psychologicznej przyczyny, która wywołała zmianę w sposobie pisania: »odmienne uczucie i odmienną myśl«. Przypuszcza prof. Antoniewicz, że ustępy, świadczące o pogłębieniu psychologicznem charakterów i krajobrazów powstały już w Szwajcaryi, na co niepodobna się zgodzić; nietylko, że milczy o tem zupełnie Z. Krasiński w swej drobiazgowej korespondencyi, ale zobaczymy niebawem, że nie miał on w Genewie całkiem czasu na takie poprawianie, że pochłonięty był wtedy całkiem innemi pracami.

Na zmianę uczuć wpłynęła nie Szwajcarya, tylko Warszawa i nie Byron, ale pogrzeb senatora Bie-

lińskiego ze wszystkiemi swemi bolesnemi następstwami.

Już po napisaniu Władysława Hermana zaskoczyła młodego autora owa rodzinna katastrofa, która mu kazała wybierać między opinią rodaków a miłością ojca, a gdy ojca wyprzeć się nie chciał, naraziła na zniewagę, obelgi kolegów i srom publiczny.

W takich chwilach dojrzewa bardzo prędko człowiek — a zatem i pisarz. Gdy po bolu serdecznym i mękach »piekielnych« przyszedł do siebie i spokój odzyskał, już on nie był tym samym, który kreślił spokojnie Władysława Hermana i dwór jego. Byłby może i powieści całkiem zaniechał, ale miał już jej pewnie dwa tomy, a moze i całość, plan był dawno opracowany, więc w dokończeniu a najprawdopodobniej w przerabianiu końca jej znalazł znękany umysł rozrywkę. Zamiast myśleć o sądzie sejmowym i o sądzie dorywczym kolegów, mógł na chwilę zapomnieć o swej biedzie i dokończyć losów Mestwina i Zbigniewa. Pisał dalej, poprawiał, uzupełniał, ale bezwiednie pisał już inaczej. Gdy dawniej rozum na chłodno kazał mu tworzyć obrazy, plątać intrygi i rozplątywać, teraz on sercem zranionem inaczej odczuwał rozpacz i mściwe drugich, choćby urojonych osób uczucia. »Piekło« jak sam mówi »zrodziło się w duszy dziecka« i przedwcześnie kazało dziecku dojrzeć na młodzieńca. To też inaczej będą ludzie czuć i mówić na początku, inaczej na końcu Władysława Hermana.

Któż w słowach tych Zbigniewa, zwróconych do do Henryka z Kaniowa w przedostatnim roz-

dziale »Władysława Hermana« nie odczuje własnych Zygmunta Krasińskiego uczuć:

»Ja płaczę za sławą... Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję. Mnie... odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie jak słońce na czystem niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdartem sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami... Stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, ani wstecz się cofnąć... Dla mnie świat zniknął... jedna została się zemsta...«

Tak pisał zbolały młodzieniec »zwiedziony od przyjaciela«, który istotnie pragnął spotkania się orężnego z Leonem Łubieńskim, a w dwa lata potem jeszcze w Genewie przebaczyć mu nie chciał.

»Władysław Herman« sam w sobie błahy, dawno już przez ogół zapomniany, przez mało kogo czytany — ma dziś tylko wartość dokumentu psychologicznego, ciekawy głównie z powodu owej widocznej pod koniec utworu ewolucyi ducha i stylu.

Ciekawy wreszcie jako zupełnie namacalny dowód niezwykłej pracowitości i energii pisarskiej, porywającej się już nie na powiastki, ale na »trzy tomy«.

Pośredni dowód olbrzymiego już w r. 1828 oczytania i siły wchłaniającej (resorpcyi literackiej) mamy w owych „*mottach*“, które zdobią niemal *ex offo* każdy rozdział Władysława Hermana. Jest w tem do pewnego stopnia kokieterya młodziutkiego pisarza,

popis lektury, istotnie olbrzymiej, ale nie każdy 17-letni młodzian potrafi wytoczyć taki arsenał cytatów (zachowywamy charakterystyczny ich porządek, lub raczej nieporządek):

Wallenrod, Władysław pod Warną (Niemcewicza) Wallenrod, Odyniec, Serbska Duma, Iliada 19 księga, Tymowski, Niemcewicza Śpiewy Historyczne, Felińskiego Barbara, Grażyna, Odyniec, Tomaszewskiego Jagiellonida, Szekspir (?), Odyniec, Walter Scott (Guy Mannering), Alfieri, jakaś Ballada szkocka, Mickiewicz, Byron, La Bruyère (str. 363 t. IV. ważne i charakterystyczne), Washington Irving, Byrona (Melodye hebrajskie), Dziady (IV. cz.), Hamlet.

Do zmyślonych »mottów« należą, zdaje się: stary romans (r. XI.), Piosnka gminna (r. XII.), Bezimienny (r. XIII.), Zbrodniarz (r. XIV.), Bezimienny (r XIX), r. XXI, Bezimienny r. XXII., r. XXXII.

Z przytoczonych nazwisk najciekawsze może jest Byrona, bo dowodzi, że Krasiński zaczyna zwolna smakować w namiętnym i pessymistycznie nastrojonym piewcy »Child-Harold'a«, a swemu Zbigniewowi każe pod koniec przemawiać tonem Manfreda. Nie mniej charakterystyczne dla nastroju umysłu są cytaty z Szekspira i Mickiewicza. Na tym szeregu *mottów* można wreszcie stwierdzić ponownie pewien przełom w usposobieniach literackich i smaku estetycznym: od Niemcewicza, Felińskiego i Tomaszewskiego, przechodzimy zwolna do Walter Scotta i Alfieriego, wreszcie do Byrona i Hamleta.

Postęp był stały i widoczny, a dla samego Krasińskiego już w dwa lata po wydaniu powieści tak

oczywisty, że w liście do przyjaciela, do tego samego samego Gaszyńskiego, co tak przychylnie trzytomową powieść »historyczną« witał, okrutny dla własnego utworu autor nie wahał się napisać: »Co do mego *Hermana* uważam go za *nikczemne dzieło*, za płód dzieciństwa, gdzie kilka iskierek ledwo że tleją wśród perzyny i g n o j u. (26. maja 1832 r.) — Zobaczymy z czasem, że Krasiński miał wówczas wszelkie prawo tak o powieści swej twierdzić.

Krytyczny rzut oka wstecz jest tylko świetnym dowodem, jak już daleko wtedy zostawił za sobą »*największy*« swój utwór z ery »fajkowej«.

S e n E l ż b i e t y P i l e c k i e j (Rozmaitości Warszawskie. D. 13 maja 1829).

Odkrycie tego anonimowego utworu i przysądzenie go Z. Krasińskiemu jest zasługą prof. Antoniewicza. Tak zestawienie niektórych zwrotów z ustępami *Wład. Hermana*, jak niemniej zupełna analogia zewnętrznej kompozycyi z późniejszymi drobnymi utworami — niepozwalają wątpić, że mamy tu istotnie do czynienia z młodzieńczym utworem Zygmunta Krasińskiego. Motta z Byrona i z Walter Scotta określają odrazu pokrewieństwa duchowe i wpływy literackie. Rozmarzenie pod wpływem miłości studenckiej dla starszej o lat ośm hrabiny Załuskiej zrodziło tę senną fantazyę. Tkanina faktów historycznych bardzo tu wiotka, niemal rozwiewna, właśnie jak na sen przystało.

Dzieje Elżbiety Pileckiej, którą jako wdowę po Granowskim pojął Władysław Jagiełło za żonę, są tu fantastycznie skreślone jako sen młodej Elżbiety.

Była to córka Ottona, wojewody sandomierskiego, który był generałem wielkopolskim za panowania Ludwika Węgierskiego. Na jedynaczkę Elżbietę spaść miały olbrzymie dobra wojewody Ottona. Wszyscy Toporczykowie, współherbowi Pileckich pilnowali bogatej dziedziczki. Zdobył jej serce i uwiózł ją za granicę jakiś rycerz morawski, Wisław; odbił mu ją drugi Morawianin Janczyk Hyczyński, zabił Wisława, Elżbietę poślubił. Owdowiawszy, wyszła zamąż za kasztelana nakielskiego, Wincentego z Granowa, który umarł na generalstwie wielkopolskim 1410 r. 2. Maja 1417 r. wyszła niezbyt już młoda Elżbieta Granowska za króla Władysława Jagiełłę. Bielski pisze w swej kronice; »Królowi niewiedzieć z czego się podobała, bo już stara była i wyschła od suchot; tak ludzie rozumieli, że go zczarowała, czem król bardzo się ohydził«. Dwa lata była królową, zmarła w r. 1419. »Nikt jej nie żałował — mówi Bielski, ani chodził po niej w żałobie, tylko sam król. — Pochowana w tej kaplicy, gdzie Stefan Król leży i gdy go chowano, wyjęto jej kości z trumny, po których znać jeszcze było, że ta białogłowa musiała subtelna być i cudna« — Tyle historya.

Do wyobraźni Krasińskiego przemówiła przedewszystkiem młodość Elżbiety Pileckiej i fakt wykradzenia jej przez rycerza z stron dalekich; zamiast historycznego Morawczyka mamy jakiegoś fantastycznego Archelda z Haldy. Ucieczka Archelda z Elżbietą nie udaje się: pogoń ojcowska ich dosięga, śmiały rycerz pada po bohaterskiej walce, a Elżbieta dostaje się wstrętnemu dla niej Granowskiemu. Po

jego śmierci (wszystko to śni się młodej Elżbiecie) Elżbieta marzy o koronacyi, a sen cały kończy się jak bajka: »i kochanka Archelda była królową Lechii«.

Przytoczmy przynajmniej początek sam »Snu«, aby dać próbę natchnienia i stylu:

»Marzenia i ułudy młodości gromadźcie się na około mnie. — Często niespokojnemu sercu przyszłość w promienistem okazujecie świetle. Innej teraz po was wymagam przysługi. Wróćcie mi przeszłość. Unieście mnie w odległe czasy, pomiędzy innych ludzi, ale zawsze na téj samej ziemi, na ziemi ojczystej, której zeschła garstka milsza jest duszy i oku niż połyskujące wszystkiemi tęczy farbami, kamienie na skroniach możnych. — -- — Niech moje pienia wyrwą ze snu śmierci śpiących w stalowych zbrojach rycerzy«. — Za lat kilka napisze: »dajcie mi przeszłość, zakutą w zbrojną stal«.

Na tym drobnym utworze dostrzegamy stanowczych zmian w sposobie tworzenia i pisania. To, co pod sam koniec Wład. Hermana zaledwie zaznaczyło się w uczuciach Zbigniewa, pewien nastrój rzewny, to rozbrzmiewa pełnym, elegijnym tonem w Śnie Elżbiety. Tu i ówdzie wraca jeszcze w opowiadaniu konwencyonalna formułka Wład. Hermana: tak np. mamy tu jeszcze »dziewice Lechii«, Elżbieta będzie królową Lechii. Spotykamy jeszcze nieodłączny szablon walterskotowski: »ciemne baszty, dumne wieże, grube mury, most zwodzony, żelazne po wszystkich pokojach kraty i strzelnice«, ale będą to jakby mimowolne przypomnienia, odruchy dotychczasowej maniery.

Natomiast, co jest stanowczo nowem, świeżem, młodem, jak ruń zielona na wiosnę, to poczucie żywe i bezpośrednie natury. Szare, bezbarwne opisy krajobrazu z »Wład. Hermana« znikają. Na ich miejsce wybijają się na sam przód opowieści kolory roślinne, barwy i tony powietrzne i wodne; wszystko to na razie przebujne, przebogate, splątane i aż rwące oczy, ale jaki w tem wszystkiem dowód życia, krwi silnie tętniącej, uczucia przepełniającego pierś młodzieńczą: »Szumiący potok wrzał pomiędzy spadzistemi opokami, zamglewając powietrze drobną pianką, której każda kropelka na błyszczącą zamieniała się tęczę, a nareszcie poważna Pilica tocząc kryształowe wody pośród ubarwionych wybrzeżów, zakończała srebrną wstęgą ogrody Ottona Sandomirskiego«.

Cały obraz natury w ustępie trzecim jest nawskróś uduchowiony. »Świat opuszczony od śmiertelnych władców przechodził pod opiekę niezrozumianych istot. Duchy, spływając na srebrnych chmurach, zastępowały miejsce słabych ludzi... Rozciągając z świetnych promieni uwite skrzydła, czuwały nad ziemią wolno w przestrzenie puszczoną, iskrę zapału wlewały w uśpionych bohaterów, lub przyszłych nieszczęść przeczuciami ostrzegały wolę, wystawioną na zamachy zbrodni«.

Rok upłynął od »Grobu Reichstalów«, a jakże olbrzymi postęp pod każdym względem! Język, tam jeszcze trwożliwie poprawny i możliwie bezbarwny, bezosobisty, tu już śmiały, pewny siebie, szczęśliwie wzbogacony neologizmami, ba, kreacyami Krasiń-

skiego: »o ż y w n e słońce (z Karpińskiego), *odzieleńcie* się gaje; nierozmyślne stopy; pod c i ę ż a r e m woni (!)«. Pojawiają się dobrze dobrane i barwne *epitety*.

U c z u c i a tam dziecinnie prawie wyrażone, nie przeżyte i przebolałe, ale z książek przejęte; tu nastrój, na którego oddanie pożyczyć trzeba słów od poety: oto miłość ogniem zionie — wyjdzie z zamętu ś w i a t d u c h a ! »Nie zwlekaj zaślubiona mi już sercem oblubienico! Nie zwlekaj! — Słowa młodzieńca przenikały aż do duszy Elżbiety, jak promienie wiosennego słońca do kielicha rozwiniętej róży...«

Ów L e i t m o t i v zemsty, który dotychczas tak przemożnie głuszył inne tony i wszechwładnie wybijał się nad nie, nie mógł oczywiście zniknąć odrazu bez śladu. Mamy go więc i w śnie Elżbiety, ale jakże jest złagodzony, by nie rzec wygładzony, do rzędu wizyj, hallucynacyj biednej Elżbiety zepchnięty. Kiedy na Granowskiego, ubielonego starości włosem, patrzała »nieszczęśliwa Elżbieta, zawsze obok widziała pokrwawionego Archelda, który wróciwszy z świata duchów, uśmiechał się jeszcze smętnie do oblubienicy, ale sztylet z e m s t y wzniesiony trzymał nad jej ciemięzcą«. — Otóż ten sztylet z e m s t y pozostaje tylko wzniesiony, jest naleciałością dawnych przywyknień, jest z tej samej fabryki, co sztylet Alana Reichstala, Henryka Wilczka, Mestwina, z tą różnicą, że tamte broczą się krwią ludzką, a ten jest dekoracyą, z pochwy nie wyjdzie i Granowski naturalną umrze śmiercią.

Charakterystyki osób są wprawdzie zawsze jeszcze trochę za ogólnikowe, ale przecież śmielsze w wyrażeniach, szczęśliwsze w doborze rysów znamiennych.

Oto Elżbieta: »Biała szata w lekkich fałdach obwijała wysmukłą kibić. Lica świeżością podobne były do różanego światła jutrzenki, mięszającego się do fal srebrnego strumienia. Rozwiane włosy, bursztynowemi pierścieniami pieściły się wietrzykiem, a ich barwa tak świetną była, jak gdyby igrający promień zaszłego słońca wmięszawszy się do nich i nie mogąc już z jedwabnych wydostać się splotów, w złotem po nich roztopił się świetle. Na czele godność i spokojność niebiańska się odbiła. W oczach tylko znać było ogień wyrażający zmienne dziewiczych piersi uczucia« itd. itd. To jest jedyna postać na jawie. Wszystkie inne są w widzeniu sennem Elżbiety. O tem należy pamiętać, aby sprawiedliwie ocenić pewną rozwiewność rysów Archelda, Granowskiego i Władysława Jagiełły. Widzenia marzącej dziewicy mają istotnie pewną mglistość obrazów sennych (ustęp 9), które udały się Krasińskiemu szczęśliwie.

* * *

Snem Elżbiety Pileckiej kończy się w sposób bardzo znamienny okres warszawski twórczości Z. Krasińskiego. Uczestniczyliśmy w ciekawej ewolucyi młodocianego umysłu.

Wychowany w sferze na pół jeszcze francuskiej, na pół napoleońskiej, zrazu całkiem wojskowej, wcześnie objawia Zygmunt Krasiński umiłowanie wszystkiego, co rycerskie, co przenosi myślą na pola bitew i chwały: wszak rodził się w 1812 roku, roku wojny, w ową pamiętną wiosnę, o której poeta mówi:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu.

Wychowanie domowe, tradycya najbliższa wspierały to zamiłowanie rzeczy i spraw rycerskich. Natura odmówiła warunków zasadniczych: był mały, wątły, był zresztą jedynakiem, o którego życie drżał ojciec. Żądza sławy, odznaczenia się, odziedziczona po jenerale, musiała innego szukać ujścia, nie w trudach wojskowych: znalazła je całkiem naturalnie w sławie pisarskiej, o której już dzieckiem Zygmunt Krasiński marzy. Dziecko widzi, jakiem poszanowaniem otacza ojciec ludzi niewojskowych, odznaczonych nie na polu bitew, ale na polu piśmiennictwa, walczących nie szablą, lecz piórem — i w umyśle dziecka, obok ideału »przeszłości, zakutej w zbrojną stal«, staje ideał pisarza, przodownika społeczeństwa, poety, zagrzewającego pieśnią do czynu. Błyszczący mundur wojskowego nęci go silnie, ale w czasie, gdy umysł dojrzewa wśród licznych nauk, któremi się ojciec na egzaminie 12-letniego syna popisze, Zygmunt widzi, z jakiem uszanowaniem ojciec stale przyjmuje u siebie literatów i poetów, takiego Niemcewicza, Osińskiego, K. Koźmiana, jen. Morawskiego, Lelewela, ba: Odyńca i Witwickiego — i młodziutki uczeń, męczony nawałem lekcyj z historyi, łaciny, geografii, matematyki i t. d., marzy przedewszystkiem o sławie pisarskiej, marzy o druku, tak jak dziewczę podlotek marzy o pierwszej długiej sukni.

Rojenia rycerskie i pisarskie schodzą się w jedno i wydają ustęp z wojny trzydziestoletniej: Grób Ro-

dziny Reichstalów, pełen urojonych nadzwyczajności. Pod koniec pisania wpada mu w ręce Wallenrod, wysławiany przez Odyńca, krytykowany przez uczestników obiadów ojcowskich — i do Grobu Reichstalów wchodzi przebrany Leslie-Alan, czekający 15 lat na zemsty spełnienie. Wallenrod szczepi w duszy dziecka-pisarza to, czemu sam wielkość swą i zgryzotę zawdzięcza, a czem wybuchnie przeciw wajdelotom:

Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsroższe trucizny:
Głupią chęć sławy i — miłość ojczyzny...
Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela,
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela...
Słuchałem pieśni, zanadto, niestety!...

Słuchał ich także chciwem uchem młody Zygmunt. Do rozgorączkowanej, rozpalonej nadmiernem oczytaniem wyobraźni, przemawiało przedewszystkiem to, co okropne, a jak mu się zdawało, tą okropnością męskie, rycerskie: zemsta wydawała mu się samą kwintesencyą wszelkiej intrygi, a najpierwszem zadaniem młodziutkiego pisarza, potrzebą niejako literacką stało się:

Aby krew mieszać w puhary wesela.

Powszechny zapał dla Walter-Scotta każe mu w powieściopisarzu angielskim szukać przedewszystkiem

natchnienia; w formie noweli historycznej umieszcza on treść zaczerpniętą z dziejów ojczystych. Naiwność pojmowania stosunków ludzkich i historycznych będzie stałem znamieniem tych pierwszych prób literackich, aż wreszcie pierwszy cios bolesny, tem boleśniejszy, że z ojcowskiej woli wszczęty, a ręką przyjaciela dokonany, nauczy go, co to życie i co to cierpienie. Dodajmy, że cios ten rani serce w chwili, gdy ono przepełnione jest pierwszą, studencką miłością, a zrozumiemy całą pełnię nowych, gwałtownych wzruszeń, które przyspieszą i bicie serca i rozwój ducha autora trzytomowej powieści. Już mu Walter-Scott nie wystarcza; już Hamlet jego powiernikiem i Gustaw z IV części Dziadów, a rozgoryczony niesprawiedliwem, niezasłużonem cierpieniem za winy niepopełnione, zacznie autor Snu Elżbiety Pileckiej smakować w chmurnym i zgorzkniałym Byronie; tworzy sobie nową formę dla nowej ducha swego treści.

Siła zdarzeń wydala go wówczas z Polski. Wyjeżdża 17-letnim młodzieńcem, chciwym wrażeń nowych, ale zawczasu tęskniącym po kraju rodzinnym, który kocha namiętnie. Opuszcza Polskę na pozór spokojną, rządzoną przez swoich, mającą własne swe wojsko, sejm i organizacyę wewnętrzną. Ach, gdyby mógł był przypuszczać, do jakiej Polski po trzech latach powróci!...

Po wakacyach r. 1829, spędzonych w Opinogórze, nastała pora wyjazdu. Jenerał zdecydował się wyprawić syna do Genewy. Charakter francuski tego miasta, dobrane i inteligentne tamtejsze towarzystwo,

rozgłos uczonych, jak de Candolle, Sismondi, Rossi, de Bonstetten i inni, piękne i zdrowe położenie — wszystkie te względy nakłoniły jenerała do tego, że wybrał dla syna Genewę.

W piękny dzień październikowy 1829 r. zajechał duży powóz z parą dzielnych koni przed pałac Krasińskich. Wyjeżdżał z kraju syn jenerała w towarzystwie starego, doświadczonego mentora, Jakubowskiego. Jenerał Krasiński, nie chcąc zapewne mieć świadków czułego z synem rozstania, odprowadził go aż do Błonia. Tu się pożegnali. Ojciec wyprawiał syna z błogosławieństwem, z przestrogami, które własnoręcznie spisał i dał na drogę. Rozstawali się na długo, na lata całe, to też łzy płynęły obficie. Starali się zapewne nie myśleć o dziwnych i bolesnych powodach tej koniecznej rozłąki. Ale przyszłość narodu stała już między nimi, niewidzialna, nieubłagana jak fatum.

Rozstanie było smutne w r. 1829; ale powitanie w r. 1832 miało być jeszcze cięższe i nad wszelki wyraz tragiczne.

KSIĘGA DRUGA.

ROK W GENEWIE.

(3 listopada 1829 — 3 listopada 1830).

Od samego wyjazdu z Warszawy tęskni Zygmunt Krasiński do stron rodzinnych. Daje wyraz uczuciom swym, pisząc zaraz nazajutrz po rozstaniu się z ojcem z Kalisza liczne listy: »do Babuli, do Girardego, do Wyleżyńskiego, do Danielewicza, Gaszyńskiego i Stasia Krasińskiego«. Jak na krótki popas, chyba dosyć listów naraz! Droga przez Śląsk była »nudna, powolna, błotnista«. Odpoczywali pół dnia w Wrocławiu, z czego korzysta zapalony do listów podróżnik i znowu sześć listów pisze do wyżej wymienionych osób. Na Glatz, Reinerz, Jaromierz i Königgrätz jechali do Pragi, gdzie stanęli późnym wieczorem 18 października. Zwiedził osobliwości stolicy Czech. Zwłaszcza widok z wieży katedralnej na całe miasto zachwycił go; autor Grobu Reichstalów patrzył z ciekawością na pałac Wallensteina i na Górę białą. Teatr praski wydał mu się gorszym od warszawskiego. Zwiedzanie Pragi nie przeszkodziło jednak napisaniu siedmiu listów (siódmy do X. Chiariniego). 21 października ruszyli z Pragi na Pilzno ku Bawaryi, która zrazu niezbyt się podobała Krasińskiemu. Zwiedziwszy Ratysbonę (Regensburg), piękniejszą jechali okolicą nad brzegami Dunaju na Neuburg i Augsburg, aż dotarli do granicy wirtemberskiej w Konstancyi. Tu wspomnienia Hussa na chwilę oderwały

myśl młodego podróżnika od tęsknoty za Polską. »Helwecka ziemia« zaraz za Konstancyą podobała mu się dla swej »czystości i piękności wsi i miasteczek«. Na Zurych i Bern, gdzie zachód słońca, oświecający Oberland, wywołał pierwsze zachwyty nad przyrodą szwajcarską i gdzie znowu sześć listów napisał, skierował się Krasiński ku Szwajcaryi. Przejeżdżając koło Morat (Murten) oglądał pole bitwy, słynnej klęską Karola Burgundzkiego (22 czerwca 1476), i z zachwytem opisywał ojcu męstwo górali. »Te wielkie wspomnienia wzruszyły moją duszę«.

2 listopada wyjechawszy z Moudon w kantonie wodejskim, ujrzał wreszcie Krasiński ze wzgórza wspaniały Leman, »nieprzejrzany obszar wody, ściśniony między dwoma pasmami gór«. Wrażenie było zbyt silne, aby mogło zaraz znaleść odpowiedni i godny siebie wyraz. Przytem »źle się wydają najpiękniejsze obrazy, kiedy łzy zaciemniają oczy, a serce pełne żałości woli o moralnych (!) myśleć uczuciach, niż gubić się w zapatrywaniu się na materyalne ogromy. Polska ze swoimi piaskami pod bardziej wabiącemi stawiała mi się farbami, niż góry szwajcarskie, i za jezioro Genewskie nie odstąpiłbym wspomnienia o stawie (!) opinogórskim«.

Tak więc tęsknota za ziemią rodzinną przysłania jeszcze czarną gazą najpiękniejsze widoki Szwajcaryi. Pierwsze wrażenie jeziora Genewskiego jest bardzo treściwie skreślone, ale nie oddaje tak dobrze piękności natury, jak np. późniejszy, spokojniejszy list do Gaszyńskiego. Między pierwszem wrażeniem a wykończonym obrazem upłynie czas, niezbędny na

spokojne przetrawienie i przyswojenie sobie tych nowych czynników twórczości.

3 listopada 1829 r. o godzinie 11 rano stanął Zygmunt Krasiński z mentorem swym Jakubowskim w Genewie. Zajechali do »oberży« pod Wagą (la Balance), poczem po południu już przewieźli się na zamówioną i przygotowaną pensyą staruszki wdowy, pani Rérilliod. Z. Krasiński nie był zadowolony ani z właścicielki pensyonatu i jej starych i brzydkich córek, ani z drożyzny genewskiej. Do najpierwszych znajomych Krasińskiego w Genewie należał stary Lombard, bankier i syn jego.

Nie tracąc czasu, Krasiński zaraz myśli o nauce; postanawia wziąć czterech metrów: angielskiego, francuskiego »t. j. do mowy dyplomatycznej francuskiej«, do fortepianu i do matematyki, »t. j. raczej do zrozumienia trochę taktyki wojskowej, co może zdać się, czytając dzieła«. Prosi także ojca, aby mu pozwolił uczyć się fechtunku »dla wzmocnienia ręki i ciała«. Z pokojów miał ładny widok na spacery genewskie i góry śniegiem okryte. Dzięki temu, że właścicielka pensyonatu spokrewniona była z pierwszemi rodzinami genewskiemi, wszedł Krasiński bardzo łatwo w tamtejsze towarzystwo. Już na trzeci dzień po przyjeździe złożył wizytę staremu Bonstettenowi, który z twarzy przypomniał mu Niemcewicza. Jak bacznie uważał na wszystko młodzieniec, można wnosić z tego, że odrazu ocenia Bonstettena i w liście do ojca notuje: »zdaje mi się daleko niższy rozumem (od Niemcewicza)«. Pierwszy wieczór u Lombarda nie zostawił mu zbyt przyjemnego wrażenia

z powodu niedyskretnych pytań genewczyków, czy to lub owo znanem jest w »Polszcze«. Natomiast ważnem jest, że na tym właśnie wieczorze, a zatem już 5 listopada 1829 r. poznał się Krasiński »z młodym Anglikiem, zwanym Mr. Reeve. Trudno go osądzić od pierwszego razu«. Będzie to niebawem najserdeczniejszy przyjaciel Zygmunta na cały szereg lat Reeve, uczęszczający już od roku na uniwersytet genewski, zapewne pierwsze mu dał informacye o wykładach i profesorach.

Krasiński nie był jeszcze 7 listopada zdecydowany, na jakie wykłady uczęszczać. »Nie wiem — pisze do ojca — na jakie kursa chodzić, bo niezmiernie wszystko powikłane w tutejszym uniwersytecie, który w rzeczy samej nie jest, i to przyznają sami Genewczycy, uniwersytetem«.

Pierwszą niedzielę (8 listopada) poświęcono na spacery w okolicach Genewy, które wydały się Krasińskiemu »prześliczne«. »Góry, doliny i jezioro są trzy pierwiastki, które rozmaicie się kombinując, najpiękniejsze tworzą widoki... Wody Lemanu mają sobie właściwy, niebieski, ciemny kolor. Zdaje się z daleka, że roztopione *lapis lazuli* toczy płynne fale. — Pisałem dziś do Babuli, do Wyleżyńskiego, do Rybczyńskiego, Girardego, Danielewicza, Henryka Krasińskiego i Pągowskiego«.

Niezwykły zapał w korespondowaniu trwa dalej. Jednym zamachem pisze ośm listów. Wieczorem idzie do teatru. — Z wykładów uniwersyteckich wybiera sobie ekonomię polityczną i filozofią; inne wykłady jeszcze się nie rozpoczęły. Dobry syn odczytuje

przestrogi ojca już po drodze, zaraz w Kaliszu, Pradze, Bernie i Genewie. »Przejąłem się nim (listem ojca), łzami go oblałem — będę postępował podług jego przestróg. Czułość, która w nim panuje, rozrzewnia moje serce... Pamięć dobrego ojca unosi się nademną, by bronić mnie i okrywać, by wskazywać drogę powinności i honoru, i mam nadzieję, że nikt nie będzie mógł, ani śmiał, zarzucić mi czynu, godnego wstydu i rumieńca. Kochany Papo, wszystko, co moje szczęście teraz stanowi, jest wspomnienie. Teraźniejszość mało ma dla mnie powabu, wśród zabaw i salonu nie upatruję żadnej ponęty. Żyję w przeszłości i karmię się nadzieją. Staram się urzeczywiścić Papy cele, ale czas, który mam bez niego i bez ukochanych, zostawionych osób przebyć, jest czasem goryczy i smutku; jest to droga pełna cierniów, na których mdłe tylko kwitną róże, jest to pora próby i cierpienia. Bo nie kryję Papie, że smutek najgłębszy mnie pożera. Umiem go ukrywać i śmiać się potrafię w potrzebie; lecz uśmiech ten nie pochodzi z duszy, jak dawniej, jest on jedynie mechanicznym ust ruchem. Jedna tylko myśl uczynienia Papę szczęśliwym utrzymuje mnie w nowym zawodzie, jedna nadzieja zjednoczenia się z nim uśmiecha się memu sercu i rozwesela je. Zresztą wszystko jest głazem, lodem dla mnie, wszystko małem, śmiesznem mi się wydaje. Oprócz Polski, oprócz Papy, oprócz Warszawy nic niema dla mnie na świecie, a góry i jeziora Helwecyi są mdłą pociechą dla oka, dla serca zaś żadną. — Sosnowe lasy i piaski Mazowsza milej mojej stawiają się pamięci, niż urocze doliny

i wzgórza Lemanu; Ciechanowskie wieże piękniej wznoszą się w mojem wspomnieniu, niż Mont-Blanc, która do nieba dotyka, a wody Lidyni milej szemrzą w moich uszach, niż wodospady rozbijające się z szumem o Helwecyi skały«.

Wspomnienia domowe nabierają teraz silnego uroku. I »Babula« z daleka staje się bardzo drogą i kochaną. »Przywiązany wnuczek« pisze: »wyobrażam sobie pokóy sypialny, zielony, z swemi stolikami, obrazami, zwierciadłami i kapliczką, — widzę kochaną Babulę, siedzącą w aksamitnem krześle, przy stole, na którym ułożone w porządku papiery i obrazy mego oyca i matki. Drzwi z czerwonego salonu otwieram, wchodzę i biegnę paść do nóg kochaney Babuli«. Na jej życzenie przepisuje dla niej i posyła kilka listów św. Franciszka Salezego, który, jak wiadomo, był biskupem genewskim.

Zygmunt Krasiński postanawia uczyć się z całem umysłu natężeniem, a w chwilach wolnych od nauk chce czasem »dodać kilka kart do zaczętego Zawiszy, by polskiej nie zapomnieć mowy, a może też, by i miłości własnej dogodzić«. Spodziewa się na wiosnę przez okazyę wysłać »Zawiszę ukończonego« do Warszawy i prosi ojca, aby rękopis odesłał wówczas do drukarni »p. Józefa« (Krasińskiego). Zapisuje się do wybornie urządzonego Towarzystwa »Société de Lecture«, gdzie ma mnóstwo gazet i najnowsze dzieła; tymczasem zaś życie towarzyskie zaczęło mu urozmaicać pobyt nad Lemanem. Pani domu wydała wieczorek, na którym poznał Krasiński różne damy, »żadnej pięknej i przyjemnej, oprócz dwóch Angielek,

nazwiskiem panien Willan: jedna blada, blondynka, melancholiczna, druga brunetka i żywa jak proch leszczyński; obie naturalne, nie pedantki i bez pretensyi, rzecz dziwna w Genewie, gdzie wszyscy roszczą sobie prawa do rozumu, erudycyi i głębokości pomysłów«. Jedna z tych panien Willan, Henryeta, będzie niebawem przedmiotem wzdychań młodego Zygmunta.

Z wieczorku u Bonstettena jest niezadowolony: »ścisk, gorąco, nuda«. — Ogólne wrażenie wieczorków genewskich jest bardzo dowcipnie i trafnie skreślone w liście drugim z d. 18 listopada 1829 r.: »O pół do dziewiątej przychodzi się do małego salonu (Krasnodębskiego w Pałukach jest dwa razy większy). Zastaje się mnóstwo osób, oddzielonych od siebie podług płci: bo damy siedzą jedna przy drugiej na długich kanapach przy sobie w około ścian postawionych, a mężczyźni stoją trzy godziny w miejscu, zostawionem z drugiej strony salonu. Damy gadają między sobą, mężczyźni między sobą: to o botanice, to o zoologii, czasem o Don Miguelu i o panu Bourmont. Zdarza się, że mężczyzna przysunie się do damy i powie kilka słów o wietrze, o pogodzie, o błocie, lub mrozie — a potem się odwróci, by się cofnąć do arrière-gardy, składającej się z całej męskiej kompanii. Tymczasem obnoszą herbatę, poncz, limonadę, ciasta, — o kolacyi nigdy nie słychać. Trwa taki wieczór ze trzy godzin, a potem każdy wychodzi spotniały, zmęczony, znudzony, nie odniósłszy żadnej korzyści, nie doznawszy żadnej przyjemności; ale

mówiono mi, że później poprawią się wieczory i zabawniejszymi się staną.

Jest to w charakterze Genewczyków wrodzonem, że chwalą się, jedni drugich, bez żadnej miary. Słowa: »*C'est un homme distingué, intéressant, aimable, savant — c'est une femme charmante, pleine d'esprit, agréable*« — nie wychodzą im nigdy z ust, a indywidua, których się tyczą, czasem zupełnie przeciwne mają przymioty«.

Z tym opisem młodego Polaka warto zestawić, co o towarzystwie genewskiem owoczesnem mówi członek długoletni i chluba tegoż, Augustyn Pyramus de Candolle w swych pamiętnikach. Pokaże się, jak świetnie i trafnie charakteryzował Krasiński tamtejsze stosunki:

»Wszystkim zebraniom towarzyskim w Genewie nadały obyczaje nasze tak jednostajną barwę, że dla zauważenia różnic trzebaby poniekąd wziąć szkło powiększające. To też, jakkolwiek w zimie często się komuś trafi złożyć trzy lub cztery wizyty, zdawać mu się może, że zaledwie zmienił tylko salon, do tego stopnia jednakowe znajdzie wszędzie opinie, jednaki ton i maniery. Tłómaczy się to częstymi stosunkami towarzyskiemi tych wszystkich osób na rozmaitych zebraniach. Towarzystwo genewskie miało wogóle życie i urok, które zatraciło z czasem, odkąd opinie metodystów i radykalne zapatrywania 1830 r. zaczęły się do niego przedostawać i dzielić je na partye. Obcowanie z cudzoziemcami ma dla nas wielkie korzyści. Częste spotykanie się nas Genewczyków w Radach, Komitetach, Towarzystwach filan-

tropijnych, Towarzystwach naukowych, klubach i wieczornych zebraniach sprawia, że wszyscy się znamy. Ledwie który z nas otworzy usta, a wie się prawie z góry, jak będzie przemawiał: bo, jeśli chodzi o sprawy ważne, zna się jego przekonania, jeśli zaś chodzi o prostą rozmowę, zna się dostatecznie jego zapatrywania, by odgadnąć, co powie. Każdy z nas czuje to instynktownie; skąd wynika, że niezbyt silimy się, aby powiedzieć coś interesującego lub nowego. Natomiast współudział cudzoziemców w konwersacyi dodaje jej życia; cieszymy się tem, cokolwiek nowego wnoszą; cieszymy się także, kiedy wywołają czasem nową umysłowości stronę w rodakach naszych, których znamy oddawna, ani się domyślając zasobów ich wiedzy.

»Z tego to podwójnego powodu bardzo lubiałem rozmawiać z cudzoziemcami, skoro ci albo umieli dobrze opowiadać o swym kraju, albo dobrze obserwować nasz własny«.

Piękności natury zachwycają Krasińskiego i w listach do ojca daje on często wyraz swym szczerym zachwytom. Te małe obrazki natury są to jakby szkice odręczne, ważne dla poznania rozwoju umysłowego poety, w którego dziełach tak później przyroda na plan najdalszy usunięta. Z mieszkania p. Galiffe-Pictet, który Krasińskiego na obiad zaprosił, otwierał się widok rozległy na góry Salève i Montblanc. Oświetlenie było wieczorne. »Dzień był pochmurny, ale przy końcu konające już promienie przedarły się przez mgłę i ostatniem pożegnaniem ozłociły dalekie śniegi Salewu. Nigdym jeszcze ta-

kiego uczucia *Piękna* nie był doznał, jak wtenczas. Niech Papa sobie wystawi pasmo gór czarnych, w cieniach wieczoru pogrążonych. Był to pierwszy obraz w tej okolicy, gdziem się znajdował. Za tymi ogromami ciemnymi dopiero białawe wierzchołki wysmukłych skał się ukazują i szczyty gór odleglejszych: na nie właśnie wtenczas padały promienie słońca. Złoto, purpura, drogie kamienie, niczem nie są w porównaniu złudzeń, sprawionych śniegiem, lodem i igrającem po nich światłem. Wszystkie farby tęczy, potrojonej mocy i blasku, świetniały na tym ciągu szczytów; każdy kawałeczek lodu przez chwilę dyamentem się stawał, każda chmura morzem ze srebra i złota, każda kropla wody w perłę się zmieniła, każdy wierzchołek skał, podług swojej bliskości lub oddalenia, to w ametystowe, to w rubinowe ustroił się blaski. A nad tem wszystkiem, łukiem zakrzywiła się tęcza, obejmująca pół widnokręgu, jak gdyby nieba jeszcze przyłożyć się chciały do świetności ziemi.

»Przeciwne więc widoki stykały się zbliska: tu ciemność pochłaniała wszystko i jednostajną nadawała barwę i czarnej skale i srebrnym śniegom, tu znowu każde drzewo, każda chata, każdy kamyczek, każdy strumień inny miał kolor. Odrobina skrzepłej wody świetniała na kilka mil około. Chmurka, coby inaczej nie zwróciła spojrzenia, teraz podobną była do tronu gieniuszu. Jasność i cienie, woda i zmrożenie składały pierwiastki tych dziwnych, bogatych i fantastycznych widoków, co chwila się zmieniających. W tem miejscu zdawała się góra płomieńmi okryta krwa-

wymi, w tamtem bladawą światłością migała wśród nadchodzących cieniów; w tej chwili chmura oblana była potokami ognia, w następującą złotą przybierała barwę — a potem darmo śledziły ją oczy: roztopiona w błękicie, lub zapadła w miejsca nocą już zagarnięte, zniknęła na zawsze. Tysiączne zmiany, to zwolna, to w mgnieniu oka następowały po sobie, lecz coraz słabiej oświecone skały i lody traciły z rażącego blasku — nareszcie złoto i purpura rozeszły się w powietrzu, a słabszy, fijołkowy kolor, i srebrna barwa, zostały przez jakiś czas panami przestrzeni, lecz i te niezadługo osłabiły się znacznie. Coraz więcej gór ciemność zabierała, tak jak zwycięski zdobywca, który co chwila dalej się posuwa. Już tylko najwyższe jeszcze błyszczą szczyty, a kiedy ostatni promień słońca skonał na wierzchołku Mont-Blanc, zupełne noc odniosła zwycięstwo...«

Obok natury interesują go ludzie; w najbliższem otoczeniu ma ciekawą figurę, p. Leonarda Revilliod, syna właścicielki pensyonatu, w którym mieszka. W liście do ojca daje Zygmunt długą, szczegółową charakterystykę tego Genewczyka, z którym widocznie w pierwszych tygodniach chętnie przestawał. Charakterystyka jest widocznie przesadna, L. Revilliod, wygląda tu na postać byrońsko-romantyczną, jakkolwiek Zygmunt zastrzega się, że »ten obraz nie jest przesadzony moją r o z r o m a n t y c z o n ą głową, jak mówi Osiński«. Tak z opisu gór przy zachodzie słońca, jakoteż z próby portretu duchowego L. Revilliod widać widać wyraźnie, że Zygmunt Krasiński ćwiczy się w obserwacyi przyrody i ducha ludzkiego,

że zbiera świadomie materyały do jakichś prac literackich, może do tego Zawiszy, o którym w poprzednim liście ojcu wspomina. Przytem tęsknota za krajem wielka i z listów w każdym niemal ustępie przebija. Utrzymuje »ciągłą i żywą korespondencyą z Warszawą« — w stosunku do ojca jest widocznie nieśmiałym, jakby siebie niepewnym; są ustępy, które raczej oznaczają stosunek podwładnego do naczelnika, wychowańca do opiekuna; wielka staranność w doborze słów, ale czułości dziecięcej bardzo mało.

Kontynuuje Zawiszę i posyła Gaszyńskiemu już 10 listopada 1829 r. »*Opisanie jeziora Leman*« do »peryodycznego dzieła, które on wydaje«. Najwyraźniejszy to dowód, że współpracownictwo w »Pamiętniku dla płci pięknej«, który dopiero w r. 1830 zaczął wychodzić, omówione było między przyjaciółmi jeszcze w Warszawie w lecie 1829 r. Opis Lemanu ukazał się w pierwszym zeszycie Pamiętnika (str. 31—34). W porównaniu z tonem listów do ojca znać tu większą śmiałość wyrażenia, swobodę wypowiadania swych wrażeń. Aż się wierzyć nie chce, że ten sam Zygmunt w tydzień potem będzie pisać do ojca o sobie: »Staram się być najgrzeczniejszym, najskromniejszym i kiedy widzę, że kto niegrzeczny, to na drugą stronę salonu przechodzę, żeby się czasem nie dać zaczepić i nie unieść się złością«.

Nie odbierając przez kilka tygodni listu od jenerała, Zygmunt zaczyna być niespokojny, pisze list 8 grudnia z delikatnemi wymówkami, a dla rozwe-

selenia ojca opisuje mu, »co zowią w Genewie *les sociétés du dimanche*«.

»Każda dziewczynka, jak tylko chodzić już może bez pomocy mamki i jak tylko wymówić zdoła słowa: »*Bon jour, bon soir, beau temps, mauvais temps*«, zaczyna stawać się częścią towarzystwa, t. j. że co niedziela w zimie chodzi do zbioru dziewczynek wego wieku, pije z niemi herbatę i plecie. Oczywista rzecz, z czasem te dziewczynki, córki kilku przyjaciółek, stają się pannami, a jeśli która idzie za mąż, wtenczas: *on ouvre la société du dimanche*, mówiąc technicznym do tego wyrazem i wolno mężczyznom wdawać się w to towarzystwo, składające się z dwudziestu lub trzydziestu panien. Stąd pochodzi, że są towarzystwa niedzielne, od dzieci liczących cztery lata, do poważnych matron, mających 20 razy tyle. Towarzystwo więc ogólne Genewy dzieli się na małe zbiory, na małe plemiona, czyli po francusku mówiąc, na wielką liczbę *koteryj*, które psują i niszczą całą działalność, żywość i przyjemność wieczorów i assamblów: bo każda panna nie śmie nic mówić, nic robić, nie wie, jak usiąść, jak przyjąć komplement, jak nań odpowiedzieć, gdyż 20 lub 30 towarzyszek jej koteryi wiecznie czuwa na jej najleksze skinienie, najcichsze słowo, a całe miasto wie nazajutrz, wiele pończochy uszyła i wiele taśm uhaftowała na kanwie. Ten systemat wspólnego szpiegowania się kobiet oddala wszelką uprzejmość z ich twarzy, wszelką otwartość z ich charakteru, wszelką żywość młodości odbiera, a połowę wdzięków odkrada piękności: słowem, za-

mienia tutejsze damy na głazy z marmuru, na postawy z kamienia«.

Ostre uwagi o książętach: Hohenlohe i Biron, przebywających w Genewie, dowodzą, że Krasiński nie lgnął bynajmniej do »tężyzny« arystokratycznej. Do ściślejszych znajomości zalicza Augusta Zamojskiego, który był od roku studentem Akademii Genewskiej, i Ferdynanda Dupan, »de la haute volée«. Na nudy nie mógł Z. Krasiński narzekać. »Codzień sypią się jak grad zaprosiny na wieczory i obiady«. Zajęć naukowych nie miał zrazu wiele. Podaje w liście z d. 8 grudnia tabelkę tygodniową godzin nauce poświęconych, z której widać, że tylko dwa razy w tygodniu zajęty był przez 4 godziny (w czem 1 godzina fortepianu). Angielskiemu poświęca 6 godzin na tydzień, francuskiemu 2, filozofii 3 i jedną godzinę Ekonomii politycznej. Zapowiada, że będzie uczęszczał na kurs historyi rzymskiej, wykładany przez słynnego prawnika Rossi. »Sławny on jest — pisze Krasiński — z wymowy, ma zawsze postać śpiącego człowieka i Włocha, myślącego tylko o *dolce far niente*«.

Pelegrino Rossi (ur. 1787) należał do najznakomitszych profesorów Akademii genewskiej. Jako stronnik Murata musiał w r. 1815 opuścić Włochy, przeniósł się do Genewy, gdzie go zamianowano profesorem prawa rzymskiego. Wysoki, z typową twarzą Włocha, o czarnych włosach, wywierał wielki wpływ na swych słuchaczów pomimo pozornej niedbałości (*apparence indolente*). Olbrzymie oczytanie, bystrość sądu i zręczność włoska w przedstawieniu swych zapatrywań wywoływały podziw słuchaczów. »Jour-

nal de Genève« (wówczas tygodnik, barwy radykalnej, w opozycyi do konserwatywnego rządu) daje w numerze z d. 21 stycznia 1831 r. entuzyastyczne sprawozdanie z wykładów Rossi'ego. Zaznaczywszy tłumne zebranie słuchaczów, »zawsze pragnących usłyszeć profesora Rossi«, stwierdza wielbiciel jego, że niepodobieństwem jest dać pojęcie o czarodziejskim zachwycie, jaki wywoływa wykład Rossi'ego: »*c'est une magie qui échappe à l'analyse*«. Niepodobna oddać wdzięku wymowy, mnóstwa zwrotów dowcipnych, wyrażeń malowniczych, czasem może trochę dumnych (*ambitieuses*), ale zawsze znakomicie dobranych, by wyrazić myśl z wszelkiemi jej delikatnemi odcieniami i wywołać pożądane wrażenie. »Wreszcie, jak oddać tę niedbałość (*laisser aller*) widoczną, która przypomina owe wiersze Lafontaine'a, gdy mówi o Nocy, tej bogini, która

Par de calmes vapeurs mollement soutenue
La tête sur son bras et son bras sur la nue
Laisse tomber des fleurs et ne les répand pas.

W końcu pisze sprawozdawca »Journal de Genève: »L'art de notre professeur est de n'en point mettre en évidence, et ses éloquentes leçons ressemblent presque à des conversations familières, où le génie se trahit quelque fois par des tirades brillantes et des aperçus neufs et pleins de finesse«.

Wykłady jego z zakresu historyi rzymskiej wywarły wielki wpływ na przyszłego twórcę Irydiona, otworzyły mu nieznane horyzonty i wprowadziły w samą głąb zagadnień powszechno-dziejowych.

Tymczasem jednak młody Zygmunt więcej żył

myślami w Warszawie, niż w Genewie. Narzeka, że mu mało kto odpisuje na listy i oblicza, że od wyjazdu z Warszawy (a zatem w przeciągu 7 tygodni) napisał »przeszło 80 listów«! List z d. 8 grudnia kończy się wreszcie ważną wiadomością: »Na Nowy Rok ma wyjść Władysław Herman. Niezmiernie bym pragnął go ujrzeć«. Słowa te najwyraźniej dowodzą, że Krasiński rękopisu Wład. Hermana nie brał z sobą do Genewy, że zatem poprawek żadnych tego utworu w Genewie nie dokonał.

14. grudnia 1829 r. pisząc do Ojca z życzeniami noworocznymi, wyraża Krasiński żal, że nie może mu osobiście złożyć swych życzeń i ofiarować nowej pracy: »pierwszego tomu Zawiszy na czysto przepisanego i w safian oprawnego«. Ale odległość nieubłagana stoi na przeszkodzie. Co gorsza, że wilia Bożego Narodzenia się zbliża, a on tego »starożytnego naddziadów zwyczaju« obchodzić nie będzie: »nie zobaczę ani maku, ani siana, ani strucla«.

Pociesza się wycieczkami w okolice Genewy *(Celigny)* w towarzystwie Augusta Zamoyskiego, który mu się coraz więcej podoba. Uczy się pilnie na fortepianie, już umie wygrać kilka »*airs*«. »Codzień lepiej rozumiem po angielsku i gadam z Anglikami i Angielkami«. Uczy się także stylu dyplomatycznego: skraca lub przerabia drukowane noty, mowy, traktaty francuskie. »Metra do tego mam p. Roget, niezmiernie słusznego człowieka i światłego, a razem bardzo pięknych uczuć«. Był to Franciszek Roget (ur. 1797, umarł 1858) teolog kalwiński, profesor literatury w r. 1829, historyi w 1835, eme-

ryt w r. 1848. — współpracownik czasopisma *Bibliothèque Universelle,* doskonały znawca łaciny i francuszczyzny.

Kurs historyi powszechnej wykładany przez Rossi'ego bardzo się Krasińskiemu podobał: »Jego sposób wykładania jest wyborny — nie wylicza drobnostkowych faktów. ale zastanawia się nad ogółem historyi i z prawdziwie filozoficzną powagą wzrusza groby narodów i popioły królów«. — Znakomitości genewskie nie rugują jednak z pamięci Krasińskiego nauczycieli warszawskich. W liście do Ojca (6. I. 1830) poleca się pamięci księdza Chiariniego: »zawsze jestem jego kochający uczeń, niezapominam łaciny, odczytuję klassyków i czytając ich, zawsze pamiętam o tym, z którym tak często ich czytałem«.

Dla charakterystyki pierwszej jego miłości studenckiej ważna jest wiadomość w liście (VI.) do Ojca z d. 15. stycznia 1830 r. »Odebrałem niedawno list od Pani Załuskiej z niezmiernemi oświadczeniami przyjaźni, czułości, dobrych życzeń — położyłem ten list w biurku osobno od innych i napisałem na kopercie, żebym wiedział od kogo: »*varium ac mutabile semper est faemina monstrum*«.

Widocznie Jenerał przeczuł, że jedna z panien Willan stanie się ideałem rozmarzonego młodzieńca, skoro syn pośpiesza uspokoić ojca: »Zdaje mi się, że już Papa sądził, żem się w nich, a przynajmniej w jednej z nich zakochał. Lecz powietrze Genewskie nie bardzo sprzyja miłości. Zimno ogromne panuje w tonie dam tutejszych, a jeśli Warszawa jest na północy Europy, to Genewa jest na północy uczuć«.

Nie mamy powodów podejrzywać prawdziwości tych słów w owym czasie, kiedy to Krasiński więcej był jeszcze profesorami niż pannami zajęty. W tym samym liście pisze, że poznał »p. Sismondi autora sławnej Włoch historyi« i że »bardzo wiele znajduje przyjemności w jego rozmowie«.

Kiedy skutkiem jakichś »romantycznych wyrażeń« w liście do »Stasia« Krasińskiego Jenerał zapytuje syna o wyjaśnienie rzeczy, tłómaczy się wówczas Zygmunt w sposób charakterystyczny; jest to może jeden z pierwszych krytycznych rzutów oka na samego siebie, owo Γνῶθι σεαυτόν, które przyświecać będzie »Nieboskiej«.

»Zrobiłem małą uwagę nad swoim charakterem, a ta jest: że czasem fałszywy entuzyazm mnie porywa i staram się utrzymywać go słowami podobnemi do sławnych *promieni fal*, a nie uważam, że osoby, które mnie czytać będą, powezmą wcale fałszywe wyobrażenie o stanie duszy mojej. Pisząc do młodych ludzi, rówieników moich, to mi się przytrafia i muszę na przyszłość strzedz się tego...«

Opis »balu« genewskiego jest dowodem zupełnej eszcze swobody umysłu, a zarazem pewnej niechęci do tańca, łatwo zrozumiałej u młodzieńca małego wzrostu.

Jakkolwiek przyznaje, »że nie ma ucha«, że nie jest muzykalny, jednak czyni postępy w grze na fortepianie, grywa pieśni z *Damy Białej* i *Cyrulika Sewilskiego*.

Zima pierwsza, którą Krasiński spędził w Genewie

odznaczała się niezwykłą w tych stronach surowością; część jeziora Genewskiego zamarzła.

Może w związku z tem jest nowa fala smutku, która nawiedza Zygmunta

Niepewność, co się dzieje z drogiemi mu osobami (bo listy z Warszawy coraz rzadsze), wreszcie jednostajność życia w małem, obcem mieście — »nie najmilsze sprowadza chwile«. »Wszystko mi się wydaje niezmiernie smętnem w tem życiu, wszystko niezmiernie powikłanem; przeszłość ulatuje szybko, że ledwo pamięci wystarczy na jej wspomnienia; teraźniejszego czasu, oprócz w gramatyce, nigdzie niema na świecie, a przyszłość, co chwila w przeszłość się zmienia«. Zaczyna się sobie przypatrywać. »Teraz właśnie (2. Lutego 1830) siedzę przy dogorywającem ognisku, z dwoma (sic) świecami na stole, z Moorem i Byronem z jednej strony, kursem Dyplomacyi z drugiej, Zawiszą z trzeciej...«

Narzeka po raz pierwszy na »swój reumatyzm«.

Zwierza się następnie ojcu z pierwszego swego artykułu francuskiego, (O stanie literatury polskiej), przeznaczonego do Bibliothèque Universelle, a napisanego na życzenie starego Bonstettena. — Czego jednak ojcu nie donosi, to tego, że pierwszą pobudką był zdaje się list o literaturze rossyjskiej panny Anastazyi Chlustine, którym się de Candolle zachwycał, jako jakiemś unicum w swoim rodzaju. List ten wydrukowała *Bibliothèque Universelle* w zeszycie listopadowym p. t. »Lettre sur l'êtat àctuel de la Littérature russe adressée à Mr. ***.

W przypisku, u dołu, czytamy:

»Cette lettre est écrite par une jeune demoiselle qui par son esprit et ses connoissances pourroit fournir une nouvelle preuve du point où est portée l'éducation littéraire des dames de la noblesse russe«.

Z pewnością nie mówiono w salonach genewskich w listopadzie o niczem innem tylko o tem »arcydziele«. Krasińskiemu mogło być nie miło, że tak się zachwycają pracą o literaturze rossyjskiej, a o polskiej nic nie wiedzą. Pisze wtedy (w końcu stycznia) swój ośmio-arkuszowy List, o czem donosi ojcu. Bonstetten z pochlebnym przypiskiem, acz bez wymienienia nazwiska autora, List ten w zeszycie *Bibliothèque Universelle* na luty 1830 r. wydrukował p. t.: *Lettre sur l'état actuel de la littérature polonaise, adressée à M. Bonstetten.*

Do tego artykułu umieściła redakcya następujący przypisek: »Mr. de Bonstetten ayant vu, par un exemple récent, combien les rédacteurs de la *Bibliothèque Universelle* mettent de prix à tenir leurs lecteurs au courant de la littérature dans des pays divers, a bien voulu leur communiquer cette lettre qui lui a été écrite de Paris par un jeune Polonais de 17 ans, et qu'il avoit depuis plusieurs mois en porte-feuille. »Cette lettre«, nous dit-il en nous l'adressant, »me semble digne de faire le pendant de celle sur la littérature russe que Vous devez à une demoiselle de vingt ans. L'une et l'autre prouvent que chez les nations slaves: le talent *n'attend pas le nombre des années*«.

Artykuł to młodociany, przesadny i entuzyastyczny. »Au quinzième et au seizième siècle, la Pologne, j'ose le dire, étoit la nation la plus éclairée(!) de l'Europe, en exceptant toutefois l'Italie; dont les savans s'empressoient d'accourir à la cour de nos princes pour y chercher protection et largesse«.

Szczegóły są z pamięci czerpane, a więc niedokładne nieraz, zwłaszcza daty w przypiskach. Widocznym celem Krasińskiego było przeciwstawienie narodu i literatury naszej narodowi i literaturze rossyjskiej.

»La civilisation et les lumières ne furent jamais complètement éteintes en Pologne, comme cela arriva en Russie pendant que les princes de Moscou allaient chaque année s'agenouiller et déposer leur couronne aux pieds des Khans de Tartarie« (str. 139).

Z XVI wieku wymienił młody autor: Kochanowskiego (»Nestor des poètes polonais«), z XVII.: Sarbiewskiego, Skargę, z XVIII.: Krasickiego, Trembeckiego, Karpińskiego, Dmochowskiego, Naruszewicza, Kniaźnina, Szymanowskiego. — Przywiązanie do Napoleona zaznacza się w gorących zwrotach: »celui qui distribuoit les couronnes et faisoit trembler l'Univers«.

Żyjących pisarzy dzieli na dwie kategorye: tych, co się urodzili za panowania Stanisława Augusta: Ceux qui appartiennent à la première datent encore du règne du Stanislas Auguste. Les seconds sont nés après le partage de leur patrie« (146). Stosownie do tego podziału mówi najpierw o Niemcewiczu, którego »Dzieje Zygmunta III.« nazywa arcydziełem

wymowy; o Woroniczu (son chef-d'oeuvre est le discours qu'il prononça à l'enterrement du prince Joseph Poniatowski. L'effet en est tel, qu'on croit voir les ombres des grands hommes de l'ancienne Pologne se rassembler à la voix de l'orateur...«) Mowa dalej o Śniadeckim, Koźmianie, Osińskim, poczem przechodzi do walki klasyków z romantykami. Mickiewicz jest pierwszym z poetów romantycznych: »Plein de verve et de cet enthousiasme propre au printems de la vie; il prend souvent un essor sublime et planant au-dessus de la terre il force l'admiration et excite l'étonnement par son audace. C'est Icare volant près du soleil; mais ses ailes ne se fondent point, au contraire elles se déploient d'autant plus qu'il s'elève...

»En lisant ses ouvrages on croit voir un monarque qui force les mots, ses eclaves, à venir se placer sous sa plume, et manie les expressions dans tous les sens avec la plus grande facilité«.

Zacytowawszy w przekładzie pieśń Wajdeloty, od słów: Comme au son de la trompette de l'archange... (Jako w dzień sądny z grobowca wywoła Umarłą przeszłość trąba archanioła) do... »jak ich przodkowie niegdyś całe życie«, — przechodzi wprost do jenerała Morawskiego, następnie mówi o Wężyku, Odyńcu (»digne des grands maîtres qu'il étudia. c'est à dire, de Goethe et de Burger«), Felińskiego »B. Radziwiłłównej«, o Brodzińskim, B. Zaleskim, Fredrze, Dmochowskim (synu), Kowalskim (tłóm. Moliera), Lelewelu; kończy pochwałą Gaszyńskiego (son genre ressemble à celui du grand poète irlandais

Moore, on y retrouve la mème délicatesse d'idées et la mème magnificence d'expressions. Il se plait à semer les fleurs et les pierres précieuses à pleines mains«. Następuje przekład bajki Gaszyńskiego: *Łza, kropla rosy i zefir*. W końcu mówi krótko o romansach niemieckich Bronikowskiego i o Bernatowiczu.

Równocześnie z pisaniem artykułu francuskiego o Literaturze Polskiej robi Krasiński coraz szybsze postępy w angielszczyznie. Na tej samej pensyi mieszka anglik młody, Leach, z którym Krasiński często rozmawia po angielsku. Co ważniejsze, rozczytuje się na dobre w poezyi angielskiej: »czytam ciągle Byrona, Moora, Washingtona Irvinga, Southey'a, Campbella. Dziwną jest rzeczą, że niema prawie żadnego z poetów angielskich, któryby o Polsce i Kościuszce nie wspominał. Przestałem się dziwić, że Anglicy nie uczą się powszechnie obcych języków. Na cóż one im się zdadzą, kiedy w własnym mają wszystko, co tylko mieć można. Moor osobliwie niezrównany, Moor mnie zachwyca w swojej *Lalla Roukh, w Melodyach Irlandzkich* i *Miłościach Aniołów*. W tym ostatnim poemacie zdaje się, że się nie wiersze ziemskiego poety słyszy, ale brzmienia Anioła w niebiosach, tyle jest idealności, tyle wytworności, czystości i płynności. Gdyby nie poezya, niewiem, coby człowiek czynił na świecie i czyby mógł żyć ciągle otoczony tylko zimną rzeczywistością?«

Muzyka wywiera na nim swój czar. Wyuczył się »z piętnaście kawałków najsławniejszych oper na

fortepianie i zawsze je grając, zdaje mi się, że widzę kochanego Papę z uśmiechem serdecznym na ustach«.

Życie towarzyskie coraz więcej zabiera mu czasu. »Zaprosiny na wieczory nieskończonem snują się pasmem, i zewsząd odbieram bileciki ręką dam pisane, dam po 60 lat, panien po 40 lat mających: »*Mr. le comte Crasinsky nous fera l'honneur de venir prendre le thé chez moi etc. etc.*« — piję jedną filiżankę, prowadzę salonową konwersacyą, trzymam kapelusz w ręku, trę rękawiczki w drugiej i gadam o zimnie i o śniegu, o memoirach Bourienna i o romansach Walter-Scotta, o Wilhelmie Tellu i o łososiach Lemanu«.

Z początkiem marca 1830 r. zmartwiony jest Krasiński jakimś listem Ojca. Rozeszły się w Warszawie pogłoski, że Zygmunt pojedynkował się w Genewie. Można sobie wyobrazić niepokój i gniew jenerała, który się rozchorował z obawy o jedynaka. Odpowiedź syna maluje dobrze dziecięcą jeszcze zależność od Ojca:

»Wyobrażając sobie niespokojność Papy, darmo szukałem przez ten czas jakiejkolwiek osłody smutkowi i nie mogłem spokojnie zasiąść do pisania; książkę czytałem, lecz nie rozumiałem ani słów, ani myśli. Wszędzie zdawało mi się słyszeć lub widzieć skutki gniewu Ojca. Sam portret Papy wiszący nad moją głową, zdawał mi się zmieniony; czoło zasępione i usta bez uśmiechu napełniały mnie bojaźnią: przyszło do tego, że często nie śmiałem nań spojrzeć. Choć zupełnie niewinny byłem, gniew ojca srogo szarpał moje serce; odległość nas dzieląca, słabość Papy,

niepewność, czy uwierzy moim oświadczeniom, czy zdołają one podejrzenie z jego umysłu wyrugować — i tysiączne myśli, nieprzerwanie się snujące, sprawiały wpływ najprzykrzejszy na moję duszę...«

Gorliwa lektura w dzień, zabawy wieczorem — oto na czem schodziły wówczas miesiące Krasińskiemu. Angielki, panny Willan wydają »bal pyszny«. Krasiński zaznacza, że na każdym balu »jakiś rodzaj smutku mnie napada, może przez zazdrość, że się wszyscy bawią«. W gruncie rzeczy, było w tem sporo miłości własnej: mały wzrost upokarzał go przed sobą samym i nie pozwalał na to, aby mógł iść w zawody z »wyżej urodzonymi«, większym wzrostem obdarzonymi młodzieńcami. — Ciągle przytem myśli o literaturze polskiej. W liście do ojca (z 6. Lutego 183[illegible]) posyła także artykuł dla Pamiętnika, wydawanego przez Gaszyńskiego. Artykuł ten zawierał szczegóły, opowiedziane Krasińskiemu przez oficera francuskiego Claparède, »który długo stał w Korsyce. Sądzę, że są godne uwagi i pospieszyłem ułożyć je dla Pamiętnika Gaszyńskiego, który, jak słyszę, dosyć ma wziętości w Warszawie«.

Gaszyński wydrukował to opowiadanie Claparèda, spisane przez Z. Krasińskiego, w tomie drugim Pamiętnika (str. 63 — 72) p. t. »*Teodoro*, król borów, powieść korsykańska«. W przypisku podaje Gaszyński wyjątek z listu Zygmunta, który w podobny sposób, jak Ojcu, tłómaczy genezę tego opowiadania. Powiastka ta jest tylko z tego względu ciekawa, że znowu świadczy o niewygasłem zamiłowaniu Krasińskiego do opowiadań, biorących zemstę za pod-

stawę działania. Teodoro mści się za miłość młodzieńczą, której go żandarm francuski pozbawił — odtąd poprzysięga vendettę, zabija żandarma; z kolei kładzie trupem siedmdziesięciu kilku żandarmów, aż zdradzony przez przyjaciela pada od kuli z obławy francuskiej. — Styl opowiadania jest dość mdły, sprawozdawczy. Za motto służy już nie Walter-Scott, ale Washington Irving (The Sketch book).

Od lutego 1830 r. stosunki z Reevem stają się coraz częstsze i bliższe. O rok młodszy od Zygmunta Krasińskiego, smukły, z bujnymi włosami i rysami typowymi Anglika, Reeve imponował młodemu Polakowi rzekomym »wielkim talentem do wierszy angielskich i dziwną na swój wiek nauką«.

Częste z nim dyskussye literackie przypominają Krasińskiemu Warszawę i Gaszyńskiego: »Czytam z nim teraz tragedye Szekspira po angielsku i często słupieję z zadziwienia nad oryginalnością tego autora«.

Z sąsiadem na pensyi, Leachem, czytał znowu Krasiński po angielsku listy Juniusa »na końcu 18-go wieku pisane przeciw ministrom angielskim«. Chwali w tych listach wymowę »równą Cyceronowej«.

Dotychczas nie spotkaliśmy w listach Krasińskiego żadnej uwagi o kalwinizmie Genewy. Nie rażą go żadne rozmowy w towarzystwie genewskiem, przyjaźni się z różnowierczymi Genewczykami i Anglikami tak, że mogłoby się zdawać, iż kwestye religijne są mu całkiem obojętne. Dopiero przypadkowe zdarzenie każe mu zastanowić się nad tem, jak ci Genewczycy wierzą i w co wierzą. Umiera jakaś

panna w Genewie. Z powodu protestanckiego pogrzebu pisze Krasiński: »nigdzie zapewne tak mało nie dbają o umarłych, jak w Genewie. U nas, przyjaciółki jej wszystkie poszłyby ze łzami w oczach za trumną; każdaby różę białą złożyła na grobie, ktośby miał mowę na cmentarzu, przypomniałby w niej zgasłe wdzięki, anielską dobroć, opisał okropności zgonu i wpoiłby w serca słuchających długą pamięć jej piękności i prrymiotów.

»A tu tymczasem nieuczczone jej zwłoki zaniesiono do grobu, kilku krewnych z powinności szło za trumną; ani głos dzwonów, ani głos ludzi nie oznajmił jej straty, i jednej gromnicy na jej cześć nie zapalono; wszystko odbyło się zimno, umiarkowanie, bez wystawy: ciało w wykopaną fosę spuszczono, a nikt nie złożył napisu na kamieniu, nikt kwiatów nie rzucił wokoło, nikt drzewa nie zasadził, by przynajmniej ono jedno płaczliwemi gałęziami grób osłaniało, kiedy wszyscy o niej zapomnieli. — W religii protestanckiej nie ma modlitw za umarłych, pozbawieni są tej jedynej pociechy po utracie drogich osób. W religii ich nic niema poetycznego, wszędzie rozsądek i zimny rozum panuje, a czucia mało lub nic niema. Niekształtną trumnę, źle zbitą, niosą na cmentarz. Przybywszy tam, rzucają ją w dół głęboki, po śliskich belkach, tak, że się trumna łamie i rozpękuje na dnie, a ciało zostaje nie zakryte. Na prędce wtenczas rzucają ziemię na to ciało — i wszystko skończone. Taki jest pogrzebowy obrzęd w Genewie i trudno bez boleści patrzeć na te ostatki ludzi, których ludzie nie szanują, bo wszędzie indziej mięsza

się coś tkliwego z wyobrażeniem zeszłych z tego świata. Łzy nad grobem wylane zdają się być hołdem drogim, ukochanym osobom, których już niema; kwiaty rzucone na ich grobie zdają się miłą ich pocieszać wonią. Smutek przechodzi tym sposobem z rozpaczy do miłego, słodyczy pełnego rozpamiętywania. Ale tu, kiedy dusza uleci, odrzucają ciało, gardzą zwłokami i dlatego tylko zdają się je grzebać, by nie sprawiły zarazy. To mi przypomina wiersz Berangera:

C'est d'un lâche de briser la coupe,
Quand la liqueur est tarie...«

Przechodząc od umarłych do żywych, wylicza syn ojcu piękności genewskie, które są »nader rzadkie«. Jest ich raptem trzy: pani Rigaud-Saladin, Angielka panna Olcok i — *last not least:* panna Willan, »ani piękna, ani ładna, ale pełna wdzięku, smaku, żywości, młodości, przyjemności«. Ten szereg epitetów mógł dać jenerałowi nieco do myślenia. Zaraz potem donosi syn, jak mu wykład historyi rzymskiej się podoba; widzimy z przytoczeń, że przyszłemu poecie przedewszystkiem niezwykłe zestawienia i silne, do wyobraźni przemawiające zwroty imponowały: »Kurs pana Rossi o historyi rzymskiej wielce jest ciekawy. Obala on początkowe dzieje aż do Tarquiniusa, jasno wykazując, że to są tylko bajki lub dowcipne mity. Trudno mu zrównać w obrazach nagłych i pełnych kolorytu. Wymowny i *piquant* przez swój cudzoziemski akcent, romantycznie zupełnie wykłada historyą w niektórych miejscach. Na przykład: opisując jak Tullia tratowała po ciele ojca w ulicach Rzymu

powiada: *Et on vit le sang du père jaillir sous les roues du char de la fille.* W drugiem miejscu znowu mówił nam: *Qu'en considérant les débordements des peuples du Nord sur l'empire Romain, on croit encore entendre le bruit de la marche de l'espèce humaine.*«

Samodzielność sądu i ciętość odpowiedzi zaczynają się budzić zwolna. Jenerał, nie cierpiący widocznie romantyków i dawnego ich na Litwie sztabu: filaretów, dogodził swej złośliwości, pisząc synowi: »dziwną jest rzeczą, że włościanie umierają na chorobę filaretów i poetów«. Zygmunt chwyta w lot pocisk i odrzuca: »To jest znakiem zapewne cywilizacyi i skutkiem Komisyi Oświecenia« — dając tem ojcu do zrozumienia, że rodzaj choroby nie jest przywilejem wyłącznym jakiegoś stanu — i że z równą sprawiedliwością możnaby wogóle oskarżać Komisyą Oświecenia o złe skutki oświaty dla ludu. Ustęp ten zresztą nie jest w liście Zygmunta jasny; należałoby mieć tekst listu jenerała.

Ojciec interesuje się nietylko wzrostem duchowym syna, ale także fizycznym. Pod tym względem pociecha nie wielka. Zygmuntowi nie zdaje się, aby urósł od wyjazdu z Warszawy, bo »po sukniach nie znać« — natomiast służący Lintner, znający widocznie słabsze strony swych chlebodawców, utrzymywał, że Zygmunt o »jeden cal urósł«. Dla położenia końca tej niepewności postanawia Krasiński: »dziś zaraz wezmę miarę na drzwiach«.

Zbliżająca się rocznica jego urodzin (19 lutego) poddaje mu myśli raczej melancholią owiane. Cały miesiąc, między 19 lutego a 19 marca jest Krasiński

niespokojny, w niepewności, czy ojciec już mu darował ów nieszczęsny, a nie rzeczywisty pojedynek. Bo też wina niepopełniona przywiodła mu na myśl, inne dawniejsze grzeszki młodości, czy dzieciństwa — rozumiał, że ojciec miał pewne podstawy do niekorzystnych o jedynaku przypuszczeń i z pełną skruchą pisze: »każda strona mej duszy, każdy zakątek umysłu drga na Jego (ojca) wspomnienie, na wspomnienie win, tyle razy darowanych, szaleństw, tyle razy przebaczonych i dobroci bez miary...« Wspomnienia »nieszczęśliwej fajki« w Opinogórze każą się domyślać, że owe szaleństwa nie były niczem innem, tylko wybrykami chłopięcemi. W połowie marca zaczął Krasiński brać lekcye matematyki stosowanej. Nauka ta wydaje mu się dosyć trudna, ale bardzo jest rad, że wrócił do matematyki, jak do »zaniedbanej oddawna przyjaciółki, której i korzyści i nieprzyjemności zawsze teżsame.«

Wśród częstych wycieczek konnych z Reevem poznaje Krasiński lepiej swego rówieśnika, ma z nim »mnóstwo dyskusyj filozoficznych, religijnych, poetycznych i literackich«. Daje ojcu następującą ważną charakterystykę młodego Anglika: »Wielkie on posiada talenta, erudycyą obszerną i rozum nie nizki; ale z tem wszystkiem jest zanadto mistyczny: np. wierzy co do słowa w *Apocalipsis;* ale to jedno odsunąwszy, najpiękniejsze myśli i najwznioślejsze ma uczucia. Dziwnym on jest składem wszystkich namiętności młodości, połączonych z chrześciańską dążnością, z poezyą chrześciańską, i otwarty, szczery, bez żadnego udawania ma charakter, do tego nieco

trzeba dodać podejrzliwości angielskiej i zimnej krwi w obcowaniu. Niedawno byliśmy konno w Gex, mieście odległem o półtora mili od Genewy i już we Francyi — i tam siedząc na wzgórku piaszczystym obaśmy improwizowali odezwę do Mont-Blanc. który w całej swej chwale wznosił się przed nami. Bardzo on piękne i wysokich myśli pełne wiersze angielskie napisał w momencie, a ja biedną prozą francuską, którą przeistoczoną na polski język Gaszyńskiemu do żurnalu przesyłam«. Ta biedna proza francuska »przeistoczona na polski język« pojawiła się w »Pamiętniku dla płci pięknej« (II, 165—167), Jest to niezła próbka »fałszywego entuzyazmu«, o którym pisał niedawno Krasiński do ojca. Ten wyścig natchnienia z Reevem nie mógł być wyrazem szczerego uniesienia, a mamy także wątpliwości co do piękności owych wierszy angielskich Reeva. W kilkanaście miesięcy po tem, w wrześniu 1831 r. pojawił się anonimowo, jak zwykle, artykuł francuski Krasińskiego w *Bibliothèque Universelle* p. t. *Le coucher du soleil sur le Mont-Blanc. Extrait du journal d'un voyageur.* Trudno stwierdzić, o ile ten opis francuski polegał na pierwotnym tekście francuskim, skreślonym obok Reeva w marcu 1830.

Ponieważ ojciec zapewnia, że go i najmniejsze drobiazgi życia syna obchodzą, zdobywa się Zygmunt na odwagę i opowiada ojcu (d. 21 Marca 1830 r.) *un petit acte de galanterie à la française.* Przedmiotem tej »galanteryi« jest nie kto inny, jak Henryeta Willan. Zygmunt Krasiński zaczyna na dobre igrać z ogniem; niebawem poparzy się i prze-

kona, *qu'on ne badine pas avec l'amour:* »Temu kilka tygodni na wieczorze u Pani Faure zacząłem rozmowę z panną Willan młodszą, o moim *Liście* (t. j. ona o tym przedmiocie zaczęła), który miał wyjść niezadługo. Naturalnie, jak w każdej rozmowie, zboczyliśmy od początkowego przedmiotu i zupełnie w inny wpadliśmy (!). Nie pamiętam, com jej później powiedział, że się rozgniewała dość mocno i oświadczyła, że już nigdy przez całe życie ze mną słowa mówić nie będzie. Wiedząc dobrze, że *ira furor brevis est,* a powtóre pamiętając na: *furens quid faemina possit,* odeszłem (!) od niej, ale po godzinie przyszłem (!) błagać przebaczenia, które otrzymawszy, ośmieliłem się ją prosić *de m'octroyer un don, de m'accorder une demande.* Nie chciała z początku, nie wiedząc, czego będę żądał, lecz po dość licznych naleganiach przemogłem i obiecała, że dopełni prośby mojej... Wtenczas poprosiłem ją, by nigdy nieczytała mojego *Listu,* wyjść mającego — ... i żądałem, by zamiast czytania jego, zrobiła z niego papilloty, co było największą abnegacyą miłości własnej.

»Nie chciała na to przystać, pomimo obietnicy. Ja powiedziałem, że przymuszę ją do dopełnienia słowa, i jak tylko mój list wyszedł dwa tygodnie potem, pociąłem go na papilloty i posłałem pannie Henryce Willan. Dotąd jeszcze rzecz nie rozstrzygnięta, bo prawie codzień nalegam, by papilloty z niego zrobiła, a ona się broni i nie wiem, co się stanie.

»Przytoczyłem to Papie jako przykład mojego poświęcenia się *pour les dames,* gdyż własną pracę podarłem na papilloty dla jednej z nich«.

Jak żywo i tęsknie wspomina kraj rodzinny widać z małego ustępu w liście o polowaniu w Opinogórze. Na balach zaś nietylko się nie bawi, ale owszem wpada w nastrój pogrzebowy.

Kiedy mu ojciec coś doniósł o romantyzmie, burzącym gazety warszawskie, Krasiński daje mu swój pogląd na kwestyę romantyzmu, bardzo ważny dla nas dziś, bo wyjaśniający *ex post*, jak mylne i chwiejne pojęcia o romantyzmie były w Polsce jeszcze koło 1830 r.:

»Co do romantyzmu, burzącego gazety warszawskie, przekonałem się, czytając teraz Szlegla historyę literatury i poezye angielskie żeśmy jeszcze w Polsce dalecy od pojęcia, co to jest poezya romantyczna.

Opierając się na tem czczem imieniu, mnóstwo u nas młodych ludzi zbłądziło, błądzi i błądzić będzie, bo nie zrozumieli całej wzniosłości, chrześciańskiej dążności romantycznej poezyi. Szlegel bardzo pięknie powiada, że jak nasza religia tak i poezya nasza (bo niezawodnie romantyzm jest naszą nowszą poezyą i właściwą) wzrasta pomiędzy grobami i stąd jej dążność do melancholii, do uczuć o inszym świecie i do wznioślejszych myśli nad klasyczne, bo klasycy pojęli tylko piękność cielesną, a my pojęli ideał piękności duchowej. Zresztą, kto na upiorach opiera romantyczność, wart być wyśmianym, lub pogardzonym. Nieszczęśliwa chęć małpowania niewolniczego zgubiła nas Polaków w teraźniejszej epoce literatury, jeśli nie wszystkich to przynajmniej wielu, a osobliwie tych, którzy naśladowali Byrona lub innego poetę, nie czytawszy go pierwej — boby go nie zrozumieli.«

Lekcye francuskie z profesorem Roget bardzo Krasińskiemu się podobały: »czynię kompozycye po francusku dosyć często i nabieram zręczności w tem. Oprócz tego częste mam rozmowy z p. Roget o rozmaitych rzeczach, o starożytności, o filozofii, o religii. Jest to człowiek tak przyjemny, tak światły, jak rzadko«.

Obok tych lekcyi otoczenie francuskie Genewy zaczyna oddziaływać nietylko na jego język potoczny, ale na formę natchnień nowych. Ani bowiem praca usilna uniwersytecka, ani olbrzymia z krewnymi i znajomymi korespondencya nie wyczerpuje energii jego pisarskiej. Jakaś żywiołowa natchnień siła zmusza go do przelewania na papier tego nadmiaru myśli, wrażeń i uczuć, które roją mu się dniem i nocą, a zwłaszcza nocą. W zimowe noce wśród ciszy uśpionej pensyi genewskiej, w pokoju czerwono obitym, przy dwu świecach, przy kominku, zasiada do pisania mały wzrostem, potężniejący duchem młodzian i z rozpalonym wzrokiem, przy cygarze puszcza wodze fantazyi. Drobniutkiem pismem zapełnia kartki po kartkach, na których widać równoległe, długie, regularne sznureczki pisma, perełki natchnień.

Pisał po francusku, bądź dlatego, że odwykał na obczyźnie od polskiego słowa, i łatwiej mu było po francusku myśli swe wyrażać — bądź też dlatego, że wydrukowawszy niedawno (luty 1830 r.) z powodzeniem list francuski do Bonstettena o Literaturze polskiej, nabierał ambicyi pisarskich i pod umiejętnym kierunkiem profesora Roget'a pragnął wydoskonalić swój styl francuski. Pisał rzeczy drobne

rozmiarami, niepozorne treścią: bądź to nowelki z podkładem auto-biograficznym, bądź też urywki wrażeń dziennych.

Tymczasem jakaś niegrzeczność, która spotkała Zygmunta Krasińskiego ze strony niejakiego Mercier na balu wobec Henryetty Willan, przyspieszyła jasną świadomość budzącej się miłości. Między 21 marca a 12 kwietnia nastąpiły między młodą Angielką a 18-letnim Krasińskim wyznania, zapewnienia najczulszej, najwierniejszej miłości. Przyszło to zapewne nagle, niespodziewanie, jak burza wiosenna i rozruszyło uczucia ich do samego dna duszy. Henryetta opuszczała niebawem Genewę wraz z swą rodziną. Oboje nie mogli się oddawać złudzeniom, by marzenia ich na ziemi ziścić się mogły. Krasiński zbyt dobrze znał swego ojca, by mógł przypuszczać, że ten zgodzi się na ślub jedynaka, dziedzica magnackiej fortuny, z jakąśtam Angielką, choćby najpiękniejszą. To też młodzieniec był w rozpaczy. Panna Willan nie oddawała się złudzeniom. Ale miłość silniejszą była nad wszelkie ziemskie przeszkody. Przysięgali sobie dozgonną wierność i połączenie dusz kiedyś za grobem. Było to całkiem odmienne uczucie od tego, jakiem student warszawski rozmarzał się na widok pięknej pani Załuskiej. Miłość dla Henryki Willan była istotnie głębszem, szczerem uczuciem, była — jak sam potem zaznaczał — »punktem wyjścia dla jego natchnień poetyckich«, uczuciem czystem, wolnem od jakiejkolwiek przymieszki ziemskiej, uczuciem smutku pełnem, bo oboje zakochani wiedzieli, że do siebie należeć nie będą nigdy. 14-go

kwietnia 1830 r. nie było już Henryetty w Genewie. Zostawał tam Krasiński sam, złamany, pogrążony w rozpaczy, co gorsza, nie mający, prócz Reeva, nikogo, przed kim mógłby się wypłakać. Ojcu jednak nie chciał taić swej miłości; opisał mu swą rozpacz w liście z dnia 30 kwietnia, doskonale malującym i nastrój ponury kochanka i skrzętną zabiegliwość młodego autora, który teraz dopiero czuje, że ma o czem pisać i że cierpienie dodaje mu aureoli we własnych oczach.

Wyjazd panny H. Willan do Anglii był bardzo bolesny dla rozkochanego młodzieńca, ale jakże bogatą stawał się kopalnią nowych wrażeń! jakże wzbogacał tekę pisarską! Jak teraz błoga, niedawna przeszłość stawała się skarbcem niewyczerpanym najdroższych wspomnień! jakże się teraz stokroć lepiej rozumiało Byrona i jak słuszny był powód do bajronizowania rano i wieczór, na wycieczce w górach, lub na łódce, kołysanej modrą falą genewskiego jeziora. Rozpoczynają się wtedy artykuły francuskie o charakterystycznych tytułach: »fragmenty dziennika«, »fragmenty snu«, refleksye nad »śmiercią«, a dalej rozmiłowanie się w cmentarzach i podziemiach, a jeszcze dalej badanie samego siebie, przyglądanie się swemu byronizmowi — a równocześnie z tem wszystkiem piękne, jasne zdrowe artykuły o »Legiach polskich«, o »Spowiedzi Napoleona«, o »Duchowieństwie« i inne.

Niefortunna miłość była wybornym pretekstem do skreślenia kilku »nastrojowych« fragmentów, ale ani serca nie złamała, ani jasności sądu nie

przyćmiła, ani woli nie nadwątliła. Rozogniła tylko fantazyę i dała jej kierunek bajronicznej ponurości, do której i dawniej autor »Grobu Reichstalów« miał już bezwiedny pociąg. Teraz przybył przynajmniej powód. Miłość dla Angielki, z góry skazana na smutną i stanowczą rozłąkę, nastraja go ponuro. Jeszcze Henryetę ma w Genewie, jeszcze się jej widokiem upaja, a już mu fantazya rzuca welon czarny na złote rojenia kochanka. Już w snach gorączkowych roi o kataklizmach, całkiem podobnych do tych, które w 10 lat potem odnajdziemy w »Legendzie«. W tym samym fragmencie przeczuwa, że świat cały ma zginąć w strasznej konwulsyi, a on sam unosi się na krwi potokach, na oceanie krwawym. Dawne, ulubione motywy zemsty, którą dyszał i Alan Reichstal, i »mściwy karzeł«, i Mestwin, i Zbigniew, i Teodoro, król borów, nie opuszczają go tutaj. Obok tych rojeń gorączkowych, sennych, znajdujemy w autografach francuskich sporo fałszywego, robionego liryzmu, który układa, nie dramat jeszcze, ale przynajmniej bajroniczną pozę. W pięć dni po rozstaniu się z Henryetą pisze Krasiński długi fragment, historyę pielgrzyma, którym jest on sam oczywiście. Pierwsza to próba własnego portretu duchowego — próba nierówna jeszcze, niedostrojona, ale mająca kilka dobrych rysów charakterystycznych:

»Twórca nieznużony — on lubił cieszyć się własnymi tworami... Silny własną mocą i wielkością swej woli, gromadził on wokół siebie fantastyczne widma, nawpół rozwiewne jak mgła, nawpół rzeczywiste: z n i c h o n o d g a d y w a ł w i e k i p r z y-

szłe. A wówczas wyciągał ramiona ku lepszym światom, piękniejszym, i jak gdyby mógł je objąć uściskiem — tulił do serca swego te kształty ukochane, które z oddali mglistej zdawały się spływać ku niemu na słońca promieniach...«

Jakaż tu Konradowa miłość dla swych »dzieci wieszczych«! I czy niemógł Krasiński wołać, jak we dwa lata po nim Konrad: »W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję — wy wszystkie moje«!

Fragmenty francuskie następują po sobie szybko — nieraz dzień po dniu — ale niepodobne są do siebie: raz ponure, to znowu spokojne, klasyczne niemal prostotą i swobodą opowiadania. Polskim utworem z tych miesięcy, owocem literackim tego samego stanu uczuć jest: »On«, *ułomek z pamiętników życia młodzieńca*, napisany w więzieniu Chillonu i posłany 29. kwietnia 1830 r. Gaszyńskiemu do Pamiętnika gdzie pojawił się w zeszycie, z dnia 15. czerwca (na str. 241 — 250).

Cytat z T. Moore'a jest już znamieniem najnowszych wpływów literackich a zarazem ponurego nastroju:

To which life nothing darker or brighter can bring
For which Joy has no balm and Affliction no sting.

Świeże wrażenia pierwszej wycieczki statkiem z Genewy do Chillon dały Krasińskiemu tło do obrazu jednostki ludzkiej miotanej na drobnym statku wzburzonemi falami Oceanu. »Bliski już ostatniej chwili został sam z przyrodzeniem, zawieszony na wierzchołkach fal między niebem i morzem, bez nadziei ratunku, bez chęci ocalenia się i jedynem

wspomnieniem zajęty, jedynem, które przekwitłe serce jeszcze do żywszego bicia przymuszało«. Młodzieniec, »pomimo własnej woli i napadu burzy«, nie może jakoś zginąć. Zasypia snem wspomnień i »całą młodość ujrzał na nowo«.

Jest to już drugie echo Snu Byronowego; pierwszem był Sen Elżbiety Pileckiej. Tylko tam Krasiński krępowany był historycznością postaci i Walterskottowskim jeszcze przyborem archeologicznym. Tutaj swobodnie puszcza wodze fantazyi i z rozżalonego serca snuje wspomnienia rzeczywistych, własnych przygód. Jest to zatem poetyczna autobiografia, bardzo ważna, bo sięgająca dziecinnych czasów opinogórskich:

»Dom rodzinny z *szerokiemi komnaty*, *z obrazami przodków*, *z rozległemi ogrodami* na chwilę mu się przypomniał i w żywych barwach stanął przed nim — i słyszał dźwięk dzwonów *ojczystej kaplicy* i zdało mu się, że *klęcząc przy grobie, pod ciemnem sklepieniem*, łzami niewinności skrapiał nieczuły kamień i gorące modlitwy wznosił do niebios, o których jeszcze nie nauczył się wątpić. — —

...łowy, dzikie *lasy*, *przestronne błonia*, spienione rumaki mieszały się razem, i on był częścią każdego obszaru i on ścigał trwożliwe zwierzęta, i on trąbką zwoływał ogary, i on pod wieczór wracał z radością w sercu do mieszkania, nad którego dachem igrające promienie zachodu już wtenczas młodą nęciły duszę, by z niemi do niebios uleciała. — Drzewa dawno niewidzianę, *wzgórek tyle razy deptany*, *staw lekkim uwieńczony mostem*, *gaje* odwiedzane przy blasku

księżyca z pierwszą serca niedoświadczonego ponętą, z pierwszą istotą, która rzuciła w to serce przyszłe cierpień zarody, okrążyła go mglistem pasmem...«

»On« jest stanowczo najpoetyczniejszym utworem, na jaki dotychczas zdobył się Krasiński. Blednieje przy nim Sen Elżbiety Pileckiej i wszelkie późniejsze próbki sztucznych entuzyazmów. Szczere uczucie, prawdziwa miłość i to nieszczęśliwa, beznadziejna miłość wydobywa z piersi młodzieńczej rzewne i czyste tony... Szczęście mu jakby na to tylko zabłysło, aby skryć się natychmiast. Nie spodziewa się już wiele od życia ten Gustaw, samotny jak, tamten z IV. części Dziadów i smutny aż do śmierci jako tamten; nie przypuszcza nawet, że może go jeszcze coś okropniejszego spotkać, niż miłość bez nadziei ślubu, że i dla niego przyjdzie rok 1831, który z Gustawowych jęków i narzekań strąci go do Konradowych rozpaczy, by wznieść go potem do Konradowych — natchnień.

Dziwnem, niedającem się zaprzeczyć jest w tym ustępie, wydrukowanym w czerwcu 1830 r., jakieś instynktowe przeczucie niedalekiej, listopadowej rewolucyi. Ma podobne Mickiewicz, kiedy w lipcu tegoż roku pisze wiersz swój do »Matki Polki«; Krasiński przeczuwa niemal swą mimowolną, tragiczną bezczynność w r. 1831: »dusza jego nie znalazła dość siły ani w wewnętrznych uczuciach, ani w zewnętrznych obrazach, by oprzeć się boleści ponurej i ciężkiej, która podobna do wyrzutów sumienia na zawsze w sercu jego zasiadła i w żelazne ujęła okowy. Pożary otaczały go syczącemi płomieńmi, klęski

ludzkości (czy to nie pierwsze drgnienie »Nieboskiej«?) bitwy i rzezie nieprzestannie się snuły, miasta w perzynie, państwa zstępujące do grobu, przyjaciele ginący bez mocy wyrzeknienia ostatniej woli lub pożegnania, nawalnice przeciwnego losu, nic już na przekwitłem uczuciu nie mogły...« »On« samobójcą nie jest, ale Boga o śmierć prosi. Statek jego zwolna zatapia się w falach Oceanu.

Zakończenie nie jest pozbawione uroku: (250) »Nareszcie ujrzał, jak się wody przecisnęły aż na pokład okrętu, powoli objął go bałwan morski, kołysany zwolna, w jego łonie zagrążał się w pożądaną otchłań i ostatni promień słońca żegnającego ziemię, który igrał po rozwianych jego włosach, zmięszał się także z lekką i błyszczącą falą, która nad niemi się wznosząc, pokryła czoło młodzieńca jasnością kryształu, rozognionego światłem nieba.

Stylistycznie nawet jest »On« dowodem wyraźnym wyrobienia się i postępu znacznego. Niema wykrzykników: *och*!-ów i *ach*!-ów — jest za to pozorny spokój — po burzy – jest ten styl, że się tak wyrażę cery bladej, dowodzącej cierpienia, które zawsze ilekroć z szlachetnych płynie pobudek, upiększa, uzacnia człowieka. Jest to styl uszlachetniony przez miłość.

Należy jednak zauważyć, że i tu gallicyzmy się trafiają; »błagał potęgi nieba i piekła, by zakończyły życie nieznośne porównaniem uszłego, krótkiego szczęścia z długiem i obecnem nieszczęściem«.

Wyobraźnia jest jeszcze gorączkowo niespokojna i chorobliwe niemal nasuwa wizye: »przebywał spie-

kłe pustynie, żmijom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły i krew z ran ciekącą wysuszały w powietrzu, nim spadła na piaski(!)«.

Obrazy jeziora przerabia tu w wyobraźni swej na wrażenie morza. Ojcu donosi 29. Maja: »Byłem na statku parowym temu kilka dni wśród silnego wiatru, zupełnie jezioro do morza podobnym było; mgła zakrywała brzegi«.

Pomimo ciężkiego smutku żyć trzeba było dalej w Genewie. Przeziera z listów ciche pragnienie podążenia do Anglii — napomyka tu i owdzie o listach polecających do Anglii — lecz znając ojca mógł być pewnym, że ta podróż do skutku nie przyjdzie. Tymczasem lgnie widocznie do wszystkiego, co mu Anglią i Henryettę przypomina. Poznaje młodego anglika Way'a i dowiaduje się od niego ciekawych szczegółów o Metodystach i ich kościele, idzie na ich nabożeństwo w okolicy Genewy i bardzo żywo opisuje Ojcu wyniesione stamtąd wrażenia. Znać już z tego opisu, że kwestyami religijnemi się zainteresował, że z Reevem dużo o nich rozprawiał.

Jenerał przyjął wiadomość o miłości syna dla Angielki z wyrozumiałością — starał się syna pocieszyć; w duszy był może zadowolony, że to głębsze uczucie uchroni Zygmunta od zepsucia, a z czasem zostawi tylko czułe wspomnienie, do niczego nie obowiązujące. Syn był wzruszony do głębi współczuciem ojca. Ośmielony niem do dalszych wynurzeń, opisuje stan obecny swej duszy, odkrywa ze zdziwieniem moc i głębię nowego uczucia, sam siebie nie po-

znaje: »Nigdym nie miał pierwej wyobrażenia, bym był zdolny tak silnie, tak ogromnie czuć. Wiedziałem, że żywe mam chęci, ogniste pragnienia, ale nigdym się nie domyślał, by tak dzielna namiętność zamieszkać mogła w mojem sercu i żebym nią owładnięty, spadał coraz bardziej, t. j. tracił siłę moralną przez smętność. Muszę jednak wziąć się do pisania (!), może mnie to wyratuje...«

Tu schodzi się miłość własna z miłością autorską. Zygmunt Krasiński ma teraz w miłości swej dla Angielki obfitą kopalnię wrażeń — autorska ambicya będzie z tej kopalni czerpać długo, jakiś czas nawet wyłącznie. Ojciec, pragnąc może odwrócić trochę uwagę syna na inne tory, donosi mu o jakiejś niechętnej krytyce francuskiego Listu do Bonstettena o literaturze polskiej. Zygmunt domyśla się zaraz autora krytyki: »Poznałem w niej pióro hr. Leona Łubieńskiego i to mnie ucieszyło, bo kto się do takiej krytyki zniża, nigdy się do wyższych rzeczy ani pomysłów nie wzniesie. A jednak mógł ten młody człowiek(!) nad wieloma inszymi wzbić się; ale do wyniosłości nietylko rozumu, ale i serca trzeba. Tego ostatniego brakuje. Czasem, kiedy przypominam sobie, jak mnie zdradził, jak mi był niewdzięcznym, niewiem, czy lepiej nienawiścią, czy pogardą mu odpłacić. — A teraz życzę mu dobrej zabawy z krytyki mego listu, który zapewnie jest niedostateczny, młody, jak i jego autor, ale zdaje mi się w dobrej i polskiej, że tak powiem intencyi pisany. Opinia o nim Papy droższa mi nad wszystkie opinie wszystkich romantyków i klasyków«.

W następnym liście z d. 29. maja wraca Zygmunt do niewyczerpanego tematu swej miłości dla Henryetty Willan i określa ją jako uczucie na wskróś platoniczne, idealne, uczucie dla którego chętnie poświęciłby osobiste szczęście, byle nie narażać szczęścia drogich sobie osób, w pierwszym rzędzie ojca. Kiedy zaś ojciec, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że syn ostatecznie tę miłość »przefilozofuje«, pisze mu prosto z mostu: »romantyzm w głowie, a klasycyzm w sercu« — Zygmunt widocznie draśnięty do żywego, prosi, aby mu wolno było co do tego »maleńką uwagę uczynić« — i zamiast tej maleńkiej uwagi daje wcale długi i dobry wywód o romantyzmie i klasycyzmie, aby przekonać ojca, że w głowie może być tylko klasycyzm, a w sercu tylko romantyzm:

»Każda rzecz, znana już dawniej, zwyczajem, prawem i podziwem wieków uświęcona, zowie się klasyczną, podziwem massy, rozumie się massy, dla której konieczne są prawidła, prawa i przepisy. Klasyczną rzecz być nie może bez przepisów pewnych i praw przyjętych; wszystko zaś, co jest stałe, poważne, ustalone i przepisom podległe, należy do rozumu i do rozwagi; do rozumu, bo rozum jest władzą duszy rozbierającą, rozstrzygającą, przyjmującą i odrzucającą — do rozwagi, bo bez rozwagi ani przyjąć, ani odrzucić nic nie można. Stąd wypada, że klasyczność jest polem, nad którem zimny i namiętności pozbawiony rozsądek dzierży wieczne panowanie; kiedy tymczasem romantyzm, będąc rzeczą pochodzącą z natchnienia, rzeczą przepisom obcą, bo zmienną, jak serca zapały, jak chęci, namiętności, należy do

duszy, do serca. Wszystko, co wzbija się nad zwykłą sferę, co skrzydłami wyobraźni wsparte, rzuca błonia ziemi, by lecieć w górne obszary, (skąd niebezpieczny, przyznaję, upadek) wszystko to w wieku XIX zowią romantyzmem i wszystko to, zdaje mi się, musi koniecznie należeć do serca i być jego skutkiem i wypływem. Wszakżeż sercu praw nadawać nie można, wszakżeż skrępować go przepisami niepodobna, przewidzieć jego namiętności nikt nie może, ani wyrachować jego uczuć i pragnień. — Romantyzm także nie ulega żadnemu poddaństwu, i wolny, bez więzów, buja po umarzonych, po idealnych przestrzeniach.

»Więc dwie są rzeczy do wzięcia pod uwagę: z jednej strony Rozum, Rozsądek, u którego nic bez rachuby ani praw być niemoże — z drugiej serce, żadnej rachubie i prawom nie hołdujące. Następują skutki teraz po przyczynach. — Dwa są skutki: Klassycyzm i Romantyzm. Pierwszy, odwiecznych zasad trzymający się i za nie niewykraczający — drugi, urągający się z przepisów i zadawnionych form.

»Nieodzowną jest prawdą, że zawsze skutek jakiejś przyczyny zachowuje ślady tej przyczyny i ma nawet pewne oznaki z nią wspólne. Z tego rozumowania wypada, zdaje mi się, że do przyczyny: *rozum*, ściąga się skutek: klasycyzm, wspólne z nim mający cechy; a do przyczyny *serce*, skutek: romantyzm, zachowujący w sobie ślady i popęd dany przez swoją przyczynę.

»Nie chcę ja tu wchodzić w sprzeczkę, ale tylko to piszę, żeby Papie okazać, co myślę i jak te dwie

rzeczy uważam. Zresztą, mogę się mylić i nie mam tyle miłości własnej, bym moim słabym rozumkiem chciał walczyć z doświadczeniem ukochanego Papy. *Il me tient* tylko *à coeur* donieść Papie, że nie miłość własna była główną moją sprężyną, bo gdyby tak było, gdybym był przekonanym o tem, niezmiernie bym się widział spodlonym w własnych oczach«.

Miłość dla Henryetty nie zmniejsza się; ale z burzliwego, namiętnego uczucia, przechodzi powoli w sferę rzewnych wspomnień. Wcale prędko po wyjeździe panny Willan, bo 29. Maja, zaczyna Krasiński rozumować o swej miłości, co jest już poniekąd zapowiedzią, że się z tej miłości wyleczy: »Prawdziwie czuję, że ją wzniośle i pięknie kocham. Od czasu jej wyjazdu ciągle myślę o niej z czułością brata, troszczącego się o siostrę. Od miesiąca już nie miałem od niej wiadomości i to niezmiernie mnie zasmuca.

»Moje uczucie dla niej nie słabnie: owszem, coraz się zwiększa; ale niema już tej gorączki namiętnej, już tych pragnień zapału i uniesienia. Czuję *pewne* przywiązanie(!) dla niej, składające się z *pewnego* rodzaju wdzięczności, z miłych wspomnień i słodkich życzeń, które codzień wznoszę do Boga dla jej szczęścia. — Powiem także Papie, że nierównie czuję się lepszym i wznioślejszym w głębi duszy od czasu, w którym ją pokochałem. Więcej odwagi nabyłem wobec przeciwności życia, więcej litości wcisnęło się do mej duszy dla innych: słowem, czuję się lepszym i do wyższego stopnia podniesionym. To pochodzi także z tego, że wystawiwszy jej mój charakter pod jak najżywszymi farbami(!), mam jakąś w tem

miłość własną takim go utrzymywać, choć już jej tu niema«.

Niemałą oznaką uciszenia się wewnętrznego jest niespodziewana wiadomość o nowych studyach: »Wdałem się teraz aż po szyję w prawo polskie i muszę się go doskonale wyuczyć«. Nie zaniedbuje też angielszczyzny i donosi o tem w słowach, które każą się domyślać, że uważa podróż do Anglii za możliwą: »sądzę, że za trzy miesiące będę umiał dosyć po angielsku, by się z każdym w Anglii rozmówić, każdego Anglika zrozumieć... Profesora Roget'a bardzo chwali: »wybornym jest profesorem i zupełnie się różni od wszystkich Genewczyków i duchem i opinią...«

W pierwszej połowie czerwca otrzymał Krasiński od Ojca różne książki z Warszawy, a wśród nich swego Władysława Hermana i »Pamiętnik dla płci pięknej«, wydawany przez Gaszyńskiego. Niedojrzałości sądu dowodzi jeszcze to, że mu się Władysław Herman podoba: »dosyć dobrze swojemu celowi odpowiada, t. j. dążeniu do okropności i silnego wzruszenia«(!). *Pamiętnik dla płci pięknej* także mu się podoba, nawet bardzo, czy to dla doboru wierszy, czy też dla autorów, których wszystkich zna. Pisze dalej »Zawiszę«, ale »brakuje mu w tych czasach na wenie«. »W prawa polskie się wdał i już połowę ich ogromu przejrzał i wielu szczegółów nieznanych i interesujących się dowiedział«.

Z okolic najbliższych Genewy najmilszą mu jest wieś, zwana *les Paquis* (dziś już dzielnica Genewy, zapełniona ogromnymi domami), tuż nad brzegiem

jeziora. Często tam idzie na spacer, łatwo się domyśleć, dla czego: jest tam »domek w którym nikt teraz nie mieszka« — ale z pewnością mieszkała w nim do 13 Kwietnia rodzina Willanów. Wspomnienie Henryetty uświęciło mu ten zakątek:

»Jest przy Genewie, zaraz o kilkaset kroków za bramami, wieś zwana *les Paquis*, nad którą nic świeższego i piękniejszego wyobrazić sobie nie można. Domy czyste, białe, bez wystawy i zbytku, ale wytworne. Ogrody, kwiaty, krzewy w około i płoty uwite z zielonych krzaków i wijących się roślin: takich płotów nigdzie u nas niezdarzyło mi się widzieć, a bardzo jednak są piękne i nęcące zdaleka barwą swoją jasną i świeżą. Potem zaraz następuje brzeg jeziora i widok z niego na górę Mont-Blanc i pasmo *des Glaciers*, a przed niemi jeszcze widok na drugi brzeg Lemanu, okryty domkami i powabnemi ogrody. To miejsce jest najczęściej samotne, t. j. większa część *des Paquis* jest ludna i zamieszkała przez cudzoziemców, ale posuwając się drogą dalej, dochodzi się do domku, w którym nikt teraz nie mieszka. Przed nim jest ogródek pełny róż i winnych krzewów, otoczony nie wysoką zagrodą, a obok niej zaraz na dół się schodzi, na brzeg jeziora i mały jest tam port, dostateczny na dwie lub trzy barki. Wśród dnia, kiedy wszystkie inne miejsca są pełne ludzi i hałasu, to jedno jest samotnem i pustem, to jedno w milczeniu i tam zawsze zmierzam w moich przechadzkach — i największą jest mi przyjemnością tam pisać, lub odczytywać, com napisał. — Zagłębiam się w moim przedmiocie, czasami

podnoszę głowę i nakarmiam się pięknym w około widokiem: Ciche — smutne jezioro, po niem w oddali suną się statki z białymi żaglami. Dalej jeszcze, gdzie wzrok zasięgnąć może, zieloność i drzewa — dalej za tem góry, różane przy zachodzie słońca, a obok przy mnie kwiaty wonne i miękka murawa i u stóp moich konające fale Lemanu...

»Zresztą życie moje zawsze jest jednakowe: pracuję dzień cały, piszę »Zawiszę«, ale brakuje mi w tych czasach na wenie. W prawa polskie się wdałem i już połowę ich ogromu przejrzałem i wielu szczegółów nieznanych i interesujących się dowiedziałem. Wczoraj wpadło mi pod rękę dzieło Chodźki, świeżo w Paryżu wydane p. t. „*Tableau de la Pologne*«; to jest przerobienie z dzieła Maltebruna... W tem samem dziele jest także i moje tłómaczenie broszurki Lelewela o polskiem prawodawstwie, które uczyniłem, będąc jeszcze w Liceum«.

Donosi w tym czasie (12 Czerwca) ojcu o »największym tryumfie literackim«:

»Napisałem po francusku mały kawałeczek o Legjach polskich, kończący się na tem, że stary żołnierz wraca do ojczyzny po długiej niebytności i walkach. Napisałem to był na moję zwyczajną lekcyę stylu z panem Roget i starałem się wydać w tem czułe uczucia moje.

»Po przeczytaniu mu tego kawałka obróciłem się ku niemu i ujrzałem dwie łzy spływające po jego licach.

»Zapewne, to pochlebiło mojej miłości własnej, ale szczerze powiem, że jeszcze górę nad tem wzięło

przyjemne uczucie, *qu'il compatit* nieszczęściom mojego kraju«.

Krótka ta fantazya poetyczna ($3^1/_2$ kartki druku), ujęta w poprawną prozę francuską, składa się z 3 części. W pierwszym ustępie Krasiński opisuje czułe pożegnanie legionistów w piękny majowy poranek z ziemią rodzinną — w drugim daje rzut oka na ich czyny wojenne, głośne po całych Włoszech; w końcowym ustępie widzimy wynędzniałego, zbiedzonego legionistę, który wraca na to samo miejsce, skąd niegdyś młodzieńcem wyszedł; niepoznaje zrazu okolicy, wreszcie z zanadrza wydobywa woreczek z ziemią rodzinną, co tyle lat na sercu jego spoczywała, i wysypuje ją, mówiąc: »Terre de Pologne, retourne à ta mère... Je t'ai portée par tout le monde, serrée contre mon coeur; à présent je te rends d'où je t'ai prise«. Z westchnieniem ruszył dalej w swą drogę stary legionista i na tem się kończy nowelka.

Krótka treść nie może dać wyobrażenia o podniosłym nastroju patryotycznym, jakim całość jest owiana. Jest to jakby hymn na cześć matki ziemi, ziemi polskiej, droższej nad wszystko, o której legionista nie przestał myśleć ani pod piramidami Egiptu, ani w cieniu bananów na St. Domingo, ani w czarodziejskich pałacach Alhambry. A jednak trud życia całego nie wydał plonu. Ów »wielki człowiek«, który za cenę krwi polskiej obiecywał legionom wskrzeszenie ich ojczyzny, »w jej dawnym blasku« — przyrzeczeń nie dotrzymał i stary legionista nie będzie mógł umrzeć szczęśliwym...

Bezwątpienia książka L. Chodźki o legionach Polskich poddała Krasińskiemu myśl napisania tej drobnej powiastki. I znowu jest rzeczą charakterystyczną, że w tym samym prawie czasie Mickiewicz myślał także o epopei p. t. *Legionista*, a w Genui (16 Lipca 1830) na prośby dyrektora orkiestry, polaka Mireckiego, snuł wątek libretta dla opery, której bohaterem miał być Tadeusz, legionista.

Z lektury ówczesnej wymienia: „Degerando: *du perfectionnement moral*“, obiecując sobie stąd niemało korzyści duchowej.

Od 27 Czerwca 1830 r. bogaty materyał korespondencyi Krasińskiego do Ojca zwiększa się jeszcze listami do Reeva, podróżującego po Szwajcaryi. Rozpoczyna się korespondencya francuska z przyjacielem, ogromna, pełna szczegółów, ale przez to samo nie łatwa do opanowania. Rzuca ona wielkie światło na inne strony duchowe Krasińskiego. Listy do ojca mają mimowoli nastrój pewnej zależności i powciągliwości w słowach: są szczere ale niejedno pomijają milczeniem, nie jedno zbywają krótko z obawy, by nie obudzić podejrzliwości ojcowskiej. Do Reeva zaś pisze śmiało, jak do rówieśnika, do towarzysza sercowych udręczeń, bo i Reeve zakochany jest w pannie Konstancyi Sautter, (z patrycyatu genewskiego) która mu jednak wzajemnością nie odpłaca. Listy do Reeva rozjaśniają mnóstwo szczegółów literackich, poglądów estetycznych i filozoficznych dojrzewającego Krasińskiego, zawierają w sobie ukrytą historyę ewolucyi duchowej przyszłego twórcy N i e b o s k i e j. Uzupełniają się wybornie listami do ojca. Odmienne

temperamenty i zdolności Reeva i Krasińskiego wyzywają się wzajemnie w listach, toczą spory, krytykują się lub chwalą — bezwiednie, mimowolnie odsłaniając raz po raz światła i cienie swych moralnych, duchowych zasobów.

Jest mianowicie jedna strona ciekawa w listach do Reeva: rojenia o Henryecie będą tu odźwierciedlone w sposób dokładniejszy, a zarazem poetyczniejszy, niż w listach do ojca. Jenerał sceptycznie zapatrywał się na całą tę miłość, a Zygmunta raziło to i onieśmielało w zwierzeniach. Ojcu z obowiązku potem zdawał sprawę z swych uczuć, — przed przyjacielem, także zakochanym i cierpiącym, odkrywał smutek swój cały, bez przemilczeń i retuszu.

W jakąś bezsenną noc czerwcową odczytuje Krasiński broszurę moralną Boissier'a *„Les retrouverons-nous dans un monde meilleur"*? Choć styl tej broszury zupełnie prozaiczny i suchy, Krasiński czerpie z niej otuchę (*„consolation, vie et espérance"*) powiada, że po ukończeniu Zawiszy napisze podobny utwór po polsku, zdobiąc go wszelkimi klejnotami wyobraźni i poezyi. Poświęci ten utwór tej, która go natchnęła.

Lekcye z Rogetem wywołują swoją drogą dalsze utwory drobne francuskie.

Po Legionach Polskich, które staraniem Rogeta »ukazać się mają w Bibliothèque Universelle wraz z innymi niektórymi kawałkami« — napisał Krasiński historyę młodzieńca, który jest poetą w duszy, czuje piękność i wzniosłość, a nic

wyrazić, niczego napisać nie umie. (Por. List pierwszy do Reeva).

Zupełne milczenie o tym utworze, którego autograf Reeve nam przechował, panuje w liście do ojca; natomiast o innych szczegółach Jenerałowi donosi: o zamierzonej w sierpniu wycieczce do Chamouny, w okolice Berna, Interlaken i Lucerny — o poglądach swych na Władysława Hermana, już o wiele surowszych (»rzecz pisana w szale romantycznej okropności, kiedym sądził, że okropność jest wzniosłością«), wreszcie krótko o nadziejach, przywiązanych do Zawiszy: »Może »Zawisza« lepiej się uda«. Od zarzutu ojca, że kochanek Henryety może z czasem stać się śmieszną kopią Celadona, osławionego bohatyra romansu *L'Astrée* (w. XVII), broni się Zygmunt w sposób pełen godności, a zarazem świadczący, że odtąd już nie tak skwapliwie będzie się zwierzał z swymi sercowymi kłopotami przed ojcem; ma teraz zresztą czulszego, bliższego, wyrozumialszego powiernika: Reeva.

Interesujące są tam uwagi o J. J. Rousseau i o młodzieży genewskiej; znać w nich poniekąd wpływ zapatrywań F. Roget'a, który wyrzekał na zmaterializowanie społeczeństwa genewskiego.

Genewa bez Henryety jest pusta, a zaczyna być niemiła. — Widoki, krajobrazy prześliczne są — »piękny to kraj zaiste, gdzie można się takim widokom przypatrywać, ale ludzie tutejsi ich nie czują: są góry — ale niema ludzi, jak sławny jakiś pisarz powiedział«.

W pierwszych dniach Lipca pisze Krasiński fanta-

zyą p. t. *La Confession de Napoléon* a to pod wpływem wiadomości wyczytanej w Lacretellu o tajemnej spowiedzi Napoleona przed śmiercią. Utwór ten ukończył 8 Lipca 1830. *La Confession de Napoléon* nie wyszła z druku, nie pojawiła się w *Bibliothèque Universelle*, pomimo, że Krasiński zapowiada ojcu (w liście z d. 16 Lipca), że Spowiedź Napoleona przeszle wraz z *Legiami polskiemi* »po ich wydrukowaniu w Septembrze«.

Powodem niewydrukowania była zapewne opozycya w redakcyi Bibliothèque Universelle przeciw artykułowi, tchnącemu wysokiem uznaniem dla Sakramentu pokuty, który, jak wiadomo, nie jest Sakramentem u kalwinów. Utwór pod tyt. »Spowiedź Napoleona« nie zaginął; dochował go Reeve w autografie; w przekładzie polskim podała »Biblioteka Warszawska« (1901, III, 209—216).

Pomimo wielkiego zamiłowania w angielszczyźnie nie zapomina ani o polskiej literaturze, ani o rozpoczętym Zawiszy. Ojca prosi, by mu przysłał dzieła Brodzińskiego; Gaszyński ma mu załatwić literacką kwestyą i ma wypisać z Niesieckiego »cały artykuł o Zawiszy Rokszycu«. — »O ile pamiętam, nie jest długim i więcej nad kartkę nie zajmie«. Widać z tego, że już w Warszawie zbierał sobie Krasiński materyały do swego romansu o Zawiszy. Czas, pomimo upału lipcowego spędza Krasiński niezmiernie pracowicie: »Moje dni pędzę wśród kałamarza, pióra, historyi polskiej i powszechnej, dzieł angielskich i Zawiszy. Wieczory obracam na samotne przechadzki, w których mam upodobanie po całodziennej pracy«.

Zawisza (16 Lipca 1830) jest już widocznie bliski ukończenia, gdyż Krasiński pisze w połowie Lipca do Warszawy z zapytaniem do hr. Józefa Krasińskiego, czy zechce podjąć się druku Zawiszy, »którego godzina wyjścia na świat dobija«.

Protestantyzm genewski, przechodzący wówczas ciężkie przesilenie, budzi w 18-letnim młodzieńcu poważne myśli o wierze i o stosunku religii do Państwa. Wyrazem tych rozmyślań jest następujący, ciekawy i charakterystyczny wyjątek z listu do Ojca (16 Lipca 1830).

»Od niejakiego czasu różne porobiłem sobie uwagi nad stanem duchowieństwa w Genewie... Rozgałęziła się w tych stronach religia protestancka na mnóstwo ramifikacyj, które codzień się mnożą i trudności wiele za sobą prowadzą. Pastorowie nie wiedzą co już czynić. Krytyczne ich położenie, bo rząd zupełną tolerancyą ogłosiwszy, nie miesza się do sekt powstających, z których każda nowego obiera sobie pastora i utrzymuje: ci za tym są ministrem, ci za tamtym, ci na tego idą kazanie, tamci na tamtego. Stąd wypływa, że wkrótce nie będzie już żadnej religii stanu, t. j., że pastorowie, przez Rząd upoważnieni, nie będą mieli co robić, lub przynajmniej bardzo mało, a takim sposobem Rząd wszystkie uznając religie, żadnej sobie nie zatrzymując, (do czego przymuszonym zostanie siłą okoliczności), stanie się Rządem wszystkich wyznań i żadnego zdania mieć nie będzie: t. j., że Rząd i Religia do stanowczego rozdziału przyjdą, że religia będzie dla indywiduów, ale już nie dla massy.

»Z dziwnego tego skutku dalej wypłyną wielkie szkody, i coraz większe rozdrobnienie się wiar i wyznań pojedynczych, a kiedy taki stan rzeczy dojdzie do ostateczności, zdaje mi się, że druga ostateczność wkrótce po niej nastąpi, t. j., że katolicyzm jeden i nierozdzielny znów weźmie górę. Bo ludzie przypisując rzeczy samej szkody, z ich nierozsądku wynikłe, opuszczają rzecz samą i wracają do tego co dawniej było; aż znowu namiętnościami swemi nie zepsują tego i znów porzucą, by znów potem wrócić.

»Zdaje mi się więc, że teraz nadchodzi kryzys na religią protestancką, teraz mówię tj. w przeciągu 40 lub 50 lat, jeśli zawsze rzeczy iść będą podobnym do dzisiejszego trybem«.

Bystrości rozumowania nikt nie odmówi tym uwagom młodziutkiego socyologa, a słuszność przewidywań jego, nawet co do daty, sprawdziły aż nadto różne przesilenia protestantyzmu i kalwinizmu w Szwajcaryi, którym towarzyszył stały wzrost i wzmocnienienie katolicyzmu (Pius-Verein). W bezpośrednim związku z wyrażonemi w liście do Ojca zapatrywaniami jest artykuł *„Sur le Clergé“* (z dnia 15 lipca 1830), odznaczający się ścisłem, logicznem rozumowaniem i wybornym stylem francuskim.

Nadchodzą upały sierpniowe. Stosownie do projektu, dawno ułożonego, puszcza się Krasiński wraz z mentorem swym Jakubowskim i Reevem na wycieczkę do Chamounix 2 Sierpnia. — 4 Sierpnia wziąwszy przewodników i muły, już o 4-ej z rana wyjechali na górę Montanvert, która przytyka do Mont Blanc, pieszo przedostali się do t. zw. »morza lodów«,

a po trzygodzinnej dalszej drodze wśród wąwozów, doszli do t. zw. »ogrodu, przestrzeni zielonej i kwiecistej pośród lodów i śniegów«.

6 Sierpnia wyjechali z Chamounix na mułach i przez górę Tête Noire przedostali się do Martigny. Podróż ta nie zostawiła miłych wspomnień, z powodu jednostajności wrażeń, i jazdy na mule, nieznośnej dla Krasińskiego. Z nudów wziął się wtedy do pisania wierszy na mule »i pierwszy raz w życiu udało mi się kilka znośnych napisać«. Chce je Krasiński posłać Gaszyńskiemu, ale wprzód musi je pokazać Odyńcowi, który właśnie bawił w Genewie z Mickiewiczem.

»Przyjechali — pisze do ojca Zygmunt Krasiński — oba w wilią mego wyjazdu i przez chwilę tylko Odyńca widziałem, ale teraz spodziewam się nacieszyć jego towarzystwem przez dni, które będę bawił w Genewie, wprzód nim udamy się do Bernu i do Lucerny, skąd wrócimy 1 Septembra«.

7 Sierpnia z Martigny wdzierali się na górę Śgo Bernarda. W słynnym klasztorze przenocowawszy, nazajutrz zwiedzili kościół, a schodząc niżej *La Morgue* (trupiarnią), gdzie go przejął widok zastygłych zwłok matki z dzieckiem. Z Martigny piękną drogą Symplonu dojechali 9 Sierpnia do Montreux, skąd 10 Sierpnia statkiem parowym dostali się do Genewy. — Sens moralny tej całej wycieczki był ten, że zakochany młodzieniec wszędzie w podróży widział tylko swój ideał, swoję Henrykę: »cokolwiek pięknego lub wzniosłego spostrzegałem w przyrodzeniu, to mi przypominało Henrykę, t a k j a k g d y-

bym ją przed sobą widział, — a jednak nie ma żadnego podobieństwa między nią, a skałą, okrytą lodem. — Ale wszystko, co wzniosłe w niebie, co piękne na ziemi, zawsze mi ją przypomina. Jej wyobrażenie połączone u mnie z pięknością moralną i fizyczną wszędzie. Jeśli patrzę na uśmiechającą się okolicę, widzę ją zaraz przed sobą, jeśli czytam coś pięknego, zdaje mi się, ze czytam jej imię. Smutno mi teraz myśleć, że Papa powie: »On szaleje«; bo prawdziwie czuję, co piszę i mocno czuję — i choć wiem, że śmiech wzbudzę, muszę to pisać. *To nieco ulgą jest sercu.*

Opis podróży swej radby posłać Gaszyńskiemu do Pamiętnika, nie wie tylko, jak sobie dać radę: »Są to ułomki, w których opisuję celniejsze miejsca«. Zawiszę też radby drukować: »kosztował on mnie tyle pracy, że pragnąłbym, by na świat wyszedł. Gdyby został w pularesie, byłoby to niejako *une fausse couche*“.

11 Sierpnia widzi się z Odyńcem, który go przedstawia Mickiewiczowi. Oto, jak opisuje pierwsze wrażenia tej znajomości Krasiński:

»Mickiewicz bardzo grzecznie mnie przyjął; ale jest bardzo bladym i słabym; małego wzrostu, wychudłej twarzy, ale pięknych, spokojnych, melancholicznych rysów.

»Towarzystwo Odyńca niezmiernie mi jest miłem; wiele przyjaźni mi okazuje i wdzięczności za dobroć Papy. Mickiewicz jest zimny, ponury. Wygląda na rozsądnego bardzo człowieka. Dziwne czasem ro-

bimy sobie o ludziach wyobrażenie, które upada za ich poznaniem«.

Łatwo z tych wierszy poznać pewne rozczarowanie Krasińskiego co do Mickiewicza. Trzeba przypomnieć, że Mickiewicz wogóle nie zawierał chętnie znajomości nowych, a właśnie wówczas nie całkiem był zdrów fizycznie, moralnie zaś cierpiał bardzo z powodu niepewności i niepokoju o Ankwiczów, którzy przebywali w Paryżu, wzburzonym niedawną rewolucyą. Nierozwikłany stosunek jego do panny Ewy Henryety Ankwiczówny, nie odbierał mu jeszcze nadziei pomyślnego wyniku pragnień serca, ale też nie dawał spokoju myślom. Dlatego to wydał się Krasińskiemu wówczas »zimnym i ponurym«. Już po kilku dniach zachwycony nim będzie autor »Legij polskich«.

Tymczasem i Odyniec patrzył na Krasińskiego, jakby go raz pierwszy zobaczył. Nie poznawał małego Zygmuntka, któremu przed rokiem w Warszawie zdawał sprawę z obiadów czwartkowych u Jenerała. »Rok ledwo, jak go po raz ostatni widziałem w Warszawie, a cóż to już w nim za różnica! Rychtyk jak między panienką w krótkiej a długiej sukience. Tam, był to jeszcze tylko bystry, sprytny, przenikliwy studencik; teraz, choć ma zaledwo rok 18-ty, jest to już pełen siły i zapału młodzieniec, i genialny — jeżeli może jeszcze nie myśliciel, to przynajmniej marzyciel-poeta; chociaż wierszy zgoła pisać nie umie i w prozie tylko probuje sił swoich. Prawda, że jest on też tu właśnie, jak kwiat, czy owoc dojrzewający na słońcu, to jest rozwija się

i dojrzewa nie przez to tylko, że się uczy i myśli, lecz i że po raz pierwszy kocha się na dobre...«

Odyniec dokładnie był wtajemniczony w sercowe sprawy Krasińskiego w Genewie i mógł sobie wytłómaczyć teraz duchową przemianę »przenikliwego studencika« w pełnego zapału i siły młodzieńca, który »przy najwznioślejszej szlachetności uczuć i myśli, ma je wszystkie takie skrzydlate, że ciągle tylko bujają nad ziemią...«.

Dawno zamierzona podróż Krasińskiego po Szwajcaryi, przyszła teraz do skutku w towarzystwie Mickiewicza i Odyńca. Mamy z niej potrójne sprawozdanie: w listach Odyńca do przyjaciół, w liście Krasińskiego do ojca i w dzienniku jego z podróży. Widzimy z nich jasno, jak doniosłe znaczenie miała ta ta kilkutygodniowa wspólna podróż dla rozwoju duchowego autora »Zawiszy«. Po wykładach Rossiego, po lekcyach Roget'a, rozszerzających widnokrąg umysłowy i wydoskonalających styl — obcy, odetchnął Zygmunt Krasiński przy boku Adama Mickiewicza pełną piersią i zaczerpnął na całe życie filareckiego ducha. Przy tym genialnym nauczycielu, bez lekcyj i wykładów nauczył się inaczej, zdrowiej na świat spoglądać, a dalszym jego myślom, natchnieniom, aspiracyom poetyckim nadał kierunek śpiewak Wallenroda i Farysa.

Podróż szła z Genewy na Vevey i Montreux ku przełęczy Col de Jaman, skąd przez Monbovon weszli w kanton fryburski i bez zatrzymywania się, bo deszcz i mgły zasłaniały piękne okolice Gruyères, na Chateau d'Oex i Weissenburg dotarli piękną doliną

Simmenthal do miasteczka i jeziora Thun. Po drodze Krasiński odczytywał Odyńcowi owe wiersze napisane na mule w podróży do Chamounix. »Koszlawe dość i chropawe, tak, żeśmy się z nich obaj uśmieli« — pisze Odyniec. »Zaklął mnie na wszystkie świętości, aby o nich Adamowi nie mówić. A jednak w treści jest myśl poetycka i zapał i barwność; tylko, że forma niezgrabna, brak zwłaszcza poczucia miary i muzykalności rytmu. Przedmiotem ma się rozumieć jest Miss Harry. I rzecz szczególna jak to samo imię Henryeta w dwóch tak różnych osobach nad Tamizą i Sekwaną, jednostajnie w tej chwili obu moich towarzyszy zajmuje«.

Ani się domyśla Odyniec, że tożsamość imienia stanie się niebawem powodem fatalnej omyłki państwa Ankwiczów. — Przy wspólnem zwiedzaniu podziemi więziennych w zamku Chillon Mickiewicz mówił podniośle o okrucieństwie ludzkiej przemocy i o potężniejszej nad nią sile ducha ludzkiego. Przyszły mu może na myśl wspomnienia filareckiej niedoli. Odyniec zaznacza w listach: »Zygmunt słyszał po raz pierwszy mówiącego w ten sposób Adama i mówił mi, że słuchając, o Byronie i Bonniwarze zapomniał«.

Przy przejściu Col de Jaman, podniecony wspaniałym i rozległym widokiem, jaki się z tamtąd rozciąga na jeziora Genewy, Neuchatel i Morat, »wrzał Krasiński poetyckim zapałem«, a nie mogąc go wydać inaczej«, w dzienniku Odyńca ołówkiem, siedząc na ziemi na szczycie Jamanu, cały rapsod o nim napisał«. Wyjątek z tego »rapsodu« »najlepszego zre-

sztą ze wszystkich«, przytoczył Odyniec w swych listach, dodając zarazem komentarz i uwagi Mickiewicza o malarstwie w poezyi:

»Jezioro tak spokojne i ciche, jak w pierwszym dniu stworzenia. W przeźroczystej jego powierzchni odbija się sklepienie niebios. Błękity górnej, powietrznej, — i dolnej wodnej przestrzeni stykają się w niem razem. Tu płynie barka z srebrzystemi żaglami, tam płynie obłok łabędziej białości. Zdaje się ono brzemienne i własnym i cudzym lazurem. Cała piękność przyrodzenia w jego piersiach zamknięta. Wszystko, co nad brzegami stoi, wszystko, co nad falami się wybija, po raz drugi istnieje w jego toniach. Ono jedno jest sobą samem i całą naturą zarazem. W niem i wód kryształ i niebios obszary i skał wierzchołki razem się malują. Ono zda się być duszą całej okolicy. Każdy jej ruch, uczucie, działanie, musi na jego licach odbić się koniecznie. Wodospad w niem po raz drugi spada z urwisk góry; chmura powtórną drogę przelatuje; każdy promień słońca w jego łonie na błyskawicę się zmienia i górne swe ognisko odzyskuje. W pozostałej naturze wszystko jest raz tylko pięknem; w nim i przez niego (!) wszystko dwa razy jest wzniosłem: i dzięki jego przeźroczystym falom, serce z podwójną siłą bije tem samem uczuciem na szczycie zielonego Jamanu«.

Odyniec stwierdza, że ustęp ten »niezmiernie się Adamowi podobał«. Wszczęła się rozmowa o malarstwie w poezyi, a uwagi Mickiewicza godne są tu przypomnienia:

»Obrazowość w poezyi starożytnej miała raczej na-

turę rzeźby niż malarstwa; jak w ogólności sama rzeźba górowała ponad malarstwem... kontury były jasne i wyraźne, o koloryt mniej dbano. Średniowieczna sentymentalność w uczuciach, jak w przewadze malarstwa nad rzeźbą, tak też odbiła się zarówno w rodzaju obrazowości w poezyi, aż i ją samą nakoniec pociągnęła za sobą w przesadę. Jak więc utrzymać przyzwoity środek, owo *iustum medium* błogosławionych? Prawda, jak zawsze i wszędzie, jest i tu jużciż najpewniejszą podstawą i prawidłem. Ale czy tylko prawda samej rzeczy, czy i odbieranego od niej wrażenia? Sama wierność np. szczegółów w krajobrazie, które słowo koleją tylko może przedstawiać, łatwo zrobi go raczej mapą, niż obrazem; ale też opis samych tylko wrażeń, choćby nawet zachował koloryt, niemniej łatwo może kontury, lub i sam kształt przedmiotu, zatrzeć lub zaciemnić.

»Otóż Adam w tym ustępie Zygmunta chwalił bardzo a bardzo to żywe połączenie widoku z wrażeniem w umyśle patrzącego, i to z całą naturalnością i prostotą, bez żadnej sentymentalnej, tendencyjnej pretensyi«.

Mickiewicz ośmielił swemi pochwałami Zygmunta Krasińskiego do obfitych wynurzań swych myśli, słuchał go uważnie i starał się cierpliwie wyrozumieć, ku niemałemu zdumieniu Odyńca, który znał Mickiewicza z tej strony, że nie zadawał on sobie zwykle trudu w przekonywaniu drugich i prostowaniu ich mylnych zapatrywań, »zwłaszcza ze swoimi, których albo z góry wyłaje, albo milczeniem tylko *veto* swoje wyraża«.

Rozgrzany pochlebnym sądem Mickiewicza i pouczającą rozmową, Krasiński wobec Odyńca »wściekał się zwłaszcza na klassyków i krytyków warszawskich za głupie ich uprzedzenia i płytkie sądy o Adamie, od którego (jak się wyraził) posłyszał w jednej godzinie więcej nowych i rozumnych rzeczy, niż od nich w całym ciągu obcowania z nimi«.

W dalszej drodze odbywały się między Odyńcem a Krasińskim »lekcye wierszowania«. Krasiński miał z sobą poezye Shelleya, »odznaczające się rozmaitością i harmonią miary wierszowej«. Te mu radził Odyniec tłómaczyć z zachowaniem miar i rytmu, nie troszcząc się o zachowanie sensu. Wynikały z tego oczywiście dziwolągi, z których młodzi poeci śmiali się do rozpuku. Po kilku dniach wierszowania z Odyńcem doszedł wreszcie Krasiński »do poczucia uchem, bez liczenia na palcach, różnicy w ośmiozgłoskowym wierszu, między średniówką na czwartej a na piątej syllabie. On to zaraz przemienia na miary łacińskie, które umie doskonale na pamięć...

»Zygmunt jednak ma ucho bardzo muzykalne i gra ślicznie walca Webera«.

W Interlaken Krasiński oddawna rozmyślający pod wpływem broszury Boissier'a o stosunku zagrobowym dusz ludzkich, napisał długi ustęp, albo jak mówi Odyniec, »sążnisty *rapsod* (!) filozoficzno-poetyczny o spotykaniu się po śmierci dusz kochających się za życia«.

Krasiński donosi o tem ojcu w następujących słowach: »Niepogoda przymusiła nas siedzieć całe popołudniu w Interlaken. Dla odpędzenia nudy, napi-

sałem w tym dniu broszurkę po polsku, której treść wyda się dziwaczną papie. Jest to rozprawa dowodząca, że dusze osób przywiązanych do siebie za życia, spotkają się po śmierci. Od czterech miesięcy już mi ciężyło na sercu, bym się z tą myślą wypisał i ten ciężar zrzuciłem w Interlaken«.

Cała droga do Lauterbrunn zeszła na rozmowie towarzyszów podróży o poezyi w ogóle, a o romantyzmie w szczególności. Krasiński zdumiony był zapatrywaniami Mickiewicza, który »wyśmiewał albo gromił to właśnie, o co jego samego klasycy warszawscy posądzali i oskarżali najbardziej«.

Odyniec przypuszcza, że Mickiewicz rozwiódł się nad romantyzmem umyślnie, aby Krasińskiemu dać »wyobrażenie prawdziwe o naszym romantyzmie wileńskim«, okrzyczanym na obiadach u Jenerała. Mówił więc mistrz naszego romantyzmu *szeroko*, że wyzwolenie się z pod ciasnych formułek pedantów, albo z dowolnych więzów, narzuconych przez modę, nie znaczy wcale pogardy odwiecznych praw zdrowego rozsądku, dobrego smaku i przyzwoitości, tak w myślach, jak w wysłowieniu; ale tylko, że istotną zasadę romantyzmu stanowi możność i wolność studyowania prawdy nagiej, z odrzuceniem jej draperyi czasowych; jak rzeźbiarz z nagiego modelu uczy się budowy ciała, nim je potem sam w dziełach swoich stosowną draperyą okryje. Jeżeli zaś t. zw. klasyczny ideał możnaby sprawiedliwie przyrównać do manekina, na którym krawcy i modniarki przymierzają nowo zrobione suknie i kapelusze; to tem mniej (?) można brać za ideał żywych mania-

ków, którzyby gwałtowne gesta lub kontorsye w twarzy chcieli udawać za dowód większej siły uczucia«.

Krasiński o tej dyskusyi w drodze do Lauterbrunn przemilcza: ale widocznie była ona dla niego przełomową w zapatrywaniu na Mickiewicza, bo w dwa dni potem zapisuje w dzienniczku (21 Aug.) przesłanym potem jako list do ojca: »Mickiewicz nieco się ożywił i lepiej z nami zapoznał. O, jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległej on jest nauki, umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historyą, filozofią, matematykę, chemię i fizykę. W literaturze, nikt może w Polsce tyle niema znajomości. Słysząc go mówiącym, zdaje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletniem czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach.

Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego«.

Zbawienny wpływ Mickiewicza zaznaczył się zaraz podczas podróży szwajcarskiej w dzienniku tej podróży, pisanym po francusku może z zamiarem przesłania go Henryecie Willan. Dziennik to pisany już bez afektacyi, bez przesady, a zawiera tak silne odczucie krajobrazu, że dziś jeszcze, po latach 70-ciu kilku, wieje stamtąd woń łąk alpejskich. Dar spostrzegawczy jest w dzienniku podróży szwajcarskiej wprost zdumiewający.

Odyńcowi z pewnością zdawało się w roku 1830, że jest większym od Krasińskiego poetą, dlatego, że uczył młodszego od siebie brata w Apollinie, jak pisać wiersze, nie licząc na palcach zgłosek. A przecież już wówczas nawet, już z tych prozą pisanych a poezyą tchnących obrazków przyrody Krasińskiego, które sam Odyniec w listy swe wplata, znać wielkiego artystę, co odczuwa naturę silniej, a wrażenia swe oddaje śmielej i energiczniej, niż roztrzepany i rozgadany Odyniec. Wieczorem 21 sierpnia siedzą obaj przy oknie hotelowem i podziwiają Jungfrau, oblaną promieniami zachodzącego słońca. Obaj spisują następnie swe wrażenia współczesne, a z tych opisów przekonać się można o prawdzie starego adagium: si duo faciunt idem, non est idem. Opis Krasińskiego jest prosty, w szczegółach i kolorach realistycznie wierny, w odczuciu idealnie poetyczny. Odyniec nie umie stopniować ani kolorów, ani wyrazów; porównania jego, same w sobie trafne, nie wiążą się z całością i w przejściach rażą. Widok góry Jungfrau przy zachodzie słońca i jego przejął, i nim wstrząsnął do głębi, ale słowa jego mają się do fantazyi świetlnej Krasińskiego, jak zwykła fotografia do krajobrazu malarza-artysty, który farb nie dobiera i efektów kolorytu nie oblicza — lecz z zapałem twórczym przenosi na płótno majestat przyrody, przed którą się korzył w zachwycie.

Na odczytywaniu wspólnie z Odyńcem poematu Shelley'a *Queen Mab*, na rozmowach to o krytyce i krytykach, to o moralności w teoryi i w praktyce schodziły miłe dni wycieczek w okolicach Meyringen,

Hasli i Grimsel. W Handegg, po zwiedzeniu wodospadu rzeki Aar. skreślił Krasiński w dzienniczku Odyńca opis swych wrażeń, p. t. Spadek Aary. Notatki te dadzą się porównać do pobieżnych szkiców, które nietylko mają posłużyć malarzowi do utrwalenia głównych zarysów krajobrazu, ale są zarazem ćwiczeniem ręki i oka w *szybkiem* utrwalaniu zmiennych co chwila i różnobarwnych wrażeń.

Jakiż tu postęp widoczny w stosunku do pierwszych mozolnych prób widoków góry Montblanc w listach do ojca! Jaka już pewność w doborze wyrazu właściwego, jaka potoczystość i malowniczość okresu, jak znamienna dążność do zharmonizowania całości i dostrojenia jej do jednego głównego tonu (potrójna przepaść — ciemne sosny — ryk wód — trzy mosty drżą od gwałtowności i szumu potoków — straszliwa Aara...)

Andermatt, Furka, Most dyabelski, Jezioro czterech kantonów, Rigi — oto punkty wytyczne dalszej wycieczki, opisanej szczegółowo przez Odyńca, dość pobieżnie w listach Krasińskiego do ojca. 30 sierpnia stanęli w Lucernie, która się Krasińskiemu więcej od Genewy podobała. Charakterystycznem jest dla usposobienia religijnego poety, że zwrócił uwagę na katolicyzm Lucerny: »kościołów katolickich dwa, a bardzo lubię katolickie kościoły po dawnem ich niewidzeniu«. Czwartego września wrócili do Genewy, syci wrażeń i ożywieni. Krasiński podkreślając sumę tych wrażeń kończył tak list swój do ojca: »Ogółem podróż ta przyjemną mnie była, a towarzystwo Mickiewicza niezmier-

nie pożyteczne. Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem — i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie, wpływ dobry i szlachetny.

»... Miałem teraz polować trochę, ale za smutny na to jestem. Zamknę się w pokoju i będę czytał i uczył się«.

Powróciwszy z tej pamiętnej podróży, pisze Krasiński dalej rozmaite fragmenty. Niektóre uważać należy za ćwiczenia w rysowaniu obrazków psychologicznych na zadany samemu sobie, obojętny temat; ale tuż potem powstają zwierzenia genialnej duszy, spragnionej rozwiązania wiekuistej zagadki bytu.

Jeden z Fragmentów, pisany w październiku 1830 r., jest niezmiernej doniosłości w historyi rozwoju duchowego poety. Zawiera on bowiem w zarodku pomysł postępowej ewolucyi ludzkości ku Bogu, a sama data świadczy o tem, że na lat 10 przed Prolegomenami Augusta Cieszkowskiego, przyszłym twórcą »Myśli Ligenzy« wstrząsały prądy filozoficzne; już wówczas, w 1830 r., treść Bóstwa oswobadzał on »z wież gotyckich i nieskończoność dawał mu za mieszkanie«; a z głębokiem poczuciem godności człowieczej wołał tam:

»Dusza moja w nieśmiertelności swej nie ustępuje Tobie!«

Śmierci już wtedy nie uznawał.

»Jest — zdaniem jego — tylko życie i wieczna przemiana. Gdy będę z Tobą, może znowu czegoś

wyższego się domyślę? Z domysłów stwierdzonych ku domysłom wszczynającym się wzrastać będę zawsze, wzlatywać ciągle, aż w końcu nie będę już miał ani domysłów, ani obaw. A wtedy będę... *czem?*«

I drżącą ręką napisał przyszły autor Psalmów:

»Bogiem może, równym Mu wiedzą i wolą — ale nie mocą«.

Lecz przerażony śmiałością własną, skreślił wnet po napisaniu te przepyszne słowa. Czuł bowiem swą ziemską znikomość, ale czuł także wiekuistość swego bytu.

Jest w tym fragmencie miejscami nastrój tak potężny, rzekłbym demoniczny, że tylko z monologiem słynnym Fausta, wzywającego Ducha, to znowu z »Rozmową wieczorną« Mickiewicza zestawić go można. Nastrój, mówię, nie wykonanie. Głos to jeszcze chłopięcy niemal, ośmnastoletni ale jakże głęboki i przejmujący! Jaka tam głębia wiary! jak tytaniczna pewność siebie i jak szlachetna, już od razu, samowiedza swej nieśmiertelności! Ziemski świat mu nie wystarcza — on mu tylko dowodem i postulatem innego świata, bo »na każdy atom materyi, rzucony w przestrzeń, musi być jakaś myśl lub życie jakieś w wieczności«.

»Jako ogniwo w bezmiarze nie mogę opuścić mego miejsca; lecz przyjdzie dzień, w którym przerwę to ogniwo, a wtedy szczątki me przetopią się na pierścień wyższy i świetniejszy. Cierpliwości zatem i męstwa!«

Były to rzadkie chwile ekstazy, w których 18-letni młodzian wychodził »za gwiazd kołowroty« i wzbijał się na zawrotne wyżyny, skąd wszechświat przeczuwał. Ale ogniwo ziemskie przykuwało go silnie do szarej rzeczywistości, ściągało na padół codziennych stosunków. Z hymnu natchnionego zstępował młody pisarz do prostej powieści: tworzył dalej fragmenty i nowelki, bez koniecznej potrzeby, często też bez natchnienia. Nie należy bowiem przypuszczać, jakoby wszystkie te francuskie, drobne utwory pisane były w chwilach szczerego zapału. Owszem, nieraz zasiadał Zygmunt Krasiński do pisania w chwili podrażnienia nerwowego, które w niedoświadczeniu młodzieńczem mógł uważać za moment twórczy. Pisanie przynosiło mu ulgę, może pozwalało ukoić tęsknotę, może dawało chwilę zapomnienia. Fragment taki spełniał zatem zadanie chwili, ale nie miał w sobie dość treści żywotnej na przyszłość.

Kilka jeszcze tygodni zabawił Mickiewicz z Odyńcem w Genewie — odwiedzali znane nam salony Bonstettena, Chlustinów — bawili się wieczorami wspólnie z Krasińskim u Ankwiczów, którzy z początkiem października do Rzymu wyjechali, dokąd też za nimi i Mickiewicz podążył.

Krasiński ożywił się niezmiernie w towarzystwie Odyńca i Reeva, urządzał wycieczki na jeziorze z ogniami sztucznemi, które omal że nie były przyczyną katastrofy. Żałować należy, że w tych właśnie tygodniach, kiedy Mickiewicz bawił jeszcze w Genewie, Krasiński nie pisał listu do ojca, czekając na wiadomości od Jenerała. Dopiero w dwa tygodnie

po wyjeździe Mickiewicza, pisze Krasiński dnia 22 października dłuższy list do ojca, gdzie osobny poświęca ustęp autorowi Wallenroda. Ponownie stwierdza tu czuły i platoniczny kochanek Henryety, że wpływowi Mickiewicza zawdzięcza wiele, bardzo wiele dobrego. Był to jakby cichy, niewidomy posiew nowego, jędrnego ziarna, które zejść miało po latach bujnym plonem.

»Mickiewicz siedział jeszcze dość długo w Genewie i często go widywałem. Rozmowy z nim miane oświeciły mnie w wielu względach co do literatury i filozofii. Niechaj Papa wierzy, że to nie stronność, ale prawda, co powiadam: Jest to człowiek najoświeceńszy, którego dotąd widziałem, człowiek zupełnie w równi z europejską cywilizacyą, umiejący dziwnie dobrze godzić realność suchą życia z najwznioślejszemi pomysłami poezyi i filozofii idealnej; mający najczystsze zamiary i chęci, a razem obszernego umysłu, sięgającego do wszystkich nauk i sztuk, wybornego sądu o rzeczach politycznych i scyentyficznych; rozsądku niezachwianego w rzeczach codziennych, spokojnego, cichego charakteru. Widać, że przeszedł przez szkołę nieszczęścia. Zupełnie mi wyperswadował, że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku, że wszystkie ozdóbki, kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema; że wszystko na tej myśli polega, — i że chcąc być czem teraz, trzeba uczyć się, i uczyć, i uczyć, i prawdy wszędzie szu-

kać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potem gasną na wieki. Spotkanie z nim wiele mi dobra przyniosło.

»Przed dwoma tygodniami wyjechał stąd i prawdziwie było smutnem i rozczulającem widzieć, kiedy się żegnał z Odyńcem. Myśl, że może już nigdy się nie zobaczą, rzucała barwę boleści na tę chwilę. Ściskali się długo, Odyniec ze łzami w oczach, Mickiewicz ze stalszą postawą, ale z twarzą, na której znać było najgłębszy smutek.

»Tak się rozjechali — i Odyniec żałował go, jak gdyby kochanki. Jest on dotąd tutaj i codzień się widujemy«.

Ponieważ Jenerał obiecał synowi wydrukować najnowsze jego utwory, Zygmunt Krasiński dziękuje ojcu i uprzedza, że »rękopisma są dosyć liczne«. Gaszyński otrzyma osobne co do druku informacye, a rękopisy wysyła poeta »w tych dniach przez dyliżans« — pod adresem ojca.

»Składają się z dwóch tomów: Romansu Zawiszy, z broszurki pod tytułem: »Ułomki podróży szwajcarskiej« i z *Rozprawki o duszach*, która jak mi się wydaje, jest to, com najlepiej napisał w życiu, bom najgłębiej nad nią myślał i bardzo mi jest do serca (!!), by mogła być wydrukowaną. Teraz zacząłem powieść z życia pospolitego, idąc za radą Mickiewicza, w której będę się starał Ciechanów i Ciechanowskie intrygi opisać. Myślę wprowadzić charaktery, które tam widziałem, w całej ich prawdzie, — a potem, tak

mi miło jest opisywać znajome pola, te błota wokoło zamku, ten zamek stary wśród zakrętów rzeki, tę olszynę po drugiej stronie, ten kościół proboszcza z blaszaną kopułą i ten klasztor Przeora, rozpadający się w gruzy, czarny i napiętnowany dziełem czasu — a potem te szerokie błonia, gdzie tak szczęśliwy byłem.

»Razem poszlę także Papie kawałki moje z *Bibliothèque universelle* wyjęte«.

Nietylko twórczość Krasińskiego zaczyna wchodzić na tory wskazane mu przez Mickiewicza, ale nawet zapatrywania estetyczne stają się echem niemal dosłownem zapatrywań Mickiewicza, dawniej jeszcze w Rosyi głoszonych.

»...Zawsze z wiekiem swoim postępować trzeba. Żeby w Warszawie co do nauk i literatury postępowano zgodnie z wiekiem, nie mielibyśmy sobie do wyrzucenia, żeśmy z tyłu o wiek zostali od Europy i że już literatura rosyjska nawet jest wyższą od naszej. A teraz literatura miesza się ze wszystkiem, z polityką, z naukami, z towarzyskiemi związkami, bo opinia publiczna jest nową siłą, zjawiającą się w ostatnich czasach i równie silną i przeważną w moralnym świecie, jak para, niedawno odkryta, w fizycznym«.

Niemniej i pod względem stylu zanosi się u Krasińskiego na stanowczą, świadomą pobudek i celu reformę. »Styl mój szumny już zupełnie, o ile będę mógł, odrzucę i już Papa nie ujrzy, spodziewam się, w moich następnych listach i pismach tych chmur, tej rosy, o którą zawsze mnie upomina«.

Życie towarzyskie, bardzo ożywione pochłonęło ostatnie tygodnie pobytu w Genewie. Taki raut u Bonstettena, opisany przez Odyńca (IV, 363 i n.), może dać wyobrażenie o rodzaju towarzystwa i nastroju, jaki tam panował.

W tym samym czasie (w październiku) toczą się między synem a ojcem listowne narady co do wyjazdu z Genewy. Jenerał W. Krasiński lękał się, że przewrót lipcowy we Francyi może pociągnąć dalsze konsekwencye polityczne w postaci wojny Rosyi z Francyą i pragnął zawczasu oddalić syna z nad granicy francuskiej.

Nie było już tajemnicą wówczas w wyższych sferach wojskowych i administracyjnych w Warszawie, że z Petersburga zapytano urzędowo o możliwość mobilizacyi i stan finansowy Królestwa. Wiemy dziś, jak wiadomości z Petersburga o bliskiej wojnie Rosyi z Francyą oddziałały na przyspieszenie wybuchu rewolucyi w Warszawie. Jenerał Krasiński chciał widzieć syna jak najdalej od Polski i od Francyi. Syn oświadczał się za Florencyą i Rzymem i uspakajał ojca, że nie będzie tam żadnych rozruchów politycznych. Staje na tem, że 3 listopada, a więc w rocznicę przybycia do Genewy wyjeżdża Zygmunt Krasiński z mentorem Jakubowskim do Włoch na Simplon i Medyolan. Około 20 listopada spodziewają się stanąć we Florencyi. Wyjazd z Genewy byłby był o wiele milszym dla Krasińskiego, gdyby celem podróży była Anglia. Ojciec na to się nie zgodził.

»Szemrać nie będę, ani się sprzeciwiać — pisze

do ojca — szanuję Papy wolę, ale zanadto jestem szczery, bym nie powiedział, żem smutny, że mi nie dobrze«. Ostatni dzień w Genewie spędza Krasiński na pożegnaniu jeziora i tego miejsca nad jego brzegiem, gdzie szczęśliwy byłem szczęściem, które już się nie wróci«. Przyjaciele Reeve i Zamojski, żegnali go łzami i odprowadzili o milę od Genewy.

Ten pierwszy rok za granicą był bardzo doniosły w rozwoju duchowym Krasińskiego. Przyjeżdżał do Genewy, jak to słusznie zauważył Odyniec, rozmarzonym studencikiem, wyjeżdżał młodzieńcem, wzbogaconym w wiedzę, naukę, pilnie zapracowaną i porządnie nabytą; gienialne zdolności pozwalały mu objąć w krótkim stosunkowo czasie rozległe przestrzenie wiedzy w różnoległych jej, nieraz wprost rozbieżnych kierunkach: poezya angielska, styl dyplomatyczny i poetyczny francuski, filozofia, matematyka stosowana, starodawne prawo polskie, historya powszechna, ekonomia polityczna — oto spis pobieżny najważniejszych gałęzi drzewa wiadomości, pilnie badanych przez 18-letniego młodzieńca.

Wrażliwość, wyobraźnia młodzieńcza nic na tem nie tracą; zdrój poezyi bije już tak silnie, że go ani matematyka nie zatamuje, ani studya dyplomatyczne i prawne nie wysuszą. Tęsknota za ziemią rodzinną każe myśli ciągle przebywać w Polsce a powieść historyczna Zawisza utrzymuje go w jakimś rycerskim, średniowiecznym nastroju. Styl powoli wyswobadza się z formy obcej, ale z trudnością jeszcze, gdyż francuszczyzna doskonalona jest pod czujnem okiem Rogeta — ale polskiego nauczyciela dla pol-

skiego stylu Krasiński w Genewie niema, a z listów do Ojca widać, jak mu trudno francuski gotowy frazes zastąpić polskim zwrotem. To też utwory francuskie górują wtedy nad próbkami polskimi. List o literaturze polskiej do Bonstettena jest pod względem stylu nieskończenie wyższy od Teodora, króla borów, tak jak »On« nie może się mierzyć ze »Spowiedzią Napoleona«, chociaż ma niezaprzeczone zalety wewnętrzne i formalne, jako wierny wyraz ówczesnego nastroju duszy. Bo nadszedł już był czas, w którym młodzieniec, zajęty dotąd pilnie tem wszystkiem, co wydaje drzewo wiadomości, spojrzał rozmarzonem okiem na drzewo życia.

A z drzewa życia chylił się wtedy ku niemu kwiat rajski, wonny, wymarzony w snach, wyśniony na jawie — ale mroźny wicher północny powiał po niem i rozsypał białe kwiecie pierwszej, niewinnej miłości... Polały się łzy czyste, rzęsiste Zygmunta Krasińskiego na tę uroczą sielankę młodości, a Opatrzność zesłała mu na ukojenie ran serdecznych, na pokrzepienie rozumu i woli największego na ziemi polskiej lekarza, tego samego, który i nasze troski od pokolenia do pokolenia koi — Adama Mickiewicza. Ten go nauczył »zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać«, wyperswadował mu szumność w działaniu i mowie, wskazał mu wzniosły cel życia: prawdę i jedyną drogę do niej: naukę. Nauczyciel był gieniuszem — ale i uczeń godzien był mistrza. Ocenił odrazu, że to spotkanie wywrze wpływ zbawienny i stanowczy na dalszą drogę jego ducha. Ognia, przejętego z piersi wieszcza,

nie uronił, ani na marne nie obrócił; zamknął go szczelnie w swej młodzieńczej piersi, gorzał nim wewnętrznie, aż po latach pójdzie od niego żar na ogrzanie milionów serc i blask, który objaśni wiekową pomrokę dziejów i przyszłą dolę ludzkości...

KSIĘGA TRZECIA.

ROK CIERPIENIA.

(1831)

I.

We Włoszech.

Na Sion, Brieg, Simplon, Aronę (Lago Maggiore) i Seste Calende kieruje się Zygmunt Krasiński do Medyolanu, gdzie staje 7-go listopada.

Świeże a bolesne rozstanie się z przyjaciółmi nie pozwalało mu zachwycać się pięknymi widokami. Wszelako droga na Simplon, wykuta w skałach na rozkaz Napoleona, wywoływa w liście do ojca podziw dla potęgi Cesarza, który wielką myśl swą chciał i mógł w czyn zamienić.

Opis tumu Medyolańskiego jest jeszcze naiwny, poniekąd pretensyonalny; znać, że to dopiero pierwsze wrażenie włoskie nie przemyślane jeszcze, nie porównane i nie wytrawne. Natomiast muzyka, śpiew i gra aktorów w teatrze La Scala zachwycają go; tu widać z opisów, że dawniejsze wrażenia z teatrów warszawskich, praskiego i genewskiego dawały podkład porównawczy i zachęcały do sądu samoistnego. — Już tu słyszymy pierwsze niedobre wieści o zdrowiu jego: z powodu kilkudniowej słoty w czasie podróży, narzeka 18-letni Krasiński, że mu reumatyzm dokucza w nodze i ramieniu.

W liście medyolańskim zapowiada ojcu, że 10 Listopada wyjeżdża do Florencyi, i że stamtąd będzie pisać do niego. Ten list z Florencyi widocznie przepadł: może trafił już na pierwsze dni rewolucyi Listopadowej i Jenerała Krasińskiego w Warszawie nie zastał. Natomiast mamy długi (V) list francuski pisany z Florencyi do Reeva. Krasiński zastał tam na poczcie dwa listy od Henryety Willan i pełen upojenia i rozmarzenia pisze do przyjaciela. Podaje nam tu wyjątki z listu Henryety, z których widać, że młoda Angielka nie na żarty go pokochała. Krasiński zdaje sprawę przyjacielowi z swych uczuć i czynów. Kocha Henryetę, ale jej oświadcza w liście, że mężem jej nie będzie nigdy. »Byłem zmuszony odjąć jej nawet cień nadziei«. Będzie do niej pisać, póki ona nie uczyni wyboru i nie znajdzie męża; potem już nie będzie mógł pisać, ale zachowa zawsze dla niej uczucia brata dla siostry; po śmierci kiedyś, upomni się o swe prawa. Krasiński lęka się nawet o rozum Henryety, obawia się, czy ona nie zwaryuje i przypomina, że list jej do Lucerny adresowany kończył się zwrotem: »an old maid for your sake«. — Oczywiście zaczyna on odczuwać zgryzoty sumienia. »Jestem na drodze potępienia.Wracam zawsze do tej zasady: Pocóż zwróciłem ją z jej drogi i rzuciłem na moję: ona marzyła, że na niej znajdzie róże, a zamiast nich ma łzy gorzkie i ciernie«.

W tym stanie podniecenia, bliskiego rozpaczy, zbliżał się Krasiński do Rzymu. Stanął w nim dnia 30 Listopada 1830 r., a więc w dniu pierwszym rewolucyi naszej, ani się domyślając, że kiedy on spokoj-

nie oddawał się wrażeniom podniosłym, jakie w każdym człowieku się budzą, gdy po raz pierwszy widzi miasto wieczne, równocześnie w Warszawie panował zamęt, niepewność działania u góry, w Rządzie Królestwa, lękliwość wśród mieszczan, szczery zapał jedynie wśród młodzieży... Nie przeczuwał Zygmunt Krasiński, co się wówczas z ojcem jego działo, i że niebawem serce jego znękane dziecinną prawie miłością dla Henryety Willan, zajęknie od bolu męskiego na odgłos cierpień Ojczyzny.

W Rzymie znalazł mieszkanie duże na Piazza di Spagna, które nastręczył mu Ankwicz jeszcze z Florencyi. »Pięć pokojów, dobre powietrze i widok na cały plac Hiszpański«.

Przed samym wjazdem do Rzymu miał już nastrój odpowiedni: »coś jakby tchnącego poszanowaniem przed tyloma wiekami sławy, wielkości, zbrodni i nieładu«. Nazajutrz po przyjeździe Krasińskiego zmarł papież, Pius VIII. Zastał w Rzymie Mickiewicza, żyjącego w ciągłej niepewności i troskach miłosnych. Stosunek jego do starego Ankwicza nie polepszył się. Krasiński tak go opisuje: »Strasznie zesmutniał i wynędzniał od czasu widzenia się z nim w Genewie: cierpienia tak głęboko wyryte na jego twarzy, że aż żal bierze patrzeć«. Bezwątpienia towarzystwo Krasińskiego podziałało ożywczo na znękanego Mickiewicza. Zaprowadził go Mickiewicz do kościoła św. Piotra, a potęgę wrażenia tam odniesionego podniosły także obecność i rozmowy twórcy Dziadów. »Ogrom przytłacza samą uwagę z początku tak, że jej natężyć nie można, bo zdaje się napróżno natężać

uwagę na taki ogrom. Niezliczona jest liczba bogactw w nim, ale nic w kupie, nic nie naładowano, nic za nadto. Kopuła na dachu wydrążona wewnątrz jest sama tak wielka, jak cały Panteon. Żadnego obrazu malowanego w całym kościele niema. Wszystkie z mozaiki drobnej ułożone w kolosalną wielkość. Opisywać byłoby daremnem. Jakże opisać? bo od czego zacząć i gdzie skończyć w tym oceanie marmuru, porfiru, złota, posągów, ołtarzy, nagrobków, sklepień i arkad.

»Pomimo tego wszystkiego jednak, przyznam się Papie, że dla mnie kościół Św. Piotra nie wzbudził głębokiego uczucia religijnego. Za nadto myśli się tu o sile i sztuce ludzkiej, by myśleć *immediate* o Bogu; a potem taka świątynia nie jest tak zgodną z duchem Religii Chrześciańskiej, by ją żywo i tkliwie przypominać miała.

»Ale jest drugie miejsce w Rzymie, gdzie byłem i gdzie musiałem, siłą niepojętą przejęty, modlić się z całego serca, z całej duszy do Zbawiciela świata: jest to K o l i s e u m, które widziałem przy świetle księżyca.

»Wyobraź sobie, kochany Papo, ogromny okrąg podłużny, z głazów piętrzących się jedne na drugich ułożony, wysoki, jak kościół Luterski w Warszawie, bez dachu.

»To jest amfiteatr owalny, dawne siedzenie ludu rzymskiego i Cezarów, kiedy rozpływali się w radości, widząc krew gladyatora i rozdartą pierś męczennika pierwszych wieków Kościoła. — Nad tym budynkiem pustym, spokojnym, umarłym — żywe, nie-

bieskie niebo Italii, migające gwiazdami, i z swoim księżycem, równającym się w blasku z słońcem Północy. Słupy olbrzymie, arkady, przedsienia, kolumny, to częścią nadpsute, to częścią jeszcze stoją całe, ale gdzież te pokolenia, które tu pląsały?

»Stopniowo księżyc wstępował na niebo, kiedy tam byłem i z pod cienia wyrywał coraz dalsze części gmachu. Tam arkada wypływa z ciemności, tam obicie z bluszczu, zastępujące teraz dawne z jedwabiu i purpury kobierce«.

Ten wspaniały ustęp, przedsmak najpiękniejszych kart Irydiona, jest dokumentem psychologicznym niezmiernej doniosłości. A jest to prawie opatrznościowem, że Krasiński zwiedza Kolosseum i duma o »zwycięstwie życia nowego nad starem« w chwili, gdy jeszcze jest o Polskę spokojnym, gdy nie wie jeszcze nic o świeżych wypadkach warszawskich, ale krzepi się w noc miesięczną wśród wiekopomnych ruin widokiem czarnego, prostego krzyża, który rzucał »cień pokoju i błogosławieństwa«. »Nigdy się nabożniejszym nie czuł, jak wtedy«; mógł dodać, że nigdy też dotychczas nie wzniósł się był na taką wyżynę poetyckiego a zarazem chrześcijańskiego na świat wejrzenia... Pierwszy zarodek przyszłego arcydzieła wówczas w Kolosseum w duszę jego zapada. Lata przejdą i zdawać się będzie, że myśl ta nie wykiełkuje, zgłuszona światową burzą — ale żywotne ziarno nie zamarło — czekało tylko stosownych do rozwoju zdarzeń i rosnąc z cicha w sercu miłującem wystrzeliło po latach niewiędnącym, ogromnym kwiatem: Irydyonem. On już tu, w r. 1830, zawarty w tem

ziarnie, w tej myśli, tak drżącej od wzruszenia, przejmującego młodzieńczą pierś Zygmunta: »Ten krzyż, temu tysiąc lat taki sam, jak dzisiaj, deptany był w tych miejscach: za niego rzucano tygrysom i lwom chrześcijańskie dziewice... Wtenczas Koliseum stało wielkie, pyszne, w niem lud najpotężniejszy świata... a teraz rozsypuje się w gruzy i upada, a krzyż się nie odmienił, z drewna, jak wtenczas — a jednak stoi w pośród budowy, stoi nad ziemią, która go prześladowała, i panuje tam, gdzie nim pogardzano...«

Niebawem dojdzie Krasińskiego przejmująca wieść z nad Wisły o świętej walce za wolność, za Ojczyznę, wieść, która mu odbierze spokój duszy na długo, tak jak wynik tej walki zatruje mu życie — i kiedyś, za lat kilka on wróci z brzemieniem niedoli narodu swego pod ten cichy krzyż na Koloseum, będzie tu wśród łez gorzkich dumał o »prześladowcach i prześladowanych« i będzie szukał rozwiązania strasznej zagadki, aż w nim wyczyta »godło niezaprzeczone zwycięstwa życia nowego nad starem«.

Ani wątpić, że tak jak do św. Piotra tak i do Kolosseum zaprowadził go najpierw Mickiewicz. I kto wie, czy nie w rozmowie z piewcą Wallenroda usłyszał po raz pierwszy Krasiński doniosłe wyrazy o tym stosunku prostego krzyża do kolosalnych ruin olbrzymiej rzymskiej potęgi? To pewna, że Mickiewicz częstym był gościem w Kolosseum. Stattler opowiada, że po częstych (r. 1830) wieczornych zebraniach u Strzeleckiego na Piazza di Spagna, »udawaliśmy się nieraz późną nocą na stare Forum lub

do Kolosseum, a Mickiewicz siadał tam jak pielgrzym pod drewnianym krzyżem na środku areny będącym i skupiał się w sobie...« — Krasiński wprawdzie nie wymienia Mickiewicza w opisie Kolosseum, ale też zaznacza wyraźnie, że nie był tam samotny:

»Weszliśmy na piętra górne...« Był w towarzystwie Ankwiczów, co zwiększa prawdopodobieństwo, że był z Mickiewiczem. Jest rzeczą łatwą do przyjęcia, że on, tak przejęty czcią dla Mickiewicza w czasie podróży szwajcarskiej, teraz poddał się całkiem jego wpływowi. Widać to nawet z książek, które wtedy czyta:

»Czytałem w tych dniach dzieła p. Lamennais o religii katolickiej: »Indifférence en matière de Religion«.

Otóż właśnie Mickiewicz jest wówczas zajęty tą samą książką i poleca ją usilnie Odyńcowi w liście — a Krasiński wprost napisze do Reeva: »J'ai trouvé chez Mickiewicz un ouvrage du célèbre de Lamennais sur la Religion catholique«.

Kto wie, czy także nie pod wpływem Mickiewicza, postanawia Krasiński »przypomnieć sobie po grecku«. Chce nadto prowadzić dalej genewskie studya angielszczyzny, ekonomii politycznej i historyi nowożytnej.

Cały ten pierwszy list z Rzymu i o Rzymie jest bardzo ciekawy i ładny; oczywiście, że niewyczerpujący przedmiotu: »trzeba — mówi Krasiński — długiego czasu, by w nim można się rozpoznać«. Ale już to bardzo dodatnio o młodym autorze listu

świadczy, że wrażenia swe w Rzymie spisuje i że się nimi dzieli.

Pod tym względem Krasiński ma pewną śmiałość pierwszej młodości: starszy od niego o lat 14 Mickiewicz będzie dziwnie lakoniczny w listach z Rzymu i powie w jednym z nich po prostu: »O Rzymie trudno pisać«. — lub »Rzym mnie zagłuszył...«

Ale Krasiński jest wówczas w ciągłem podnieceniu, w ciągłem rozmyślaniu o swej miłości, której Rzym nie zagłuszył — więc pisze do ojca o Rzymie, do przyjaciela o Henryecie Willan. Dzieło Lamennais'go przekonywa go rozumowo o potędze katolicyzmu, tej religii jego »ojców«, która, jak wyznaje Reeve'owi, oddawna już tylko czcze znaki krzyża w nim wywoływała (»à laquelle depuis longtemps je n'ai accordé que quelques vains signes de croix«). Po przeczytaniu Lamennego »przepaść przed oczyma jego się rozwiera«. Bo po za tą wiarą niema zbawienia — on to rozumie, ale cóż poradzi na to, że Henryka Willan nie należy do Kościoła katolickiego! Więc nie będzie zbawiona! ta kochanka duszy jego! więc czyż wybierać trzeba między nią a Bogiem?! — Jest tu oczywiście przesada, której źródło w młodzieńczem usposobieniu Krasińskiego. Ale wówczas niepokój jego jest szczery, nieudany.

Po tych troskach duchowych o zbawienie Henryki mamy w liście opis wrażeń rzymskich: św. Piotra i Kolosseum.

Znajdujemy tu miejscami przekład dosłowny znanego nam już tekstu polskiego, co każe wnosić, że

ustęp o Kolosseum w liście do ojca był tylko wyjątkiem z jakiejś całości o Koloseum. Krasiński pisze bowiem wyraźnie w liście do Reev'a: Te myśli są po większej części wyjęte z ustępu polskiego (»un morceau polonais«), który napisałem o Koliseum«. Początek francuski jest dokładniejszem rozwinięciem starożytnej strony Kolosseum i ma bardziej rzymski nastrój myśli:

»W piękną noc księżycową wstąpiłem pod arkady, które widziały tyle pokoleń; na nich rozsiadał się lud — król, w dniach swej potęgi; arkady te nie załamały się ani pod ciężarem ludzi, ani pod ciężarem czasu. Księżyc był jeszcze nisko na widnokręgu, wnętrze budynku było ciemne; starałem się przebić wzrokiem mym ciemności. Serce mi b.ło, bo czułem się blisko odległych wieków. Pogrążyłem się w wspomnieniach. Zwolna promienie księżyca zaczęły wdzierać się przez rozwaliny murów, przez wejścia portyków; dziwny to był widok: promienie księżyca łamały się na łukach, na kapitelach i słupach; na kilku miejscach igrały znowu z bluszczem, który zastąpił purpurę i jedwab cyrku. Wszedłem na pierwsze piętro, następnie na drugie, wszędzie ciemno, czarno. Znowu zatrzymałem się, oddałem się głębokiemu rozmyślaniu.

»Niebo błękitne nademną zasiane było włoskiemi gwiazdami, podemną przepaść całej wysokości Kolosseum. Wspomnienia za wspomnieniami przybiegały ku mnie, a wyobraźnia moja podniecała się stopniowo. Im bardziej przedmioty wyraźniejsze się stawały dokoła mnie, tem więcej myślałem o cza-

sach dawno przeszłych, które żyją jednak w pamięci ludzkiej. Zdawało mi się, że słyszę głosy zmięszane: krzyk przenikliwy gladyatora, potem oklaski całego ludu; szmery uznania po wrzaskach okropnych; ryki lwów i tygrysów; a potem wśród tego grecka muzyka fletu i dźwięki trąb wojskowych. Naraz jęki się wzbiły i upadły w milczeniu; czułem, że już się więcej nie podniosą. Nagle szczęki mieczów i sztyletów starożytnych rozbrzmiały wśród sklepień, a potem zdało mi się, że tu i tam usłyszałem, jak pada ciało pokryte pancerzem, jak puklerz po piasku się toczy, to znowu, jakby szmer kilku strumyków toczących się wolno. Zapach krwi poczułem, ale ponad wszystkie te krzyki, ponad ten hałas wzbijał się głos jakiś, choć łagodny i drżący. Głos ten wznosił się w powietrzu cały harmonijny. Rzekłbyś: śpiew nadziei, chociaż usta, które go wydały, miały się zamknąć na zawsze. Rzekłbyś: hymn śmierci, który dziewicach rześcijańska spiewa przed połączeniem się z Bogiem.

»W tej chwili księżyc ukazał się na murach Kolosseum, jak gdyby wychylał się ze zwoju bluszczu, który w girlandach spadał z wierzchołka budynku.

»Kolumny, arkady, portyki, siedzenia cezarów, senatorów, ludu ukazały się blade i w ruinie. Arena się odsłoniła. Na jej środku wznosił się krzyż z czarnego drzewa. Ten krzyż wart dla mnie katedry medyolańskiej i kościoła św. Piotra. Krzyż ten prześladowano na tem samem miejscu przed wielu wiekami, kiedy Kolosseum wyobrażało całą wielkość tych, co go zbudowali. Krzyż ten od owych dni krwi i ża-

łoby w niczem się nie zmienił, niczem się nie ozdobił; dzisiaj stoi na miejscu, tam, gdzie po nim deptano, a dumne Kolosseum, które z pychą spoglądało na poniżenie krzyża, teraz wokoło niego w proch się rozsypuje.

»Ale krzyż nie zdaje się wzbijać w dumę ze swego tryumfu. W milczeniu wyciąga ramiona swe czarne w obie strony budynku, a cień jego zdaje się rzucać błogosławieństwo pokoju na ziemię, gdzie spoczywają snem wiecznym: prześladowcy i prześladowani. Kto nie wierzy w Jezusa Chrystusa, ten niech idzie w noc księżycową do Kolosseum, a jeśli nie upadnie na kolana przed tym symbolem wiary, znać, że człowiek ten, z góry to mówię, niema ani duszy ani serca. Jest on mniej niż człowiekiem, który jako duch od Boga pochodzi, a więcej, niż człowiek, jako duch złego«.

Nasuwa nam się także domysł następujący.

Opis Kolosseum w liście do ojca był pierwszym rzutem, pod wpływem pierwszego natchnienia. Ważniejsze ustępy przepisał Krasiński; posłużyły mu one za kanwę do skreślenia dłuższego opisu Kolosseum, który powstał już po wysłaniu listu do ojca, a przed napisaniem listu do Reeva, a więc między 6-tym a 9-tym Grudnia 1830. — Mamy tu już artystyczne wyzyskanie wielkiego tematu, cieniowanie kontrastów psychicznych (gladyator — chrześcianka; cezar i lud rzymski, a prosty krzyż w środku areny).

Czem deszcz wiosenny na rolę uprawną, tem był Rzym dla 18-letniego Krasińskiego. W tych kilku tygodniach, kiedy jeszcze nic nie wie o powstaniu

listopadowem, cieszy się on bujnem natchnieniem. Pisze po polsku jakąś powiastkę o Angliku, zakochanym w Venus Medycejskiej i ginącym z miłości dla niej. Był to rodzaj dziennika-pamiętnika, który nieszczęśliwy Anglik zostawia swym przyjaciołom.

Krasiński chce kilka nowelek w ten sposób napisać i ogłosić razem p. t. *Ułomki o Włoszech* (Fragments sur l'Italie). Już nawet przygotował przedmowę do nieistniejącej książki i daje przekład jej francuski w liście do Reeva:

»Piękna noc iskrzyła się nad mą głową, zdala dochodziły odgłosy muzyki Rossiniego, rozbrzmiewającej nad grobowcem Scypiona.

»Zacząłem myśleć o herbacie, o wieczorach wydawanych na szczycie Kapitolu. Anglicy przypatrują się przez lornety ruinom Kolosseum; walca tam tańczą, gdzie pierwszy Brutus zabił swe dzieci, a drugi swego ojca; a naokoło obelisków sprowadzonych z Egiptu sprzedają na targu kapustę. Sprawy to godne śmiechu, ale co do mnie, odczułem coś na kształt smutku, nie wiem dlaczego, bo trzebaby raczej śmiać się. — Tak samo w całych Włoszech! Być może, że potrzeba tej równowagi w świecie, że potrzeba śmiesznych rzeczy, że trzeba bawić się na miejscu wielkich cnót i wielkich zbrodni. — A mimo to gorzkie to uczucie dla tego, który nie rozumie wzniosłego porządku wszechświata i nie może wznieść się do tego porządku. Tak, są gorzkie rzeczy, naprzykład muzyka *buffo* na grobie Scypiona lub kapusta do sprzedania na Forum«.

Żałować należy zatraty każdego listu z tych cza-

sów. Niestety, dwa listy, pisane między 5 a 13 Grudnia nie zastały już Jenerała Krasińskiego w Warszawie i prawdopodobnie na zawsze zaginęły. — Z listu pisanego 13 Grudnia dowiadujemy się o pewnem przygnębieniu, które tłómaczy się złem zdrowiem i niepogodą. »Deszcz wciąż leje«. Skutkiem tego Rzym wydaje się Krasińskiemu »smutnym okropnie«. »Wielkie — puste miasto, ruiny, rudera«. Niepogoda zmuszała do siedzenia w domu i do nauki. »Uczę się po włosku, po angielsku, czytam Ekonomią polityczną Say'a, Eneidę po łacinie, Iliadę po grecku, a kiedy natchnienie przyjdzie, to piszę też czasem«.

W tym miesiącu napisał także powiastkę p. t. »Gastołd«, którą wykończył w przeciągu 24 godzin; założył się bowiem z Mickiewiczem (może u Ankwiczów), że przez dzień jeden napisze powieść. Drobny ten utwór odznacza się spokojem i cichym humorem, świadczącym najlepiej o tem, że mógł powstać tylko przed otrzymaniem wiadomości o nocy listopadowej, a więc w pierwszej połowie Grudnia 1830 r. »Gastołd« jest ostatnim utworem, pisanym wedle szablonu z okresu Warszawskiego; ale styl prosty i język czysty dowodzą większej dojrzałości w niedawnym autorze »Władysława Hermana«.

Wpływ Włoch i Rzymu odwrócił wnet uwagę jego od epizodycznej »powieści żmudzkiej«.

Ojcu donosi, że już we Włoszech napisał dwie małe powieści pod tytułem »Venus Medycejska« i »Koliseum«.

Po liście z d. 13 Grudnia następuje w korespon-

dencyi z ojcem długa przerwa. Następny list datowany już z Genewy 14 Maja 1831 r.

Mielibyśmy trudną do wypełnienia pustkę w życiorysie i to z bardzo ważnego okresu, gdyby nie listy do Reeva, które pozwalają wniknąć do głębi stroskanej i zbolałej duszy Zygmunta Krasińskiego.

II.

Powstanie Listopadowe.

W kilka dni po wysłaniu listu do ojca, 15-go lub 16-go Grudnia dowiaduje się nareszcie Krasiński w Rzymie o wybuchu rewolucyi w Polsce. »Jutrzenka wschodzi!«

Z całego listu angielskiego do Reeva widać przedewszystkiem jedno: szczerą chęć dostania się na pole walki. Radby tam pospieszyć razem z Augustem Zamoyskim, ale czeka wiadomości od ojca, ciągle w tem jeszcze złudzeniu, że ojciec został przy wojsku polskiem... A jednak jakieś wątpliwości wkradają mu się do serca.

Wyrzeka przed Reevem na położenie swe straszne (»devilish position«), na to, że go rodacy nienawidzą, że »dni chwały jego ojca przeszły, a teraz...« I nie śmie dokończyć zdania.

»Oh, wszystko jest dla mnie męczarnią i troską! Kocham dziewicę — ona nie dla mnie — kocham kraj mój — — on mnie odpycha; kocham sławę — a sława jest posępna i ciemna. Ah, niczego się nie

spodziewać, oto co mi zostało na ziemi. Bóg tylko jest mą ucieczką...«

A teraz obawa, co sobie Reeve o nim pomyśli. Kto wie, czy w Genewie polacy nie obmawiają go, nie oczerniają? — Tylko Zamoyski i Mickiewicz są szczerymi jego przyjaciółmi (z Polaków znanych Reevowi). Rozpacz poczyna go ogarniać. Widzi, że wszystko się zwraca przeciw niemu, czuje, że imię jego może być okryte wstydem i obelgami, a życie upłynąć w samotności i wzgardzie.

I tak mu zaczęły schodzić w strasznej niepewności i zgryzocie tygodnie, rozpoczęte w pełni natchnienia i nauki.

Cóż pod ten czas robił jego ojciec?

Stanowisko wyjątkowe, które zajął Jenerał Wincenty Krasiński w Sądzie Sejmowym w r. 1828 określiło, z góry niejako, stosunek jego do rewolucyi listopadowej. Przywykły do sytuacyi jasnych, w duszy zwolennik spokoju po burzliwym okresie Napoleońskim, jako wojskowy, znający na wskróś siłę przeważną Rossyi, nie chciał W. Krasiński wojny z nią i lękał się jej wyników. W głowie mu się pomieścić nie mogło zwycięstwo oręża polskiego. »Rewolucya wybuchła w Warszawie przez 5 akademików, 4 podchorążych zaczęta i 3 poetów, jak oficerów tyleż«. Z takiego początku źle wróżył o całości i powodzeniu walki.

Opowiedziawszy się zrazu przy W. X. Konstantym, po zawarciu układu odprowadził swe pułki do Warszawy. Oddajemy na chwilę głos historykowi powsta-

nia, Barzykowskiemu: (Hist. Powst. Listop. Poznań, 1884, t. I. 387—389):

»Jenerałowie Winc. Krasiński i Kurnatowski znajdowali się w głównej kwaterze cesarzewicza. Na wezwanie Zamojskiego opuścili ją, wsiedli na konie i wraz z wojskiem do miasta pospieszali... Ci dwaj jenerałowie stanęli na czele tych wojsk, które istotnie do ich komendy należały. Kurnatowskiemu była nawet zrobiona uwaga, iż może go jaka nieprzyjemność spotkać, lecz on odrzekł: »i ja także polak, a wojsk moich opuszczać nie umiem««. Lecz jak tylko lud ich spostrzegł, natychmiast obraźliwe i zelżywe wykrzyki słyszeć się dały, ale do otoczonych przez innych wojskowych nikt z ludu zbliżyć się nie mógł. Pod Bankiem trzeba było z konia zsiąść i udać się na posiedzenie Rządu dla dopełnienia aktu wierności. Lud znalazł więc sposobność zbliżenia się do nich i upokarzające dla obydwóch sceny miały miejsce, a jedynie Chłopickiemu i Szembekowi zawdzięczać winni swoje ocalenie. Ci piersiami własnemi zasłonili ich i do Banku uprowadzić zdołali, lecz obelżywe okrzyki nie ustawały i odgróżkom końca nie było. Dla uspokojenia umysłów, z rozkazu Rady obydwaj jenerałowie, bladzi jak chusty, ukazali się na balkonie Banku, wśród dwóch akademików, trzymających na krzyż, jeden chorągiew akademicką, drugi sztandar narodowy. Na nich położyli oni palce, a profesor Szyrma, odczytał głośno przysięgę wierności insurekcyi, którą słowo w słowo powtórzyli...«

»Kurnatowski i Krasiński nie chcieli służyć rewolucyi i podali się do dymisyi«.

»Kurnatowski słowa dotrzymał, nie służył w szeregach narodowych, ale niczem nie zdradził sprawy i przez cały czas wojny na ustroniu w cichości pozostał.

»Lecz inaczej Krasiński postąpił: ... prosił rządu, aby dla bezpieczeństwa osobistego wolno mu było na wieś, do dóbr swoich, w województwo płockie się oddalić. Zażądano słowa, że spokojnie tam pozostawać będzie; dał je i zaledwie na miejsce przybył, aliści zbiegł, uciekł do Prus, aby ztamtąd pospieszyć do Petersburga, czołem uderzyć carowi i *usługi swe przeciw ojczyznie ofiarować*«. (Że tak nie było, zaraz się dowiemy).

A teraz *audiatur et altera pars:* Przytoczymy wyjątki z listu Jenerała Krasińskiego do syna; w niektórych szczegółach uzupełniają one wiadomości Barzykowskiego, w innych przedstawią je w odmiennem oświetleniu. Przedtem jednak dajmy jeszcze urywek z dziennika rewolucyjnego »Patryota«, który nazajutrz opisywał fakt, podany przez Barzykowskiego, w następujących słowach:

»Przed pałacem rządu tymczasowego potrzeba było całej powagi wodza, aby ocalić życie jenerałowi Krasińskiemu Wincentemu. Należało mu je ocalić, bo się dobrowolnie w ręce nasze powierzył. Zaczął mówić, ale przypomniano sąd sejmowy i to dostateczną było karą. Wziął i on dymisyę. Zacny jenerał Szembek zaręczył, że były kolega jego zmaże hańbę swoją przy pierwszej sposobności. Wincenty! Imię twoje było nam niegdyś drogie! Czy przypominasz sobie, ile to łez uroniliśmy,

gdyś bohaterów naszych na ziemię ojczystą przyprowadzał? Czy przypominasz sobie, z jakiem witaliśmy cię w tenczas uniesieniem? Dlaczegóżeś wzgardził wieńcem, którym Cię uczcił naród, zawsze sprawiedliwy i którego kwiaty do dziś dnia nie byłyby zwiędły, gdybyś nie był chciał szukać w sromocie, wyższej nad niego nagrody...«.

Wincenty Krasiński tak opisał synowi chwile przełomowe swego życia:

»Klub, wiedziony przez Mochnackiego, Bronikowskiego, Machnickiego, przysiągł mą śmierć. Przed Bankiem otoczony, tysiącem broni okolony, a krzykiem ogłuszony, odwróciwszy konia, zacząłem mówić, »iż chcą wolności, a wolności nadużywają. Któż większe przysługi krajowi zrobił, jak ja? nareszcie będą mieli prawo zabić, jeżeli jeden człowiek się znajdzie, w całej Warszawie lub kraju, któren powie, żem mu krzywdę zrobił, lub żem nie służył mu, gdym mógł pomódz«. Rozruch się zrobił; zaczęto krzyczeć, że prawda, żem cnotliwy i mogłem poyść z Generałem do Pałacu Banku, gdzie Rząd siedział. Wszedłszy, spytałem się Xięcia Czartoryskiego, bladego jak trupa: »Co to za rząd? czy króla uznaje?« Powiedział mi, że nie wie; na to odpowiedziałem, że cnota, co memi krokami zawsze wiodła, nie pozwoliła mi zdradzić ufności we mnie położonej, ni przysiąg łamać, ani bratobójczego nie pozwoli jąć się oręża i że dymisyę daję. Na to powiedziano mi, że trzeba, żebym napisał. Wziąłem z przed Xięcia arkusz papieru i napisałem dymisyę. Odgłos się rozszedł, żem dał dymisyę. Zaraz kluby jakobińskie, które się po-

formowały, deputacye poprzysyłały, żeby mnie wydano, lub żebym służył i objął komendę. Rząd słaby obwieścił mnie, żebym sam o sobie myślał.

»Teraz, żebyś wiedział, że przysłali do mnie, gdym bronił przy kościele Aleksandra, (żeby nie atakowano Xięcia), że rano w piątek (3 grudnia) przysłali mnie propozycyę, bym zwalił Chłopickiego i wydał Xięcia, a wtenczas uznają mnie Naczelnikiem. Odpowiedziałem, że nigdy jeszcze żaden Krasiński nie był zdrajcą i ja nim nie będę«.

Zostawiony samemu sobie jenerał Krasiński, wobec tego, że Franciszek Grzymała na czele rewolucyonistów wtargnął do Banku i szukał go, uszedł bocznemi schodami na ul. Elektoralną, przedostał się za rogatki, a spotkawszy tam znajomego, dostał się w okolice Skierniewic, gdzie ośm dni w przebraniu jako ekonom przebywał. Dał o sobie znać zaufanym w Warszawie.

»Jeden dawny oficer mego pułku przywiózł mi propozycye, rzucone do Pałacu, różnych klubów, wywyższenia mnie, bylem dał słowo, że będę im przewodniczył. Odpowiedziałem, że nie chcę nawet ich zdradzić, że jako adjutant króla, nie mogę być dezerterem i zapomocą tego oficera nocą przebrałem się nie bez niebezpieczeństwa i blisko Mławy granicę po chłopsku ubrany przeszedłem, pocztę wziąłem i tu jestem. Posłałem cesarzowi raport, a drugi list napisałem, mówiąc, że pierwszy był cnotliwego żołnierza, ten zaś człowieka, żem przysiągł wierność, zachowałem, ale przeciwko krajowi w niczem

służyć nie będę, ani bronią ani radą. Ciekawym odpowiedzi«.

Otóż i błąd wielki: »*Ciekawym odpowiedzi!*« Ciekawość niestosowna i niepotrzebna stała się, według przysłowia, pierwszym stopniem do piekła, piekła późniejszych udręczeń moralnych. »Król« zawezwał swego »adjutanta« do Petersburga i »cnotliwy żołnierz« wahać się już nie śmiał. Pojechał nad Newę, gdzie, nawiasem mówiąc, nie był samotnym, gdzie zastał już prezesa Senatu Królestwa Polskiego, Ordynata Zamoyskiego...

Dlaczego ojciec Zygmunta Krasińskiego nie poszedł za przykładem jenerała Kurnatowskiego i po wzięciu od Rządu narodowego dymisyi, nie osiadł na wsi w Opinogórze? nie przebył roku 1831 »na ustroniu w cichości?« Wszakże odrazu powziął postanowienie, wyrażone w liście do Mikołaja I, »przeciw krajowi w niczem nie służyć, ani bronią, ani radą!«

Można dziś tylko domyślać się pobudek.

Jenerał mniemał, że ruch rewolucyjny nie ma podstaw narodowych, że jest wywołany przez ludzi, wrogich społecznym zasadom państwowym, »na to, żeby ci co posiadają, nie posiadali, a ci co nie posiadali, aby posiadali«. Z takim prądem solidaryzować się nie chciał; ruchu całego zaś na seryo nie traktował. Wróżył powstaniu rychły upadek. W kilka tygodni po nocy listopadowej pisał: »Podobno cała ta wrzawa(!) warszawska(!) i stu dni nie potrwa, a co będzie potem, Bóg jeden wie tylko... *Bien souvent le mieux est l'ennemi du bien*".

Zadawał sobie już 24 grudnia 1830 r. pytanie, »co

będzie potem«. A wróżąc niepowodzenie orężne, znając Petersburg, przewidywał, że lepiej nie będzie. I tu może próżność rodowa zaczęła mu szeptać do ucha: »Tamci kraj gubią, ruinę mu gotują, ty idź, jako człowiek, co przysiągł wierność i jej dochował, idź do »Króla«, a kiedy nadejdzie chwila stosowna, któż wie, czy ciebie nie poszlą z Petersburga nad Wisłę z różdżką oliwną pokoju i powrotu do *status quo*... Wtedy będziesz pierwszym wśród pierwszych, witany jak zbawca, drugi »Bayard *sans peur et sans reproche*«.

I Wincenty Krasiński uległ podszeptom ambicyi i posłuszny wezwaniu, udał się do Petersburga na długie miesiące strasznych wyczekiwań, łez samotnych i rozczarowań...

A tymczasem jedyny syn jego przebywał w Rzymie męki piekielne, to wyrywając się ku Polsce, to opadając w bezsilnem szamotaniu się z dziwnym losem swoim.

Położenie narodu polskiego z początkiem samym wojny r. 1831 ocenił on bardzo przenikliwie: »Żadna ludzka siła, ni pomoc nie może nas wesprzeć w tej rozpaczliwej sprawie *(this desperate cause«)* — ale ten sam Bóg, który rzekł: »Stań się światło« — i stało się światło — ten sam może znów rzec: »Stań się Polsko!« i Polska powstanie olbrzymia i swobodna«.

Rozpaczliwych wyrzekań Zygmunta Krasińskiego na przeznaczenie swe i t. d. nie należy brać dosłownie; są to nieraz wybuchy gorączki młodzieńczej

dochodzącej do szału, tak, że jakiś n. p. list pisany około 20 stycznia 1831 r. sam każe potem Reeve'owi spalić jako płód uniesienia *(I was not in a free mind)*.

Jakoż listu tego nie mamy. Możemy łatwo sobie wyobrazić, ile tam było goryczy, żalu, może nawet bezsilnej złości na urojonych, czy rzeczywistych wrogów. Jakiś wyjątek z gazety angielskiej »Galignani Messenger« (między 1 a 11 stycznia) o Jenerale i o Zygmuncie Krasińskim nadesłał mu Reeve z Genewy. Krasiński nie wie, czy to podstęp jego wroga (L. Łubieńskiego?), czy może wskazówka jakiego przyjaciela, który nie mogąc wprost znieść się z nim, wskazał mu tym sposobem drogę, po której powinien kroczyć. Ale on i bez tego artykułu wiedział i wie, co mu uczynić trzeba. Jeśli nie będzie się bił za Polskę, cóż powiedzą na to przyjaciele jego, co pomyśli o n a?

»Przyjaciele głośno zawołają: Jesteś tchórzem! A ona powie: Jesteś zdrajcą. Bo gdym cię pytała? co nas dzieli? Odpowiedziałeś mi: moja ojczyzna. A teraz? nie ma cię na polu bitwy; spisz ciężkim snem wśród ruin Rzymu — a tu nie pora dumać na ruinach, ale budować na nich nowy gmach o fundamentach z członków ludzkich i głów, o cemencie z krwi!« I cóż ja odpowiem? Nic«. — I objaśnia, że z Rzymu się ruszyć nie może, bo mu minister paszportów nie wydaje, bo jest bez grosza i w fizycznej niemożebności wyjazdu. Ale spodziewa się, że mu ojciec napisze, aby się z nim połączył. On jeszcze nie śmie przy-

puścić, aby mogło być inaczej. „*Il est aussi bon Polonais qu'aucun d'eux. Oui; il m'enverra l'ordre de venir, et alors je partirai*". — Ale tymczasem cierpi strasznie. Nie wychodzi prawie z domu, chyba do Leacha. I to ciekawe, że nie szuka Mickiewicza, który także nie wie, co ma robić i siedzi w Rzymie i cierpi moralnie...

Życie daje Krasińskiemu cierpką naukę, czem są plany, marzenia, postanowienia ludzkie. — Czyż mógł kiedykolwiek przedtem przypuścić, że »będzie musiał spać, gdy inni powstali, pisać, gdy inni walczą, pić wino, gdy inni krwią się poją, i gnuśnieć w ciemnicy, gdy inni rwą się ku wolności i światłu«.

Reeve, jak na spokojnego Anglika przystało, pociesza przyjaciela nie rozumowaniem, ale faktami, albo przynajmniej zapowiedzią faktów. Zdaje mu się, że idzie do europejskiej wojny i że ta ocali Polskę. — Radby on Krasińskiego wyrwać z bezowocnego narzekania i każe mu działać, a przedewszystkiem zbliżyć się do pola działania, do Polski. Jako przykład stawia mu Augusta Zamoyskiego, który stara się przekraść do Polski. „*Je présume* — pisze Reeve — *qu'il se considère comme émancipé de la domination paternelle, attendu que son père s'est réfugié à Pétersbourg mais les fils restent pour soutenir le nom et la gloire du nom de Zamoyski*". Trudno było wyraźniej powiedzieć, czego Reeve oczekiwał po Zygm. Krasińskim. Obecność w tych okoliczność Mickiewicza w Rzymie dziwi zapewne Reeva, który zapytuje w liście:

„Et Mickiewicz? N'oubliez pas de me dire ce qu'il fait, quand vous écrirez".

Tymczasem w Rzymie w połowie lutego 1831 r. wybuchła panika przed rewolucyą, idącą z Bolonii. Rząd papieski powołał Transteweranów do obrony zagrożonej rzekomo stolicy. Jakubowski namawiał Zygmunta Krasińskiego do wyjazdu z Rzymu, póki czas. Krasiński się sprzeciwił. Nie chciał zostawiać Ankwiczów samych, »same niewiasty bez pomocy«. Jest to trochę dziwne. Przez cały tydzień Krasiński opiera się wyjazdowi z Rzymu i »czyni co może, aby pocieszyć tę rodzinę (Ankwiczów)«. *(I made al my efforts to console that family).* Jeżeli do tego obowiązku poczuwał się młodziutki Z. Krasiński, o ileż bardziej musiał się poczuwać Adam Mickiewicz, starszy znajomy i czulszymi węzłami przykuty do progu Ankwiczów.

Tymczasem ambasador rosyjski dał rozkaz, aby Polacy z Królestwa Polskiego opuścili Rzym. Mickiewicz jako Litwin mógł pozostać i został też w Rzymie do 19 kwietnia. Krasiński musiał stąd wyjechać i udał się prosto do Florencyi. Donosił stamtąd 20 lutego Reev'owi, że *campagna* rzymska przepełniona brygantami, rząd papieski w strachu, a armia Bolońska nadciąga ku bramom Rzymu. »Mickiewicz tam został« — donosi Reeve'owi Zygmunt Krasiński. »Nie obawiam się o niego. Wielcy ludzie mają swą gwiazdę w obłokach«. — Rzecz dziwna, że Krasiński nie stara się uzasadnić i wytłómaczyć, dlaczego Mickiewicz w Rzymie został. We Florencyi zdaje się Krasiński być nieco spokojniejszym. »Piszę jeszcze

czasem«, lecz kiedy piszę, to prawie zawsze na temat jakiejś dawnej legendy o walce człowieka z starym nieprzyjacielem rodu ludzkiego. Zacząłem czytać biblię po angielsku. Wspaniała! Manfred także stał się mym ulubieńcem... Zawsze lubiłem świat duchów«.

III.

Drugi pobyt w Genewie.

Z Florencyi na Genuę i Medyolan udali się Krasiński i Jakubowski do Genewy, dokąd przyjechali 25 marca, ciągle jeszcze wyczekując wiadomości i rozkazów jenerała Krasińskiego. Nareszcie nadchodzi list od ojca tak dawno upragniony, nadchodzi 14 maja po tylu miesiącach gorączki, niepokoju, wątpliwości... I cóż przyniósł ten list? ukojenie? hasło do czynu? swobodę działania?...

Przyniósł mu rozkaz pozostania na miejscu — nie mięszania się do rewolucyi, tak jak on, Wincenty Krasiński do niej się nie mięszał. A wówczas dopiero jak Dant za życia przeszedł Zygmunt Krasiński przez piekło... Kochać ojca, to przykazanie Boże — kochać ojczyznę, to najświętszy obowiązek uczciwego człowieka. Nadeszła chwila, gdzie należało wybrać: między ojcem w Petersburgu, a Polską we krwi broczącą — i syn się nie zawahał. Postanowił przekraść się do Polski, na Paryż (jak Mickiewicz) przedostać się do jej granic i walczyć za nią. Ile ten krok stanowczy, grożący zerwaniem z ojcem go koszto-

wał, to odczuć można z wspaniałego listu z d. 14 maja 1831 roku, pisanego istotnie krwią serdeczną i łzami. Nigdy żaden syn podobnego listu nie napisał, jak nigdy żaden ojciec nie nasłuchał się tyle prawd polskich i wprost ludzkich od syna. Po siedmdziesięciu latach nawet list ten dziś jeszcze płonie żarem zgwałconej miłości ojczyzny, kipi najszlachetniejszem wzburzeniem i stanowić będzie odtąd wśród dokumentów Krasińskiego wspaniałe świadectwo dojrzałości jego polskiego serca i polskiego ducha:

1831. Genewa, 14 maja.

»Kochany Ojcze!

»14 maja odebrałem w Genewie list kochanego Papy i oblałem go mojemi łzami — w niepewności dotąd czekałem codzień na wiadomości od Niego i codzień omylony w nadziei, smutniałem bardziej.

»Dzięki Bogu, żem wyszedł z tego stanu niepewności. Pyta mnie się, Kochany Papa, com robił od 16 Decembra. Ten czas przeszedł mi na ciągłej gorączce, na ciągłem oczekiwaniu, na ciągłych boleściach wszelkiego rodzaju.

»Rzym, Florencya, Genewa, Medyolan przeszły mi przed oczyma jak kartki książki, którą się czyta, nie myśląc o niej. Myślałem wciąż o drogiej Polsce i o drogim Ojcu. 25 marca przyjechałem z p. Jakubowskim do Genewy i odtąd tu przebywam, czekając zawsze na listy od Papy.

»Teraz kiedy ten list nadszedł, kiedy w nim czytam wyrażoną wolę Papy, będę prosił o posłuchanie,

o uwagę, o pobłażanie synowi, o miłosierdzie, miłość i błogosławieństwo.

»Nie może wątpić Kochany Papa, że go kocham więcej od wszystkich ludzi, żem gotów dla Niego poświęcić wszystkie związki, czego Mu dowód dałem przeszłego roku — ale też nie wątpi mój Ojciec, żem jest jego synem, wnukiem biskupa Adama i Polakiem. Pisałem w liście do Królewca do Papy, że nienawidzę ludzi, którzy przeciw niemu powstali w Warszawie, alem pisał zarazem, że kocham Polskę i że kiedy Jej sprawa narodową się stanie, nic mnie wstrzymać nie zdoła.

»To samo powtarzam dzisiaj.

»Nasz wiek jest wiekiem poświęceń i pokuty. —

»Ofiarę z siebie uczynić, jest obowiązkiem świętym, od Boga nakazanym. Odpadły z moich oczu wszystkie złudzenia młodości — nadzieje dni świetnych ziemskiego szczęścia. Nigdy szczęśliwym się nie czułem, od kiedy zapamiętam, że żyję — nie byłem szczęśliwym w kochaniu, w tem, co szczęście młodości dla innych do najwyższego stopnia podnosi — i nadal też sobie żadnego szczęścia nie wróżę, nie rokuję. — Wiem również, że chwała wyżebrana u ludzi, kończy się na krzykach kilku, a potem na niczem. Dawniej marzyłem o niej, teraz już jej sobie nie obiecuję; ale tkwi mi w głębi duszy, żem powinien dokonać świętego obowiązku, od którego nikt na ziemi uwolnić mnie nie może. Są takie obowiązki na świecie, które jedne tylko środkują między stworzeniem a Stwórcą, nie przypuszczając

między nich trzeciej osoby. Takim obowiązkiem jest służenie Ojczyźnie.

»Drogi Papa mi pisze, bym podróżował, uczył się, kształcił i bywał po towarzystwach. Trudnoby to przyszło mi do wykonania w stanie, w którym jestem. Cierpienia wjadły się głęboko w moje serce; nieprzerwaną mam gorączkę; czasem czuję, że mi się mózg przewraca; dni moich i nocy nikomu nie życzę. Czytać, pisać mi nie sposób; ledwo dokończyć mogę zaczętej rozmowy.

»A potem, podróżować, włóczyć się między cudzoziemców, kiedy w tamtej stronie Europy mój Ojciec nieszczęściami przywalony — moja babka w smutku lat ostatka dociąga — a moi rodacy walczą, by zginąć lub zwyciężyć — jest rzeczą nietylko niepodobną do uskutecznienia, ale wywołującą co chwila rumieniec wstydu na moje lica.—

»I któż ze mną zechce pomówić? kto rękę ścisnąć? kto się zapoznać? kiedy się dowie, żem Polak, podróżujący dla zabawy i nauki w czasie, kiedy Polacy codzień giną w Polsce! — Takiego stanu znieść nie mogę. Cząstkami umieram codzień. — Przez Boga! lepiejby było odrazu umrzeć i nie męczyć się tyle!

»Ale to są przyczyny mniej więcej egoistyczne — bo można zrobić ofiarę z siebie i wstyd znosić przez poświęcenie. Takiej ofiary podjąć się jestem gotów, choć wiem, coby z niej po kilku miesiącach wynikło: śmierć lub szaleństwo. — Lecz nie o to idzie. Wracam teraz do tego, com wzwyż powiedział, do obowiązku świętego, który

góruje nad wszystkimi inszymi i który mnie woła do Polski, między szeregi moich braci.

»Teraz nadchodzi dla mnie uroczysta chwila. Zmuszony jestem powiedzieć Ojcu, którego kocham i kochałem zawsze nadewszystko, że pójdę przeciw jego woli, że będę się starał do Polski wrócić, że to jedynym od dzisiaj staje się celem wszystkich moich myśli i działań.

»Ojcze drogi! niechaj Bóg mnie sądzi, a Ty nie odmów mi swojego błogosławieństwa!

»Pan Jakubowski, któremu to oświadczyłem, powiedział mi, że wszystkiemi sposobami będzie starał się mnie zatrzymać. Szanuję go tem bardziej, bo pełni swój obowiązek — muszę więc wejść w walkę z człowiekiem, który od dwóch lat codziennie daje mi dowody przywiązania. — Los mój pełen jest goryczy, ale w Bogu ufam; On omylić nie może, bo ma całą wieczność za wydział swej sprawiedliwości.

»W tych dniach będę się starał dostać się do Paryża, a stamtąd jak najprędzej do Warszawy. Z każdego miejsca, z którego będę mógł, będę pisał do Papy.

»Stało się! Czuję jeszcze na twarzy łzy Ojca, żegnającego mnie w Błoniu, serce moje rozdarte ze wszech stron — gdzie się tylko obejrzę, widzę przyszłość czarną.

»Jakże mam ten list zakończyć? Cóż mam powiedzieć dalej? Dziwno, że mi pióro nie wypada z ręki!

»Na kolanach błagam, wspominając obraz matki mojej, której śmierć po dziesiąty raz obchodziłem

miesiąc temu w Genewie, błagam mego Ojca o przebaczenie i błogosławieństwo. — Cierpienia, które sprawię jeszcze, odbiją się w mojej duszy — już ich ciężar dźwigam na sumieniu.

»Źle mi jest, o! źle. Kiedy wspominam na Ojca, drżę cały i cofam się przed przedsięwzięciem.

»Ale kiedy Polska mi na myśli staje, znowu sił mi przybywa, znowu przypominam sobie, że dzieckiem nieraz przysięgałem przed drogim Papą, że ją zawsze, zawsze kochać będę.

»Dotrzymam przysięgi. Błagam o przebaczenie i błogosławieństwo — Bóg w nieskończonem miłosierdziu dozwoli, bym kiedyś to błogosławieństwo u stóp Ojca odebrał.

»Ojcze drogi! nie odwróć lica od syna. Wierzę mocno, że robię to, com powinien. Przebacz mi. Ten, co na krzyżu umierał, w chwili zgonu przebaczył mordercom. Proszę o przebaczenie i błogosławieństwo, a niech wielki cień biskupa Adama nademną skrzydła swej opieki rozciągnie!

Zygmunt Krasiński.

List ten mógł być punktem zwrotnym w życiu Zygmunta Krasińskiego. Gdyby był się wykradł z Genewy i przedostał do Polski, byłby jeszcze trafił na samo przesilenie wojny narodowej, a po niej byłby musiał podzielić losy emigracyi polskiej. Trudno oceniać, jakieby to wydało owoce dla niego samego i dla poezyi polskiej. Nie przyszło do tego. Ten list gorączkowy kończy się dopiskiem z następnego dnia:

15 maja. Pan Jakubowski zamknął mi wszystkie drogi do wyjazdu...«.

Trzeba to tak rozumieć. Jakubowski nie mógł przeciwdziałać postanowieniu Jenerała i spełnił tylko swój obowiązek mentora, nie dając Zygmuntowi Krasińskiemu pieniędzy na wyjazd, a może porozumiawszy się także z władzami genewskiemi, aby młodzieńca powierzonego jego pieczy, nie wypuściły z miasta. Ale ludzie wydostają się nawet z więzień, a cóż dopiero z miasta dużego, położonego tuż przy granicy francuskiej. Zresztą Reeve, który właśnie wyjeżdżał z matką z Genewy do Anglii, chciał Krasińskiego przekraść z sobą, ale jak sam zeznaje, był za słaby, uległ energicznym przedstawieniom Jakubowskiego, a także — co bardzo ciekawe — niezdecydowanie Mickiewicza wpłynęło osłabiająco na zamiar Reeva. Mickiewicz przybył do Genewy z Rzymu, bawił od kilku dni i nie spieszył się...

Krasiński zatem, gdyby był stanowczo wymknąć się chciał Jakubowskiemu, byłby mógł tego dokonać. Dlaczego nie zrobił tego? Wyjaśnienie zagadki leży w pobudkach psychologicznych, w samej istocie natury Krasińskiego. Natura ta była na wskróś szczera, prosta, lubiąca sytuacye legalne, była to po prostu natura prawa. On chciał bić się za Polskę, rwał się do powstania — ale chciał mieć na to pozwolenie wyraźne ojca, nietylko dlatego, że ojca kochał serdecznie, ale z początku także dlatego, że temu ojcu ufał, że widział w nim przedewszystkiem Polaka, który przeszedł z Napoleonem od Hiszpanii do Berezyny, bił się w nadziei, że do-

służy się nietylko tytułów, ale wolnej Ojczyzny i zpewnością Polskę kochał. Otóż póki ten ojciec nie nadesłał mu pozwolenia na wstąpienie w szeregi wojsk polskich. Krasiński nie chciał samowolnym krokiem dobijać niejako Jenerała w opinii publicznej: »patrzcie — mówionoby — syn, młodzieniaszek 19-letni walczy, może ginie za Polskę — ojciec, jenerał zdradza wojsko i naród«. On wiedział, że ojca swego wstąpieniem do wojska polskiego, udziałem w rewolucyi może poprostu moralnie dobić — i przed tym czynem zadrżała ręka synowska... On już w duszy zrobił z siebie ofiarę, choć mu się serce krwawiło — on wiedział, że mu Jenerał z Petersburga pozwolenia nie przyszle, ale spodziewał się jeszcze wbrew nadziei samej i szturmował dowodami serca i rozumu.

Ojciec mu pisał do Rzymu w grudniu: »za 5 lub 6 miesięcy będziesz mógł mnie prosić o swój powrót, kiedy rzeczy pewniejszej barwy nabiorą«. Syn pisze z Genewy: »te miesiące upłynęły. Rzeczy nabrały świętej, iż tak rzekę barwy, bo — *narodowej*«.

Błaga ciągle ojca, by mu wolno było do Polski wrócić, przedstawia mu, że obecnie ani jemu na nic się zdać nie może, ani Polsce na nic i zapytuje: »Czemże jestem? Wszyscy moi przodkowie bili się za Polskę... Dla czegoż mnie jednemu dostało się patrzeć na walkę i nie módz biedz do niej?« Czeka na odpowiedź ojca, jak na »Zbawiciela«. Stara się poruszyć w nim najczulsze struny wspomnień, własne dzieciństwo, gdy igrał w pokoju Jenerała przy

kominku; gotów poświęcić dla ojca życie swe, spokojność, szczęście.

»Ale — dodaje — zarazem jest w każdym człowieku coś więcej nad życie i szczęście — a to Polsce się należy«.

Dwa długie, ciężkie miesiące upłyną, nim doczeka się Zygmunt Krasiński listu z Petersburga. A tymczasem położenie jego stanie się istotnie rozpaczliwem. Walka uczuć sprzecznych, niedających się, jak w tym wypadku, pogodzić — mogła była wyrzucić z równowagi umysł nawet męski, nie dopiero młodzieńczy. Kto inny mógł był z tej walki wewnętrznej wyjść złamany, zepsuty, zgorzkniały na resztę życia i goryczą swą drugich poić. Krasińskiego ta klęska podwójna: rodzinna i narodowa doprowadziła niemal nad samą przepaść rozpaczy i zwątpienia, zatruła mu młodość, owszem pozbawiła go właściwie młodości; z tej strasznej próby wyjdzie on zwycięsko — moralnie. Ale zwycięstwa duchowe okupić trzeba zawsze kosztem sił fizycznych. Krasiński przedwcześnie starzeje, a nie obdarzony od natury organizmem krzepkim, owszem po matce odziedziczywszy szczupły zasób energii fizycznej, dojrzeje w nieszczęściu jak roślina w cieplarni, zakwitnie rychło, zaowocuje dziwnie wcześnie, ale za to pochyli znużoną głowę na sen wiekuisty w latach zaledwie męskich...

Już od lat czterdziestu kryje go mogiła, a rówieśnicy jego wszak za dni naszych dopiero do grobu zstąpili (Reeve umarł 1895, Józef Majer, Franciszek Smolka 1899, Leon XIII. 1903 r.) Ale też nikomu z rówieśników jego nie było danem przejść takiego

1831 r. Taki rok jeden starczy za kilkadziesiąt lat zwykłego życia.

Mickiewicz, dużo był starszy i bardziej od Krasińskiego zahartowany wówczas, a przecież przebolał strasznie długie jak wieczność miesiące wiosenne i letnie 1831 r. Zwątpienie nurtowało duszę jego i trzymało go zdala od Polski. Nie wróżył powodzenia orężowi naszemu i sprawie wyswobodzenia się — a gdy po miesiącach przedługiej pielgrzymki stanął wreszcie u granic Królestwa w Poznańskiem, rozpacz dosięgła szczytu i kładła mu już do ręki broń samobójczą...

19 Kwietnia opuścił Rzym, w pierwszych dniach Maja był jeszcze we Florencyi, zapewne koło 15 Maja stanął w Genewie, gdzie zastał Chlustinów, Reeva i Krasińskiego. — Reeve wyjechał z Genewy 18 Maja; Krasiński opłakał ten wyjazd przyjaciela. Odprowadziwszy go do St. Cirgues, wraca stamtąd piechotą do domu, zastaje Mickiewicza z Jakubowskim, ale nie widać, by mu to towarzystwo przyjemność sprawiało. — Mickiewicz nie zastąpi mu Reeva. Nazajutrz po rozstaniu pisze do Anglika:

»Vous me manquez de toute la bonté de Votre coeur, de toute l'étendue de Votre esprit. Et à présent à qui irai-je dire avec confiance mes peines? à qui parlerai-je d'immortalité, de Dieu, d'Éternité. A deux mains je saisirai mon âme qui déborde et je la refoulerai jusqu'au fond de ma poitrine! Et que me sont tous ces êtres qui passent et repassent devant moi...«

Pisze tak, jakby nikogo niemiał około siebie prócz Jakubowskiego i Lintnera! A przecież Mickiewicza powinien był zaliczać do osób, którym mógł z ufnością powierzyć swe troski...

Takby się zdawało, ale tak nie było. Nie było zaś dlatego, że jak już wiemy, Mickiewicz swym brakiem decyzyi w sprawie współudziału w wojnie narodowej zbałamucił nawet Reeva, który nalegał na wyjazd Krasińskiego do Polski, — Mickiewicz trzymał niejako z Jakubowskim i stąd mogło się wyrodzić pewne oziębienie stosunków z Krasińskim. Nie mamy żadnego słówka w korespondencyi Krasińskiego, któreby rzucało światło na tę sprawę.

Ale oczywista Krasińskiemu mogły na myśl przychodzić takie pytania:

Mnie zakazuje ojciec bić się, Jakubowski strzeże mnie jak więźnia — ale Mickiewicz jest wolny jak ptak, siedzi w Rzymie od pięciu miesięcy, siedzi teraz w Genewie i nie spieszno mu na pole bitwy. Nie spieszno jemu? piewcy Ody do Młodości: *Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił!* Jemu? który stworzył postać mściwego Wallenroda:

»Ja to sprawiłem, jakem wielki, dumny:
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny,
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!«

Cóżbyśmy dali za to, żeby mieć choć słabe echo rozmów ówczesnych Mickiewicza z Krasińskim! ich wymiany myśli... A rozmawiać z sobą musieli! Tak np. Krasiński przewozi Mickiewicza łódką 19 Maja z brzegu Genewy Eaux Vives do Paquis, dokąd Mi-

ckiewicz podąża na wieczór do Chlustinów. Krasiński nie idzie tam, choć zna Chlustinów, zostaje sam, woli podpłynąć pod altanę Henryety...

21 Maja Mickiewicz ma wyruszyć do Paryża, a najlepszym dowodem stosunków ceremonialnych między nimi jest to, że Krasiński prosi Reeva, aby mu doniósł z Paryża, co też o nim Mickiewicz będzie mówił...

Po wyjeździe Mickiewicza Krasiński rozczytuje się w Chateaubriandzie, ale to mu dni nie wypełnia. Więc na ulubionem jeziorze w łódce spędza dni całe i n o c e, w pogodę i słotę i podczas burzy... »Nabawia się kataru z wilgoci i pozbywa się go moknąc jeszcze lepiej...« Narzeka wprawdzie na to, że go wszystko opuszcza, nawet poezya, lecz właśnie w tym samym liście posyła przyjacielowi streszczenie rozpoczętego świeżo utworu.

Jest to historyjka prozą *(moi, impuissant dans le rythme)*, zrazu rozpoczęta może ot tak, dla zabicia czasu, ale z czasem rozwinięta dokładniej, wysnuta z własnego wnętrza, a więc pełna bolu i szału. Jest to ów zagubiony *Adam Szaleniec*, o którym dotychczas głuche tylko krążyły wieści.

Będzie z niego streszczenie i wyjątki (w francuskim przekładzie) przesyłać przyjacielowi Krasiński, a to w miarę powstawania powieści.

Zdamy z niej sprawę we właściwem miejscu.

Może nigdy rzeczywistość tak szybko nie przemieniała się w poezyę. Pod wpływem wiadomości Reeva z Paryża, pod wpływem tego, co ludzie mówią o Jenerale Wincentym Krasińskim i czego oczekują po synu, rośnie *Adam Szaleniec*, karmiony żalem,

lecz nie pojony nadzieją, rośnie utwór, w konwulsyjnych niemal rzutach, pod razami hiobowych wieści z ręki przyjaciela, o którym także mógł rzec Krasiński:

»On mnie gnał naprzód swojej prawdy biczem«.

Utworowi temu za godło służyć mogła tragiczna dewiza:

Furiis agitatus Orestes.

Orestes zaiste polski! Orestes który Matki nie zabił, ale na zabijaną z oddali, bezsilnie patrzeć musiał, choć mu z bolu serce skowyczało...

Wszystkich wyrzekań, skarg, jęków nie podobna tu wyliczać, zestawiać i na zimno dziś ważyć. Trzeba je odczytywać w listach do ojca i w listach do przyjaciela; tam, we właściwem miejscu, czuć cały ich żar i ból niewysłowiony.

Zauważyć jednak należy raz jeszcze, że Zygmunt Krasiński ojca swego nie rozgrzeszał, ale jako syn sądzić go nie chciał...

Gdy mu Reeve radzi, aby przekradł się przez granicę francuską z Genewy i dał się po prostu odstawić do Paryża żandarmom francuskim, Krasiński drętwieje na samą myśl skandalu rodzinnego:

»Czy uważasz mnie za zdolnego, bym dorzucił kamień do stosu, którym ukamienowano mego ojca! Czy chcesz, bym obnosił po Francyi hańbę tego, który tam zdobył tyle chwały? Czy chcesz, bym po bohatyrskim oddaniu się żandarmom czytał dwa dni później w gazecie jakiejś obelgi otaczające nazwisko mego ojca, a wśród nich tu i ówdzie kilka pochwał dla mnie?

»Tak, mówię to wyraźnie, ale tylko Henrykowi Reeve'owi i nikomu zresztą na świecie, mój ojciec popełnił błąd ciężki, straszny; ale to nie moja rzecz żądać od niego wytłómaczenia...«

On się uważa odtąd za ofiarę miłości synowskiej, ofiarę cichą i zapomnianą na ziemi, ale jawną u »stóp tronu Syna Człowieczego«. — Reev'owi, a z nim i nam wszystkim dzisiaj, skłonnym do posądzenia go o brak energii, niezdecydowanie itp. odpowiada Krasiński spokojnie i z rezygnacyą: »Bądźcie nieszczęśliwi, jak ja, i wtedy mnie sądźcie...«

Mamy tu innymi słowy wyrażoną myśl podobną Mickiewicza:

»Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...«

W tych miesiącach próby moralnej wykazała się cała wartość i doniosłość przyjaźni z Reevem, który umiał łagodzić ból, część winy nawet na siebie przyjmując, bo czemuż on go z sobą przemocą do Paryża nie wziął! Reeve nie ma w sobie nic ze sztywności i oziębłości angielskiej, nie rozprawia z biednym Krasińskim, ale współczuje jego niedoli. On sam zresztą wie i czuje, jak mało jest Anglikiem (»combien peu je suis Anglais«).

Przez cały czerwiec Krasiński zajęty jest »Adamem Szaleńcem«, który ma odzwierciedlać jego najskrytsze uczucia, »wszystkie krople goryczy«, które zbiorą się w tym utworze jak w kielichu. »Może kiedyś ten kielich ludziom ukażę, mówiąc im: »oto co mi dała ziemia i jej mieszkańcy«. — Ale równo-

cześnie czuje, że cierpienie go zahartowało na wszelkie niespodzianki losu:

»Przygotowałem się w milczeniu nocy. Marzenia moje były przygotowaniem: ścisnąłem się mocno pasem boleści w okół piersi mej i oto zagadka przedemną! pierwsza-li (Polska) czy druga (Rossya) rozleci się w kawałki?«

1-go Lipca otrzymał Krasiński z Paryża (nieznany nam) list Mickiewicza, z którego widział, że autor Wallenroda jeszcze nie był zdecydowany. Donosi o tem Reevowi Krasiński, a ponieważ przypuszcza, że Mickiewicz będzie w Londynie (o czem Reeve napomyka w listach), więc każe Reevowi uściskać od siebie Mickiewicza.

Ciągle mu posyła do Londynu dalsze wyjątki z Adama Szaleńca. Nawzajem odbiera stamtąd próby poetyczne Reeva, któremi na ogół biorąc się zachwyca, ale od czasu do czasu. coraz śmielej, opatrywa je krytycznemi uwagami, którym trudno odmówić słuszności.

Z razu wydaje mu się, że Reeve będzie poetą, a on sam nie, bo niema daru wierszowania. Ale wśród zgryzot moralnych, wśród ciągłych naprężonych wyczekiwań losu wojny polskiej i losu własnego, jedyną podporą (zwłaszcza w owych samotnych letnich miesiącach 1831 r.) staje mu się tworzenie, jedyną osłodą poezya, która jest w nim i przejawia się nie w wierszach, jakby on sobie życzył, ale w pomysłach, w natchnieniu ciągłem. On zdaje sobie doskonale sprawę z tych skarbów duszy własnej:

»Przekonałem się tymi czasy, że mam istotnie

iskrę poezyi w mem łonie, co prawda bardzo niedoskonałą, skoro brak mi rytmu.

»Dowodem tej poezyi jest okoliczność, że bez nadziei, aby mnie kiedykolwiek ludzie czytali, piszę i to z takim zapałem piszę, jak przedtem. Tak zatem piszę, bo muszę pisać. Piszę, bo piszę. *I cannot choose but write* jak mówi także Coleridge.

»Co to znaczy być poetą, jeźli nie to, że się ma nadmiar myśli, które potokiem wzbierają nad powierzchnię duszy, wrą w niej, póki nie znajdą sobie ujścia. Nie dba poeta, czy ujście to prowadzi do uszu ludzkich lub ku nicości; byleby tylko pozbył się tego ognia, co go pali i nie daje mu na chwilę odetchnąć. Oto dlaczego mówiłem ci zawsze dawniej, że jesteś wyższy odemnie przez to, żeś pisał dla siebie, a ja dla drugich«.

W lecie 1831 r. cholera postępowała groźnie z Rosyi na zachód Europy, siejąc przestrach przed sobą. Krasiński zdenerwowany do najwyższego stopnia brakiem wiadomości od ojca, donosi Reeve'owi w liście z d. 13 lipca, że ma przeczucie, iż umrze na cholerę. W tem przeczuciu pisze tegoż dnia testament; w nim zapisuje przyjacielowi różne drobiazgi, a także rękopisy francuskie i angielskie. Najważniejszem jest zakończenie testamentu, przytoczone dla Reeva:

»Opuszczając tę ziemię w wieku bankierów i gnębicieli, jednego tylko żałuję, tego mianowicie, żem nie padł na polskiem polu bitwy i żem niemiał u łoża śmierci żadnego z mych angielskich przyjaciół«. — Te słowa — dodaje Krasiński — są

symbolem mej duszy, bo co się ziemi tyczy, nie żałuję jej wcale«.

Kiedy nareszcie 11 lipca nadeszły listy od ojca z Petersburga, Krasiński czuł się niemi rozbrojony. Zamiast ostrych rozkazów, z któremi chciał walczyć, znalazł w listach pokorną niemal prośbę zgnębionego, nieszczęśliwego ojca, który przed synem ze swych uczuć się spowiadał...

Echo tego listu mamy w piśmie Krasińskiego do Reeva z d. 12 lipca:

»Ojciec pisze do mnie z rozdzierającą czułością; mówi mi, że gotów jest poświęcić ojczyźnie siebie i dziecko swoje, zaklina, bym czekał: niebawem połączy się ze mną«.

Krasiński wyrzeka przed Reevem. że ma serce niewieście, że nie śmie wystawić się na przekleństwo ojca, że wreszcie ten list go rozbroił: »Kiedy, zamiast gróźb znalazłem tam prośby, zamiast gniewu błogosławieństwa, zamiast rozkazów błagania, zamiast uczuć, na których myśl samą drżałem, miłość Polski przebijającą z każdego słowa — cała siła moja (odporna) roztopiła się w łzy...«

Mniejsza o to, że jakiś pół-polak (jak mówi: »drugie pół, dyabeł wie co«) wracający z Włoch wyznał mu, że ks. Gagaryn w Rzymie powiedział, iż wszystkie ambasady rosyjskie mają rysopis Krasińskiego i rozkaz odstawienia go do Petersburga, gdyby chciał z Genewy umknąć.

Ale co się z nim dzieje na myśl o ojcu, który ze szczytu powodzenia i ambicyi upadł i dziś nikogo już na świecie niema prócz jedynaka...

Krasiński jeszcze ma jakiś promień nadziei, że ojciec jego będzie się bił za Polskę, a on przy ojcu... Na czem ten promień nadziei się zasadzał, nie wiemy...

Ale to pewna, że ten słaby promyk zatrzymywał go nad brzegiem przepaści. I on, tak jak równocześnie Mickiewicz, marzył o samobójstwie; byłby je może popełnił, gdyby był miał pewność, że umrzeć to znaczy zasnąć na wieki. Ale cóż wieczność? I tu znowu filozoficzny podkład umysłu jego na jaw się wybija.

»Wieczność? Otóż zobaczysz, będziemy w tej wieczności nowe mieć znoje, nowe troski...

»Przeklniemy kiedyś wieczność, jak przeklinamy ziemię. Będziemy się żalić, a pot rzęsisty (à larges gouttes) spływać będzie z czół wiekuistych naszych«.

Ton listów do ojca zmienia się teraz, odkąd Wincenty Krasiński już rozkazywać nie śmiał, ale mógł tylko błagać i zaklinać... Odtąd Zygmunt Krasiński czuje się w prawie przemawiać do ojca, jak do starszego, zbłąkanego brata, już mu dokładniej roztrząsa polskie sumienie i nie tyle jako syn do niego przemawia, ile raczej jako Krasiński do Krasińskiego:

»Dzisiaj-bym życie moje oddał, bylebym (*ojca*) mógł widzieć g d z i e i n d z i e j i raz jeszcze przed skonaniem uścisnąć. — Związane mam ręce — mało energii w duszy — słabieję coraz gorzej na umyśle — kocham, o, kocham mego ojca i z założonymi rękoma stoję daleko od Polski. — Jednak niech Papa się zmiłuje! Czyż nie jest to obowiązkiem moim być tam

i czynić, jak inni czynią? Papa ma czternaście ran na ciele za Polskę — w setnych bitwach jego pałasz zabłysnął w sprawie Polski — ale ja! cóżem dotąd uczynił, bym mógł na późniejsze lata mieć spokojne sumienie? jeśli teraz nie zabezpieczę sobie pociechy na przyszłość, działając jako przystoi na Polaka, jakże płynąć mi będą lata? — To wszystko są mniej więcej rozumowania, które można zbić przeciwnemi, tak jak każde dowodzenie na tym świecie, ale to, co zniszczyć ni uspokoić nie można, jest w moich piersiach — mówię o tej chęci walczenia za Polskę, o tem głębokiem przekonaniu, że to moją powinnością, o tej strasznej bojaźni, by mi nie wyszło na przekleństwo od ludzi i Boga to, że spokojnie tu siedzę.

»Dźwigając ten węgiel rozżarzony w łonie, chwili, chwili jednej pokoju nie mam. Letarg i gorączka — oto dwa stany, które nawzajem mną władają — dwa dni letargu, dwa dni gorączki — oto całe moje życie!... Zmiłuj się, drogi ojcze, nademną! Gdybym nawet zginął w tej tak pięknej sprawie, czyżby ci nie została po mnie święta pociecha i szlachetne wspomnienie?...

»Papa wie, jak go kocham; spodziewam się, że zna mnie dobrze i że poznał może, iż w 19 leciech nie jestem już tym samym, co dawniej, kiedym go zwodził w Opinogórze..., nie wdawałem się w zdrożności, mojemu wiekowi właściwe, choć namiętności nie słabych jestem, bo kocham mego ojca. Karty, kobiety, wszystko, wszystko poświęcić mu potrafię, ale nie jechać do Polski, nie bić się za Polskę, to

mi ćwiartuje duszę. Ręce mam związane — sposobów żadnych do jechania, alem zanadto szczery, zanadto poważam i szanuję Ojca, abym tu się nie przyznał, że gdybym miał sposoby, nie wiem, czybym pomimo jego woli nie opuścił Genewy dla Warszawy. Powtarzam zawsze, iż to uczucie obowiązku i bojaźń wstydu tak mnie nękają, iż czasem od zmysłów odchodzę, kiedy o tem pomyślę. Nieszczęśliwy jestem! — dawniej to mówiłem przez Romantyzm, dziś niestety, rzeczywistością to się stało...«

Rzecz charakterystyczna: tuż po wylewie patryotycznych uczuć następuje popis autorski. Zdaje ojcu ogólną sprawę z wrażeń włoskich, albo ściślej mówiąc, rzymskich — wreszcie chcąc dać ojcu »wyobrażenie o impresyi Włoch« przepisuje dla niego w liście »kawałek należący do jednej rzeczy, którą pisze teraz«... Czy miał to być wstęp do »Adama Szaleńca«, czy też jest to wyjątek z jakiegoś zaniechanego z czasem utworu, trudno dziś rozstrzygnąć. Jest to studyum z natury, jako próba obserwacyi i charakterystyki duchowej, ważniejsze niż pod względem stylu, który ma w sobie znamiona przejściowej epoki. Oto początek: »Z gajów wyzierają czarne oczy między pomarańczą a cytryną... Mnich w długiej szacie idzie z kijem, bosą nogą po drodze. Apeniny przy widnokręgu błyszczą w całej słodyczy farb swoich — niebo piękne — ziemia piękna. Ruin — nie do wyliczenia: księży, co nie miara; ubogich hurm: muzyka brzmi nad tem wszystkiem tak ponętnymi dźwięki, że inszej sobie nie życzyć w chwili

zgonu — gdzie stąpisz, to kwiat, gad, nierządnica, lub pamiątka po bohaterze — Gdziekolwiek się obrócisz, to musisz zachwycić woni róży, myrtu, lub aloesu — gdziekolwiek spojrzysz, tam lice blade z wycieńczenia, ale żywe ciągle, lub chmura w lekkich zwojach rozciągająca się po błękicie nieba, jak na łożu rozkoszy, — lub kościół, w którym ołtarzy więcej, niż modłów, a zalotów więcej, niż ołtarzy; lub brama, dawnych zwycięstw córka; lub obelisk, z dalekiej pustyni wędrowiec; lub fontanna, nad którą jeszcze stare Bogi panują, grająca wodami pośród ich posągów; lub kaplica z lampą, żarzącą się nad czołem Madonny, której wdzięki mówią bardziej do oka i serca, niż wszystko, co wokoło się wznosi...«

W sierpniu 1831 r. Krasiński przechodzi znowu powrotną gorączkę uczucia swego dla Henryety. — Reeve na prośby Krasińskiego jedzie do Tunbridge Wells, miejsca zamieszkania panny Willan, odwiedza ją i nawiązuje delikatnie nić stosunków, zupełnie od kilku miesięcy przerwanych. Na prośbę Henryety posyła jej Reeve artykuły Krasińskiego w Bibliothèque Universelle, a także Spowiedź Napoleona i ustęp napisany w Bellegarde. Niepewność, jak Henryetta przyjmie Reeva, co o nim samym myśli, czy go jeszcze kocha — zwiększa w Krasińskim nastrój rozdrażnienia nerwowego. Wspomnienia zeszłoroczne dolewają, rzec można, oliwy do tego ognia, trawiącego młodą duszę. Rok temu odbywał wycieczkę do Chamonix z Reevem, do Oberlandu i Rigi z Mickiewiczem — a teraz samotny przeżuwa miłe wspomnienia, aby teraźniejszość tem czarniejszą mu się

wydała. Odbywa ponownie wycieczkę do Chamonix, rozdrażnia ranę i pisze w Arveiron fragment dla Reeva po francusku, w luźnych odstępach, swoim zwyczajem. Są to czułe, przyjacielskie zwierzenia na cześć Reeva, trochę patetyczne, ładnie napisane, ale na ogół nieco wymuszone.

Reeve czuł się w Anglii nie swój; nie podoba mu się ani społeczeństwo, ani ustrój jego. Tak mało zna jeszcze sam siebie, że myśli, iż do polityki mięszać się nie będzie, chyba w sprawie Polski i to z miłości dla Krasińskiego i Zamojskiego. Krasiński z okazyi jakiegoś listu Reeva, który się nie dochował, przestrzega przyjaciela przed tem zniechęceniem do własnej ojczyzny i każe mu lepiej wypróbować swe serce angielskie: niech czeka, aż nieszczęścia zaczną spadać na Anglią, a wtedy z pewnością patryotyzm jego się ocuci. Krasiński pisze to pod wpływem bolesnych, osobistych wrażeń i dlatego pisze z zapałem. Jest tam ustęp, dowodzący, że zaczyna on głębiej zastanawiać się nad organizacyą społeczeństw europejskich, że zaczyna przewidywać smutny koniec obecnego »stanu posiadania«, przeczuwać kataklizm dziejowy... Głos przyjacielski, pełny niezadowolenia i obaw o Anglię, odbija się w jego sercu i porusza tam struny ani polskie wyłącznie, ani angielskie specyalnie — ale wszechludzkie. Zrazu, jak tutaj, struny te dźwięczą cicho, ledwo dosłyszalne, ale w miarę rosnącego doświadczenia będą wydawały coraz pełniejsze tony, aż zabrzmią po mistrzowsku — w Nieboskiej.

»Kupcy i bankierzy — ale czyż nie widzisz, że

jest ich za wiele na tym świecie, że prawa Bożej miłości na tem cierpią; potrzeba wstrząśnienia, aby w przepaść wpadli — a my, jeśli na skraju przepaści zostaniemy, mój przyjacielu, będziemy patrzeć na tę smutną naukę, na te ciała w otchłani drgające, pod stosem biletów bankowych«.

Pierwsza w tymże liście wzmianka wyraźna o St. Symonistach każe przypuszczać, że Krasiński zainteresował się żywo tym ciekawym objawem społecznego fermentu. Dużo wtedy mówiono o St. Symonistach, o ich organizacyi w Paryżu i na prowincyi (Dijon, Lyon itd.), o ich przewódcach: Bazard'rze i Enfantin. Nie można wątpić, że kiedy Krasiński z Rzymu wrócił do Genewy, Reeve i przyjaciele genewscy (Duchesne, Binet) w rozmowach wracali często do kwestyi St. Symonizmu. Osobista niedola Krasińskiego nie dała mu zrazu dokładniej zainteresować się tą ważną sprawą. Aż z czasem dopiero, w samotności, szukał innych podniet umysłowych, a zastanowienie się nad własną biedą prowadziło go prostą drogą do rozmyślań nad ogólną niedolą ludzkości. Umysł filozoficzny, wzbogacony spostrzeżeniami, wyniesionemi z ruin Rzymu i historycznych miejscowości Włoch, zaczął zgłębiać i porównywać dzieje ludzkości i jej nadzieje i dążył nieznacznie na pozór, ale stale do jakiejś syntezy społecznej.

Równocześnie, ani na chwilę nie zapominając o Polsce, którą jak węgiel żarzący w łonie swem nosi, snuje Krasiński przeróżne pomysły poetyckie. Reeve'owi, który widocznie nie miał ich do zbytku, posyła temat do obrobienia w wierszach poetyckich,

a Reeve przyjmuje dar przyjacielski i pomysł Krasińskiego rozwija, wciela go do swego poematu.

Poezyę francuską sądzi on wówczas dość surowo. Ani Wiktor Hugo, ani Balzac nie zadawalają go: »Nie zaczytuj się w poezyi Hug'a... Jest to poezya wyrażeń, bez myśli. Wielką wadą W. Hug'a, Balzaka i całej tej generacyi ponurych poetów, lękających się, by ich ulewa nie zmoczyła, jest nadmiar wyobraźni i zbyt mało uczucia. Nie masz harmonii między władzami ich dusz. Czytaj ich, a co ci po przeczytaniu pozostanie, nie będzie tworzyć całości harmonijnej. Czytaj zaś Szekspira i Byrona: kilka szczegółów wyda ci się tam niezgodnych, ale całość utworzy zgodną muzykę. Wielki poemat powinien naśladować wszechświat, gdzieto szczegóły wydają się czasem dziwaczne, gdzie jednak całość jest boską«.

Z końcem sierpnia nowa pokusa spada na Krasińskiego. Któryś z Łubieńskich, stryj Leona, przyjechał do Genewy w sprawie pożyczki państwowej dla Polski. Przed wyjazdem wzywa do siebie Krasińskiego, oznajmia mu, że w Paryżu formuje się ekspedycya pod wodzą księcia Moskwy, która z Hawru morzem ma się przedostać na brzegi Żmudzi. Do tej ekspedycyi zaprasza Krasińskiego na podstawie depeszy Kniaziewicza. Zygmunt Krasiński postanowił jechać do Paryża, spakował rzeczy, nie zważał na łzy i zaklęcia Jakubowskiego; pieniędzy pożyczył mu Duchesne — Tymczasem wychodzi na jaw, że ekspedycya księcia Moskwy jest fałszem, fikcyą Łubieńskiego, że w Paryżu chcą Krasińskiego użyć do biura ambasady polskiej. Tego znowu on nie chce; pisania

ma dosyć, bić się pragnie. »Nie chcę codzień w notach i listach wypisywać świętego imienia Polski; ja chcę rzeźbić je szablą na piersiach rosyjskich — wszystko, lub nic!«

Cała ta mistyfikacya trwała tylko dni kilka, ale wzburzyła do gruntu skołataną duszę Krasińskiego. »Może te dwa dni szału na przemian, uniesienia i rozpaczy kosztowały słaby mój organizm rok życia«. A do ojca napisze: »Takie sceny (z Jakubowskim) niszczą życie«.

Z górnych rojeń wyprawy na Litwę trzeba było zstąpić do »czegoś świętszego, niż chwała, do idei zapoznanego poświęcenia, cichego, milczącego...«

Jakby miał za mało dotąd prac umysłowych, zabiera się jeszcze do czytania Danta w oryginale, w czem mu pomaga stary kapitan Polak, bawiący w Genewie, Jaźwiński. Otwiera mu się wiek średni, który on odrazu doskonale odczuwa i prześlicznie określa:

»Zacząłem czytać Dantego w oryginale, nie umiejąc słowa po włosku i rozumiem Dantego. O, jak te średnie wieki są posępne, natchnione, imponujące! Jak on skorzystać umie z każdego obrazu czarnego i ponurego! Jak ten deszcz zimny pada tam boleśnie na potępionych! Jaka gorycz w tych duszach straconych, które krążą w powietrzu, jak liście jesienne! A obok zjawia się starożytny Charon, cerber starożytny. Wszystko jest na swem miejscu: pogróżki starego świata i nowego. Bogowie ustąpili z nieba, ale pod ziemią zachowali swe trony. Dante jest jednym z tych geniuszów, którzy wyobrażają nie po-

kolenie jedno, nie wiek jeden, nie konstelacyę jedną, ale całą drogę mleczną wieków«.

A z Polski szły coraz gorsze wieści. Do bitw przegranych przyłączało się coś gorszego jeszcze: niesnaski w Rządzie, częste zmiany wodzów naczelnych siały popłoch w wojsku, odbierały ufność w pomyślny wynik narodowej sprawy. Na wieść o dymisyi Skrzyneckiego pisze Krasiński do Reeva, zasmucony do głębi i przewidujący już fatalny koniec wojny. Daje sylwetkę Skrzyneckiego, najpiękniejszą, jaką ktokolwiek wodza tego uczcił — rzewny nekrolog zasług wojennych człowieka, którego zmarnowano u nas w r. 1831: »Skrzynecki był jedynym człowiekiem, który mógł zmierzyć się z olbrzymią potęgą Rosyan, bo miał odwagę bohatera, geniusz wodza i poświęcenie męczennika chrześcijańskiego. Tyś go nigdy nie widział. Ale ja, który go tylekroć podziwiałem w czasie mego dzieciństwa, widzę te kształty smukłe i proste, to oblicze blade i surowe, te oczy czarne i spokojne, ten wzrok szlachetny i pewny siebie, znikający wśród szeregów żołnierzy, z którymi się żegnał. Ten człowiek był wielkim człowiekiem. Ufność swą położył tylko w Bogu, nie wrzeszczał tak, jak ci tchórze, gubiący teraz Warszawę: »zwyciężyć lub zginąć!« Ale byłby zwyciężył lub zginął. Opłakuję Skrzyneckiego, jakbym ojca mego opłakiwał; bo nie widzę już człowieka, mogącego zbawić Polskę. W nim był zamknięty wyrok Boga. Oni rozdarli ten wyrok łaski, rozkazując mu opuścić armią«.

Czyta ciągle ogromnie wiele i ostrzy na książkach swój zmysł krytyczny. Historya współczesna Schlegla

nie podoba mu się; uważa ją za gorszą od historyi literatury tegoż autora. Zarzuca mu, że chce uogólniać (généraliser), a nie może tego dokonać, że »przesypia« wielkie wypadki, a zatrzymuje się przy błahych faktach. Natomiast chwali i zaleca Reevowi do czytania Ballanche'a, myśliciela francuskiego, który daje »wyobrażenie poetyckie o starożytności, a wielkie i ogromne o Wschodzie«. Nawoływa wreszcie do Reeva do energii, on, na pozór złamany, sam pod brzemieniem nieszczęść narodowych. A kiedy Reeve się tłumaczy, że trudno mieć energię wśród brukwi i zajęcy, Krasiński mu wyjaśnia, że energię można i należy mieć wszędzie i zawsze. Ale na to potrzeba spojrzeć na całość rodu ludzkiego i stworzyć w sobie świat dla siebie. Trzeba się zmierzyć z przeznaczeniem, które ciąży tak nad ludzkością, jak na każdym osobniku, trzeba zejść na »udeptaną ziemię« (jakby Zbyszek powiedział) i moralnie wyzwać przeznaczenie do walki, ścigać je krok za krokiem i przeciwstawić mu odwagę atlety. Wtedy się zrodzi energia. A gdy zapragniesz czułości i czystości, spokoju i słodyczy, to zaniechasz na chwilę idei Przeznaczenia i wzniesiesz się do idei Opatrzności, idei Boga Miłości, gdzie niema walki, ale kontemplacya, niema krzyków wojennych, ale hymn łaski, gdzie już niema zniszczenia, ale zbawienie.

»A stamtąd znowu spadniesz całym swym ciężarem na arenę pełną potu i umęczenia, zewrzesz się znowu, ciało z ciałem, z ludźmi, braćmi twymi i z okolicznościami, twemi siostrami, — i znowu się rozdzie-

rać będziecie wzajemnie, aż w końcu Opatrzność otworzy niebiosa i poda ci rękę — i wszystko się skończy wśród potoków światła, zachwytu wiary i miłości«.

Podobnie określa Przeznaczenie i Opatrzność w liście do ojca (18 września 1831 r.):

»Ile mogę, staram się hartować duszę przeciw temu, co ma nadejść, bo myślę, że coraz gorzej będzie! Ja to nazywam przeznaczeniem. Czyli, że u mnie wola innych ludzi i okoliczności zowie się przeznaczeniem. Jest to Fatum starożytne, okrutne, niczem nie odwrócone w swojej zawziętości — ale góruje nad tem Opatrzność Boska, która czasem łamie i kruszy to Fatum; która w tym świecie niekiedy, a w tamtym zawsze oblewa promieńmi chwały i nieśmiertelności. Takiemi myślami gotuję się do walki ze światem, bo życie człowieka jest długą walką, a niczem inszem.

»Kiedy kto słaby, ten żali się przed każdym, szuka pociech na łonie kobiet, w rozpustach i zagłuszeniu, dopóki, stawszy się zwierzem, już pociech nie potrzebuje; ale kto mężny, ten i słowa nikomu nie powie, oprócz Bogu, lub przyjacielowi i ojcu, ten znosi i cierpi ufając w tę Opatrzność, która wcześniej czy później na pomoc mu zbieży. — Takim bym stać się pragnął«.

Z Włoch przywiózł Krasiński różne rękopisy porozpoczynanych prac, o których już nieco słyszeliśmy. Reevowi opowiadał w Genewie o utworze p. t. »Wizya« (*Une vision*), gdzie dużo było o nim samym, o Henryce, Włoszech, gdzie też występowały duchy,

szatan itd. »Rodzaj fantastyczny, pełen szału«. Było to już ukończone t. j. — objaśnia Krasiński — koniec był tego rodzaju, że można było dodać tam nowy początek, albo ciąg dalszy«. Otóż teraz — we wrześniu 1831 r. — dodaje Krasiński nowe dwa rozdziały. Jeden z nich zawiera wizyą młodzieńca (t. j. Krasińskiego) na morzu lodowem (podnóże Mont-Blanc) i sen jego u źródeł Arveyron.

»Obraca się rzecz — objaśnia Krasiński — na tych samych zawiasach (*hinge*), co *Adam* (Szaleniec), ale forma, obrazy i kanwa są całkiem inne«.

W drugim rozdziale wizyoner, istota obdarzona drugim wzrokiem, widzi młodzieńca o zmierzchu w jego pokoju. Następuje fantastyczny opis à la Hoffman pokoju Krasińskiego. Wizyoner opowiada dalej, jak młodzieniec ze znakiem na czole zbliża się do księgi jakiejś tajemniczej o kartach niebieskich, pokrytych dziwacznymi znakami. Z pomocą tej księgi wywoływa młodzieniec kolejno duchy: najpierw staje duch średniowiecza, od którego młodzieniec żąda, by starł piętno z jego czoła (tj. hańbę bezczynności w r. 1831). Ale anioł średniowiecza nie ma środka na starcie tego piętna i znika. Młodzieniec z jękiem wyrywa kartę z księgi i pali ją, z żalem spoglądając na jej popioły. — Wzywa dalej ducha ubiegłego stulecia, wzywa słowami lud i naród. Staje duch świetny, otoczony tęczą trójkolorową, pełen blasku i mocy — ale tam, gdzie serce być powinno w piersiach, widać było tylko otwór głęboki i pusty. Nie było serca. Na wezwanie młodzieńca, by anioł stulecia ubiegłego starł piętno na jego czole,

duch wybucha śmiechem, nie myśli ścierać piętna na czole młodzieńca, owszem radzi mu, by chodził z tem piętnem i nie zważał na nie. Oburzony młodzieniec odpędza ducha. Obraca jedną tylko kartę w tajemniczej księdze i wzywa Ducha Wolności, Ducha wieku, w którym żyje, zaklinając go na imię Polski i imię Grecyi. Zrazu odległe jakieś dźwięki słychać, wreszcie jakaś gwiazda u stropu pokoju błyszczy i znika, ale pod wpływem donioślejszych zaklęć młodzieńca (»Duchu wieku teraźniejszego wzywam cię siłą łańcucha jestestw, siłą wiedzy istot stworzonych!«) pokój napełnia się światłem srebrzystem od góry do dołu i staje w pośrodku geniusz młody z obliczem olśniewającem, ale niezbyt pięknem. W ręku trzymał stempel do bicia monety i bicz żelazny — szatę miał z prostego sukna.

»Duchu! zetrzej to piętno z mego czoła!« — woła młodzieniec. Ale duch mu odpowiada: »Tajemnicy tej nie posiadam, nie dostałem jej w podziele... Nie znam cię wcale. Nie jesteś z tego wieku«. — Kimże ty jesteś? Kimże jest wiek twój? woła z wściekłością młodzieniec, zmuszając ducha wieku do odpowiedzi.

»Wiek ten jest wiekiem ciemiężycieli i bankierów« odpowiada duch, poczem go młodzieniec bardzo nieuprzejmie wypędza.

W dalszym ciągu mamy także wizyę dziewicy, w której zaraz domyślamy się Henryety.

Posyłając te urywki zaznacza Krasiński, że przekład z polskiego był mu uciążliwy. Do jakiego stopnia dbały jest o swe myśli, widać z tego, że po-

syła Reevowi w kopii nawet urywek angielski, który pisał owej nocy, gdy myślał, że wycieczka zbrojna na Litwę dojdzie do skutku.

Jesienna pora była płodną w natchnienia dla Krasińskiego tak samo, jak dla Słowackiego i Mickiewicza. Ledwie ukończył Wizyę, wraca do powieści, zaczętej we Włoszech. Miał to być romans z życia wiejskiego, pod tytułem Przeor Augustynów. Wątek utworu uległ zmianie pod wpływem czasu: »nawiązałem ten wątek do rewolucyi polskiej, a ponieważ nic nie mogę spokojnego napisać, wprowadziłem tam klęski i niepowodzenia; biednej dziewicy kazałem umrzeć. Miałem silne i mocne natchnienie temi dniami. Codzień pisałem jeden rozdział. Niebawem to skończę i zacznę przepisywać, aby dać umysłowi wypocząć...«

A tymczasem ten umysł nie wypoczywa, ale rzuca garściami całemi myśli poetyczne, często rozwichrzone romantycznym nieładem, częściej ciche i blade, jak lilie wodne, wykwitłe na głębinach smutku i samotnego rozmyślania. Do takich należy np. przepiękny ustęp o znaczeniu wspomnień w życiu człowieka i czem są one w porównaniu do jego nadziei.

»Moje wspomnienia są najdroższą rzeczą, jaką posiadam, a niejedna nadzieja nie byłaby mi tak drogą, jak one. Nadzieja, mój przyjacielu, jest poematem, jest dramatem w samym jego początku! będzie tam zatem walka i rozczarowanie. Wspomnienie zaś jest poematem, dramatem skończonym. Była walka, było szczęście, ale choć to należy już do przeszłości, to jednak jakiś instynkt wieczności sprawia, że człowiek zamienia tę przeszłość na teraźniejszość i zmusza ją

do stania się teraźniejszością, ale teraźniejszością bez trosk rzeczywistej teraźniejszości, bez uczucia, czem jest nędzne życie rzeczywistej chwili obecnej, bez wszystkich drobnych przyjemności teraźniejszych, które są cierniami. Co do mnie, nazwałbym wspomnienie różą, której ciernie znikły, różą, co pozostała sama, samotna, która z ogrodu tego, kędy kwitła, przeniosła się na łono nasze i tu ukryta, chwieje się za podmuchem naszej duszy i roztacza swe wonie. Nadzieja, to pączek błyszczący świeżością na zewnątrz, a w środku stoczony nieraz przez gąsienicę; a kiedy wyczekujemy, że się liście rozchylą, nie znajdujemy nic, prócz zgnilizny.

»Nadzieja wszystko ma przeciw sobie, i człowieka samego i przeznaczenie albo wolę innych ludzi. Wspomnienie zaś jest nietykalne: jest to trybun duszy, który broni jej przeciw rozpaczy, który w dniach trwogi podtrzymuje ją i nie daje jej się poniżyć; bo dusza z szlachetnemi i wielkiemi wspomnieniami nie poniży się nigdy. Dusza zaś o wielkich i szlachetnych nadziejach może częstokroć nie mieć szczęścia, pochylić się i runąć w błoto. A jakiż to czar, jaka siła, jaka potęga w wspomnieniu!

»Jest ono księciem tajników człowieka, jest geniuszem przepaści ducha: ono to zarzuca zasłonę ze złota i błękitu na wszystko, czem byliśmy niegdyś, ono zmienia czarę goryczy na puhar półboga, ono dorzuca do miłości miłość, do przyjaźni przyjaźń, ono z przeszłego życia naszego tworzy muzykę, przy której łatwiej nam kroczyć ku przyszłemu życiu.

»W dniach walki wspomnienie jest muzyką Tyr-

teusza, na dni rozkoszy jest muzyką Anakreonta. Wspomnienie to synteza — nadzieja to analiza i t. d.«

Każdy wówczas list do ojca był ciężką dla Zygm. Krasińskiego przeprawą. Napisawszy np. list z d. 18 września 1831 r. donosi o tem Reevowi i zaznacza, że po skończeniu listu do ojca »ma łzy na powiekach, a wściekłość w sercu«.

Łatwo to zrozumieć. Jenerał Krasiński przedstawiał w listach synowi tylko ujemne strony ruchu narodowego, który uważał za objaw samowolny jednego stronnictwa politycznego; zarzucał partyi, co rewolucyę wywołała, że zgubiła Polskę. Oto jeden list taki, bez daty, będący, zdaje się, odpowiedzią na wielki list syna z d. 14 maja 1831 r.:

»Do mego syna. Dobre i kochane dziecko!

Szczerość Twoya rozczuliła mnie i Bogum podziękował, że mam syna, któren czuć umie i razem to czucie poświęcić cnocie i powinności. Przyszedłeś do wieku, w którym można równo mówić do Twego umysłu jak do serca. Twoye poznanie powinno bydź równe moyemu z różnicą tylko reflexyi i doświadczenia. Z zapałem patrząc na rzecz z iedney strony ią widzisz, unosisz się i formuiesz sobie powinności lub odrażenia, któreby mieysca nie miały, gdybyś z zimną krwią rozważył i ocenił. Czy sądzisz, że gdyby szło o szczęście oyczyzny, gdyby honor kazał był wszystko poświęcić, twoy stary oyciec, któren od dzieciństwa wszystkie kroki, życzenia, pracę, co tylko było drogiego, kraiowi poświęcał, nie byłby działał podług swey powinności? nie byłby ostatek krwi wylał i nawet ciebie nie byłby dał na ofiarę?!

Lecz gdy tego nie zrobił, muszą inaczej stać rzeczy. Ty idziesz za opinią młodych i nierozsądnych, Twoy oyciec waży, co cnota i powinność każe, a że zna, co to iest honor, możesz mu uwierzyć. Przyznay, że pierwsza twa myśl, która cie ciemięży, iest, co powiedzą o mnie w kraiu, co myślą tu cudzoziemcy, widząc młodego Polaka, nie toczącego krwi, gdy iego współrodacy się biią. — Co do opinyi w kraiu, trzeba z początku zacząć. Rewolucya Kościuszki była przeciwko nieprzyiaciołom kraiu — była dla przeszkodzenia, ieżeli można, zguby kraiu. Ta zaś grób mu kopie. Tamtę zaczeli obywatele, naród. Te zaś kilku cudzoziemców i dzieci. Tamta miłością oyczyzny tchnęła, tu od mordu swoich się zaczęło i od chęci zamordowania władcy, czego nigdy nie było w kartach historyi naszey. Tamta-by broniła króla, ta przeciwko własnemu... Zdala czytaiąc żurnale, całkiem nie wiesz, co się dzieie. Czy sądzisz, że seym uznał bezkrólewie? Nie; ale gdy się zeszedł, Lelewel wszedł do Izby senatu z klubem, którego każden członek miał pistolet i puginał. Nie pozwolił głosować i kazał protokuł zrobić gwałtem, pod karą śmierci, do woyska biorąc, kto żyie. Jedni klubiści tylko zostaią wolno. Wszystko się mieni. Wszyscy starzy senatorowie porzucili. Anarchia do naywyższego stopnia się wznieciła. Rabunek i zabieranie wszystkiego iest rozkazem dziennym. Co tylko miało naygorszą konduitę, sławne z szulerstwa, pijatyk i rozboiu, iakoto: Kuszel, Budziszewski, Jan Leduchowski są na czele wszystkiego. Gustaw nawet, z głową zapaloną, musiał porzucić. Kray zrabowany

przez własnych, nierząd zupełny. Choroby, głód, oto są skutki zapalenia iednych, tchórzostwa drugich, którzy nie zatrzymali z początku. Niezadługo to się skończy, nietylko przez bieg, ale przez własne rozterki i nic się nie zostanie, iak przeszłość szlachetna skalaną, kray wyludniony, zniszczony i przyszłość niepewna i tylko w szlachetności króla, któren Polskę chce ieszcze utrzymać. Przyidzie czas, że nie tych opinia będzie ścigać, co czyste ręce będą mieli od zabóystw, ale tych, co się do zguby kraiu przyczynili, tych, co nayszlachetnieysze karty naszej historyi rozdarli, tych, co na gruzach oyczystych własnych korzyści szukali. Wszystko przeydzie, ale nigdy cnota nie będzie wzgardzoną. Daymy na to, że gdybyś oyca twego, chcąc dobić, poszedł do nich, co cie czeka? Albo bydź uczestnikiem nowych Robespierrów, Dantonów, albo ich ofiarą. — Wróćmy się jeszcze do opinii. Czy kiedy krew się lała potokiem we Francyi, nie krzyczał lud popularnie: niech żyje komitet?! Czy kiedy walono domy boskie, gdy Boginię mądrości wodzono po Paryżu, nie było to opinią publiczną? Czy nie było tam także wielu, co sobie powiedzieli: »co powiedzą?« Czy chciałbyś bydź niewolnikiem opinii, za którą nieraz na wstyd rodu ludzkiego trzeba się wstydzić.

»Narodowości poznikały. Dwa kolory rządzą światem: porządek i rozruch, a to na to, żeby ci, co posiadaią, nie posiadali, a ci, co nie posiadali, żeby posiadali. Ztąd to ten ruch nieznośny partyi, któren w całym świecie się rozszerza, a przybiera pretexta nayszczytnieysze miłości oyczyzny,

żeby doyść do celu. Dosyć iuż ofiar padło w Polszcze dla ambicyi niektórych naczelników partyi. Na pretekstach nie zbywa. Dlatego proszę cię, byś spokoynie końca czekał. Twoia kariera nigdy nie była woyenna. Zostaw mi syna, niech w tey walce partiów nie ma co sobie do wyrzucenia. Niech ieszcze zostawi oycu moment spokoyności i nadzieię przyszłości. Z daleka nie możesz wiedzieć, co się dzieie. Na matkę twą zaklinam cię, zostań spokoynie i (*wyraz nieczytelny*) życia twego oyca, któren tylko gorycze znał, a w tobie i w twym szczęściu tylko może mieć nadzieię spokoyney i miłey przyszłości«.

Syn zgodzić się z ojcem nie mógł i nie chciał. Jest coś bolesnego, a zarazem podniosłego w tej polemice syna z ojcem. Zygmunt Krasiński nie waha się wyznać ojcu, że go list jego »zmartwił«. Nieszczęścia wojny narodowej nie tyle go martwią, co upadek ducha, który widocznie zauważył w liście jenerała. Syn jest pełen uwielbienia dla walki nierównej w obronie swobody: »Walka to słabych przeciw olbrzymom, poświęconych śmierci przeciw dawnym krzywdzicielom, ludzi pamiętnych, że mieli wielkich przodków, przeciw ludziom, którzy żadnego nie mogą wyliczyć przodka. I im bardziej Polska krwią, pożarami, trupami zasłana, tem droższą, świętszą jej sprawa staje się mojemu sercu, tem bardziej w tej sprawie widzę palec i Opatrzność Boga, bo tym, którymi się opiekuje, nie zwykł on dawać zwycięstw bez trudu i smutku. Tych owszem, których posyła na karę rodu ludzkiego, tych, mówię, otacza łatwościami i korzyściami bez znoju: ale tym, którym jakiekolwiek

dzieło zbawienia poruczył, zapory stawia na drodze, każe im cierpieć i ginąć, bo to jest jednem z praw tego nieszczęśliwego winą samych ludzi świata, że nic pięknego, zbawiennego stać się nie może bez cierpień i boleści, bez krwi rozlanej i zburzonego bytu wielu. Kiedyś dowiemy się, dlaczego takie prawo ma swoje miejsce w wyrokach Boga miłości i pokoju. Dzisiaj tylko głowę przed niem schylać trzeba, znosić mężnie, gdyż odeprzeć niepodobna.

»Przecież, by zbawić świat, trzeba było śmierci Boga. Aby zbawić kraj jeden, ileż to ludzkich śmierci i klęsk dopieroż trzeba!«

Syn radby widzieć ojca swego jak najdalej od Petersburga i od Rosyan, bo przypuszcza, że zdala od wrogów narodu dowiedziałby się *»wreszcie«* jenerał Krasiński »prawdy o Polsce, prawdy uznawanej przez całą Europę..., że sprawa Polski jest sprawą narodową, a nie stronnictwa żadnego, sprawą nie kilku, ale ojczyzny. Zła sprawa, fałsz, błąd, kłamstwo nigdy nie mogą mas natchnąć odwagą i poświęceniem. Trzeba uwierzyć czemuś, by bronić tego, — a kiedy cała Polska uwierzyła, że to sprawa narodowa, kiedy 170 tysięcy Polaków jej broni, trudno się zgodzić na mniemanie, że to jest fakcyą stronnictwa«.

Jenerał Krasiński marzył widocznie o karyerze dyplomatycznej dla syna, skoro żądał od niego, by wziął świadectwa w Genewie, że uczył się stylu dyplomatycznego. Syn objaśnia, że tych lekcyj stylu dyplomatycznego było zaledwie kilkanaście, że zatem niema racyi brać świadectwa; a przeczuwając, o co

ojcu chodzi, zaznacza Zygmunt Krasiński, że karyera dyplomatyczna nie przemawia ani do jego serca, ani do jego zdolności O dyplomatach ma wyobrażenie bardzo niekorzystne. Wreszcie wprost zapytuje: »w jakiejże dyplomacyi przyszłoby mi działać? w moskiewskiej? Pierwej serce z piersi mi wydrą, niż moskiewski mundur na piersiach przypłaszczą«.

Dyplomatą zatem nie będzie. Ale może przyjść chwila, że w wojsku się na coś przyda; dlatego uczy się teraz nauk wojskowych, fortyfikacyi, marszów, bo ma przeczucie, że prędzej czy później zda mu się na coś ta nauka. »Silniejszy wpływ miały, niż może Papa myślał kiedy, silniejszy, mówię, wpływ miały na moje uszy dziecinne jego opowiadania i opowiadania jego towarzyszów broni, wszystkie świadczące o jego chwale. Takiej chwały nabyć i tym samym sposobem było zawsze życzeniem mego serca, które teraz się rozwinęło i mocy nabrało...«

Ciągle wraca do wstrętnej mu nad wyraz bezczynności własnej w Genewie, a czuć z każdego słowa listu, że i bezczynność ojca jest mu kamieniem na piersiach. »Położenie nasze zobopólnem jest okropnem...« Stan duszy jego, tylekroć przezeń opisany, pogarsza się w miarę nieszczęść narodowych. Nad całym tym rokiem życia może biograf Krasińskiego wypisać własne jego słowa: »Zestarzałem się od boleści, bo w utrapieniach często powtarzanych więcej jest starości, niż w latach wielu«.

Świat mu zaczyna brzydnąć i dolegać. Wciąż tu trzeba ucierać się z kochanymi bliźnimi: — »Ludzie wołają głośno wolność! a pokryjomu myślą: pie-

niądze; każdy radby uciskać i zgnieść drugiego; mało jest serc, a nawała oświadczeń i deklamacyi...«

Na wiadomość o wzięciu Warszawy przez wojska rosyjskie wybucha Krasiński:

»Warszawa się poddała! Rosyanie bezczeszczą umarłych i żywych. Ale mam ufność w Bogu, który nie zostawił nigdy zbrodni bez kary, który gromadzi węgle żarzące się na głowach królów. Ufam wreszcie słowu apostoła; tam jest Bóg, gdzie jest wolność. O, jak ubóstwiam teraz tę ziemię skrwawioną, tak uświęconą tylu bolami i nieszczęściami, zasianą kośćmi męczenników, tę ziemię rezygnacyi i entuzyazmu, ziemię, gdzie przodkowie moi śpią w grobach, na których bracia moi polegli, a gdzie kiedyś my, pozostali, pomrzemy na trumnach naszych braci. Wszystko dla niej, dla tej ziemi: i życie moje i trudy moje, dni me i noce, smutki i radości. Wszystko dla niej: i szabla moja i lutnia — wszystko, aż do ostatniego tchnienia...«

Upadek powstania narodowego napełnił duszę Krasińskiego boleścią, pełną rezygnacyi. Równocześnie kwestya życia i śmierci narzucała mu się w Genewie na każdym kroku. Powszechna trwoga przed cholerą, która już nawiedziła była Bazyleę, nadawała Genewie widok niezwykły, szczegółowo przez Krasińskiego opisany. Co do niego samego, miał to przekonanie, że jeśli już na nic światu nie potrzebny, to z pewnością zginie na cholerę, ale jeśli będzie żyć, to znak, że ma jeszcze jakiś cel w życiu do spełnienia. Zapowiada jednak, że na wszelki wypadek pójdzie jutro do spowiedzi i komunii św. »Nie chcę

umrzeć, jak ciało, ale tak, jak duch powinien rozstawać się z życiem. Na pożegnanie napisał hymn żałobny dla Polski p. t. *Une Étoile*. Kopię manuskryptu swego posłał Reevowi, zaznaczając, że utwór ten przeznaczył dla *Bibliothèque Universelle*.

Rozwój umysłowy Krasińskiego był wówczas tak pospieszny, niemal gwałtowny, że nawet Reeve, który go dopiero przed pięciu miesiącami pożegnał, z podziwem odczytuje ostatnie prace przyjaciela i tak mu pisze: »*...votre puissance intellectuelle augmente rapidement*«. I zaraz dodaje bardzo trafne wytłumaczenie tego fenomenu psychicznego: »*et en vérité, il doit en être ainsi: dans les greniers de souffrance vous avez trouvé riche provision de pensées, et quand vous les aurez semées, elles vous rendront le centuple...*«

Lecz Krasiński zbyt drogo okupił ten przyspieszony rozwój duchowy: »Za całe życie w niewoli nie mam nawet roku, jedynego roku wolności« — tak będzie się żalił przyjacielowi. Szczęśliwszy od niego Mickiewicz będzie mógł o sobie powiedzieć:

> Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
> Ja tylko jednę taką wiosnę miałem w życiu —

Wiosnę wolności, lato swobody i wyczekiwań, a po niej jesień złowróżbna i straszna zima Berezyny...

Mickiewicz i Krasiński będą całe życie żałować, że w r. 1831 nie widzieli przynajmniej swobodnych sztandarów polskich, nie zaczerpnęli pełną piersią powietrza polskiego, powietrza wolności, w tym jedynym — na cały wiek roku, w którym na polskiej

ziemi był rząd, był sejm i było wojsko narodowe. A trzeci z nich, Słowacki, kryć będzie żal swój w głębi serca za ten krok nierozważny, za ten wyjazd z Warszawy na wiosnę r. 1831, gdy wszystko wróżyło jeszcze jak najlepiej... Po latach wielu wyzna matce, Makrynie Mieczysławskiej: »Godności nie mam, przed męką uciekłem...«

Krasiński dochodził zwolna do tego stanu duszy, kiedy to pod wpływem i pod razami złych i coraz to gorszych wieści serce twardnieje, drętwieje z bólu, kiedy pierś już nie zdolna jęku, a oczy suche, bo źródło łez w końcu wyschło...

Zamiast własnych skarg, szle wówczas przyjacielowi słowa Lamennais'go wyczytane w czasopiśmie *L'Avenir*. Widać, że tak książka Lamenais'go o Religii, jak niemniej osobista jego dla Polski sympatya, o której i od Ankwiczów i od Mickiewicza z Paryża mógł się dowiedzieć, kazały Krasińskiemu pilnie śledzić słów i myśli Lamennais'go. Ustęp tego autora o Polsce, posłany przez Krasińskiego Reevowi, jest istotnie piękny i podniosły:

»Warszawa poddała się. Bohatyrski naród polski, opuszczony przez Francyę, odepchnięty od Anglii, uległ teraz w walce przeciw hordom tatarskim, sprzymierzonym z Prusami w walce toczonej chwalebnie przez ośm miesięcy. Jarzmo moskiewskie znowu ciążyć będzie na narodzie Jagiellonów i Sobieskich...

»A więc, narodzie szlachetny, bracie nasz po wierze i po orężu, kiedyś walczył o życie, nie mogliśmy ci pomódz tylko życzeniami — a teraz, gdy leżysz powalony na arenie, nic ci, prócz łez, dać nie możemy;

oby ci te łzy przynajmniej jakąś ulgę przyniosły w bólu twym bezmiernym. Wolność uniosła się nad tobą, jak cień przelotny, cień, co przeraził twych gnębicieli. Zdało im się, że Sprawiedliwość ujrzeli.

»Po dniach ponurych sądziłeś, o! narodzie z wzrokiem w niebo utkwionym, że widzisz tam znamiona pomyślniejsze. Powiedziałeś sobie: »Zbliża się pora wyswobodzenia. Ziemia ta, co kryje prochy ojców naszych, będzie jeszcze n a s z ą ziemią. Nie posłyszymy już tutaj głosu cudzoziemca, co nam rozkazy swe wzgardliwe dyktował; ołtarze nasze wolne będą, swobodne ogniska rodzinne«. — A jednak pomyliłeś się, narodzie! To nie pora narodzin była, lecz pora śmierci dla wszystkiego, co najsłodsze i najświętsze dla ludzi!

»Narodzie bohatyrski, narodzie ukochany przez nas, spocznij w pokoju w mogile, którą ci usypały zbrodnia jednych, a tchórzostwo drugich. Ale nie zapominaj! mogiła twa nie pusta, jest w niej nadzieja, jest na niej krzyż, który mówi: »O d ż y j e s z«. (Lamennais. *Avenir*).

Katastrofa r. 1831 zrobiła swoje. Zdala od Polski, bezczynny i bezsilny, wycierpiał Krasiński więcej, niż gdyby go piki kozackie pokłóły były na wszystkich polach bitew. Ale z pól Grochowa czy Wawru, gdyby z ran się był dźwignął, byłby poszedł z innymi spokojnie dzielić chleb tułaczy, rad z obowiązku dopełnionego; byłby wyniósł z Polski tę świeżość ciała i ducha, która pozostała niestartą cechą naszych wychodźców z r. 1831. Kto ich widział, jak pod bielutką siwizną zachowali do końca życia młodzieńczy

niemal rumieniec, płomienny wzrok i niewyczerpany skarbiec nadziei w lepszą dolę narodu — ten tylko potrafi ocenić, czem była wojna r. 1831 dla tych, co brali w niej czynny udział.

Krasiński z r. 1831 wyjdzie, jak z choroby ciężkiej, ze zdrowiem starganem, z napiętą do ostatnich granic wyobraźnią, podrażnioną i niezaspokojoną, z sercem gorejącem, a tak boleśnie, bo z ręki ojcowskiej zranionem... Po latach jeszcze wielu będzie narzekał na ten mróz Północy, który zwarzył najpiękniejsze kwiaty jego patryotycznych uniesień.

Z chwilą, gdy w jesieni tegoż roku pierwsza fala emigracyi naszej napłynęła do Paryża, zamknął się okres walki orężnej. Krasiński nie miał już dokąd wyrywać się. On, co miał tej Genewy za wiele już na wiosnę 1831 r., teraz chętnie na zimę w niej się zamyka i ojca prosi, aby go stąd nie ruszał. Do Polski mu nie spieszno, bo tam krew jeszcze nie oschła i kości wojowników nie zbielały jeszcze...

IV.

Po upadku Powstania.

Jak dla emigracyi całej, tak i dla Krasińskiego nastał czas skupienia się, wysnucia konsekwencyi z faktu dokonanego, z dzieła wojny narodowej, które Mickiewicz na przekór niepowodzeniu orężnemu, nazywał płodnem na przyszłość.

Jest prawo perspektywy fizycznej, które i w dziedzinie historycznej ma racyę bytu. Kto przed olbrzymiem płótnem Matejkowskiem stanie tak blisko, że się o nie otrze, ten z całego obrazu zobaczy kawałeczek pomalowany olejną farbą i nic więcej. Kto wyemigrował z Polski w r. 1831, ten nie zdawał sobie sprawy na razie, ile rok ten zaważy w dziejach naszego narodu. Większość wychodźców naszych myślała, że na wiosnę roku 1832 przyjdzie do europejskiej wojny i że wrócą nasi żołnierze z bronią w ręku nad Wisłę. Z perspektywy historycznej po latach przeszło 70 ciu inaczej oceniamy doniosłe skutki wojny »za waszą i naszą wolność«. Ale w r. 1831 nikt, prócz dwóch Polaków, nie zdołał wytworzyć sobie takiej perspektywy dziejowej. Tylko Mic-

kiewicz i Krasiński wznieśli się nad poziom chwili bieżącej i ocenili doniosłość dziejową powstania narodowego.

Mickiewicz na skrzydłach Konradowego natchnienia wzbił się ponad wieków otchłanie i dojrzał widzeniem Piotrowem szczęśliwszej przyszłości polskiego ludu.

Krasiński, młodszy, nie obdarzony taką potęgą wzlotu, nie uczuciem tylko, ale rozumem postanowił wytworzyć sobie ową perspektywę duchową, któraby mu pozwoliła wznieść się po nad doczesną klęskę r. 1831 i ocenić, czem ona w życiu wiekowem narodu, czem naród sam w życiu powszechnem ludzkości. Niezwykły rozum jego, który wyszedł zwycięsko z wewnętrznej ducha rozterki, rozum od wczesnej młodości lgnący z natury do kwestyj filozoficznych, przeciwstawił zaraz sprawę nieszczęśliwej ojczyzny — sprawie ludzkości, sprawie Europy i tym sposobem uzyskał punkt archimedesowy, po za Polską będący, z którego to punktu wszechludzkiego rok 1831 odrazu odsunął się na odległość pożądaną.

To, co było tak bliskiem jeszcze serca, stanęło na dalekiej perspektywie duchowej i dało się ująć rozumowi. Rzecz to na pozór dziś prosta, ale tylko geniusz Krasińskiego zdobył się wówczas na nią.

On z umysłu teraz zaprzestaje skarg i wyrzekań. Serce już wypowiedziało wszystko, czem wezbrało od roku. — On teraz rozczytuje się w filozofach i historykach i chce zdać sobie sprawę, czem jest społeczeństwo ludzkie z XIX wieku, ku czemu dąży i czego się może spodziewać. — On to rozumie

doskonale, że Polska nie może i nie powinna być jakimś wyjątkiem w Europie; że nic ludzkiego nie może być jej obojętnem; że przeto, aby Polsce pomóc i ją wyratować, trzeba przedewszystkiem jasno zrozumieć, czem jest i czem ma być cała Europa. Społeczeństwo zaś europejskie wydaje mu się niepewne losu i drogi dalszej. To, co on w okół siebie widzi, to mu się wydaje strupieszałem, to, co przeczuwa, dalekiem jeszcze urzeczywistnienia:

»Nasz wiek jest tem dla starej Europy, czem był wiek ubiegły dla starej Francyi. Towarzystwo zblazowane, zepsucie, zbytek, nędza, mało wiary, wiele szału, kilka zasad oderwanych od swego źródła wiekuistego i rzuconych nago na prąd, co nas unosi — oto nasz stan.

»Jasną jest rzeczą, że jesteśmy na pograniczu: z jednej strony parci przeszłością, z drugiej przyszłością; a przykra to walka dwu tych potęg w naszej duszy. Może dla wnuków naszych nie będzie już przeszłości i będą oni żyć tak spokojnie, jak spokojnymi mogą być stworzenia ludzkie wśród teraźniejszości, już ustalonej, tej samej teraźniejszości, która dla nas jest przyszłością chwiejną i niepewną.

»Jest rzeczą pewną, że dzisiaj jeszcze dla wielu z nas, wspomnienie przeważa nad nadzieją, a idee przeszłe nad temi, co się wyłaniają z naszego czasu; boć to są szlachetne wspomnienia i wielkie idee, chociaż już się dokonały i zdaniem wielu są już bez duszy. Co do mnie, nic temu nie wierzę: idea nigdy nie może zaginąć. Tak, powtarzam to: szlachetne są to wspomnienia, bo sięgają Golgoty szczytów: stam-

tąd unoszą się nad szyszakami tylu bohatyrów, nad czołami niewinnymi tylu piękności; a później mięszają się ze Wschodem, z tym Wschodem tak pogodnym, tak marzycielskim, tak olśniewającym ową swobodą ruchów (nonchalance), tak wzniosłym w swej ociężałości.

»Nie, mój drogi, nie będziemy nigdy ani takimi, jako przodkowie nasi, ani takimi, jak nasi następcy. Chcę rzec, że dla nas-to drogi zawiłe, fale wzburzone, ścieżki na przełaj, drożyny cierniste, a w końcu cierniowe korony. Nasza teraźniejszość zawsze zatruta będzie albo tęsknotą za tem, czego już niema, albo miłością nigdy niezaspokojoną przyszłości, tego co przeczuwamy, a czego nigdy nie ujrzymy.

»I chciejże się dziwić, że dusza czasem zaduma się w sobie, nie ufa przyszłości i rzuca się całkiem ku przeszłości! Przeszłość jest tu; przeszłość znała nas, jesteśmy dziećmi jej starych dni, kołysała nas na swych kolanach; pierwsze słowa do niej zwracaliśmy. A teraz, gdy widzimy, jak się oddala, płaczemy czasem za nią. — Ale z drugiej strony przyszłość jest także tutaj, wyciąga ku nam ramiona. Lecz koło niej widzimy ofiary rzucające się, one wierzyły w przyszłość, czepiały się jej ramion, jej skrzydeł i upadły, jak żółw, co wymknął się ze szponów orła.

»Stąd to pochodzi, że nie jesteśmy z żadnego wieku, że nie możemy należeć do żadnego; bo chaos jest naszem mieszkaniem, naszem otoczeniem, naszem wszystkiem. Ludzie, którym Bóg każe się zrodzić w podobnych epokach, muszą mieć więcej siły, więcej

energii, rezygnacyi, więcej myśli, niż ludzie innych wieków. Bo wszystko nam bolem, a nic radością — wszystko przeszkodą, nic pomocą; bo jeśli tylko mamy serce i duszę, to zawsze będziem w niepewności, przerzucani z systemu do systemu, z wierzeń do wierzeń, z fali na falę — to opłakujący przeszłość, to znowu pełni entuzyazmu dla przyszłości... Jedynym środkiem, by nie upaść przed czasem, jest wierzyć w słowo Boga i wiedzieć, że trzeba walczyć z ludźmi, nie oddawać się nigdy spoczynkowi. Inaczej zginęliśmy — i to na zawsze, jak może ja«. —

Jeśli się spytamy, skąd w 19-letnim młodzieńcu bierze się tyle bystrości sądu i tak jasne widzenie współczesnego mu stanu społeczeństwa, to odpowiedź znajdziemy najpierw w jego usposobieniu, skłonnem do porównań faktów, zestawiań, wydobywania wniosków z danych historycznych i moralnych przesłanek — a następnie w kolosalnem oczytaniu młodzieńca, przechodzącem poprostu zwykłą miarę ludzką i doprowadzającem Krasińskiego niemal do utraty wzroku. Zacząwszy wątpić o społeczeństwie europejskiem, szuka, gdzie może, wyjaśnienia wątpliwych kwestyj, pochłania dzieła historyczne i filozoficzne, wreszcie współczesną belletrystykę francuską i zdaje mu się, że i tam czyta złowróżbne *Mane, Tekel, Fares:*

»Przeczytałem wiele dzieł historycznych: Wenecką historyę p. Darue, Guizota dzieła, filozofię Cousina, Ballanche'a, mnóstwo systematów, hypotez, kilka dzieł wojskowych, najnowsze utwory literatury francuskiej, od których mózg się kręci, ale w któ-

rych nic nie czuje serce. Są to frazesa, styl pełny przekręcań, obrazy śmiałe rozuzdanej wyobraźni, ale mało czucia, dużo bezwstydu i mało prawdziwej energii. Jest to literatura przedziwna na wiek swój, dowodząca, że towarzystwo zupełnie zepsute, że mu potrzeba silnych wzruszeń, że tych się chwyta zapamiętale, gdziekolwiek je spotyka.

»To są ostatnie konwulsye moralne śmierci wielkiego narodu — okropne, przerażające, mające w sobie dużo odrazy i dużo wielkości«.

Do politowania nad upadkiem Francyi łączy się także niechęć z powodu jej zgubnych, politycznych na nas wpływów. Przejeżdżał przez Genewę Jan Jezierski, ten sam, którego rząd polski wysłał w samych początkach powstania do Petersburga, aby starał się uzyskać u Mikołaja I. pewne koncesye dla Królestwa, a w zamian przyrzekł spokój w kraju. Misya Jezierskiego spełzła na niczem. Otóż ten to Jezierski opowiedział Krasińskiemu wiele zakulisowych intryg i sprawek z r. 1831, wiele szczegółów, które młodzieńca goryczą napoiły:

»On-to mi wystawił Polskę, wydaną rozterkom własnym i cudzemu nieprzyjacielowi, cierpiącą i od swoich i od wrogów, szarpaną teoryami, wykrzywionemi przez tchórzów, którzy bojąc się jąć za szablę lub bagnet, woleli żyć, by wrzeszczeć, a ojczyznę zgubić, niż pójść, poledz i ojczyznę zbawić. Jak św. Pawłowi łuski z ócz, tak i mnie podobnież z ócz w dół padały urojenia, omamienia. Naśladowanie Francuzów nas zgubiło i przedtem

i teraz. Polskę chcąc podźwignąć, trza polskich używać sposobów, tych polskich sposobów, któremi Polska dawniej kwitnęła i gromiła«. (*Do Ojca*).

Podobnie w liście do Reeva:

»Jezierski opowiedział mi dziwne i straszne rzeczy o klubach. Polska zginęła przez kluby. Opowiadania jego były dla mnie pełne goryczy. Dowiedziałem się o wielu podłościach i haniebnych postępkach. Warszawa była pod panowaniem sztyletu. Niezgody wszędzie w sejmie i w armii. Biedna Polsko! Wiele złudzeń spadło mi z oczu. Czy dałbyś wiarę? Wielu było tchórzów między nami. Ci tchórze wcale się nie bili. Krzyczeli na sejmie, wśród czterech murów — a Polska zginęła«.

Pesymistyczny nastrój, wywołany i tem, co się naczytał o Francyi i tem, czego się o Polsce nasłuchał, wpływa także na to, że Krasiński zaczyna krytycznem okiem na siebie samego patrzeć. W życiu swem dotychczasowem widzi sporo exaltacyi, ciągłe poszukiwanie silnych wrażeń, ciągłą walkę między silnemi pragnieniami, a słabem, nieznoszącem spełnienia ich ciałem. Gdy więc organizm nie znosił ekscesów fizycznych, wpadał Krasiński w drugie przeciwieństwo: oddawał się ekscesom umysłowym, pisał i pisał »przyzywając poezyi głosem wielkim, bo była ona rozwiązłością duszy mojej (car c'était une débauche de mon âme). To mu się zdawało, że jest poetą i cieszył się z tego, to znowu, gdy wiersz mu był oporny, a z prozą walczyć musiał, wpadał w zwątpienie.

Przyjacielowi odsłaniał głąb swej duszy i malował

portret swój trochę czarnemi farbami; jednak uchwycił własne duchowe rysy wcale trafnie. Nie mamy wizerunku jego z lat owych, ale posiadamy natomiast własnoręczny jego duchowy portret: *se ipsum pinxit*. Pozorne sprzeczności psychologiczne: zapał patryotyczny i brak energii w wydobyciu się z Genewy, nienawiść do wroga i bezczynność polityczna późniejsza, albo raczej utajona działalność bezimienna, wstręt do potajemnych związków i zamiłowanie do jawnego, nie skrytego działania (późniejsze: »szablę kocham, wstyd mi noża«) — to wszystko jest mu już o sobie doskonale znanem. Filozoficznej rady mędrca greckiego Γνῶθι σεαυτόν on od wczesnej młodości słuchał i mało kto w naszej literaturze mógł się poszczycić takiem gruntownem, bezlitośnem dla miłości własnej, zgłębieniem swych przywar i niedostatków.

»Nie jestem stworzony na spiskowca... Nie znam się na milczeniu, na uśmiechu, nie znam hipokryzyi na ustach, gdy w sercu wre wściekłość; nie dla mnie lochy, tajne towarzystwa, przysięgi, których nie można głośno wyrzec.

»Dla mnie słońce jasne, a w obliczu słońca ostrze szpady błyszczące i na dwa kroki przedemną nieprzyjaciel — później szał natarcia wzajemnego w walce beznadziejnej, purpura krwi lojalnie wylanej, ostatnie westchnienie przeciwnika umierającego pod gołem niebem, przedemną, przed całym światem.

»Udawać zgoła nie umiem; a z Warszawy droga gotowa, pewna, wybrukowana na Sybir.

»Jeśli się dowiesz dziś, że udałem się do Warszawy, będziesz mógł rzec sobie: za dni kilka parę trupów

zginie na brzegu Wisły — a jeszcze dni kilka i Zygmunt będzie na Sybirze. — Zresztą niech to pozostanie między nami: to mój los, prędzej czy później miny czekają mnie pod dachem wieczystego śniegu, prędzej czy później tak trzeba będzie skończyć«.

Sybir staje się odtąd prawdziwą zmorą w życiu Krasińskiego. Ciągle mu się będzie zdawać, że skończy na Syberyi. Jest to osobliwy rodzaj autosuggestyi poetycznej, która z czasem znajdzie ujście w poemacie p. t. Ostatni.

Stosunek do Henryety Willan był coraz dziwniejszy. Miłość dla niej nabierała coraz bardziej cech mglistych. Rysy jej zacierały się z wolna w wyobraźni kochanka; jej zacięte milczenie tłumaczył sobie Krasiński tem, że nim gardzi... Duma jego cierpiała z tego powodu i nie mogło się nawet obejść bez wymówek: »Dlaczego Henryka mnie opuściła! Gdyby ta kobieta była mnie kochała tylko przez pół tak mocno, jak ja ją ubóstwiałem, byłbym czemś więcej, niż jestem, niż kiedykolwiek będę. Gdyby mnie była pobudziła, rzuciła, popchnęła, nie wlókłbym się dziś po Genewie. Ale ona na swą odpowiedzialność zaczęła mną gardzić; za pierwszym wiatru podmuchem odwróciła swą twarz odemnie; ona sama pozbawiła mnie całej energii. Resztę sił obróciłem na to, by cierpieć w milczeniu — ale siły do czynu mi brakło. Ta kobieta mogła była zrobić ze mnie bohatyra, powtarzam: bohatyra! Lecz wolała skrystalizować się w zimnej obojętności.

A jednak niech będzie błogosławioną kochanka mej młodości!«

Wyrzekania te dowodzą, że człowiek w nieszczęściu nie jest sprawiedliwym. Zarzuty stawiane tu pannie Willan są bezpodstawne. Raczej ona mogła zarzucić niejedno Krasińskiemu. Sam jej powiedział, że się z nią żenić nie może i nigdy nie ożeni. Pocóż więc miała wznawiać listy, rozmarzać jego i siebie? Milczała — i z tego milczenia najniewłaściwiej usiłował ją wyrwać Krasiński. Ale w nim kłóciły się i wówczas i nieraz jeszcze potem dwa żywioły, z których jeden nazwałbym poetyczno-sercowym, a drugi filozoficzno-rozumowym. Pierwszy miał prawo głosu w imię młodości samej; trudno być w 19 roku życia samym tylko filozofem. Drugi, rozumowy pierwiastek brał rychło górę w imię doświadczenia, okupionego bolesnymi miesiącami 1831 roku.

A wtedy myśl się zwracała ku szerszym zagadnieniom. Reeve odgrywał tu, całkiem mimowolnie, rolę budziciela ze snów i rojeń miłosnych.

W Anglii zanosiło się na burzę społeczną. Lud domagał się rozszerzenia praw politycznych.

5 października 1831 r. wraca Reeve z Londynu do rodzinnego Norwich. Powóz posuwa się wolno wieczorem ciasnemi uliczkami małego miasta, przepełnionymi robotnikami i ludem. Krzyczą oni coraz i dopytują się, co słychać z Reform-bill'em? A gdy im odpowiadają, że parlament odroczony, lud wydaje długi jęk bolu i nienawiści, który może się niebawem na okrzyk zemsty zamienić. Nie ma wątpliwości, dodaje Reeve, lud angielski gotuje się do walki. Będziemy walczyć; przyjacielu, stara Anglia

przepadnie! Jestem, jak młody majtek, który rozpoczyna służbę na pięknym statku; który widzi, jak coraz szybciej okręt pędzi na skały, gdzie się rozbić musi...«

Parlament odrzucił 8 października bill reformy 41 głosami. Obawiano się rozruchów nie tyle w samym Londynie, co na prowincyi. Reeve zapowiadał: »jutro rozpoczną się dni odwetu« i dawał poetyczny obraz uroczystej chwili w parlamencie angielskim.

Podobne opisy zachwycały Krasińskiego i były podatnym materyałem rozmyślań dalszych na temat walki klas. Reeve był tu bezwiednym współpracownikiem przyszłej Nieboskiej Komedyi. Obawy jego niedalekiej rewolucyi społecznej w Anglii przejmie Krasiński skwapliwie, jako zupełnie zgodne z jego postulatem rozumowo-historycznym. Co więcej, Reeve zażąda od przyjaciela polaka, aby wypowiedział swe zdanie, jak ma nadal przyjaciel-anglik postąpić?

Krasiński pospiesza z radą. Neutralnym pozostać nie wolno. Solon śmiercią karał tych, co chcieli w stanowczych chwilach być neutralnymi. Rzuć się w objęcia arystokracyi, lub ludu; ja przechylam się na stronę arystokracyi...« Ale rozstrzygać zdala nie śmie, radzi tylko nie być neutralnym, w modlitwie gorącej do Boga szukać natchnienia...

»Módl się do Boga gorąco, a On cię najlepiej pokieruje, stokroć lepiej od tego, który w tej chwili do ciebie pisze i drży za każdem słowem i z obawy i ze wzruszenia, aby dawane pospiesznie rady nie pchnęły cię na tory, dla ciebie niekorzystne...

»Reeve, Henryku, mój przyjacielu, zbudź w sobie

energię całą! Cała Anglia ryczy dokoła ciebie, nie spoczywaj, powstań, spojrzyj oko w oko ojczyźnie swojej i wśród ogólnego przełomu i chaosu szukaj fałdów białej sukienki, szukaj kogoś, kogo-byś mógł ukochać i bronić, szukaj róży wśród dzid i wśród nagich szabli...«

Przed kilku miesiącami Anglik dodawał Polakowi bodźca i wzywał go do działania, pragnął wyrwać go z bezczynności; teraz role się zmieniają. Krasiński nawoływa Reeva, aby nie oddawał się bezczynnemu spokojowi (le calme), aby nie zasypiał w okolicznościach tak ważnych, nie siedział, gdy Anglia cała wstaje.

Ale Reeve zbyt był praktycznym i trzeźwym Anglikiem, aby zapleśnieć i oddać się tylko rozrywkom. Człowiek, który Farysa na angielskie przełożył, musiał mieć w sobie bodaj jednę, maleńką żyłkę poetycznego na świat wejrzenia, musiał odczuć energię Beduina, pędzącego na wyścigi z wiatrem stepowym. Reeve miał przytem skłonność lekką do mistycyzmu, umiał na pamięć Apokalipsę św. Jana i lubiał oddawać się w chwilach wolnych od polowań na przepiórki i zające, rozmyślaniom o przyszłości. Pewnej niedzieli (23 paźdz.) zamiast pójść w Bracondale na nabożeństwo i kazanie angielskie, siadł i napisał Krasińskiemu rodzaj kazania na temat cierpień ludzkości i swoich przewidywań.

Zdawało mu się, że rok 1832 będzie złowróżbnym dla całego świata, że przyjdzie w nim do jakiejś katastrofy fizycznej, która wstrzęsie podstawami nie-

wzruszonymi sprawiedliwości i wiary. Przesilenie zbliżać się będzie coraz szybciej.

W końcu października 1831 r. przyszedł niespodziewanie do Krasińskiego w Genewie z wizytą Leon Łubieński, aby się pojednać i pogodzić. Pokazało się, że człowiek, który z takiem bohaterstwem zdzierał przed kilku laty w uniwersytecie warszawskim akademickie odznaki z kołnierza Zygmunta Krasińskiego, nie bił się także wcale w r. 1831, choć nikt go nie wstrzymywał i drogę z Anglii do Polski miał wolną. Jeszcze jeden dowód, że łatwiej szlify drugim zdzierać, niż samemu na nie w polu bitwy zapracować.

Przyjął go Krasiński jak najgorzej; całą tę wizytę, rozmowy swe z przeciwnikiem, nieubłagane postanowienie rozstania się w nieprzyjaźni, pokorę Łubieńskiego itd. opisał szczegółowo w liście do Reeva, pobieżniej ojcu. Odmalował tam i przeciwnika swego i siebie, nie szczędząc barw.

Łubieński nazwał się człowiekiem przyszłości — nie przeszłości. Krasiński przyznaje mu ogromne zdolności przy zupełnym braku serca. Wszystko ten człowiek rozumie, nic nie odczuje. Nie można wątpić, że to człowiek XIX wieku, w którym przeszłość obumarła i nigdy nie istniała: »Spytaj go, kto to Normandczyk, rycerz krzyżowy, trubadur, kto Dante, Kalderon, Szekspir — a w nos ci się rozśmieje. Ale zapytaj go, kto to Mirabeau, Wolter, Danton, Balzac lub Laclos, a oczy mu się zaiskrzą; bo wymieniłeś źródła jego natchnienia, które całe mieści się w głowie, a nie raczy nigdy zstąpić do serca. Co do mnie

twierdzę, że kto niema szlachetnych wspomnień, nie może mieć szlachetnych nadziei. Może się mylę; ale jest to moim artykułem wiary, bo: odrzucić przeszłość — znaczy to odrzucić część wieczności, całe arcydzieło stworzenia; znaczy to, nie mieć w sobie kultu mogił, nie mieć całej jednej partytury w muzyce duszy«.

Tem, czego brak Łubieńskiemu zarzuca, najlepiej sam siebie Krasiński charakteryzuje. On będzie się uważał za przedstawiciela i obrońcę przeszłości, w której tyle widzi piękna i poezyi.

Ale opisując przyjacielowi wizytę Łubieńskiego i wybuch swej nienawiści do człowieka, który go przed laty pozbawił czci koleżeńskiej, a pośrednio zmusił do wyjazdu z Polski, nie spodziewał się, co mu Reeve odpisze. List tegoż z d. 10 listopada 1831 był przyjacielskiem, lecz zarazem surowem rozstrząsaniem sumienia Zygmunta Krasińskiego, był dowodem, że grunt duszy Anglika był bardziej chrześcijańskim, niż u starszego o rok Polaka. Reeve głęboko jest zasmuconym uczuciami zemsty, które jeszcze teraz po latach przepełniają serce jego przyjaciela. Znakomicie charakteryzuje on stan jego duszy, odkąd go poznał, bije go własnemi jego argumentami, przypiera tak do muru, że biedny Krasiński nadaremnie będzie usiłował się bronić, nadaremnie będzie chciał zaprzeczyć, że go list przyjaciela nie wzruszył; sumienie, zatrwożone wywodami Reeva, zmusi go do otworzenia listu, który już zapieczętował i do wyznania, że list Reeva ugodził go w samo serce, że czuje to, jak i to czuje, że z nim jest źle.

Krasiński usprawiedliwia się, jak może, z uczuć nienawiści. Uważa ją za tak potężnie zakorzenioną w swem sercu, że ani myśleć o tem, by się jej wyrzec. Połowa serca jego wypełniona jest miłością — o niej niech Reeve myśli, a niech zapomni o tej drugiej, w której nienawiść mieszka; Reeve nie zna tego uczucia, bo znać nie może. Ale jemu, Krasińskiemu, nienawiść potrzebna do życia. »Mów cicho o nienawiści, jest to dziecię, które śpi i rośnie we śnie, po co je budzić przed czasem?«

Krasiński przerzuca zręcznie temat z wypadku szczególnego (Łubieński) na pole ogólno-narodowe (Rosya) i zaznacza, że się z nienawiścią ku wrogom niejako od dziecka bratał i rósł z nią razem. »Wyssałem ją z pierwszych spojrzeń mej matki, z pierwwszych słów mego ojca. Tyś wolny i wolno urodzony, nie pojmujesz, co to niewola, co to brzęk kajdan, śniegi Sybiru, kraty więzienne, wspomnienia rzezi Pragi...«

Odsłania tam Krasiński jedną stronę charakteru swego i temperamentu. Doskonale zdaje sobie sprawę ze swych wewnętrznych przeciwieństw, z tego, co nazywa swoim amalgamem duchowym, »z tysiącznych kontrastów«, jakie są w nim i dowodzi, jak już głęboko zastanawiał się nad sobą, jak surowo umiał się sądzić.

List Reeva, potępiający zasadniczo nienawiść, jako uczucie niechrześcijańskie, zmuszał Krasińskiego do stoczenia wewnętrznej walki, do odpowiedzi samemu sobie, czy nienawiść może być istotnie podporą życia jego, czy może być dodatnim czynnikiem duszy

ludzkiej? Odtąd nie będzie już miał spokoju. Kwestya nienawiści zapadnie głęboko w duszę jego: kolec drobny a dokuczliwy, z którym żyć można, ale od czasu do czasu drażni on organizm i przypomina się boleśnie.

Lata całe będzie tak żyć Krasiński. Idea Nienawiści i Idea Przebaczenia będą się w nim ścierały na przestrzeni Petersburga i Rzymu, aż przyjdzie moment, w którym pogańska żądza nienawiści narodowej uchyli czoła przed krzyżem samotnym w Koloseum, przed ideą Miłości, wszystko odkupującej. Wtedy to uśpiony przez wieki Irydion, nienawidzący Romy Grek, pójdzie na Północ do krainy mogił i krzyżów.

Wpływ Reeva dosięgnął tu kulminacyjnego szczytu, był jak najzbawienniejszy dla Krasińskiego, choć działał nie doraźnie, ale powoli. Reeve nie dał się zniechęcić argumentami Krasińskiego, ani zbałamucić nimi. Wyjaśnia mu, że jeśli kiedy, to teraz, w nieszczęściu, Polacy powinni żyć w zgodzie, a Krasiński powinien się pojednać z Łubieńskim. I przypomina pytanie św. Piotra: »Panie, ilekroć mam przebaczyć nieprzyjacielowi memu, czy siedmkroć?« Jezus odrzekł: »zaprawdę i siedmdziesiąt razy siedm«. Gorszy się tem, że Krasiński w liście jego widział tylko dzieło stylu i chęć wywołania wrażenia. »Cóż po stylu i wrażeniu, jeżeli myśli me nie są twemi myślami, a zasady me twemi zasadami. Mam twarde serce, nie współczuję cierpieniom bliźnich, nie pojmuję litości i nie umiem dać sobie rady z sympatyą, ale, Bogu niech będą dzięki, nie widziałem jeszcze, aby człowiek, który łkając błagał mnie o przebaczenie,

naprożno mnie o nie błagał. Nigdy też nie uścisnąłem lekkomyślnie ręki wroga, który się do stóp moich rzucił«.

Krasiński czuje się pokonanym, ale nie przekonanym: »Vous avez le droit pour Vous et moi j'ai le fait, un fait qui me brule l'âme...« On wie, że taka dyskusya może go tylko poniżyć w oczach przyjaciela, ale kłamać nie może. On uwielbiał Krzyż na Kolosseum, gotów jest do poświęceń niegłośnych, do cierpień, do przebaczenia wreszcie i zapomnienia uraz, ale nienawiść wroga jest dla niego przykazaniem Bożem, bo ojczyzna, język, zwyczaje narodowe, to są dary Boże i bronić ich jest obowiązkiem; »kiedyś zażądają odemnie rachunku w wieczności...« Zresztą analizować uczuć nie można, one są w nas i rządzą nami. Świat polski, to świat odrębny. »Nasza cywilizacya nie osiągnęła jeszcze stopnia cywilizacyi francuskiej i angielskiej; są jeszcze u nas uczucia poetyczne honoru, wiary, niezawisłości narodowej, podczas kiedy tutaj nie myślą o czem innem, tylko o dobrobycie materyalnym, o rewolucyi wielkiej, ale nie politycznej tylko socyalnej, która każe oddać własność, ziemię, bogactwa, t. j. dobre łóżka, dobre obiady, dobre piece tym, co czuwają, co ziębną i łakną«. Rozpoczyna się ferment duchowy u Krasińskiego, ostra krytyka i przewidzenie dzisiejszego niemal stanu kwestyi społecznej... A co jest charakterystyczne, to owo wyłączenie Polski z aspiracyj brutalnie materyalnych, które dostrzega na Zachodzie.

W końcu listopada tegoż roku 1831 wybucha

w niedalekim od Genewy Lyonie formalna wojna robotników fabryk jedwabiu z wojskiem; tysiąc kilkaset trupów pada, fabryki palą się, a w niemożności szybkiego porozumienia się wojska z Paryżem, robotnicy są przez czas krótki panami miasta. I znowu wieść ta jest dla Krasińskiego objawem przepowiedzianej dyagnozy społecznej. W liście do Reeve'a maluje on w najczarniejszych kolorach przyszłość społeczeństwa i woła:

»Na ruinach zamków i katedr, na złomach budowli gotyckiej, zbryzganej krwią, trzeba będzie usiąść i trzymać lirę wysoko, aby krew jej nie obryzgała: bo krew tryskać będzie... Ale z odwagą i natchnieniem, przy blasku pożarów można przechadzać się i gardzić mordercami; można pogodzić się z losem swym, a wzrokiem ducha dostrzedz w oddali *przedświt*, którego zmysł wzroku nigdy nie obaczy. Cóż znaczą te wrzaski i krzyki, te głowy spadające i ciała napół spalone, napół porąbane? To gniew Boży, który świat odradza... Wszystko runie, spłynie i zgnije — ale nadejdzie dzień, kiedy na tych samych miejscach zboże będzie się kołysało. Nie nam to zresztą myśleć o złotych kłosach. Dzieci nasze będą je zbierały na kościach naszych zbielałych...

»Nim stary budynek się zwali, możemy jeszcze rozprawiać w sklepionych salach i budzić echa przeszłości...

»Ja, com widział krzyż na Koloseum, nie dam się zwieść kilku szaleńcom i nie będę wierzył temu, w co nie wierzyli moi ojcowie.

»Wszystko to złudą, zmorą społeczeństwa, które tworzy i rozprawia, ale czuje, że ginie...«

Ustęp powyższy dowodzi, że zasada, podwaliny i zrąb »Nieboskiej Komedyi« już są w głowie Krasińskiego w końcu 1831 roku.

Myśl jego już przepracowała wielki problem przeciwieństw społecznych. Chodziło tylko o formę, w której miał poeta odlać treść bardzo żywotną. Forma, jakiej dotychczas używał (luźne opowiadanie i wylewy liryczne), nie nadawała się do tak potężnej, kipiącej w sobie treści. Z drugiej strony Krasińskiego tak dotychczas pochłaniała treść sama, tyle czasu poświęcił na jej zgłębianie, że niepodobieństwem było wymagać, aby w 20-ym roku życia zdobył się i na jednę i na drugą. To też kilka lat upłynie, zanim do tej, wzbierającej ciągle w społeczeństwie ówczesnem i w nim samym treści dorośnie i obejmie ją odpowiednia, jedynie jej godna forma.

Życie na pozór płynie jednostajnem, płaskiem korytem; młodzieńcy marzą i roją: Reeve o Genewie i pannie Sautter, Krasiński o Henryecie w Anglii: ale od czasu do czasu fala społecznego życia natrafi na zaporę, kamień i rozbryzgniętą pianą ocuci rozmarzonych młodzieńców i przyprowadzi ich do rzeczywistości, do — nieporządku dziennego.

Tak będzie z Reevem, gdy krzyki i narzekania ludu, domagającego się praw społecznych, zmuszą go do zastanowienia się nad przyszłością Anglii, tak będzie z Krasińskim, gdy rewolucya robotnicza w Lyonie, zwycięska acz krótkotrwała, urośnie w wyobraźni jego, bardzo powiększającej, do symptomatu

groźnego, zwiastującego przełom dziejowy. Wszystko w okół niego będzie mu wróżyć upadek społeczeństwa teraźniejszego. Gdy mu ojciec w pół gniewnie, w pół żartem wyrzuca egzaltacyę niepohamowaną, Krasiński woła: »confiteor, mea culpa, mea maxima culpa!« — ale zaraz tłumaczy się i objaśnia, że nie może być innym, skoro silne jego namiętności i wyobraźnia z ognia dostały się w taki wiek właśnie i w takie okoliczności:

»...oczywistem jest, że szybko zbliża się upadek teraźniejszego towarzystwa Europejskiego, że wszędzie równowaga zerwana, nadpsuta zgoda, nadwątlone posady, i pod zasłoną zawichrzeń i nieładu, coś nowego, nieznanego, o którem nie domyślamy się nawet, usiłuje wyjść na wierzch i świat ten zagarnąć.

»W podobnem jesteśmy położeniu do państwa Rzymskiego, konającego pod napadem barbarzyńców. I wtedy cywilizacya wysokiego była doszła stopnia, i wtedy już ludzie nasycili się byli wszystkiem do woli, do sytości: naukami, poezyą, rozkoszami, krwią gladyatorów, więc wpadli w nudę i niemoc...

»My dzisiaj inaczej postępujem co do formy, tak samo co do ducha. Spieszą się ludzie z swoimi pismami, mowami, systematami. Niema dnia, żeby czegoś nie wynaleźli, nie odkryli, żeby starych gałganów nie zeszyli w świeże chorągwie, pod które zwolenników cisną się tłumy. Kto kiedy widział więcej zbytku w uroczystościach, w obiadach, w balach? Ogromny ruch

wszędzie się objawia. Lud wycina żołnierzy po miastach i pali domy. Poeci szaleją i nie dadzą odpocząć drukarzom. Filozofowie marzą o nowych zbawicielach świata. Sekty nowe zjawiają się...

»...W Paryżu St. Simoniści mają nadzieję, że nową wiarą świat ten stary odmłodnią. A tymczasem młodzież w nic nie wierzy, upija się marzeniami rozgorzałej wyobraźni i kiedy się zatacza nad brzegiem przepaści, w którą to całe pokolenie runąć musi, chlubi się, że nową drogę odkryła i spodziewa się na niej zwycięstw i chwały. Ale wszyscy jednozgodnie czegoś się spodziewają, przeczuwają, że coś wielkiego, strasznego ma nadejść...

»...Nam ludziom teraźniejszego pokolenia trudne zaiste dostało się życie. Stoimy zawieszeni między przeszłością a przyszłością; kochamy przeszłość, bośmy jej dzieci przecie, a wszystko nas od niej odrywa i popycha ku przyszłości, której nigdy nie ujrzymy, bo przed jej ustaleniem, zapewne kilka generacyj jeszcze męczyć się i silić będzie i upadnie wśród walki. Jedynym tu puklerzem jest wiara w Chrystusa i odwaga, bo całe nasze życie będzie burzą; darmo dumać w spokojności i zabawach, lub szczęściu. Nie dla szczęścia zrodzeni jesteśmy, ale na pot krwawy, na ciągłą bójkę, nie tyle zewnętrzną, z okolicznościami — o tę mniejsza — ale wewnętrzną, z naszemi sprzecznemi uczuciami, pamiątkami i nadziejami, które nie przestaną się nigdy ścierać, jedne drugie rugować z naszej duszy. A z tem wszystkiem, choć tyle wycierpimy, choć tyle energii i dzielności rozwiniemy, przepa-

dniemy na zawsze, bo w takowych czasach sława nie pyta się o imiona szczególne, ale tylko o masy. Ci tylko sławni na wszystkie wieki, którzy zamęt uciszają...

»Żyjąc więc w takowych czasach, dumając często nad nimi, martwiąc się niekiedy, oburzając się czasem, wielu rzeczy zrozumieć nie mogąc, ale wierząc, iż wszystkie dążą do zaguby i przetworzenia się, trudno, by się czasem nie ratować exaltacyą. Moja exaltacya jest muzyką Dawida, by serce nie pękło Saulowi...«

Tak, jak roślinka, gdy raz kiełkować pocznie, czerpie ze wszech stron soki żywotne, krzepi się rosą i wiatrem i drobna na pozór, głęboko już w ziemi tkwi korzeniami — tak przyszła *Nieboska Komedya*, bezimienna jeszcze, niepozorna, niepoetyczna, puszcza już korzenie głębokie i wchłania w siebie wszystko, co jej wyjść może na pożytek, a więc list przyjaciela, broszurkę agitatora, wrodzoną niechęć do przechrztów, jakąś przypadkowo otrzymaną gazetkę rewolucyjną warszawską, jakąś przygodną na wsi rozmowę.

Na spacerze niedaleko Genewy, we Ferney, wstępuje Krasiński do karczmy, aby oczyścić fajkę. Zastaje dwie dziewczyny służebne, jednę brunetę, silną i wygadaną, drugą cichą, wątłą, onieśmieloną blondynę.

Krasiński, ciągle myślący o jednem i tem samem, zaczyna z dziewczynami rozmowę o rozruchach robotniczych w Lyonie.

»Dobrze zrobili robotnicy, mój panie — zawołała czarna, wykręcając ścierkę w rękach, jak gdyby krę-

ciła kark dziecku — oni chcą równości. Już od dawna przyrzekają nam równość w niebie; niech się wprzód na ziemi rozpocznie«.

»Nie będzie równości w niebie — odparłem — tylko pod warunkiem nierówności na ziemi, a mówię wam, że wszyscy wy nie pragniecie równości, ale owszem tyranii«.

»Oh, tak — odrzekła bruneta, z uśmiechem kobiety, szukającej wybiegów — tak, my o tem dobrze wiemy, że równość jest niemożliwą na świecie, ale czy już nie dość długo zginaliśmy kolana przed wami, każdy niech spełni swą rolę, każdy po kolei, do djaska!« I wybuchnęła śmiechem, który mnie o dreszcze przyprawił.

»To był przedstawiciel ludu z oczami młodej dziewuchy, a z sercem tygrysiem i z głodem w piersiach.

»Więc chcecie, abyśmy byli waszymi niewolnikami, a to dlatego, abyście mogli jeść, pić i ogrzać się, a wtedy mówicie: Będziemy szczęśliwi! Nie wierzcie temu, niema szczęcia na ziemi«.

»Wiem ja o tem, panie — odrzekła dziewczyna, potrząsając garnkiem — aleć lepiej dobrze zjeść, niż źle, a zresztą, pora już, abyśmy zajęli wasze miejsca! Od iluż to wieków je zajmujecie?« I widać było w jej dużej, błyszczącej źrenicy płomień i pragnienie zemsty za wszystkie upokorzenia, których kiedykolwiek doznała...«

Zwraca się Krasiński do drugiej dziewczyny, cichej i zalęknionej. Ta nie pragnie rzezi i walk i cudzego mienia: wolałaby raczej jeść suchy kawał chleba, byle w spokoju, zdala od zaburzeń.

Krasiński wychodzi z karczmy cały przejęty powagą i poetycznością tej sceny, którą *con amore* przyjacielowi opisze. Widzi odrazu w owej rezolutnej brunetce kobietę przyszłości, kobietę wyzwoloną, o której — mówi — »marzą demoniczni utopiści dni naszych. Nie będzie ona potrzebowała ramienia mężczyzny, aby się na niem wesprzeć — ale też dla serca mężczyzny nie będzie już bóstwem. Silna, muskularna i namiętna będzie równie łatwo zabijać i — rodzić...«

Ta przedstawicielka ludu z oczyma młodej dziewuchy, a z sercem tygrysiem i głodem w piersiach wejdzie z czasem do »Nieboskiej«.

Tak zatem ani w pokoju swym, ani na spacerze nie może Krasiński wyjść z zaklętego koła rozmyślań o doli społeczeństwa i obaw o jego przyszłość. Książka, dziennik, list przyjaciela mówią mu o tem w domu, na przechadzce mówi o tem przygodnie spotkana dziewczyna z ludu. Wszystkiemi drogami duszy wciągać on będzie wątek podatny i pożądany społecznych zagadnień, by przerabiać je na treść pożywną dla przyszłego arcydzieła, które już w łonie poety żyje i czeka, aż się czas wypełni...

V.

Twórczość.

Kiedy się rzuci okiem na twórczość Krasińskiego w tym pamiętnym roku 1831, zdumienie ogarnia nas na widok tego mnóstwa studyów, prób literackich, tej płodności wyobraźni bogatej, niewyczerpanej, wszechstronnej. Rozpoczyna się ten rozkwit w listopadzie 1830 r. na ziemi włoskiej zrazu pogodną nowelką romantyczną »Venus Medycejską«, następnie głębszą refleksyą o Colosseum i jakimiś ułamkami o Włoszech, z których zaledwie dowcipna przedmowa w cząstce się zachowała. Nie mamy dokładniejszych wiadomości o innych pracach z Włoch do Genewy przywiezionych; wiemy tylko, że była wśród nich »Wizya«, o której Reevowi w Genewie opowiadał, a dalszy jej ciąg fantastyczny do Anglii mu posyłał. — Do tych »włoskich« rękopisów zaliczyć trzeba »Wygnańca«.

Dopisek brzmi: »Napisane w r. 1831 i ofiarowane Konstantemu Gaszyńskiemu«. — Sama treść świadczy niezbicie, że mamy tu do czynienia z nastrojem pesymistycznym Krasińskiego, gdy z Rzymu na Flo-

rencyą podążał do Genewy w ciągłej niepewności o Polskę i o swój współudział w wojnie narodowej: »Lecz może w roskosznej krainie, pod jasnem niebem bawiąc się wesoło, przy kochance cudzoziemce, pędząc dni uniesienia i namiętności, z wieńcem kwiecia na skroniach a z jej ręką w dłoni, z ustami na ustach, posłyszysz, że twoja ziemia zrzuca jarzmo i rwie kajdany, które ją krępują: wtenczas, jeśli pożegnawszy wśród jęków i łez lubą na wieki, pobiegniesz ku szczękowi szabel na ojczyste błonia, lecz w pół drogi zatrzymają cię ludzie i okoliczności; jeśli słysząc co dzień wieści o swoich, co dzień napróżno ku nim wzdychasz, słysząc, że się biją, ty drzemiesz; słysząc, że zwyciężają, ty dzielić chwały nie możesz, słysząc, że giną, ty żyć musisz; jeśli się ani ucieczką, ani podstępem, ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz; jeśli wylawszy moc całą na usiłowania, ujrzysz wreszcie, że daremne i od obu kochanek daleki, ani jednej sławą pocieszyć, ani drugiej zgonem pomódz nie zdołasz: — o wierzaj mi, to jest wygnaniem i takiem wygnaniem, jakiem Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika. Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach ojczyzny, dłuższemi od dni się wydadzą; nocy twoje przeniosą się na pola, gdzie uczujesz ostatnie uciśnienie konających braci...«

Ważniejszym od Wizyi i Wygnańca jest w Genewie, tuż po wyjeździe Mickiewicza, rozpoczęty utwór p. t. *Adam Szaleniec.*

Rozstanie się z Reevem nasunęło Krasińskiemu

myśl napisania »historyjki«, w którejby przyjaciel jego odgrywał pierwszą rolę. Rzecz dzieje się na dalekim od Genewy zakątku jeziora przy Villeneuve. Cudzoziemiec jakiś lord Henry Gram (Reeve) w łódce zbliża się do parowca »Winkelried«, który już odbił od portu, wskakuje do statku, przestrzega kapitana przed skałami (fikcyjnemi) niedaleko St. Gingolphe, rozmawia z kapitanem statku o dawnych swych stosunkach genewskich i rozpytuje się o przyjaciela swego. Kapitan mu odpowiada, że przyjaciel jeszcze żyje w Genewie, ale że zwaryował. Niedaleko brzegów Sabaudyi zrywa się burza. Jakaś barka tonie. Lord Gram ratuje człowieka w barce — pokazuje się, że to jego przyjaciel — szaleniec. Zrazu ucieka on w Genewie od Anglika. Potem przyszedłszy na chwilę do zmysłów, daje mu do odczytania swój rękopis. Jest tam i wspomnienie Henryety, szał, wstyd, ojczyzna — jednem słowem uczucia duszy samego Krasińskiego. — Lord Gram wywozi chorego przyjaciela swego z Genewy do Valais, gdzie w jakimś klasztorze szaleniec, który rozumie jednak, że tylko w niebie jest dla niego ratunek, zostaje księdzem. Krasiński krótko streszcza swą »historyjkę«:

»Opis łuków wygiętych w klasztorze na górze — scena wyświęcenia kapłańskiego — świece w środku nawy, odblask czerwony. Lord Gram w głębi, nazajutrz ma wyjechać. Nowy ksiądz idzie do swej celi. Nazajutrz znajdują go w agonii, kończy z gorączki. Pożegnanie Lorda Gram z przyjacielem. Koniec«.

Ponieważ to pierwsze streszczenie powiastki na-

trafiło na różne krytyczne uwagi Reeva, który stawiał zarzuty technicznym szczegółom dotyczącym statku, jeziora, a także nie zgadzał się z ponurem zakończeniem, Krasiński wraca w następnym liście (7 czerwca) do tejże nowelki, dokładniej ją streszcza według rozdziałów i poraz pierwszy wymienia tu imię szaleńca: Adam. — Ze streszczenia dokładniejszego widać, że wspomnienia Henryety przeważną tu grały rolę; dyalogi, przytaczane w urywkach są dziwną mieszaniną napuszonego i dziecinnego niemal stylu.

Są to tyrady, jak je sam Krasiński nazywa. Pokazuje się jednak, że pierwotna »historyjka« zaczyna się wydłużać. Niema już mowy o nagłem zakończeniu i śmierci w klasztorze. Owszem, dowiadujemy się, że drugi rozdział kończy się ucieczką Adama w łódce w nocy. »Dotąd doszedłem — pisze Krasiński — i nie posunąłem się dalej. Przepraszam za tak długie nudy. Chciałbym, aby całość utworu zostawiła w czytelniku wrażenie poematu, tymczasem szczegóły są romansem, bo nie umiem pisać wierszy«.

Począwszy od 12 czerwca, zaczyna Krasiński posyłać Reevowi obszerne wyjątki z Adama Szaleńca i to nie w streszczeniu, ale w dosłownym przekładzie z polskiego. Utwór ten zaczyna go nęcić i przykuwać go do siebie. Jedyne godziny życia są dla niego te, w których pisze »swój poemat lub romans«, kiedy opisuje szaleństwo człowieka, »który ma mnie przedstawić, kiedy usiłuję przypomnieć sobie wszystkie me wrażenia, wszystkie troski, wszystkie rozproszone krople goryczy, aby zebrać je

w pełny kielich, pokazać go może kiedyś ludziom ze słowami: »oto co mi dał świat i jego mieszkańcy!« Z pierwotnej historyjki wyrasta rodzaj pamiętnika, w którym prawdy więcej niż zmyślenia.

Urywki posyłane Reevowi (ogółem jest ich sześć) nie dają jasnego wyobrażenia o całości, która, zdaje się, wykończenia się nie doczekała. — Nie mamy epizodu, jak Adam Szaleniec ucieka z szaletu na górze Salève, całą noc rozmyśla nad światem duchów i opowiada w końcu Gramowi zjawienie się św. Rozalii.

Jakie znaczenie sam przypisywał utworowi temu, widać z uwagi kończącej list z d. 25 lipca: »Ciągle piszę mego Adama; może to kiedyś będzie jedyny dowód, przemawiający na moją korzyść«. — Ostatni urywek przesłany Reevowi mieścił się w liście z dnia 27 lipca. Na sierpień przypadają fragmenty d. c. Wizyi, związane ze wspomnieniami wycieczki do Arveyron; przerywają one natchnienie »Adama«. We wrześniu wzburzony jest projektowaną wyprawą na Żmudź, następnie wiadomością o wzięciu Warszawy i pisze dalej »Wizyą« (wywołanie ducha wieków), Przeora Augustyanów, wreszcie »Gwiazdę« (L'Étoile). Milczenie Reeva mogło też było podziałać zniechęcająco na Krasińskiego. List z 29 września kończy się wymówką: »Nic mi nigdy nie mówisz o tem, co ci posyłam: o Adamie, o Wizyi duchów stuleci? Krytykuj-no!« — Milczenie Reeva tłómaczy się tem, że go sprawy społeczne Anglii więcej obchodzą zrazu, niż cały Adam Szaleniec. Dopiero 13 grudnia 1831 r. przypomina sobie Reeve gorączkowy utwór przyjaciela i pisze: »Daj u Bar-

bezata wydrukować rękopis Adama. Nie zapominaj, że możesz zmusić każdego człowieka, znającego język polski, do pokochania ciebie i uwielbienia (adorer). Zrobisz sobie opinią całkiem do ciebie należącą, opinią poety, nie mającego nic wspólnego z historyą twego rodu, ani z błędami poprzedzających cię pokoleń. *Curtius Rufus videtur mihi ex se natus*, mawiał Tyberyusz...

»Kto będzie śmiał powiedzieć, że ojciec twój nie znalazł się w murach Warszawy, skoro rozgłos twój powiększy się, nie kosztem chwały ojcowskiej, ale na korzyść jego nazwiska... Skończę, od czego zacząłem: Ogłoś manuskrypt Adama«. Krasiński rady tej nie usłuchał. Ani Adama Szaleńca nie wydał, ani rozgłosem osobistym nie chciał się nad ojca w opinii publicznej wywyższać. Całe życie robił co mógł, aby pozostać bezimiennym poetą polskim... Powody, dla których Adama nie ogłosił były zresztą głębszej natury:

O ile z fragmentów pozostałych sądzić wolno, całość nie była związana silnie ścięgnem jednej przewodniej myśli. Rozpacz po stracie kochanki i ojczyzny była zapewne przedmiotem godnym najwznioślejszych, lirycznych uniesień. Ale ten sam przedmiot nie znosił epicznego traktowania, nie nadawał się do spokojnego opowiadania. Jeżeli gdzie, to tutaj, nie wolno było z hymnu zstępować do prostej powieści.

Tymczasem Krasiński, rozpocząwszy rzecz na krótkie rozmiary (»historiette«), w ciągu pisania pod wpływem hiobowych wiadomości, nadsyłanych mu

z Paryża, rozszerzał ramy opowieści, przeciągał nić zasadniczą (szału), a co gorsza, to co było jeszcze rzeczywistością bieżącą, to już poetyczną szatą wspomnienia przyoblekał. Na przekór hasłu Schillera:

> Was unsterblich im Gesang soll leben,
> Muss im Leben untergehen —

on to, co jeszcze żyło (przyjaźń dla Reeva, miłość dla Henryety, a cóż dopiero miłość ojczyzny) żywcem kładł do trumny pamiątek.

Dziś dla nas te szczątki *Adama Szaleńca* mają ogromną wartość, nie same w sobie, ale o ile są wiernem odbiciem ówczesnych uczuć i poetyckich rojeń Krasińskiego. Przekonywamy się przedewszystkiem, czego przedtem domyślać się tylko było można, że pomysły Nieboskiej i Irydiona powstawały równocześnie, owszem pomagały sobie i krzepiły się wzajem. Nie było zatem owej »marche descendante«, owego zstępnego rozwoju ducha, jak przypuszczał Klaczko, który dziwił się, że po idei komedyi Nieboskiej, idei wszechludzkiej, zstąpił Krasiński do węższego zakresu myśli Irydionowych.

Oto ustęp z *Adama Szaleńca*, nie pozostawiający żadnej wątpliwości co do tego, że Irydion i Nieboska były jakby dwoma strumieniami, płynącymi z jednego wspólnego źródła, z idei o potędze chrystyanizmu, kruszącej tak samo Rzym stary, jak i stary dziś ustrój nasz społeczny.

»Marzyłem wśród ruin: Starożytny świat pobity, u mych stóp, przed krzyżem z drzewa — milczenie grobowców ponad tem; burze naszego wieku,

wspomnienia ojczyzny mej ujarzmionej - wszystko to mięszało się w mym mózgu. Pocieszałem się, spoglądając na Rzym w glinie i w błocie, bo w dzieciństwie mem poprzysiągłem był zemstę innemu Rzymowi, a depcąc pierwszy, wyobrażałem sobie, że kiedyś deptać będę drugi.

»W nocy idąc z Kolosseum na grób Cecylii (Metelli) brałem w ręce me z uśmiechem ironii szczątki porfiru, jaspisu i miotając je na kamienie, cieszyłem się, że się kruszą na tysiączne kawałki. »Tak będzie kiedyś z pychą Północy!« wołałem, a echo sarkofagów, powtarzając ostatnie wyrazy, przedłużało je ponurym dźwiękiem, tak, iż widziałem się już na pogrzebie tyranów«. —

Widzimy zatem, jak do myśli czysto »rzymskiej«, że się tak wyrażę, mięszają się odrazu dwie myśli współczesne: myśl o »burzach naszego wieku« i myśl o ujarzmionej ojczyźnie. Wspólnem tych myśli źródłem było pojęcie krzywdy ludzkiej: Rzym *uciemiężający* ludy barbarzyńskie i piękną Grecyą; społeczeństwo XIX w., *krzywdzące* czarną masę robotników i Rosya, *przygniatająca* butem sołdackim powaloną Polskę, wyciskająca z niej resztki życia. Temu pojęciu krzywdy ludzkiej przeciwstawiało oburzone serce poety uczucia zemsty, krwawego odwetu, uczucie pielęgnowane już, jak sam mówi w czasach dzieciństwa, a tak namacalne w pierwszych, naiwnych utworach (Grób rodziny Reichstalów, Mściwy karzeł, Teodoro i t. d.). W związku z powyższemi założeniami, budzi się w Krasińskim estetyczna konieczność tworzenia *antytez* moralno-dziejowych:

Krzywdzącemu Rzymowi przeciwstawiony będzie mściwy Grek, Irydion — krzywdzącej arystokracyi XIX-go w.: mściwe bożyszcze tłumów ciemnych i cierpiących: Pankracy.

Czas stawiania antytez będzie oczywiście pierwszą fazą twórczą, stanem, że tak powiem embryonalnym Nieboskiej i Irydiona; aby te płody duchowe dojrzały do wyjścia na świat, potrzeba będzie pogodzenia i wyrównania antytez w syntezie, którą zwolna dopiero wypracuje w sobie duch Krasińskiego.

Ale wróćmy do Adama Szaleńca. Od niego trudno wymagać syntezy, on cały pogrążony jest w antytezie, w poczuciu zemsty za doznaną krzywdę. *Campagna* rzymska ciszą swoją nie koi jego żalu i bolu: »Ach, niczego nie pragnę, chcę tylko w godzinę skonu mieć przeczucie, że nieprzyjaciele ojczyzny mej runą w proch tak samo jak te portyki, i że kiedyś będą marzyć i kląć na ich grobach, jak marzyli i przeklinali na tych tu ruinach ludzie wolni, którzy pogrążyli w piasku potęgę Rzymu...«

Inne fragmenty dotyczą świeżych wrażeń niemocy wydobycia się z Genewy, wstydu wobec Maryi (tak się tu nazywa Henryeta Willan) i współrodaków; czasem jasna świadomość cierpień moralnych i ich następstw, cierpień fizycznych, wyrywa Krasińskiemu z piersi narzekania, Jobowym podobne:

»Kto odda oczom naszym zgasłym ogień młodości? Kto z powiek mych zetrze ślady łez, które przeżarły je jak krople, co liście dziurawią. Ach, napróżno, napróżno! Jesteśmy tem, czem nas zrobiły nienawiść ludzka i zemsta Boga (!)

»Pochyliłem się przed czasem ku ziemi — głos mój stał się ochrypłym, nieustająca gorączka napełnia krwią źrenice moje, serce już na pół zgniło w mem łonie...«

Tęsknota za krajem rodzinnym i miłość ojczyzny wybuchają tu jękami i skargami najczulszemi:

»Ha, już nie zobaczę nigdy tej ziemi, gdziem się wychował, tego domu, gdziem wyrósł, tej kaplicy, gdzie spoczywa moja matka! Ach, dzwonek tej kaplicy roztopiłby we łzy całą twardość głazu, który noszę w mym łonie! Wieczorem módz się pomodlić tam przed kratą, niedaleko trumny przy blasku lampy — a z pola dochodzi mnie śpiew oracza, odgłos pługa, pierwszy krzyk nocnego ptaka, pierwsze westchnienie wieczornego wietrzyka, ostatni ćwirk skowronka, ostatnie pożegnania rozstających się wieśniaków, całe dzieciństwo moje ciśnie się przez kraty krypty i otacza mnie w pobliżu grobowca mej matki; a potem jej łoże śmiertelne i ostatnie pożegnanie, a potem lata młodzieńcze. — Przestań! potknąłem się o hańbę. Ona mnie obaliła o ziemię — nie, nie — już się nie podźwignę nigdy...«

To znowu Adam Szaleniec wzywa szatana, pana ciemności i potępionych, aby dał mu swej siły archanielskiej na zniesienie ciosów i nieszczęść. Pogarda Maryi ciąży mu jak największe brzemię, brzemię nie do zniesienia. Chciałby już Herostratowej sławy, rozgłosu zbrodniarza, byleby tylko wyrwać ją z milczenia wzgardliwego.

Zachowane fragmenty z Adama Szaleńca dają dostateczne wyobrażenie, czemby mogła być całość.

Zamierzona zrazu »historyjka«, której pogodny i swobodny początek zapowiadał nowelkę smutną, ale nie zbyt znowu tragiczną, wyrastała w miarę pisania na jakiś ogromny monolog Szaleńca, pełen lirycznych wybuchów, ale nie pozbawiony logicznego myślenia. Cała trudność polegała właśnie na tem, aby postać bohatyra nabrała jakichś rysów prawdopodobieństwa. W krótkiej nowelce byłby charakter Adama Szaleńca i geneza psychologiczna jego szału nie dały się dostatecznie uzasadnić; rozwinięcie zaś dłuższe wątku powieściowego przy zupełnym braku jakiejkolwiek akcyi narażało historyę Adama Szaleńca na nieuniknioną monotonię narzekań i jęków bohatyra. Sam Krasiński to czuł już w czasie pisania, skoro wyjątki przesyłane Reevowi nazywa tyradami, a nawet jeremiadami. — Bardzo jest zatem podobne do prawdy przypuszczenie, że Adam Szaleniec nie był nigdy ukończony i że go z czasem Krasiński w rękopisie zniszczył. — Na zniszczenie mogła także wpłynąć zmiana zapatrywań na ruch narodowy r. 1831. Krasiński dowiedział się od Łubieńskiego, Jezierskiego i innych o przeważnej roli, którą odgrywały kluby warszawskie polityczne w wywołaniu i kierownictwie ruchu narodowego. Wstręt do klubów demokratycznych wpłynął oziębiająco na dawniejszy entuzyazm dla roku 1831. Rozpacz Szaleńca, że nie wziął udziału w wojnie narodowej, wydawać się mogła już w r. 1832 samemu Krasińskiemu nieco egzaltowaną. Straty tej nie ma powodu zbytnio żałować, skoro dochowały się (choć w przekładzie francuskim) fragmenty, które dają nam wyobrażenie dostateczne

o utworze, a równocześnie zawierają w sobie dowód, że zestawienie potęgi Rzymu z potęgą caryzmu rosyjskiego nasuwało się już w r. 1831, stanowiąc urodzajną niwę dla przyszłych pomysłów krydionowych.

Po Wizyi, do której w sierpniu dorabiał ciąg dalszy, niezbyt różny od nastroju Adama Szaleńca, Krasiński napisał, jak już wspomnieliśmy, po francusku, ustęp elegijny p. t. Gwiazda, (*Une Étoile*). Jest to »hymn pogrzebowy dla Polski«, jak go sam nazwał. — Gwiazdą, gasnącą na niebie ludzkości jest Polska. Krasiński wyobraża ją sobie jako gwiazdę, rzuconą na wszechświat, krążącą wśród niezmiernych globów twardych, obok planet z ołowiu i krwi. Spotkanie młodej, pięknej gwiazdy z cięższemi planetami, groziło jej śmiercią i zniszczeniem. Jakoż uległa tej katastrofie »młoda męczenniczka niebios«. Co się z nią stało po nieszczęsnem rozbiciu? Czy leży kędyś jako masa bezduszna, czy też zmieniwszy bieg, wychyli się kiedyś z ciemnicy i bolu, ukaże się znowu na horyzoncie? Poeta ufa Bogu zemsty i sprawiedliwości. Gwiazda wyjdzie kiedyś z biegu dalekiego, ciężkiego i zapomnianego. »Wstrząśnie grzywą promienistą, jak rumak gotujący się do boju, stanie znowu do walki, aby znaleść w niej coś więcej nad chwałę«.

„*Gwiazda*“ napisana jest piękną, patetyczną nieco francuszczyzną. Porównanie zdaje się na pozór odnosić do całej przeszłości polskiej; przy bliższem rozpatrzeniu się widać, że Krasiński miał tylko na myśli Królestwo kongresowe:

»A son *court* passage vous l'avez saluée, comme un berceau de lumière, et ce n'était qu'un cercueil. Mais nous serions des ingrats, si nous pouvions oublier si tôt cette lueur fugitive qui jeta tant de de vie dans nos âmes...

»Que va-t-il faire ce fragment d'un monde brisé...«

Utrzymać porównanie do końca nie było wcale łatwe; aluzye polityczne nie są dość przejrzyste. Cały wybuch powstania jest tu pominięty, a powód upadku niejasny: »Alors elle s'arrêta comme pour prendre haleine, et c'était pour mourir... elle attendit l'avalanche des sombres étoiles, qui se détachaient de toutes parts (?), pour se précipiter sur elle (?)...«

Ale każde porównanie kuleje, a cała wartość poetycka tego utworu polega na pięknym stylu i bujnej wyobraźni młodzieńczej.

W tym samym tomie *Bibliothèque Universelle* (na str. 99—102) znajduje się opis zachodu słońca na Montblanc: Le coucher du soleil sur le Mont-Blanc. Extrait du journal d'un voyageur.

Przed rokiem ogłosił był Krasiński w Pamiętniku dla płci pięknej (II, 165—167) »Myśli Polaka przy górze Mont-Blanc«, pełne entuzyazmu sztucznego (»Witam cię góro! Witam cię nieśmiertelności obrazie!... Oh! Witam cię Montblanc! — O! słońce! itd.). Tutaj mamy do czynienia ze spokojnym i wiernym opisem przyrody, tu i ówdzie uduchowionym, albo przeładowanym w porównaniach.

Zdawaćby się mogło, że jak na jeden tylko rok, i to tak ciężki rok wojny narodowej, trudno już było

o więcej prób i szkiców literackich. Ale dla podnieconej wyobraźni Krasińskiego nie wystarczały ani szkice włoskie, ani Adam Szaleniec i Wizye, ani drobne utwory francuskie.

Wiadomość, zrazu ogólnikową, o nowym utworze polskim znajdujemy w liście z dnia 2 października 1831 r. — Krasiński jest wtedy cały wzburzony upadkiem powstania, wzgardą Henryety. Sam jest przeświadczony o swej nerwowości (mes rêveries, mes phrases saccadées, mes vacillements) i kończy list: »Allons, mon ami, je vais finir, je vais finir; mais avant je vous dirai que j'ai commencé un poème de l'histoire de Pologne — tant est fort en moi le besoin d'écrire que rien ne peut reduire en poudre...«

Wzmianka ta ogólnikowa o poemacie polskim z historyi polskiej powtarza się w liście z d. 16 października. Donosi tam Reevowi, że nie miał od dwóch tygodni natchnienia (a więc właśnie od czasu pierwszej wzmianki), ale że »dziś zmartwychwstał i napisał właśnie długi ustęp z pòematu polskiego«.

Nie wiedzielibyśmy, o co chodzi, gdyby nie Reeve, który zażądał od Krasińskiego przysłania mu wyjątków z poematu o historyi polskiej, jak mu się wydawało. Wówczas to Krasiński tłómaczy się jaśniej (20 października) i pisze tak:

»Trudno posłać cokolwiek z mego poematu, bo tworzy on całość i nie może być rozdrobiony (scattered) na kawałki. Nie zrozumiałbyś z nich, o co chodzi. Ale, do licha, to nie jest poemat o historyi polskiej, ale zdarzenie z historyi polskiej — o fałszy-

wych Dymitrach rosyjskich, z których jeden pojął Polkę za żonę, albo raczej obaj...«

A zatem Agaj-Han!

Nie mieliśmy dotychczas dokładnej daty napisania tego utworu; obecnie możemy najdokładniej określić chwilę powstania tej opowieści historycznej, którą Krasiński nazywa poematem. Możemy także oznaczyć kilka przynajmniej stacyj twórczych.

6 grudnia 1831 r. donosi Krasiński: »Piszę ciągle mój poemat polski. Są w nim pożary i bitwy, zabawy i rozkosze. Jestem pod wpływem czasów, w których żyję. Ale, co prawda, zdarzenie odbywa się w czasie, kiedy olbrzymie carstwo moskiewskie waliło się od Bałtyku do morza Kaspijskiego, pod żelaznymi rękawicami wojowników polskich. Był to także świat mający zginąć (s'en allant périr), a zdobywcy deptali ruiny z chciwością i śmiałością Hiszpanów Korteza z Meksyku. To też można tworzyć wspaniałe obrazy z tych dni tryumfu i żałoby, z tych nocy pożarów i rozpusty. Starałem się zwłaszcza odmalować osobę fantastyczną, prawie dziecko, ze Wschodu, płonące namiętnościami; następnie (malowałem) uczucie niezawisłości i awanturniczą karyerę przewódcy Kozaków, który na wątłej łódce płynąc po Dniestrze (!) po przez morze Czarne szedł palić przedmieścia Konstantynopola. A sułtan z wściekłości przegryzał bursztyn w swych zębach, patrząc z okien Seraju na dym i pożogę — a potem przewrót w Rosyi, błędne pogonie dowódców polskich, co zapędzali się aż do Azyi i łupili ten kraj, pełen

kamieni drogich, kwiatów i światła... ludy muzułmańskie pomięszane z narodami chrześcijańskiemi.

»Wiek ów, to nasze wieki średnie.

»Wszystko tam bohatyrskie i nacechowane energią. Znaleść można w Polakach, co na swych koniach przebiegają Moskwę od morza do morza, olbrzymi zapał (szał), wiarę w samego siebie, poczucie siły osobistej barbarzyńców, co się na Rzym rzucili i Rzym deptali. Tak padła Moskwa przed mymi przodkami! Ach! przodkowie moi wielcy byli i wierzyli w Najśw. Pannę. Wzywając Jej imienia bili szablami w lica wrogów; ci padali, by już nie powstać. Stara Polska miała dni chwały olbrzymiej i świetnej; mało który naród tyle zrobił i tyle zdobył. Dla nas przeszłość jest niebem czystem, ogromnem, lśniącem. Zwrócić się ku niej, to znaczy zwrócić się ku chwale. Nasza przyszłość z niej tylko wytryśnie i żal mi, kiedy widzę, jak tylu ludzi rzuca się na szyję Francuzom, aby wyżebrać u nich wzory, a wystarczy uklęknąć u trumien ojców, aby wyczytać na nich nazwiska bohatyrów. — Głupstwa i błazeństwa Dantony i Lamarki, tam, gdzie się miało Zamoyskich i Sobieskich. Potomkowie ich — to niewdzięczniki. Cały tłum ludzi dzisiejszych zblednie przed jednym jedynym grobowcem ludzi przeszłości...«

W słowach powyższych mamy doskonałe określenie pobudek psychologicznych i estetycznych, które wpłynęły na wybór tematu: tryumfowi Rosyi z roku 1831 chciał przeciwstawić poeta tryumfy Polski z r. 1612, ukoić niemi swój ból patryotyczny. Równocześnie, wobec nowożytnych ideałów społecznych ryso-

wała się poetycznie, pełna chwały i uroku przeszłość Polski szlachetnej i szlacheckiej. Dantony i Lamarki nie mogli wytrzymać porównania z Zamoyskimi i Sobieskimi. Całe pojęcie przeszłości dziejowej Polski jest tu młodzieńczo gorące i naiwne — do krytycznego rzutu oka z Psalmów jeszcze bardzo daleko!

Ale nawet Agay-Han nie wyczerpnął całkowicie energii i fantazyi Krasińskiego. Dnia 30 października 1831 r. donosi Reevowi, że napisał w tych dniach dla *Bibliothèque Universelle* opowieść à la Balzac. Jest to historya młodego Hiszpana w Wiedniu. Tajne towarzystwo jakieś (*divine, mystérieuse*) kazało temu Hiszpanowi rozsiewać cholerę w kształcie proszku białego, zawartego we flaszeczce. »Historyę tę napisałem jednym ciągiem, od 10-ej rano do 8-ej wieczór, nie wstając od stołu, chyba dla zapalenia cygara. To też kiedy wstałem, byłem na pół szalony. Straszną jest ta historya. Mam tymi dniami w sobie niecierpliwość jakąś, głuchy gniew, który mnie trawi i robi nieszczęśliwym, jak nigdy jeszcze nie byłem«.

Wymieniona tu bezimiennie powieść *à la Balzac* nie doczekała się druku w *Bibliothèque Universelle*. Dochowała się natomiast w autografie, według którego wydrukowano ją w drugim tomie »Correspondance« (str. 269—293). Osnowa jej fantastyczno-romantyczna przykuwa i dziś jeszcze uwagę nietylko polskiego czytelnika. Dowodzi ona, że w Krasińskim tkwił materyał na poważnego powieściopisarza francuskiego. Początki Balzaka nie były lepsze od owej Cholery, w której mamy niejedno echo bezpośrednich wrażeń genewskich z czasu panującej tam

epidemii cholerycznej. Zwraca tu uwagę naszą scena podziemna jakiegoś tajnego zgromadzenia z wielkim kapłanem Izydy (l. c. 281), mędrcem Ionii itd. Cała scenerya przypomina bardzo późniejsze zebrania w podziemiach z »Niedokończonego Poematu« i z tego względu *Le Choléra* ma znaczenie zarodnej komórki pomysłu, po latach inaczej rozwiniętego.

Podobne znaczenie posiada niejeden z licznych artykułów francuskich, pisanych w ciągu 1830 i 1831 roku.

Z autografów francuskich wyczytać można zwikłane dzieje cichych, bezkrwawych, a tak znojnych walk wewnętrznych młodego poety, zdobywającego, po stromych ścieżynach, w pocie ducha, te ideały społeczne, które przyświecać miały »Nieboskiej Komedyi« i wieść go na szczyty prawdy i piękna.

Niepodobna dać tutaj wyczerpującą charakterystykę czterdziestu kilku artykułów francuskich, napisanych przez Krasińskiego w ciągu roku 1830 i 1831. A przecież trudno je pominąć milczeniem. Mało mamy bowiem w historyi literatury naszej podobnie ciekawych dokumentów psychologicznych. Dusza polska wyciska tu swe znamię na obcej formie, w obcym języku. Myśli bujne, wzbierające jak rzeka na wiosnę, wylewają się pędem żywiołowym i torują sobie drogi różne, nieoczekiwane, często zdumiewające. Nie są to jeszcze myśli wykształcone, ścięte w kryształ zasad, ale mgławice, ale puchy nasienne, gnane wichrem młodości, rodzajne kędyś po latach...

Stajemy u kresu twórczości z jednego tylko roku! Krasiński tak ją sam określi ojcu:

»Napisałem dużo rzeczy w wielu rodzajach: jedne rozsądniejsze, drugie niepomiarkowane — podług stanów mojej duszy: kiedy wpadała w gorączkę, musiałem jej ulżyć, pisząc szaleństwa. To wdawałem się w żarty z ludzi, to w płacze nad nimi, to w potoczne ich życie, to w świat wyższy, świat Duchów... Zdaje mi się czasami, że siła mojej wyobraźni coraz się krzepi«.

Z daleka nawet widzi to Reeve i pisze do przyjaciela: *„Votre puissance intellectuelle augmente rapidement"*. Spostrzeżenie to całkiem było słuszne.

Rok 1831 był przełomem w wyobraźni, w sile uczuć, w sile twórczej Krasińskiego. Rok to wielki w jego życiu — może nawet największy. Nieszczęścia wszelkiego rodzaju: klęska narodowa, klęska rodzinna (jawne potępienie jenerała przez opinię publiczną), klęska osobista, sercowa — wszystkie te bole przeorały do głębi młodzieńczą niwę umysłu i serca Krasińskiego. A równocześnie padało ziarno natchnień, plenne i czyste: *Nieboska komedya* już się zawiązuje wśród ciągłych obaw poety o dolę ludzkości — *Irydyon*, w poczwarce Adama Szaleńca: wreszcie *Agaj-Han* rozpoczęty i daleko posunięty. A tak, rzec można bez przesady najmniejszej, że duch Krasińskiego będzie przez długi lat szereg czerpał soki żywotne z natchnień, nagromadzonych w r. 1831. Stanął on wówczas na wyżynie moralnej, na którą wyniosło go cierpienie wielkie, uszlachetniające; na tej wyżynie nie długo, niestety, zdoła się utrzymać. Krewkość młodzieńcza rzuci go niebawem w wir uciech światowych; ten wir go upoi, ale go nie po-

chłonie. Uratuje go wspomnienie 1831 roku. Ku wyżynie, wówczas osiągniętej, będzie on nieraz zwracał wzrok tęskny; będzie go ona nęcić ku sobie i wołać: *Excelsior!*

Rok 1831 jest decydującym w zapatrywaniach poety historycznych i narodowych; tylko filozoficzne ulegną z czasem przeobrażeniom. W ciągu tego jednego roku dokonywa się w nim ewolucya umysłowa, estetyczna i społeczna, ewolucya, do niedawna zupełnie zagadkowa, a wyjaśniona dopiero przez listy do ojca i do Reeva.

I tem się tłumaczy, że tak długo zabawiliśmy przy r. 1831. Robota około fundamentów wydaje się niepozorna, niemiła, jednostajna. A jednak od jej dokładności i mocy zależy cała wartość i siła budynku. Tylko ten, kto z uwagą dochodził początków i prób literackich Krasińskiego, będzie miał klucz do tajników późniejszej jego twórczości. Tylko ten, kto od fundamentów bada plan architektoniczny budynku jego twórczości, zrozumie wszystkie powikłane przejścia tego ogromnego zamczyska myśli potężnej i trafi do poetyckiej świetlicy równie dobrze, jak do ustronnej kaplicy patryotycznych rozmyślań.

Rok to brzemienny w następstwa dla całej naszej poezyi, ale bodaj na nikim nie wywarł tego wpływu, co na Krasińskim. Kiedyś, gdy całokształt jego korespondencyi poufnej ujrzy światło dzienne, pokaże się dowodnie, że rok 1831 był istotnie najważniejszym, najboleśniejszym rokiem jego życia. Siew był w »gorzkości«, polewany łzami — ale plon wyrósł bujny, na pożytek pokoleń całych.

VI.

Ostatnie miesiące w Genewie. Wyjazd.

Ciche, spokojne życie genewskie nietylko sprzyjało pracy, ale do niej wprost wyzywało. To też Krasiński gromadzi wówczas olbrzymi zapas erudycyi, czyta bez wytchnienia historyków i filozofów, Ballanche'a i Micheleta, ale nie zapomina o polskich pisarzach. Babkę prosi o nadesłanie klasyków polskich i tak ojcu uzasadnia swą prośbę:

»W ostatnim liście do Babuli (listopad 1831 r.) ośmieliłem się Jej prosić, by była łaskawa przysłać mi kilka książek polskich, jako to: *Kazania Skargi*, 2 tomy in octavo czy duodecimo; *Chronikę Górnickiego*, wydania Dmochowskiego i tłómaczenie *Jerozolimy Wyzwolonej* przez Piotra Kochanowskiego, bo się lękam, bym nie zapomniał polskiego języka: nie używam go bowiem w rozmowach, li tylko nim piszę, a rzadko czytuję. Ale teraz przenoszę tę prośbę do kochanego Papy i zaklinam, by zadosyć jej uczynił, bo prawdziwie czuję, jak język moich ojców słabieje w mojej pamięci — i nie dziwota temu, gdyż rzadko jaki Polak się zdarzy, z któ-

rymbym mógł — i to niedługo — rozmawiać, a proszę o Zygmuntowskich autorów dlatego, że w nich jednych tylko zachował się klejnot polskiej mowy — reszta naszych pisarzy po większej części po francusku myślała, a po polsku pisząc, przerabiała słowami słowiańskimi tok myśli francuskich«.

Babka spełniła gorącą prośbę wnuka. W miesiąc potem miał już Z. Krasiński autorów żądanych i uradowany dziękował starościnie opinogórskiej w liście z 25 grudnia 1831 r. za Skargę, Górnickiego, Kochanowskiego. Zachwyca się nimi: »Jaką radość uczułem, kiedym przeczytał kilka kartek Skargi, w którym polszczyzna tak dostojna i wyborna, a myśli tak poważne, a proroctwa tak dobitne...

»...mnie, czytającemu owe martwe drukowane słowa, dreszcz bieży po ciele i serce w smutku tonie...

»Smutnem to nader było uczuciem, kiedy mi się zaczęło wydawać, że zapominam stopniami po polsku. Często trawiłem całe godziny na przypominaniu sobie słowa, na dąsaniu się z moją pamięcią — gniewałem się i martwiłem, ale teraz mam nadzieję, że tę puściznę świętą po przodkach zachowam nieskażoną w sobie«. — Równocześnie Jakubowski donosił starościnie opinogórskiej, że Zygmunt »czyta gorliwie Skargę«.

W grudniu przyjechał do Genewy Roman Załuski, mąż pani Amalii, i rozmowami swemi utwierdzał Krasińskiego w przekonaniu, że zanosi się na zmiany głębokie w ustroju społecznym:

»Nie wierzy on, zwyczajem XIX wieku, w przy-

szłość pełną wielkości, szczęścia, rozkoszy — w przyszłość, której warunkami są rzezie i mordy, a podstawą materyalne szczęście bez religii, bez żadnego ładu, wsparte na dumie człowieka, na dumie rozuzdanej, która spoglądając na gwiazdy w górze, zlatuje w przepaść u dołu. Zresztą, jakem wyżej powiedział, jest to człowiek styrany, który dawniej wierzył, że żyć trzeba gwoli zabawie, a dziś wierzy, że żyć trzeba gwoli smutkowi i pokucie«.

Koniec r. 1831 i początek 1832 spędził Krasiński wśród sprzecznych uczuć: między balem hucznym, a pogrzebem młodziutkiego, 16-letniego Artura Sobańskiego. Krasiński idzie za trumną rodaka i na cmentarzu nasuwają mu się myśli bardzo dziwne, a zupełnie przystające do niedalekiego autora Nieboskiej:

»Ponieśli trumnę do grobu tylko co wykopanego. Pot lał się z czoła grabarzy, bo ziemia twarda była, pracowali, jak aresztanci; kto wie, może w chwili zmęczenia przeklinali tego, co właśnie umarł: »Oh, niedość tego, że bogacz gnębi nas za życia; po jego śmierci musimy jeszcze dla niego kopać i pocić się. Niech będzie przeklętym bogacz za życia i po śmierci«. I wrzucili trumnę do grobu, jak się rzuca ciężki kamień na wroga...«

Oto próbka nastroju myśli o społeczeństwie, prawdziwej zmory, która nie opuszcza już na chwilę Krasińskiego. Wzrok i słuch ma wytężone w stronę Paryża i Francyi, bo zdaje mu się, że stamtąd przyjdzie burza.

27 stycznia 1832 donosi Reevowi, że St. Symoni-

stom zamknięto ich zbór i że rozpoczęto kroki sądowe przeciw ich »papieżom« (Bazard i Enfantin). »Mimo to twierdzę, że St. Symoniści przeminą (feront leur temps) a spełnią swe przeznaczenie: a przeznaczeniem ich jest stanąć kiedyś na czele wielkiego ruchu proletaryuszów; wtedy to, mój Henryku kochany, nadejdą dni próby, które zachwiałyby nawet wybranymi, gdyby Bóg nie przyspieszył końca świata«.

Reeve postanowił wyjechać z Anglii na czas jakiś do Francyi i Niemiec: miał się poświęcić karyerze prawniczej i należało mu wprzód nabyć dokładniejszego uniwersyteckiego wykształcenia. Już w styczniu 1832 r. zapowiedział Krasińskiemu przyjazd swój do Genewy, dokąd go, prócz przyjaciela, ciągnęły przedewszystkiem wdzięki panny Sautter. Można sobie wystawić, z jaką radością powitał Krasiński samą wiadomość o bliskiem spotkaniu się z tym, który był przez rok cały niemal połową jego duszy.

»Obaczę wreszcie człowieka, którego tyle kochałem, który był moją jedyną pociechą po stracie kochanki, jedyną pociechą po stracie rodziców, przyjaciół, ojczyzny, honoru. List twój był dla mnie stosem Volty, uczułem w sercu iskrę zachwytu i szczęścia, iskrę, co wstrząsła całą duszą moją« itd. Krasiński zawczasu cieszy się na długie, nocne rozmowy z przyjacielem, który przez rok ubiegły tyle dojrzał i duchowo urósł.

»Wśród ciszy nocnej będziemy mówić o świecie, o tym świecie, który ugina się pod naszemi stopami i nachyla się ku przepaści«.

Reeve przywoził mu także list Henryety, pisany do Reeva, ale właściwie przeznaczony dla Krasińskiego. (Podobnie Maryla pisała do Zana listy, kierowane właściwie do Mickiewicza). Ten list Henryety, przed którym zawczasu drżał biedny Krasiński, mieścił w sobie ostatnie pożegnanie rojeń miłosnych. »To ostatnia flaga, którą wywiesza statek przed zatonięciem... A ci, co na brzegu stoją, przykuwają wzrok swój i serce do statku — po chwili wszystko jest spokojne, a Ocean przelewa się nad tymi, co zginęli. Mam lat 20 dopiero, a już mi oberża ziemska zbrzydła, wzdycham do Pałacu niebieskiego...«

Reeve po drodze zatrzymał się czas jakiś w Paryżu, gdzie znalazł wstęp do domu ówczesnych znakomitości: Cousin'a, Lerminier'a, Ballanche'a, Victora Hugo i i. »Będziemy o tem wszystkiem mówić« zapowiada Krasińskiemu. Jakbyśmy chętnie podsłuchali te rozmowy dwóch niepospolitych młodzieńców, choćby tylko o następującem zdarzeniu, które wymienia Reeve w swym liście:

»Idę dziś wieczorem (14 lutego 1832) na kazanie St. Symonistów. Oni są z pewnością Antychrystem naszej epoki. Zobaczysz, jaki zrobią postęp w Anglii ci rzekomi reformiści (religionnaires). Jest to, jak mawiał ks. de Lamennais, klub pod dzwonnicą. Amatorzy klubów i dzwonnic są bardzo u nas (w Anglii) liczni«.

Chwyta ten zwrot zaraz Krasiński i odpowiada przyjacielowi: »Tak, zgadłeś, St. Symoniści są Antychrystami naszego wieku. Weź do ręki ich pisma: ziemskie sprawy rozpuszczają (rozwadniają, délayent)

w oceanie piękności, doskonałości, rozkoszy, a równocześnie dążą do hierarchii surowej, stałej; chcą zrobić niewolników, obdarzonych wszelkimi możliwymi doskonałościami. Co do Nieba — jest to wyraz, który nie popłaca u nich — i zawsze tak bywa, kiedy społeczeństwo doszło do swego kresu. Są oni przedstawicielami naszej dekadencyi, ostatnim wyrazem naszego rozwoju: na wpół przebiegli, na wpół fantastyczni, układający najszlachetniejsze, najżywsze uczucia we formułki matematyczne. Na nic się nie zda zamykać ich świątynie, nie zginą, nie dlatego, jakoby byli prawdą, ale dlatego, że są kłamstwem; a są czasem epoki, w których kłamstwo żyje swem życiem i przebywa swój rozwój. Lecz kiedy takie rzeczy nadchodzą, bądź pewnym wówczas, że świat nie ma już długich dni życia, że olbrzymia przepaść otwiera się kędyś, aby pochłonąć stare społeczeństwo, a nowe zarodki ruszają się już i są na świecie, choć niewidome, aby stworzyć nowe życie. Między despotyzmem a demokracyą któż dziś wybierze? Pytam się, czy nie gardzisz czasem tą biedną ludzkością, zakneblowaną w Rosyi, bełkocącą we Francyi i w Anglii wyrazy, których nie rozumie...

»Ogłaszam to, wierzę w to, że społeczeństwo nasze ginie, a my wszyscy przepadniemy wśród okropnych konwulsyj. Chlubię się (tą przepowiednią), bo walka, którą podejmiemy, odświeży mi serce. Ależ tak, wiem o tem, że zginę, lecz co to znaczy? Czyż śmierć nabawi mnie drżenia trwogi? Przysięgam ci, Henryku, że na tym świecie widziałem dotychczas tylko podłość. Ty masz duszę, co nie jest materyą, ale oni

wszyscy — Mikołaj czy St. Symoniści — toć to błoto, tak, błoto, mój przyjacielu!«

Reeve, opuściwszy Anglię, nie myśli już o tem, co się tam dzieje: wyrywa się nawet z Paryża, byleby czemprędzej stanąć w Genewie, a już koniecznie być na balu cudzoziemców (27 lutego), gdzie spodziewa się ujrzeć swój ideał wcielony, pannę C. Sautter. Krasiński przeciwnie: odkąd już raz na zawsze rozstał się z nadzieją ujrzenia Henryety Willan, myśli tylko o sprawie społecznej, o antagonizmach i walce klas; wszędzie ją widzi, wszędzie się jej domyśla, zewsząd odgłosów jej nadsłuchuje.

Cholera srożyła się wtedy w Londynie (20 lutego 1832). Krasiński pisze do Reeva: »Lud powie: Jakto! bogaczów nie tyle umiera, co nas, hołyszów. Patrzcie-no! Odłączają się od innych, mają lekarzy i pomoc. Ah! jeśli mamy umrzeć jutro, zemścijmy się (przynajmniej) dzisiaj. Do walki! Naprzód z pikami i siekierami! Tłuczcie okienice domów! Niech dywany lecą na strzępy i sieją na ulicach kwiaty, jak w dzień świąteczny. Nasze dzieci i żony wykrzywiają się w konwulsyach. Oddają ducha w nędzy i na tapczanie. Niechże resztki bogaczów osłonią je w ostatniej godzinie... Naprzód! naprzód! Cholera nas niszczy — zabijajmy i masakrujmy — potem umrzemy!«

»Brawo! przyjaciele moi — naprzód! Gdybyście byli chrześcijanami, umarlibyście w milczeniu... Ale kto tu będzie mówił o krzyżu. Sztandarem Ludu to głowa, drżąca na pice wśród śpiewów. Palcie i niszczcie! Niech każdy niesie swoją dawkę zbrodni ku

nieśmiertelności: szlachta, stan średni, biedacy. A biedacy nie mają szczęścia, bo Jezus Chrystus wybrał ich na swój lud, ale oni nie umieją czekać na króla swego. Za kawałek mięsa, za puhar wina, za sztukę złota zrzekną się dziedzictwa Niebios! A w ów dzień szatan zaciera ręce z radości i patrzy na ziemię, jak dziecię na zabawkę i mówi sobie: »Stłukę ją«.

Jest to już bardzo wyraźna i bardzo piękna przygrywka do Nieboskiej. Mamy tu i silne odczucie nędzy proletaryatu i głębokie współczucie dla ciemnoty gminu, który »czekać nie umie« i zbawienie duszy za doczesne zaspokojenie potrzeb swych cielesnych sprzedaje. Coraz silniejszem tętnem bije zawiązek wielkiego poematu.

Urywek przytoczony znajduje się w liście, pisanym na dni kilka przed przybyciem Reeva do Genewy (27 lutego). Odtąd urywa się na kilka miesięcy korespondencya przyjaciół, którzy z całym zapałem młodości wznowili zapewne zeszłoroczne chwile wspólnego pobytu. Natomiast rozpoczynają się wtedy właśnie listy do K. Gaszyńskiego, które wypełniają wybornie brak korespondencyi z Reevem. (Od 9 marca 1832 do 3 sierpnia t. r.). Charakterystyczną cechą tych listów jest ich lakoniczność, dająca się wytłómaczyć silnem wówczas cierpieniem oczu, jak niemniej pewien nastrój świadomej siebie wyższości umysłowej (ciągłe zachęty, aby Gaszyński uczył się po angielsku; por. zwłaszcza list mentorski z d. 22 marca 1832 r. [str. 11—12]).

Krótkie wyjątki z listów Reeva do matki, pomie-

szczone w jego »Życiu i korespondencyi« (Londyn, 1898) dorzucają kilka szczegółów, które nam zresztą są znane z listów Krasińskiego do ojca.

Reeve zastał Krasińskiego chorego na oczy. Lekarz sądził, że nie była to choroba organiczna, ale poprostu nadmierne utrudzenie wzroku wśród szalonej pracy r. 1831. Lekarz zakazał mu czytać i pisać, natomiast wiele chodzić, bywać w towarzystwach. Było to prawdziwą męką dla Krasińskiego, który salonowego próżniactwa nie cierpiał.

W pierwszych dniach marca nadszedł list jenerała, wzywający syna z powrotem do kraju. Wiadomość była niespodziewana i zasmuciła przyjaciół.

Reeve notuje w liście do matki: »Właśnie wśród wesołości naszej i radości ze spotkania wspólnego otrzymaliśmy wiadomości najgorsze dla naszego szczęścia: odwołanie Zygmunta do Polski. Dawno tego oczekiwałem, albo czegoś równie złego. Wiecznie pracująca kosa niszczyciela-cara nie może zostawić i nie zostawi też ani jednego kwiatu, by zakwitł po za jej obrębem, więc wraca do Polski mój przyjaciel. Bóg tylko wie, co się zdarzyć może. Spodziewamy się, że unikając Warszawy, będzie mógł dość spokojnie spędzić czas swój, aż mu pozwolą znowu wyjechać. 15 sierpnia jest terminem jego powrotu do domu ojców: jest to święto Napoleona, które jenerał Krasiński zawsze obchodzi bardzo uroczyście. Jesteśmy teraz w marcu i nie wiemy, co w pięciu miesiącach zdarzyć się może. Ale, tymczasem, pierwsza część projektu obchodzi mnie szczególniej. Zygmunt i jego szambelan mają opuścić Ge-

newę w końcu kwietnia i udać się do Turynu. Następnie przez Milan i Weronę do Wenecyi, po przez Adryatyk do Tryestu i na Klagenfurt do Wiednia... Proponują mi, abym odbył z nimi część podróży, a ponieważ celem moim bezpośrednim jest Monachium, rozstałbym się z nimi albo w Weronie, aby na Trydent i Innsbruck dostać się dalej — albo też jechać razem do Klagenfurtu i potem po drodze obejrzeć Salzburg«.

Matka Reeva zgodziła się na ten projekt. Pożegnanie zaś Genewy nie było już dla Reeva tak bolesne, odkąd się wyrzec musiał wszelkiej nadziei poślubienia panny Sautter, która w kwietniu zaręczyła się z p. Diego de Combes, a w kilka tygodni potem była już panią de Combes.

Uczucia Krasińskiego na wiadomość, że ma opuścić Genewę i wrócić do Polski były podzielone: tęsknił za krajem od lat kilku i rwał się do stron rodzinnych, a równocześnie drżał na myśl o tem, co teraz w Polsce się dzieje:

»Serce skacze mi z radości — pisze d. 3 marca 1832 r. — kiedy obraz Opinogóry i ojca, przed którym uklęknę, stawia się mojej myśli. Dzień 15 augusta jest wielką pamiątką. W Opinogórze odpust — grób matki mojej, błogosławieństwo ojca: to wszystko mięsza się w mej duszy, przejmuje ją gorączką, — ale tu też koniec wszelkiego uniesienia i tkliwego uczucia. Za wrotami Opinogóry wesele to nasze znika. Dreszcz mnie porywa na myśl odwiedzenia Warszawy i Polski, tej drogiej, nieszczęśliwej ofiary... Oni dumni przechadzają się po ziemi naszych

ojców... Na tę myśl, czuję w sobie gniew święty Mojżesza, kiedy grzebał w piasku pustyni ciało Egipcyanina — ale mniejsza o to: za chwilę jedną u stóp ojca dałbym wszystko; zniosę te widoki, pełne okropności, tę dumę, naigrawającą się z najświętszych uczuć.

O Boże, Boże! co też z Polską się stało!«

Z większą jeszcze otwartością, z silniejszą rozpaczą pisał do Gaszyńskiego (24 kwietnia 1832):

»Rozstajem się, Konstanty mój! Ja idę popracować około wspólnego dzieła, nie na otworzystych polach, gdzie chwała czeka, ale pośród ciemności, gdzie kajdany czekają. Bądź co bądź, świętej dokonam powinności... Ja przepadnę bez chwały, bez znaczenia, ale ty pamiętaj, żem był dobrym Polakiem, pamiętaj, żem nadewszystko Polskę umiłował, że proszę codzień Boga, by mi dozwolił za nią zginąć, czy w boju, czy na rusztowaniu, byleby za nią: to będzie dniem najpiękniejszym mego życia...«

Ojciec zapytywał zapewne syna, czemu się poświęcić zamierza, czem chce być? Zygmunt Krasiński z prostotą, pokorą niemal wyznaje, że w dzisiejszych stosunkach trudno mu wybrać zawód jakikolwiek; ale przyszłości się nie wyrzeka.

»Co się zaś tycze mojego zawodu nadal, odkryć go nie mogę. Cóż teraz jest do robienia? — nic, tylko cierpieć i ból ofiarować Bogu. Edukacya moja nie dopełniona, czuję to jawnie i codzień; okoliczności, które wpływały na moją podróż, odjęły odemnie większą część korzyści, którebym mógł był z niej odnieść. Czuję się na sile bycia czem inszem, niż

jestem dziś. To od Boga zależy, czy tem będę, lub nie.

»Daruj, drogi Ojcze, że tak mało piszę, ale oczy mnie bardzo bolą — od miesiąca przeszło nic robić nie mogę«.

W ciągu kwietnia pogorszyła się choroba oczu; ledwie list mógł napisać. Zresztą nie wiedział, jak czas zabić. »Nudami schodzą mi dni; nic robić nie mogę, ni czytać, ni pisać. Staram się obserwować ludzi — jakże często się mylę!« W tych warunkach pobyt dłuższy w Genewie nie przedstawiał już żadnego uroku dla Krasińskiego.

Czwartego maja 1832 r. duży powóz wyjeżdżał z Genewy do Turynu. Siedzieli w nim: Roman Załuski, Zygmunt Krasiński, Henryk Reeve, Jakubowski i Lintner. Podróż nie zapowiadała się zbyt wesoło. Krasiński cierpiał na oczy i nosić musiał duże, sine okulary, które go całkiem szpeciły. Reeve rozstawał się z Genewą i z rojeniami pierwszej swej miłości nie bez żalu, ale ze stałością i zimną krwią angielską. »Pierwszy mój akt się skończył — pisał do matki — a ja nie jestem wielbicielem jedności dramatycznej. Najbliższy akt niech się rozpocznie, gdzie chce, skoro musi się gdzieś rozpocząć... Młoda głowa ma całą garderobę, w którą przystraja kolejno wszystkie następujące po sobie Chloy, Laury i Sofonisby... Ale, ostatecznie są na świecie poważniejsze od nich rzeczy. My wszyscy musimy opuścić nasze wyspy Kalipsy i zmierzyć się z niebezpieczeństwami burzliwego archipelagu; droga do naszej Itaki jest niebezpieczna i długa...«

Jeśli tak na przyszłość swą zapatrywał się młody Anglik, któremu życie dotychczas gładko się toczyło, cóż dopiero mógł myśleć Zygmunt Krasiński! Wyjechał przed trzema laty z Polski, zmuszony do opuszczenia Warszawy zdarzeniem najboleśniejszem dla duszy młodego Polaka; wracał do ojczyzny okrwawionej, powalonej w gruzy i zgliszcza, pozbawionej samego kwiatu społeczeństwa... On, co wzdychał za Polską i przed rokiem rwał się ku niej, teraz drżał na samą myśl, że na ulicach Warszawy roje obcego żołdactwa natrafi, na obliczach rodaków przygnębienie i rozpacz wyczyta. Lata nauki cichej, spokojnej już się bezpowrotnie skończyły. Drugi rok pobytu w Genewie, rok moralnego cierpienia, był stokroć od pierwszego ważniejszym. Dojrzał w nim rychło człowiek-myśliciel; wytrzymał zwycięsko brzemię tylu zagadnień społecznych, narodowych i osobistych, które mu los nieubłagany odrazu i jednym niemal zamachem na młodzieńcze ramiona zarzucił.

Odtąd nieść on będzie cierpliwie swe brzemię. Pochyli mu ono ku ziemi wątłe ciało — ale nie ugnie się pod niem mocny duch. Owszem, duch ten wytęży swe siły, by w nieustannym znoju walczyć do ostatka o zwycięstwo. Będzie też mógł kiedyś śmiało powiedzieć:

Bonum certamen certavi, ... fidem servavi...

Młodość głębokimi ciosami kuła potężne kształty jego ducha.

OBJAŚNIENIA I UZUPEŁNIENIA.

(str. 4). Pamiętniki J. U. Niemcewicza (1809—1820) Tom I. Poznań 1871, str. 262—3.

(str. 5). tamże, 273. Było to wynikiem dawno powziętej polityki: »Jego Ces. Mość nigdy nie zamyślał o odnowieniu Rzpltej«. Z mowy francuskiego ministra spraw zagranicznych. Askenazy, Dwa stulecia, wyd. drugie, 1903, str. 288. Podobnie mówi Napoleon w lecie 1810 r. do posła rosyjskiego Kurakina: »Ja nie chcę odnowienia Rzpltej« (str. 292), »nie chciałem i nie chcę, bo to nie leży w moich widokach« (str. 301)

(str. 6). Niemcewicz, l. c. 297.

(str. 8). Listy Litewskie (Niemcewicza).

z Warszawy 29 czerwca 1812. Te *Listy* wychodziły arkuszami. Na końcu I-go arkusza (str. 16, u dołu) czytamy: »Te Listy daléy ciągnąć się będą. — Cena arkusza gr. 15«. Jest ogółem listów 24. Przedostatni datowany 15 sierpnia r. 1812. Zapewne smutne wiadomości jesienne z Moskwy przerwały ochotę do pisania dalszych listów. Druk urywa się na str. 191 wielkiemi pochwałami dla »Bohatyra, który w mądrości, odwadze i czynach równego nie miał i mieć nie będzie. Niech wdzięczność nasza i potomków naszych wyrównywa dobrodziejstwom i sławie Jego«.

(str. 8). z pod Wilna, 29 czerwca 1812 r. »nous serons Polonais!«

(str. 8). tamże, 7 lipca 1812 r.

(str. 8). jest on tu echem nadziei samego Napoleona, łudzącego się do ostatniej chwili.

(str. 10). Listy do żony: ze Wschowy, 11 sierpnia 1814: »Il semble que notre marche est une fête nationale« — z Wrześni, 26 sierpnia, — z Kutna, 1 września, w którym zaprasza jenerałową na 6 września do Łowicza.

(str. 11). Henryk Schmitt. Dzieje porozbiorowe Polski (1795—1832). Lwów, 1868, str. 341 i nn.

(str. 11). »La présence de Mgr le grand duc dont la conduite est faite pour ôter tout espoir sur le sort futur de ce pays et a rendu impraticables plusieurs reformes et amendements, que le gouvernement désiderait mais qu'il n'a pu oser entreprendre...«

(str. 12). Mémoires du Prince Adam Czartoryski. Paris, Plon, Nourrit et Cie, 1887, str. 359—362.

(str. 14). Żychlińskiego »Złota Księga«, tom XII, 159—238.

(str. 14). Ze wspomnień jenerała W. Krasińskiego, spisanych dla syna w Petersburgu 6 sierpnia 1831 r.

(str. 15). Tamże. — Upadają wobec tego fantazye Falkowskiego (Żychliński, l. c. 226).

(str. 17). Tu się urywają wspomnienia jenerała.

(str. 17). Przesadny, a w wielu szczegółach całkiem fałszywy wizerunek starościny Opinogórskiej skreślił Dr Antoni J. (Rolle) p. t. »Babka Poety« (Opowiad. Histor. Serya VII. Lwów, 1891 str. 233—282). Stosunek jej do syna i do wnuka był całkiem inny w rzeczywistości. Nigdy starościna Opinogórska nie była ani »ze wszechmiar wyjątkową« (!) ani »tak bardzo nieszczęśliwą kobietą«. Bardzo natomiast trafna i charakterystyczna jest tam scena starania się Jana Krasińskiego o rękę »podczaszanki koronnej« (l. c. 243—249). Chciwość i skąpstwo podczaszego odziedziczyła córka i nękała niemi potem syna jedynego, a nielubianego! Ostatnie karty opowiadania Rollego (275—277) o dziwactwach, ba, »furyach« starościny Opinogórskiej przeczą poprzedniemu tonowi panegirycznemu i dają w końcu wizerunek mętny i bałamutny. Liczne też są błędy w datach familijnych.

(str. 18). St. Tarnowski, Z. Krasiński, 1893, str. 32.

(str. 19). St. Tarnowski l. c. 34.

(str. 19). Pamiętniki Józefa hr Krasińskiego (1790—1831), skrócone przez Dra Fr. Reuttowicza. Poznań, 1877, str. 46, 49.

(str. 20). Wincenty Krasiński wstąpił do wojska francuskiego w końcu roku 1806 jako pułkownik w sztabie Napoleona. W kwietniu 1807 r. otrzymał dowództwo IV konnego pułku

wojsk Księstwa Warszawskiego, w kwietniu t. r. mianowany szefem lekkokonnego pułku gwardyi (Chevaux legers de la Garde). Awansuje na generała brygady (Brigadier) 1811 r., na jenerał-lejtnanta (Divisionnaire) 1813 r. Jako taki obejmuje naczelne dowództwo wojsk polskich, wracających do Polski w sierpniu 1814. Kawalerem legii honor. mianowany w roku 1807, oficerem 1809, komandorem w r. 1811. Raniony w bitwie pod Eylau (Iłów), 1808 r. w Madrycie, 1809 pod Wagram.

(str. 20). Prócz syna mieli córeczkę, zmarłą zaraz po urodzeniu 3 kwietnia 1804 r. w Warszawie.

(str. 21). A. E. Koźmian, Z. Kr. listy... poprzedzone wstępnem słowem i życiorysem. Poznań, 1859, str. 14—15.

(str. 21). List z Możajska 11 września 1812 r., adresowany do Paryża, Boulevard Montmartre, 10.

(str. 22). List do żony z d. 23 sierpnia 1812 r. ze Smoleńska.

(str. 24). W tym to roku wychodzą jego prace z druku: a) *Aperçu sur les Juifs de Pologne*... (Paris, 1818). b) *Odpowiedź na uwagi* (w sprawie »Aperçu«. Warszawa, 1818. c) Rzut oka na wieszczów Prowancyi, zwanych Trubadurami (tamże, 1818 r.). d) Mowa miana przy odebraniu laski marszałkowskiej (d. 27 marca 1818 r.). e) Mowa miana przy zagajeniu pierwszej sesyi sejmowej (27 marca 1818 r.). f) Mowy w izbie poselskiej r. 1818.

(str. 24). Ob. np. »Rzut oka na wieszczów Prowancyi...«, gdzie mamy sporo gallicyzmów i konstrukcyj francuskich. Na karb podolskiej gwary położyłbym takie zwroty: »*byli* śpiewaki godne«, »trubadury *przyczynili się*« i w. i.

(str. 24). Ob. ważne i pięknie wydane dzieło Aleksandra Kraushara: Towarzystwo król. Przyj. Nauk (1800—1832). Monografia historyczna: Księga III. (Tom V). 1820—1824. Kraków, 1904. Por. str. 62, 115, 201. (»W. hr. Kr. oświadczył gotowość ofiarowania Towarzystwu wszystkich oryginalnych bull papieskich, przez siebie posiadanych, a ściągających się do rzeczy polskich«), str. 208, 227, 229, 290, 322.

(str. 25). Kaj. Koźmian, Pamiętniki III, 315.

(str. 28). Wspomnienie pozgonne. Kuryer Warsz. 1822, nr. 88.

(str. 35). Kuryer Warsz. Nr. 88 r. 1822.

(str. 35). Tamże w Nrze 92 z d. 18 kwietnia czytamy: »Na

wielkiem żałobnem nabożeństwie, odbytem onegdaj w kościele OO. Kapucynów za duszę ś. p. Maryi z Xżąt Radziwiłłów Hrab. *Krasińskiej* tyle się znajdowało osób oddających ostatni hołd i posługę zmarłej, iż kościół objąć ich nie zdołał. Celebrował J. W. Arcybiskup Prymas *Hołowczyc*. Kazanie miał J. X. *Falkowski*, Rektor Instytutu Głuchoniemych, a Kondukt Rzymski śpiewali JJWW. Senator Biskup *Czyżewski*, Biskupi Sufragani *Ostrowski* i *Manugiewicz* tudzież Prałat *Węgierski*. Liczną orkiestrą dyrygował kapelmistrz królewski *Kurpiński*, która grała Requiem *Wintera*.

(str. 36). St. Tarnowski stara się inaczej wyjaśnić, dlaczego mały Zygmunt był smutny po śmierci matki: »Do smutku — mówi — mogła się przyczynić, jeżeli go nie poczęła, tęsknota za matką, uczucie osierocenia i samotności, w jakich po jej śmierci znalazł się w jej dziedzicznym, wielkim pałacu. Współcześni mówią, że jenerał łatwo i lekko znosił swoje wdowieństwo. Synek zaś może czuł, że dłużej od ojca pamięta, że żałuje więcej...« (l. c. 35).

(str. 37). *Reiestr Xiążek Zygmuntka, spisany d. 18 lutego 1820.*

Wybór Pisarzów Polskich Edycya Mostowskiego Tomów	26
Historyia Polska Bandkiego	2
Dzieiopis dla Młodzieży przekład z francuskiego z Textem w Wrocławi 1814	1
Jeografia Steyna w Wrocławiu 1819	1
Gramatyka Kopczyńskiego na klas: 1	1
Kazimierz W. Drama JNiemcewicza	1
Pielgrzym w Dobromilu 1819	1
Nowy Elementarz Polski z Obrazkami	1
Gramatyka Francuzka Waillego	1
Początki Mitologii w Wrocławiu 1810	1
Arytmetyka Jozefa Czecha	1
Abecadło dla Młodzieży w Warszawie	1
Świat malowany Wrocław 1805	1
Le Voyageur de la Jeunesse p. Pierre Blanchard Paris 1812	6
Etrennes à mon fils Paris 1815	2
Le Nouveau Robinson 1799 Hamb:.	2

Petit Robinson ou les Aventures de Robinson Crusoé Paris 1816 1
Märchenbuch für die Jugend 1
Voyages d'Antenor en Gréce et en Asie Paris 1811 . . . 2
Les nouvelles Nouvelles de l'Enfance Paris 1815 1
La Découverte de l'Amerique par Campe avec Figures — Suisse 1784 3
Vie d'Illustres Conquérans 1802 . . . . . 2 tylko
Méthode pour étudier la langue Latine p. Guerrolt Paris 1806 2
Le Plutarque de la Jeunesse Paris 1818 4
Histoires édifiantes Paris 1757 1
Oeuvres complètes de Berquin 1802 Paris 28
Le Fablier du premier âge Paris 1807 1
Entretiens, drames et Contes moraux p. Mme de la Fite 1809. Paris 4
Les Soupers de Famille Paris 1817 4
Le Petit Portefeuille rétrouvé 1818 2
Magdeleine ou l'Amour filial Paris 2
les Enfans voyageurs Paris 1818 4
les Conversations maternelles Paris 1818 2
la Fée Gratieuse Paris 1814 1
la Fée Bienfaisante 1
les Veillées du Chateau 1816 Paris 3
Coutumes Gauloises Paris 1819 1
le Nouveau Buffon de la Jeunesse Paris 1817 4
Etrennes aux Jeunes Gens 1818 2
Fables de Lafontaine 1757 1
Alphabet des Enfans Religieux 1
Nouvelle Grammaire Allemande de Gottschied et Junker 1810 1
Bible de l'Enfance 16° 1
Histoire Greque 1
Histoire Romaine 1
Histoire des quadrupedes 1
Histoire des Oiseaux 1
Costumes des différentes Nations 1
Cent pensées d'une jeune Anglaise 1

Tableau des Vertus du Peuple . . . . . 2gi tylko
les Enfans de la Providence 4
Contes à mes fils p. Kotzebue . . . . . 1 tylko
le Jeune dessinateur 1
Petite école des arts et métiers 1816 4
le Tour du Monde 1814 6
Les Enfans de la Providence 4
Le Monde en miniature 1
Delassemens de l'Enfance 6v
Contes de Mme de Genlis et de Mme Beaufort d'Hautpoul 2v
Cabinet du jeune Naturaliste 6v
Calendrier de la jeunesse 1v
total 172 volumes.

(Spis ten zawdzięczam uprzejmości p. Zygmunta Wolskiego).

(str. 37). Kuryer Warsz. 2 listopada 1822 r. Wiadomość tę zawdzięczam p. Ferd. Hösickowi.

(str. 39). Kajety greckie Z. Krasińskiego dochowały się w *Tece*, zawierającej: 1) Rozbiory gramatyczne z łaciny, preparacye, substantiva, verba. 2) Rozbiory gramatyczne z *Iliady*, preparacye, tłumaczenia z *greckiego na łacinę*, Προγυμνασμα Luciani Samosatensis (preparacya); przykłady ze składni greckiej przyimkowej (παρά, περί, πρός, ὑπέρ, ὑπο itd.). W preparacyach do Iliady zwraca uwagę notowanie dokładne wyrazów etymologicznie spokrewnionych, lub pochodnych; np. νόος, mens, νοέω, cogito, νόημα, cogitatum, διάνοια, mens, ὁμόνοια, concordia itd. Albo pod »ἐπιμνησθεὶς, recordatus. Part. aor. a ἐπιμνάομαι, recordor. Simplicissima radix est μνάω. Etym. a μένος, mens; μνήμη memoria, μνημοσύνη, nomen Deae, μνήμων, memor, ἀναμιμνήσκομαι idem q. μνάομαι» itp., itp.

Gramatyczny rozbiór *Iliady* (A, Z, N) zawiera się w kilku zeszytach bardzo starannie zapisanych. — Mamy wreszcie „*Themata Greckie*". Dwa zeszyty (kart 14 + 12). Ćwiczenia greckie, tłómaczenia, zwroty syntaktyczne itp.

(str. 40. *krewnej jenerała, z innej linii*...) Wyrażenie nieścisłe: linia była ta sama i bardzo bliska, bo mowa tu o Joannie, stryjecznej siostrze jenerała. (Żychl. XII, 225).

(str. 40 *(kapliczkę)*. Dziś na jej miejscu duży kościół się

wznosi, stawiany wedle planów jenerała zaraz po jego śmierci; w podziemiu kościoła mieszczą się w dużej krypcie trumny ze zwłokami jenerała i jego potomków.

(str. 41). A. E. Koźmian l. c. 20.

(str. 48). Linde przechodził w lojalności dla rządu wszelkie granice; sympatye jego rosyjskie mierziły nawet Rosyan. W. Krasiński dał raz publicznie głośny i silny wyraz swemu oburzeniu na Lindego, w tegoż obecności. Stąd niechęć rektora Liceum do ojca Zygmunta Krasińskiego.

(str. 49). Chiarini Ludwik, Włoch, profesor hist. kościelnej i języków wschodnich w uniw. warszawskim, członek warsz. Tow. Przyj. Nauk, autor słownika hebrajskiego i gramatyki hebrajskiej po łacinie. X. Chiarini przywiązał się serdecznie do jenerała i Zygmunta. Kiedy z niewiadomych nam powodów utracił stanowisko w uniwersytecie, napisał do jenerała krótko: »Mon Général, on m'a déjà suspendu la pension. L. C.« Na tym samym liście odpisał mu jenerał: »Vous la trouverez chez moi — et le mal qu'on peut reparer n'est pas un mal«.

(str. 49). Essai historique sur la Législation Polonaise... par Joachim Lelewel... Paris, 1830. Na stronie poprzedzającej tytuł wydrukowano: *Cet essai historique publié à Warsovie (!) en 1828*) en langue polonaise, a été abrégé et traduit et français sous les yeux de l'auteur par M. Sigismond Krasinski. Le manuscrit français a été communiqué en 1830, a Paris, par M. Jean Przygodzki,... à M. Léonard Chodzko qui l'a inséré dans le second volume de la nouvelle édition du Tableau de la Pologne ancienne et moderne, publié d'abord en 1807 en un volume par Malte-Brun.* — Drugie wydanie: »Tableau de la Pologne...« Bruxelles, 1831.

(str. 51. *Uczy go prywatnie X. Chiarini).* Dochowały się w zbiorach prywatnych wnuka poety własnoręczne notaty z nauki języka arabskiego. *„Grammaticae arabicae Compendium“*. Dwa zeszyty własnoręcznie przez Z. Kr. zapisane. Zeszyt pierwszy, kart 12, zaczyna się: »Caput Imum. De Litteris«. Kończy się: »Activum defectivi. Praeteritum. — Zeszyt

*) Pierwszy druk w Rocznikach Warsz. Tow. Przyj. Nauk 1827 r.

drugi, kart 12. Zaczyna się: »*Alkoranus*. Caput Aperiens«. Tekst arabski kopiowany przez Z. Kr., obok przekład jego na łacinę (pagina fracta). Koniec: »et non Deus iis negligentia ex eo quod facitis. § 146«.

Mamy także osobny obwolut z napisem: „*Antiquitates orientales cum graecis romanisque compositae*"; zawiera: cztery zeszyty, w końcu luźne kartki, ogółem kart (16 + 12 - 12 + 22 + 13) 75, papieru różnego formatu. Na czele pierwszego zeszytu ręką Z. Kr. napisane: *Chiarini „Antiquitates"*.

Mamy tam: Praeliminaria. — Fontes Archeologiae itd. Ogółem w 415 paragrafach, po łacinie wyłożone przez Chiariniego, a przez Z. Kr. spisane własnoręcznie starożytności biblijne.

(str. 52). Wł. Korotyński. »Pilność i obyczajność Z. Kr.« Tyg. Illustr. 1893 r. t. II, str. 206.

(str. 54). Dr medycyny Girardot, lekarz pułkowy, utracił w kampanii 1814 r. nogę i mianowany za to przez Napoleona baronem cesarstwa, przeniósł się potem do Warszawy i żył na łaskawym chlebie jenerała Krasińskiego.

(str. 54). Cieszkowskim, słynnym później autorem »Ojcze Nasz'a«.

(str. 54). Tom IV, 1—21. — O wcześniejszych jeszcze próbach literackich wspomina A. E. Koźmian, które sięgałyby licealnych czasów. »W czternastym roku życia już marzył o sławie pisarskiej, już ta się przed nim w całym uroku młodą wyobraźnią wywołanym przedstawiała. Niebawem uchwycił za pióro i w chwilach wolnych od nauki skreślił powieść, której tytułu nie pomnę, a którą tajemnie wydrukować na bibule dla oszczędzenia kosztów rozkazawszy, z uczuciem tryumfalnem, jako ofiarę synowską ojcu złożył. Ojciec lękając się, aby tego rodzaju zajęcia nie odrywały go od użytecznej i obowiązkowej pracy, a przytem, aby wysilenia młodzieńczego umysłu nie wpłynęły szkodliwie na zdrowie młodzieńca, przyjął dar, lecz dalszego zabronił autorstwa, a nauczycielom czuwać zalecił, aby tego zakazu uczeń nie przełamywał« (l. c. 27).

(str. 55). Tarnowski, 31. — Siemieński, Obóz klasyków (Portr. Liter. III. Poznań 1868).

(str. 56). Siemieński l. c. 311—312. Por. A. E. Koźmian l. c.

str. 20 — 22. Charakterystyka tych zebrań zwięzła i piękna u Kaj. Koźmiana III, 334.

(str. 57). »Staropolska gościnność otworem drzwi trzymająca, a która się czasem w *nieład domowy* przemieniała« (A. E. Koźmian l. c. 20).

(str. 60). Tretiak, Z. K. w pierwszej dobie młodości, Przew. Nauk. Lit. 1884, str. 873.

(str. 61). Frayssinous, biskup francuski, napisał głośne wówczas dzieło: *Défense du Christianisme* (1825), przetłumaczone na j. polski przez M. W. Kosickiego w 4 tomach, Warszawa, 1827. Drugie wydanie w r. 1828.

(str. 61). *Histoire de Napoléon et de la grande armée pendant 1812* (Paris, od 1824 r.).

(str. 62). Wyrok Rady Uniwersytetu (Pismo Kuratora Jeneralnego Instytutów naukowych do Komisyi Wyzn. i Ośw. za Nr. 680 z 3 grudnia 1828 r.). Zawdzięczam go uprzejmości Dra Józefa Bielińskiego, któremu za kopię tego i dalszych uniwersyteckich dokumentów serdeczne składam podziękowanie.

(str. 65). »w nieszczęśliwej i niedość jasnej redakcyi« mówi Kaj. Koźmian, III, 52.

(str. 65). Do całej tej epoki, nie dość jeszcze po dziśdzień rozjaśnionej, najlepiej wprowadza znakomity (niedokończony, niestety!) szkic X. Waleryana Kalinki: Królestwo Kongresowe i Związki tajne. (Przegl. Polski, 1895 r. Kwiecień-czerwiec).

(str. 66). Zapowiada i charakteryzuje dobrze ten stan Europy książka nieznanego autora p. t.: *„Des sociétés secrètes en Allemagne et en d'autres contrées; de la secte des Illuminés, du Tribunal secret, de l'assassinat de Kotzebue, etc. Paris 1819.* [str. 259].

(str. 69). H. Schmitt l. c. str. 393.

(str. 72). Kaj. Koźmian l. c. III, 317—320. Inaczej podaje Józej Krasiński.

(str. 74). Kalinka l. c. Maj, 1895, str. 303—305.

(str. 76). A. E. Koźmian, Listy o »Stef. Czarn.« str. 28.

(str. 76). A. E. Koźmian, Listy, 29.

(str. 77). Tenże, Pamięt. II, 127.

(str. 77 *Bandke*). Inaczej przedstawia fakt L. Orpiszewski

(Kilka wspomnień, Rocznik Tow. Hist. Lit. Paryż 1867, str. 288): »Bandke przyszedł i otworzył rękopis do czytania, gdyż było przytomnych 3 uczniów; jeden wyszedł — dziekan skorzystał z litery prawa i nie zaczął lekcyi«.

(str. 81 *relegacyą*). Akty Uniwersyteckie w tej sprawie. Nie dają one opisu zajścia na schodach, przedstawionego w »Niedokończonym poemacie«, z łatwo zrozumiałego powodu. Z. Krasiński nie wystąpił ze skargą, a władzy uniwersyteckiej zależało bardzo na tem, aby ze względu na jen. Krasińskiego sprawa cała jak najprędzej i najłagodniej załatwioną została.

Sprawa 12 marca 1829 r.

Rektor Królewskiego Uniwersytetu Do Jaśnie Wielmożnego Ministra Prezydującego w Kom. Rz. Wyz. Rel. i Ośw. Publ.

Wiadomo jest Jaśnie Wielmożnemu Ministrowi, iż przygotowania do pogrzebu i sam pogrzeb ś. p. Senatora wojewody Bielińskiego wzruszyły znaczną część ludności warszawskiej i sprawiły na niej pewną senzacyę. Uczniowie Uniwersytetu, skłonni przez wiek swój do przejmowania zapału, podzielili go z publicznością i nie utrzymali się w obrębach przyzwoitych.

Lubo prelekcye umyślnie dla ich zatrudnienia nie były dyspensowanemi, oni przecież sami się od nich w większej części niestawieniem się usunęli, dnia 12 bm. po południu dla Exportacyi, a dnia 13 przed południem dla żałobnego nabożeństwa. Przed ruszeniem z miejsca orszaku pogrzebowego, jeden z uczniów, znany z pomieszanego na pół rozumu (Zenon Świderski — *przepisywacza nawias*, [dla czego z bióra Komisyi Rządowej niedawno jako suplikant oddalonym został), poważył się bez wiedzy Zwierzchności wystąpić z przemową. W czasie pochodu orszaku uczniowie uformowali ścisłą kolumnę, która tuż po senatorach zajmowała miejsce, a która na wstępie do kościoła, ośmielona zachęceniem i pomocą innych osób, przełamała straż policyjną. Po wniesieniu ciała do grobu, za przykładem osób starszych, część uczniów uniwersyteckich podzielała także między siebie zdjęte z trumny ozdoby. — Dnia 14 licznie zebrani, jak zwykle, na prelekcyą prof. Osińskiego, krzyczeli tłumnie na ucznia Zygmunta Krasińskiego, mieniąc go niegodnym swojej kompanii. Uczeń ten nie znajdował się

z nimi na pogrzebie, lecz prócz tego, krzyczący mieli inne powody niechęci ku niemu. Rektor, zapobiegając dalszym zdrożnościom, ukarał najprzód aresztem Zenona Świderskiego, który się poważył wystąpić z mową w pośród dygnitarzów krajowych, — i przedsięwziął środki z władzą dozorczą na wyśledzenie tych, którzy w czasie tłumnych wykroczeń mogli być winniejszymi od reszty. Sam zaś w towarzystwie Sekretarza Uniwersytetu (Brodziński) zgromadził wszystkich uczniów i gromiąc ich wykroczenia w szczegółach, miał do nich przemowę, w treści: że niepotrzebnie opuścili kilka prelekcyi; że obchód pogrzebowy powinien być aktem religijnym, który wymaga skromności i nie dozwala żadnych uniesień rażących. Że nie mając na czele swojem Zwierzchności, nie byli upoważnieni występować in corpore; że okazywanie czci dla zmarłych jest czynem dobrowolnym, za opuszczenie którego nie godzi się prześladować drugich, tembardziej, jeśli im ich obowiązek dopełnić tej posługi nie dozwalał; że okazane w powyższych postępkach bez wiedzy Zwierzchności porozumienia się są nadewszystko nagannemi itd. Nadto przypominał Rektor uczniom dawane poprzednio z innych okoliczności przestrogi: Że nie do nich należy sądzić o osobach wyższego w kraju znaczenia; że nie oni mogą roztrząsać podzielone opinie, w rzeczach zwłaszcza politycznych i rządowych; że w ich wieku i powołaniu obecnem, jeden tylko przedmiot zajmować ich powinien, a ten jest usposobienie się umysłowe i moralne do przyszłych w czasie posług krajowych; że nakoniec, jeśli nie chcą przestróg i napomnień, nie zostawiają zwierzchności, tylko smutną konieczność powściągania ich karami. Wkrótce potem JWMinister wezwał Rektora i Dziekanów na konferencyą, w której zalecił, aby wszyscy uczący wspólnemi siłami wpajali w młodzież uniwersytecką ducha spokojności i umiarkowania, a nadewszystko nie mieszania się do rzeczy obcych dla siebie, tudzież uszanowania i wdzięczności dla Rządu.

Rektor więc zebrał natychmiast wszystkich profesorów Uniwersytetu i wolę im JWMinistra oświadczył. Profesorowie odpowiedzieli jednozgodnie, iż to czynili dotąd i czynić chcą nadal, ile to jest w ich mocy i ile do tego w obecnem urzą-

dzeniu Uniwersytetu środków znaleść mogą. Tym końcem przyjęli chętnie podane od Rady Uniwersyteckiej i nawzajem podali od siebie niektóre środki zaradcze do zajęcia tem mocniej młodzieży naukami. Z tych niektóre ogłoszone są już uczniom przez wystawienie karty pomiędzy audytoryami.

Tymczasem uczniowie, po upomnieniu Rektora, widząc obostrzoną na siebie baczność, zaczęli pomiędzy sobą uznawać, iż za daleko posunęli swój zapał i skłaniali się do naprawienia zdrożności przynajmniej w części, to jest chcieli się pogodzić z uczniem Krasińskim, który ze swojej strony szukał także pojednania się z nimi. Wskutek wzajemnej skłonności — uczeń Krasiński pierwszy zabrał głos dnia 20 t. m. przed prelekcyą profesora Brodzińskiego i zapewniał, że rozgłoszona wieść, jakoby miał wyrzec pewne słowa ubliżające, o które się na niego koledzy rozgniewali, była zupełnie fałszywą i dla zjednania sobie wiary wzywał, aby ten, ktoby słyszał z ust jego te słowa, wystąpił przeciwko niemu i zadał mu kłamstwo. Wtem wszedł profesor i odbył prelekcyą w zupełnej spokojności. Lecz gdy tenże wyszedł z audytoryum, zabrał głos uczeń Leon Łubieński i zapewnił pod słowem honoru, że Krasiński powiedział przed nim słowa ubliżające, których się teraz zapiera. Krasiński pod słowem honoru twierdził, że jest to potwarz. Obydwaj wpadli w uniesienie i wyzwali się na pojedynek. Jeden z obecnych Inspektorów przypominał im prawo zakazujące pojedynków pod relegacyą, od razu pierwszego, i skłaniał ich do zgody i odwołania pojedynku, a widząc usiłowania swoje nieskutecznemi, wysłał do profesora Brodzińskiego podinspektora, z uwiadomieniem o tem, co się stało w jego nieobecności. Ten powrócił do audytoryum i nakazawszy uciszenie, po długich reflexyach skłonił nakoniec obudwu do zgody i zupełnego pojednania się. Inni uczniowie nie mieszali się wcale do zwady, owszem okazywali chęć pogodzenia zwaśnionych i puszczenia wszystkiego w niepamięć, zapewniając, że honor obudwu, pomimo ich sporu i niemożności wyjaśnienia w tym czasie prawdy, uważać będą za niesplamiony i czysty.

To ostatnie zdarzenie, w którem dwaj ci uczniowie popeł-

nili publicznie w audytoryum obrazę prawa, w jednym z głównych artykułów [na które szczególniej zwracana bywa uwaga uczniów, przy udzielaniu im matrykuły] uważane odrębnie, bez względu na przeszłość, mogłoby zasługiwać na pobłażanie i być załatwionem jedną z kar mniejszych, przez wzgląd na nastąpione pogodzenie się po uniesieniu. Lecz go tak uważać nie mogła Rada Uniwersytetu, przez wzgląd na dawniejsze tychże obudwu uczniów postępowanie. Uczeń Krasiński, skłonny do kłótni zaczepnej, już nie pierwszy raz wykroczył przeciwko ustawie zakazującej pojedynków. Uczeń Łubieński nie tak zaczepny, jak nieustępny, już nieraz występował nieupoważniony w imieniu drugich, niby naczelnik i do zmowy między uczniami prawie zawsze należał. Obadwa niespokojni, burzliwi, już byli raz skazanymi na oddalenie z Uniwersytetu za wyrządzone kilkakrotnie niespokojności przeciwko Profesorom i tylko w nadzieję przyrzeczonej poprawy, przy upokorzeniu się, ułaskawieni. To rozważywszy, Rada Uniwersytetu przekonała się, że równie obraza prawa, jak potrzeba ukrócenia zuchwalstwa, i wyrugowania zarodu jawnie okazanej niespokojnosci, wymaga tego, aby ci dwaj uczniowie oddaleni zostali z Uniwersytetu naszego. Wyrzekła zatem na dniu wczorajszym jednomyślnie ich relegacyą. Relegacya ta, jako już powtórnie wymierzona, powinnaby być głośną. Rada jednak przez wzgląd, aby ogłoszenie nie poruszało okoliczności pogrzebowych i materyi obcych dla Uniwersytetu, tudzież przez wzgląd, że ci uczniowie pogodzili się i sami się nazajutrz przed Rektorem oskarżyli, poprzestaje na oddaleniu cichem, z uwiadomieniem samych tylko rodziców i oddalonych.

W Warszawie d. 24 marca 1829 r.

X. Szweykowski. *Brodziński,* Sekr. Uniw.

Z polecenia JWRektora mam honor złożyć raport następujący:

Po lekcyi dzisiejszej, która się w zupełnej spokojności odbyła, uważałem, że uczniowie wszyscy prawie w audytoryum

pozostają: zważając, że Inspektor i dwóch podinspektorów z nimi zostają, odszedłem do sali ustępowej, zatrzymując się jednak na jakowy wypadek. Wkrótce zawiadomił mię podinspektor, że między uczniem Leonem Łubieńskim i Krasińskim powstała kłótnia (!), a z tego powodu zaburzenie w audytoryum, że ci dwaj odgrażali sobie wyzwaniem. Dano znać Rektorowi, ja wszedłem do katedry, kazałem wszystkim udać się na miejsca i oczekiwać przybycia Rektora, co zaraz uskuteczniono i spokojność nastąpiła. Widząc uniesionych Łubińskiego (!) i Krasińskiego, oczekiwałem niejakiego uspokojenia, dając łagodne tylko napomnienia. Gdy dano znać, że Rektora w domu niema, oświadczyłem, iż bez ukończenia i rozeznania tego, co zaszło, z audytoryum nie wyjdę; dodałem, iż jako przyjaciel tylko, i znający rodziców obudwu uczniów, żądam, aby z powolnością opowiedzieli mi przyczynę niechęci przeciwko sobie. Przystąpili obadwa do katedry i zaczęli sobie wymawiać swoje urazy, w młodzieńczem, prawda, uniesieniu, lecz w przyzwoitych wyrazach. Łubiński wyrzucał Krasińskiemu, że na uczniów Uniwersytetu, którzy się znajdowali na pogrzebie ś. p. Bielińskiego, obelżywych używał wyrazów — Krasiński temu pod słowem honoru zaprzeczał, Łubiński mniemał także, iż jego honor jest obrażony, gdy tym sposobem potwarcąby został w oczach kolegów, wzbraniał się przeto tych wyrazów odwołać, czego po nim Krasinski żądał. Gdy po ukończeniu tego sporu w około będący uczniowie zapytywani byli, czy słyszeli, lub że Krasiński obelżywe mówił wyrazy, lub że o tem Łubiński ich uwiadamiał, nastąpiło powszechne milczenie. Z tego korzystając zapytałem się wszystkich, czyli w ich mniemaniu splamił dobre swe imię P. Krasiński za słowa nieudowodnione, lub p. Łubiński za to, że te słowa rozgłaszał, na co równie niema dowodu. Odpowiedzieli jednomyślnie, że nic. Tu zabrałem głos obszerniejszy, wskazując w ogólności nieprzyzwoitość takowego postępowania, że z powodu plotek i drobiazgowych uraz ściągają uczniowie na siebie gorszą opinią, niż na nią istotnie zasłużyli, że przez swoją niebaczność trują spokojność rodziców, narażają siebie i Instytut, i sami powołują zwierzchność do surowości. Wystawiwszy nakoniec,

iż kłótnia tych dwu uczniów, którzy znają surowość przepisów za zaburzenia w audytoryum, chociaż nie w czasie lekcyi popełnione, pochodziła zapewne z chwilowego zapomnienia się, wezwałem ich, aby to obadwa odwołali i szczerze z sobą się pogodzili. Łubiński powiedział, iż to uczyni na słowo profesora, co Krasiński usłyszawszy, te same słowa powtórzył. Oświadczyłem, że żądam szczerości, iż tego pogodzenia nie jestem obowiązany czynić z urzędu, ale jako obydwom życzliwy. Uczniowie zaczęli ich zachęcać do pojednania. W tym ozwał się młodzieniec, w ławce siedzący, po cywilnemu ubrany, którego w czasie tym nie spostrzegłem; chciał on coś przemówić przeciw Łubińskiemu, czyli Krasińskiemu. Na to powstali prawie wszyscy przeciw niemu, a nawet obadwaj w mowie będący uczniowie, iż nie mając munduru, nie ma prawa odzywać się w audytoryum. Zaczem mógłem być dosłyszany, aby się oddalił, obstąpili go uczniowie z groźbami, tak, że sam byłem przymuszony do niego przystąpić, i wziąwszy za rękę, wyprowadzić. Poczem uspokoili się wszyscy, a za powtórnem mojem wezwaniem, Krasiński z Łubińskim zbliżyli się do katedry, zachęceni przez uczniów, uściskali się wzajem i za wdanie się moje podziękowali, co uczynili i inni uczniowie.

Zaleciłem spokojne rozejście się, oraz, ażeby tego, co zaszło, po mieście nie roznosili, co wiele głosów przyrzekło. Po wyjściu z audytoryum rzeczony młodzieniec w cywilnych sukniach na podwórzu jeszcze się przyłączył do wychodzących, którzy go głośno łajali. Odprowadziłem go na bok i zatrzymałem, aż się wszyscy rozeszli z podwórza. Młodzieniec ten zowie się Gurowski (Bolesław?); płakał przedemną, wyznawał nieprzyzwoitość swego postępowania, żalił się na zniewagę, jakiej doznał, że musiał ustąpić z audytoryum; uważałam, iż tenże mogący mieć lat 17, więcej jest nieroztropny, niżeli zuchwały.

Dodać tu muszę, że w czasie całego zdarzenia w audytoryum [wyjąwszy przypadek z Gurowskim] wszyscy uczniowie zachowali się jak najprzykładniej, że kłótnia i zaburzenia były tylko pomiędzy dwoma Łubieńskim i Krasińskim, że nie dostrzegłem żadnego stronnictwa, przeciw jednemu lub drugiemu,

lecz owszem okazywał się duch reflexyi i przykładna chęć porządku. W. Inspektor Carré był obecny całemu zdarzeniu, który zapewnie raport z swej strony złoży, szczególniej o tem, co zaszło w ten czas, gdy po lekcyi z audytoryum wyszedłem.

Dnia 20 marca 1829. *Brodziński.*

Dnia 16 marca 1829 r. (autograf Szwejkowskiego — podpisy autografy).

Wezwany przez rektora i badany p. Zygmunt Krasiński, uczeń Uniwersytetu, z okoliczności zaszłych przed prelekcyą i po prelekcyi prof. Osińskiego, oświadczył, że został znieważony, od kogo? nie wi[illegible] w szczególności, bo głosy były liczne i tłumne, a na prelekcyi tej znajdowało się wiele osób nie należących do Uniwersytetu, nikogo zatem w szczególności wymienić nie może. Jakie słowa były znieważające tego dla wrzasku ogólnego nie rozeznawał i nie pamięta, »to tylko pamiętam, że skorom się tylko pokazał w sali, zaczęli na mnie sykać, tupać i kiedym wychodził toż samo czynili. Także oświadczył, iż lubo doznał zniewagi, nie myślał wcale zanosić skargi i nie zanosi, ani żąda, by za niego był kto karanym.

Zygmunt Krasiński. *X. Szwejkowski.*

Rektor Królewskiego Uniwersytetu (*cały własnoręczny*).

Na żądanie JW. Wincentego Hrabi Krasińskiego Generała Jazdy, Ministra Wojewody etc. uwalnia niniejszem Syna Jego Zygmunta Krasińskiego od kursów w Królewsko-Warszawskim Uniwersytecie, na które w Wydziale Administracyi od roku szkolnego 1827/8 aż dotąd nieprzerwanie uczęszczał.

W Warszawie d. 27 marca 1829 r. *X. W. Szwejkowski.*

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju (*własnoręczny cały*).

Z wielu bardzo przyczyn chcąc dać inny tor nauk brania memu synowi Zygmuntowi Krasińskiemu. Mam honor prosić

Jaśnie Wielmożnego Wać Pana Dobrodz. o przesłanie mi jego uwolnienia od kursów na jakie był zapisanym.

Cześć być mam z winnym poważaniem Jaśnie Wielmożnego Wać Pana Dobrodz. najniższym sługą

Warszawa D. 26 marca 1829. *Krasiński.*

Do JWHrabi Krasińskiego, Generała Jazdy etc. Rektor Uniwersytetu (*własnoręcznie*).

Wiadomo zapewne JWPanu, że Syn Jego w Uniwersytecie tutejszym będący, bywał napominany i karany, za wykroczeczenia przeciw karności, że mianowicie w m. listopadzie r. z. należał głównie do zmowy w celu okazania publicznej zniewagi prof. Bentkowskiemu. Za to ostatnie przewinienie zmuszona była Zwierzchność Uniwersytetu wydać na niego wyrok oddalający go na rok jeden od nauk akademickich. Gdy jednak dobrowolnie wraz z innymi kolegami przewinienie swe wyznał, obrażonego profesora i zwierzchność przeprosił i na piśmie przyrzekł, iż nadal nigdy podobnie nie wykroczy, powyższa kara została mu złagodzoną na areszt. Jednakże żywość jego nie dozwalała mu na to przyrzeczenie pamiętać. Okazywał ciągle skłonność do kłótni zaczepnych, a nawet do wyzywania na pojedynek, co według ustaw dla młodzieży akademickiej do głównych przewinień należy. Takowe zajścia jego ze współuczniami były nie małym powodem, iż ci dopuścili się gorszącego wykroczenia przez chęć okazania mu publicznie zniewagi na lekcyi prof. Osińskiego. Zgorszenie to tem było dla Uniwersytetu smutniejsze, iż się rozeszło mniemanie, jakoby niechęć uczniów przeciw niemu stąd jedynie pochodziła, że w czasie pogrzebu śp. wojewody był na lekcyi i niewczesnego ich zapału nie dzielił. Sam jednak p. Zygmunt czuł, że uczniowie mogą mieć do niego słuszne prywatne urazy, szukał więc pojednania się z niemi. Lecz gdy w zabranym głosie oświadczył, że ze względu pogrzebu nic takowego nie mówił, coby ich obrażać mogło, a Leon Łubieński zarzucał mu nieprawdę, powstał między niemi spór do tego stopnia, iż p. Zygmunt wyzwał na pojedynek p. Łubień-

skiego, pomimo przestrogi obecnego Inspektora. Lubo za wdaniem się przybyłego profesora się pogodzili i przyszli obydwa rektorowi to zapomnienie się wyznać, przecież Rada Uniwersytetu i sama widząc się w konieczności i naglona przez JWMinistra Oświecenia tudzież przez osoby władz najwyższych o poskromienie młodzieży, uważając, że p. Zygmunt nie pierwszy raz dopuścił się wyzwania na pojedynek, że za zaburzenia w audytorium w listopadzie r. z. już wyrok relegacyi na siebie ściągnął i pod tym warunkiem miał sobie takowy złagodzonym, że nadal spokojnie sprawować się będzie, gdy jednak nowych się wykroczeń dopuścił, zmuszona była wydać na niego wyrok cichego oddalenia od Uniwersytetu na rok jeden, o czem JWPana uwiadomić poczytała sobie za obowiązek. (Wszystkich relegowanych rodzice lub opiekunowie odbierali takie zawiadomienie). Nadmienia przytem Rada Uniwersytetu, że zważając w P. Zygmuncie zdolności i dobre moralne przymioty, sądzi, iż wiek późniejszy i doświadczenie uczynią go sposobniejszym do korzystania z nauk Uniwersyteckich i że dla jego własnego dobra usunąć go należy od stosunków z młodzieżą, któreby mogły dać powód do sformowania w nim charakteru niespokojnego.

D. 23 marca 1829 r. *X. W. Szwejkowski.*

(str. 82. *Obelgi rówieśników*). Do jakiego stopnia dochodziła zaciekłość, dowodzi fakt, że pomimo wyjazdu Zygmunta Krasińskiego za zagranicę, młodzież uniwersytecka nie chciała Gaszyńskiemu darować wstawienia się za przyjacielem i wciąż go prześladowała; Gaszyński ze zmartwienia chciał sobie życie odebrać. Dopiero wstąpienie Gaszyńskiego do związku podchorążych uśmierzyło nienawiść rodaków (Utwory... zebrał i życiorysem opatrzył B. T. Poznań, 1880, str. XL).

(str. 87). Dokładny tytuł rzadkiej dziś broszury: Grób Rodziny Reichstalow powieść oryginalna z dzieiów woyny trzydziestoletniey przez Zygmunta Krasińskiego | Warszawa W drukarni Gazety Korrespondenta | 1828 (in 12°, str.

102). — Pierwodruk w »Rozmaitościach Warszawskich«, począwszy od Nru 18-go z d. 14 maja 1828 r.

(str. 88. *błędem powieści*...) M. Reiter, Przyczynki do genezy kilku utworów Krasińskiego, Ateneum, wrzesień 1899, str. 483.

(str. 91. *Wallenroda przypominającą*). »Wallenroda«, jak już wiemy, czytał Z. Krasiński w drugiej połowie marca 1828 r. Miał go od Waleryana Krasińskiego. (Listy do ojca). »Wallenrod« czytany był w obozie klasyków w Warszawie w marcu 1828 r. (Por. Siemieński Portr. lit. III, 361). W kwietniu t. r. nie wolno już było w gazetach warszawskich nic pisać ani o Wallenrodzie ani o Mickiewiczu i temby się tłumaczył brak cytat z niego w Grobie R. R.

(str. 92 *wiedział i mógł*). Przegląd Polski, kwiecień 1896 r., str. 32.

(tamże: *podpisania aktu ślubnego*). M. Reiter l. c. 484—5.

(str. 94 *przyjaciel, K. Gaszyński*). Pamiętnik dla płci pięknej, wydawany przez L. Z(ienkowicza) i K. G(aszyńskiego). Rok pierwszy, Tom pierwszy. Warszawa, w drukarni A. Gałęzowskiego i komp. 1830. (Wychodził »poszytami«).

(str. 97 *następujący artykuł*). Ob. Ateneum, wrzesień 1899. M. Reitera Przyczynki do genezy kilku utworów Z. Kr., str. 489—490.

(str. 100 *Trębowla i jej okolice*) wykazał to M. Reiter: Z. Krasiński jako współpracownik Pamiętnika dla p. p. — We Lwowie 1894, str. 34—35.

(str. 101 *Opowiadanie to*). Szczegóły u M. Reitera, l. c. 32—36.

(str. 102 *Władysław Herman*...) Autograf dochował się w części i ma taki tytuł:

Hanna z Ciechanowa | Zbigniew *(przekreślone)* | Powieść z dzieiów | XIgo wieku | ofiarowana 1° Stycznia 1829 roku | *(ręką jenerała dopisek)*: W. Krasińskiemu przez syna Z. Krasińskiego Wydrukowany | w 1830 roku | pod tytułem Herman i dwor iego«.

Gruby zeszyt, oprawiony w papier, na grzbiecie skóra, napis złocony »Zbigniew 1«. Karty nieliczone, tylko arkusze, u góry

na lewo; jest arkuszy 35. Na końcu rękopisu: »Koniec Rozdziału 14go i zarazem Tomu 1go«. (w wyd. pierwszem odpowiada tekstowi str. 91 tomu drugiego).

(str. 103). Pierwszą pobudką do napisania utworu mogło być miejscowe podanie, przywiązane do ruin zamku ciechanowskiego. L. H(ubert) pisze w Encyklopedyi Orgelbranda (s v. Ciechanów): »...legenda o wykradzeniu Hanny, córki Wszebora wojewody, jakoby narzeczonej Bolesławowi Krzywoustemu i o uniesieniu jej do zamku płockiego, gdzie przyrodni brat Bolesława Zbigniew panował i gdzie wkrótce wskutek zadanej trucizny życia dokonać miała. Przedmiot ten posłużył za osnowę do osobnej powieści, napisanej p. t. »Anna z Ciechanowa«.

(str. 104 ...*powiastce poprzestać*). Całkiem trafnie krytykuje sam siebie autor w tych wyrzekaniach Hanny: »Człowiek, któremu poświęciłam wszystko, mnie zhańbił, kiedy jednem słowem mógł swoją i żony sławę ocalić...«

(str. 105). Por. uwagi prof. J. B. Antoniewicza w *Przegl. Polsk.* l. c. str. 37.

(str. 106). *Przegl. Polski*, maj 1896, str. 317 i n.

(str. 106 *Dobrosława podobna do Hanny*). Dokładnie wykazuje to M. Reiter w Ateneum l. c. str. 495—496.

(str. 113 *Sen Elżb. Pileckiej*) ob. *Przegl. Polski*, lipiec 1896, str. 70 i n.

(str. 127 *góry śniegiem okryte*). Mieszkał Z. Krasiński przy *Place du Grand Mezel*. Domy na wzniesieniu; u dołu ciągną się terasy i bardzo wówczas modna *Promenade de la Treille*.

(str. 128 *Mr Reeve*). »Henri Reeve de Nordwick, Angleterre« pod r, 1828 w »*Livre du Recteur*, catalogue des Étudiants de l'Académie de Genève«. — Genève 1860, p. 323.

(str. 130 *drukarni p. Józefa*). »Założoną w tym czasie drukarnię Józefa hr. Krasińskiego nabył Świerczewski itd.« Encykl. Powsz. Warszawa. S. Orgelbrand, 1861. T. VII, str. 466.

(str. 132 *de Candolle*). Mémoires et souvenirs... Genève, 1862. pp. 401, 402 i 409.

(str. 138 *apparence indolente*). Ob. studyum De Crue, Genève et la Société de Lecture. Genève 1896, str. 28.

(str. 139 *pleins de finesse*). Journal de Genève, jeudi 21 Janvier 1830, p. 11. Wysłany do Paryża w r. 1833, zrobił takie wrażenie na Ludwiku Filipie, że go powołano na katedrę w Collège de France. Mianowany hrabią, parem Francyi, posłem Ludwika Filipa w Rzymie, zakończył życie w sposób tragiczny, zasztyletowany przez zbrodniarza w pamiętnym r. 1848, gdy był pierwszym ministrem Papieża Piusa IX.

(str. 142). J. K. L. Simonde de Sismondi (1773—1842), autor *Histoire des républiques italiennes* (zacz. r. 1807, skończ. 1817) i *Histoire des Français* w 29 tomach (1818—1842). Był honorowym profesorem akademii genewskiej, zrazu filozofii (1809), wreszcie historyi od r. 1815.

(str. 143 *de Candolle zachwycał*). W pamiętnikach swych de Candolle nie zapomniał tego faktu (str. 427): »Je puis, par un fait, donner une idée de la prodigieuse facilité de Mlle de Klustine. Je lui demandai un jour si elle ne pourrait pas me donner pour la *Bibliothèque Universelle* un morceau sur l'état de la littérature russe. Trente six heures après elle m'en apporta le manuscrit... (Następuje streszczenie i pochwała artykułu). Elle avait alors dix-neuf ans! Je doute qu'on puisse trouver un second exemple d'une facilité pareille«. — To zdanie ostatnie, zapewne powtarzane przez Candolle'a w salonach, mogło korcić Krasińskiego i wzbudzić ochotę do stwierdzenia faktem, że obok artykułu 19-letniej Rosyanki może godnie stanąć artykuł 17-letniego Polaka. Nota Bonstettena poddała mi niniejszy domysł.

(str. 147 *o Bernatowiczu*). Przekład polski tego francuskiego Listu z krótkim ustępem o Bonstettenie podała S. Duchińska w *Kronice Rodzinnej* z r. 1876 na str. 225—228. — Pani Duchińska miała widocznie bliższe szczegóły o pobycie Krasińskiego w Genewie od kogoś, co już czytał listy Zygmunta do ojca.

(str. 155). *Le coucher du soleil*). Szczegółowo zestawia podobne ustępy M. Reiter w studyum swem, l. c. 9—11.

(str. 156). *Odeszłem, przyszłem,* prowincyonalizmy podolskie, zapewne z Dunajowiec przywiezione, a przez babkę pielęgnowane.

(str. 163 *Dom rodzinny*). Ustęp, drukowane kursywą, są wyraźnem echem wspomnień opinogórskich: stary dwór i wzgórek — wszystko to dochowało się w Opinogórze; tylko stawu dziś niema, a na miejscu kaplicy wznosi się ładny, duży kościół.

(str. 171 -172 *les Paquis*). Dziś to jedna z najpiękniejszych dzielnic Genewy. Inny widoczek »nocny« od strony jeziora kreśli Odyniec (Listy, IV, 263).

(str. 175 *Tadeusz, legionista*). Listy z podróży Odyńca, IV, 184 i nn. — Por. ustępy z »Pana Tadeusza« o Legioniście. Księga I, 906—927.

(str. 175). *listami do Reeva*. Ob. Przedmowę do wydania korespondencyi Krasińskiego z Reevem, gdzie dokładniej zastanawiam się nad stosunkiem obu przyjaciół: Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Reeve. Paris, Ch. Delagrave 1901. Dwa tomy z portretami Reeve'a i Z. Krasińskiego.

(str. 176 *po ukończeniu „Zawiszy"*). Będzie to: Ułomek z Dawnego Rękopismu Słowiańskiego. wydany przez Z. K. Warszawa 1830, str. 15. (na końcu): W drukarni Banku Polskiego.

(str. 179 ...*o stosunku religii do Państwa*). Przypominam, że prof. Roget był teologiem genewskim. Od niego mógł Krasiński dużo szczegółów się dowiedzieć.

(str. 180 *„sur le Clergé*). Ob. »Correspondance« II, 169—176.

(str. 183 *i genialny* itd.). Następujące słowa zdają się być dodatkiem późniejszym starego Odyńca, który nie mógł się oprzeć pokusie umieszczania obszernych gloss do krótkich pierwotnych listów; styl pierwotny, odmienny od wydanych *Listów z Podróży*, znany nam jest np. z listów do Leonarda Chodźki. (Muz. Rapersw.).

(str. 189 ...*broszurkę po polsku*). »Ułomek« z Dawnego Rękopisu Słowiańskiego wyszedł w Warszawie w drukarni Banku Polskiego w końcu listopada 1830 r. Jenerał Krasiński był właśnie zajęty wysyłaniem tej broszurki do Rzymu, kiedy rozeszła się wieść o ataku na Belweder. — »Ułomek«, zwłaszcza w samym początku, przypomina ustęp broszury Bois-

siera: *„A ma femme. — Combien de fois ne m'avez-vous pas dit, douce et triste compagne de ma vie, combien de fois, quand le ciel“* etc.

(str. 191 ...*non est idem*). Por. w Listach z Podróży, w tomie czwartym str. 305—306 ze str. 398.

(str. 194). Ob. »Z nieznanych rękopisów Z. K.« Bibl. Warsz. Sierpień 1901, str. 197—201.

(str. 217 *„Gastołd“*). Ob. »Utwory Zygm. Krasińskiego... zebrał i życiorysem opatrzył B. T. Poznań, 1880, str. LXXII. — Pierwsze wydanie «Gastołda«, rzadkie dziś, ma tytuł: Gastołd Powieść żmudzka przez I. Hr. Kras: Warszawa 1833. W drukarni b. kom. ośw. N. 1346. na teraz Da. Dz. Staraniem i nakładem tegoż. Na ostatniej str. 29, po tekscie, wydrukowane kursywą: *Zygmunt Kr.* — Drukowany był »Gastołd» po raz pierwszy w »Tygodniku Polskim« 1833 r. NN. 1—2 »Gastołd« z podpisem Zygmunt Kr., z uwagą redaktora: «Spodziewamy się, że nasi czytelnicy podzielą z nami to zdanie, iż w niniejszej powieści styl męski z czasów Górnickich i Skargów nie tłumi wytwornej polerowności nowszych wyobrażeń«. Ob. »Hist. Liter. Polskiej« P. Chmielowskiego Tom V. Warszawa 1900, str. 122.

(str. 220 *oficerów tyleż*). List do syna, pisany z Królewca d. 24 grudnia 1830 r.

(str. 222 *„Patryota“*). Nr. 4 Warszawa d. 4 grudnia 1830 r.

(str. 226 *udał się do Petersburga*). Dochował się w zbiorach rodzinnych notatnik jenerała, wązka, podłużna książeczka, w czerwoną skórę oprawiona, brzegi złocone. Wewnątrz, na okładce zielonej, napisał jenerał: »Ta Xiążka kupiona w Królewcu Dnia 22 Xbra przez W. Krasińskiego do zapisywania, co robił przez czas niebytności w kraiu«.

Podaję tu kilka drobnych urywków z upoważnienia Ordynata Adama hr. Krasińskiego:

»(*W Peterhofie, podczas cholery*).

Julius.

17. Niedziela. Gorączkę miałem w nocy. Wczoraj sześć miesięcy skończyłem, jak jestem w Petersburgu. Kiedy, Boże, pozwolisz, bym na moją wrócił ziemię!? Oddalony od Matki,

Syna, Familii — sam jestem. Prócz Cesarza, nikt mną się nie interesuje. Boże, zlituj się i błogosław mi, o Boże!

D. 18 Poniedziałek. Cesarz w nocy mi papiery polskie przysłał, o 11ej tłómaczenie odesłałem. Widać z nich, że Jakubiny górę biorą, że rząd musi im ulegać. Cała własność partykularna przeszła na własność publiczną.

August.

2gi augusta. Wtorek. Cesarz mi przysłał gazety: znalazłem, że pod 20 Juli wykreślili mnie z senatu. Boska Wola — *nesciunt quid faciunt.*

September.

Piątek 9ty. Benkendorff mnie pytał, czy chcę jechać ze zleceniami cesarza do Warszawy. Odpowiedziałem, że wszędzie, gdzie mogę mu służyć, a bydź użytecznym współrodakom.

15go Czwartek. Co się z mym synem dzieie? dawno już listu nie miałem. Boże! zachoway go, a mnie weź. Panie! błogosław go! Święta Mario, okryi go płaszczem twey opieki, dotkniy siłą twey korony, a przeszyi promieniem twego światła!

16go Piątek. Do syna pisałem, potym u siebie jadłem śniadanie z Zamoyskim; w wieczór byłem u Żyrosława, gdy o 7ej Harmaty z fortecy ogłosiły wzięcie Warszawy. Boże! co się tam działo?! żadnych detalów. Xiążę Suworów przywiózł tę nowinę i iest w Carskim Siele.

21 Środa. O 5tej zrana Feldjegier zbudził mnie z rozkazu Cesarza, żebym zaraz jechał do Carskiego Sioła. Przybyłem przed mszą. Cesarz mnie jak swe dziecko przyiął. Naylepsze chęci. Między innemi mnie mówił, że żąda tym prędzey końca, by mógł się szczęściem ludzi zatrudnić.

22 Czwartek. Kuryer przybył, że nie chcą dotrzymać kapitulacyi, co rozgniewało cesarza i wszystkie piękne projekta, nad któremi pracowałem, spełzły.

20 środa. — zgryzłem się dekretem banicyi na Romarina korpus.

Wieczór o 8ey na mocy zwołania przez Monarchę byliśmy u Hrabi Nesselrode, gdzie czytał nam wolą Cesarza, żeby obserwacye zrobić nad projektem przedstawionym Nowey Konstytucyi.

29 czwartek. 1sza sessia była: członkowie Zamoyski, Lubecki, Grabowski i ia.

Oktober.

19 środa. Cesarz mi przysłał powiedzieć, bym był o 11ey u niego; w nocy źle spałem, mam gorączkę. U cesarza byłem 2 godzin i pół. To, co tylko szczerość i przywiązanie do kraju kazało, wszystko powiedziałem, ściągaiąc iego uwagę na przyszłość i co powie Historia. Jak anioł wszystko przyiął. Stamtąd byłem u Pana Zamoyskiego na sessyi.

23. Niedziela. Rano byłem u Gen. Czerniszew, który mi oświadczył, że iest wola Cesarza, bym się udał do Warszawy i instrukcyą mi zostawił.

26. Środa. Rano u Xięcia Lubeckiego ziechaliśmy się o adress, gdyż wczoray Hr. Nesselrode znalazł ten, co był, za twardy.

28. Piątek. Wyiechałem z Petersburga.

(na Knyszyn i Opinogórę, przybył 7go listopada o g. 10ej w nocy do Warszawy. Oto pierwsze wrażenia:)

Wtorek. 8y. Rano zaraz byłem u W. Xięcia, od niego u marszałka, którego zastałem jak wściekłego przeciw Polakom i bardzo sucho dla mnie. Widziałem się z Witem i Rautenstrauchem.

Środa. 9ty. Znowu u Marszałka, któren przecież trochę się uspokoił i mógł dyskutować. U Wielkiego Xięcia na obiedzie. Byłem w Banku u Lubowidzkiego, potym u Strogonowa, u Engla, wszystkich zastałem demoralizowanych, słabych i niechętnych Marszałkowi.

Czwartek 9ty. Miałem konferencią z Marszałkiem kilkogodzinną rano, potym obiad u niego i jeszcze po obiedzie drugą«.

(str. 231 ...*rozkazów jen. Krasińskiego*). W tym czasie odebrał Zygm. Krasiński list od poważanego mentora domowego i przyjaciela. X. Chiarini w liście z d. 28 stycznia 1831 r. radził mu nie wracać do Polski, gdyż powrót jego w niczem nie wpłynie na zmianę losu wojny: *„Dans un moment où tout est organisé et en mouvement, votre secours ne pourrait se reduire qu'à augmenter la masse des combattans d'un seul individu. Or sachez, mon cher Sigismond, que* ***votre patrie attend de vous un appui plus essentiel*** *et qu'il ne vous manquera*

pas l'occasion de lui payer ce tribut d'un bon citoyen". — Prorocze słowa człowieka nad grobem stojącego! — X. Chiarini umarł niedługo potem.

(str. 261 *Przeor Augustynów*). Przeora wymienia w liście do K. Gaszyńskiego (Lwów 1882, str. 16) wliczając go do utworów, których drukować teraz nie może, bo pełne »przekleństw na Moskali«.

(str. 270 ... *Une Étoile*). Wydrukował ten utwór w *Bibliothèque Universelle* w zeszycie listopadowym 1831 r. od str. 334—336. Tekst posłany Reevowi jest pierwotny; tekst drukowany ma dość liczne waryanty i zakończenie odmienne. Ob. waryanty podane w dodatku do drugiego tomu »Correspondance«.

(str. 290 ... *ziębną i łaknąc*). Ob. Correspondance I, 356 - 357 i 346—347.

(str. 292 ... *rewolucya robotnicza w Lyonie*). Podajemy tu urywki ze współczesnej *Revue des deux mondes*, słynnego przeglądu, który właśnie w r. 1831 zaczął wychodzić i z pewnością pilnie był czytywany przez Z. Krasińskiego. Niejedno spostrzeżenie francuskie utkwiło wtedy w umyśle i sercu naszego poety.

(Revue d. d. m. Tome Quatrième, Paris, 1831, str. 659—660).

»Révolutions de la Quinzaine«.

Paris, 14 décembre.

»La révolte de Lyon est calmée.

Jusqu'à présent, le mal n'est que pallié. C'est une misère guérie à force de troupes et de fusils. La misère existe toujours, haletante, triste, abattue, toujours prête au courage du désespoir... Que deviendront toutes ces misères entassées dans le comble des maisons, éparses sur les grandes routes; ces misères, qui ont respiré la vapeur de la poudre, qui se sont assises à la table du riche, qui ont dansé autour de l'incendie, qui ont été pouvoir à leur tour, qui se sont couchées dans du linge blanc un jour? Croyez-vous que pour suffire á toutes ses transes, ce soit assez de la présence d'un maréchal de France et même du prince royal? Nous avons bien peur que ce paliatif ne soit de courte durée. Il ne suffit pas

d'ôter leurs armes aux ouvriers, encore faut-il leur donner du pain«.

Powód do rozruchów w Lyonie wyjaśniony tamże na str. 541: Konkurencya szwajcarska wywołała przesilenie w przemyśle jedwabniczym w Lyonie. Fabrykanci musieli zniżyć ceny; »les ouvriers ont réclamé avec toute la véhémence de la misère qui a faim, qui a froid, et qui n'a plus de crédit nulle part«.

Prefekt nałożył taryfę na fabrykantów. Fabrykanci rozpuścili robotników: »Un peuple hâve, livide, mort de faim, armé; c'etait pire qu'un crime c'était une faute«. Przedmieścia ruszyły; robotnicy z czarnym sztandarem, na którym napis: *Vivre en travaillant, ou mourir en combattant*. Zdobyli armaty i strzelali z armat. Kilka dni panowali i trzeba było z nimi paktować.

ibid. 219.

»La Bourse veut la paix, c'est une grande raison pour que nous n'ayons pas la guerre. La Bourse en effet n'est-ce pas la seule souveraine qui de nos jours ait gardé la toute puissance, le seul monarque de ce monde dont le trône n'ait pas été ébranlé?«

(première quinzaine d'octobre 1831).

(str. 298 *Venus Medycejską*). Echo rzeczywistości wyidealizowanej. Wiemy z listów do Reeva, że przyjaciel ich wspólny Leach, z którym się Krasiński zjechał we Florencyi, był »rozkochany« w słynnym posągu Florenckim.

(str. 298 *„Wygnańca“*). *„Wygnańca“* otrzymał K. Gaszyński w liście Z. Krasińskiego z d. 3 sierpnia 1832 r. Posyłam ci ten ułamek, napisany temu rok przeszło, we Florencyi, po wybuchnieniu naszego powstania. Jest to fikcya, w której ramach oprawiłem własne uczucie«. (Listy do Gaszyńskiego, Lwów 1882, str. 28). — Zachował się autograf pierwotnego francuskiego tekstu »Wygnańca«, noszący dokładną datę: Florence, Mars 1831. — *L'Exilé*.

(str. 312 *nazywa poematem*). Pierwotny tytuł utworu był: »Maryna Carowa« (»poema prozą«). Por. listy do K. Gaszyńskiego. (Lwów 1882), str. 16 (z d. 2 kwietnia 1832).

(str. 313 ... *Hiszpanów Korteza w Meksyku*). Ten ustęp pozwala na pewno określić, jak daleko postąpił był wówczas Krasiński w pisaniu *Agaj-Hana*. Jest to bowiem wyraźne echo VIgo rozdziału powieści od słów: »Wielkie państwo moskiewskie...« do »skrzywdzonych Bogów«. Połowa zatem *Agaj-Hana* była już napisana do d. 6 grudnia. W miesiąc potem (około 5 stycznia 1832 r.) zdążał już Krasiński do końca; widać to z listu do Reeva: »Je me mis à écrire mon poéme et comme vers la fin il y a une mort, cette idée de mort après que j'eus fini de la décrire me resta dans la tête...«

Autograf »Agay-Hana« dochował się fragmentarycznie. Brak tytułu i przedmowy. Tekst zaczyna się z odstępem $^1/_3$ stronicy:

»Wieże Kaługi zdaleka« itd.

Brak zatem cytatu angielskiego z Melmoth-Mathurin.

Papier cienki, czerpany, ze znakiem wodnym I. Johannot ($19 \times 23^1/_2$); arkusze u samej góry z lewej strony znaczone; tenże papier ma także w znaku wodnym zamiast I. Iohannot tarczę herbową, na niej dwie ręce w uścisku. Pismo równe, spokojne, drobne, poprawek stosunkowo bardzo mało. Dochowanych arkuszy 12. Ostatnie zdanie: »by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę« — (w wydaniu pierwszem na str. 80).

(str. 315 *Le Choléra*). Na samym początku tego utworu mamy szczegółowy opis pomnika marmurowego w kościele Augustynów w Wiedniu, dłuta Canovy. Sam ten opis, jak niemniej barwne opowiadanie o Praterze, nasuwały domysł, że Zygmuntowi Krasińskiemu musiał być Wiedeń znany już przed rokiem 1830, jakkolwiek nie mieliśmy na to dowodu w korespondencyi z jenerałem lub Reevem. Dopiero po wydrukowaniu tego tomu, w listach z późniejszych lat, znaleźliśmy wyraźną wzmiankę, że Zygmunt towarzyszył jenerałowi do Wiednia w podróży jego urzędowej w czerwcu 1829 r. O tej podróży jenerała wiedzieliśmy już ze zbioru ciekawego dokumentów dyplomatycznych, ogłoszonych w rzadkiem dziś wydawnictwie p. t.: *Le Portfolio ou Collection de documens politiques relatifs à l'histoire contemporaine.* (Tome second. Hambourg. 1836. str. 210. — Ob. także str. 335 i 395). Mamy

tam urzędowe sprawozdanie z audyencyi jenerała Winc. Krasińskiego u cesarza Franciszka: *Rapport adressé à l'Empereur Nicolas par le général Krasinski sur une audience auprès de l'empereur d'Autriche.* Première audience de l'Empereur François le 3 juin 1829: W tej rozmowie zapytuje także cesarz Franciszek jenerała Krasińskiego:

— Quand avez-vous quitté Napoléon?

— Après son abdication,

— Vous êtes de braves gens, vous servirez le nouveau Souverain avec la même fidélité avec laquelle vous avez servi l'ancien.

Któż wie, czy i to wspomnienie i to zapewnienie cesarza Franciszka nie wpłynęło da decyzyą jenerała Krasińskiego w chwili stanowczej w grudniu 1830 r.? (Ob. także str. 9).

Stwierdzić tu tylko chcieliśmy fakt do niedawna nikomu nie znany, że Zygmunt Krasiński poznał Wiedeń po raz pierwszy już w r. 1829, a więc przed podróżą do Genewy.

(str. 315 *artykułów francuskich*). Wykaz ich szczegółowy podał autor w roczniku pierwszym »Pamiętnika Literackiego« (Lwów, 1902, str. 44–51 i 412–420).

(str. 329 ..*nachyla się ku przepaści*). W tym czasie napisał też Krasiński drobny fragment angielski p. t. *Przelotna Chmura*, zupełnie w nastroju i stylu podobny do innych fragmentów francuskich z tejże epoki. Przekład polski »Przelotnej Chmury« wydrukowała »Kronika Rodzinna« w r. 1878 na str. 129—130.

(str. 50—120). Już od 14-go roku życia zaczyna Zygmunt Krasiński pisać listy francuskie do pani Załuskiej jako jej *devoué et respecteux neveu.* Listy te są przeważnie przesadne, treści błahej, dotyczącej domowych kłopotów i zmartwień małego korespondenta. Szczególnie »Babula« jest przedmiotem częstych narzekań, a wnuk szuka odwetu, ośmieszając starościnę opinogórską w swych francuskich listach. Podajemy kilka urywków tej korespondencyi, *zachowując styl i ortografią oryginału;* wyjątki te mogą uzupełnić w kilku rysach nowych to, co czytelnikowi znane już jest z książki. O ile data listu nie jest podana, znaczy to, że niema jej w oryginale.

— »Pour me consoler je lis *Kenilworth* — Amy Robsart est intéressante comme aucune héroïne de tous les romans de Sir Walter, excepté Miss Diana Vernon, comtesse de Beauchamps, qui est votre image vivante.

— »Papa joue le soir avec Babula à l'ennuyeux piquet et moi je baille en regardant...

»j'ai appris à ne plus rire quand on parle des Saints, à ne plus cracher (!) quand on discute sur la légitimité, à ne plus rougir de colère quand on parle contre Bayron, a me taire quand on loue les abus des prêtres et à ne repondre aux absurdités que par un mépris caché et couvert d'une telle couche d'assentiment qu'il est difficile de la percer — voilà mes progrès. Jugez, s'il sont à mon avantage«.

— *(Z pierwszych dni grudnia 1828 r.).*

»Babula est toujours la même ce qui veut dire que je m'ennuis terriblement. (Gniewają go posty, obserwowane skrupulatnie w adwencie trzy razy na tydzień).

»J'ai eu ces jours-ci une petite aventure à l'Université qui m'a valu maintes scènes à l'Université et deux jours de prison — mais ces deux jours n'étaient qu'un adoucissement du premier decret rendu par le Conseil de l'Université et qui me chassait de son sein. Ainsi vous pouvez voir, Madame, que je suis toujours en but à mon destin qui me mènera certainement un jour à la potence, et ainsi s'accomplira la prédiction de quelqu'un que Vous connaissez bien ainsi que moi.

En attendant cet évènement je suis toujours Votre devoué et respectueux neveu

Sig. Kr.

P. S. Avant hier j'ai commencé à apprendre l'anglais.

— (27 grudnia 1828 r.):

»Babula vêtue de noir pour la mort de l'Impératrice, assise léternellement sur son trône à bras dorés, dispense ses mots et ses Bura (!) à grande dose.

— (7 lutego 1829 r.).

»Babula est *in statu quo*.

Je m'ennuis à n'en pouvoir plus ni parler ni vivre. J'apprends l'anglais assez vite. C'est la langue des Dieux — On vient de

m'appeller pour aller au tombeau (j'appelle comme cela le salon de Babula).

(*Świetny opis wjazdu starościny opinogórskiej na Krakowskie Przedmieście*).

— Soixante chevaux ont rempli la cour de notre palais. Dix voitures et fourgons ont fait leur entrée triomphale. Babula est descendue entourée de la population féminine et masculine du Palais. La scène a été pathétique et sublimo-touchante,

Avant-hier j'ai été à Mińsk avec Papa à la rencontre de Babula. L'aspérité et l'aigreur de son caractère s'est un peu diminué, mais il en reste assez pour faire ma vie insupportable.

— — On a parlé de Vous et Babula s'est montrée extrêmement sensible, en répétant pendant un quart d'heure au moins cinquante: n i e b o r a c z k a.

Ça durera deux ou trois jours et après les commérages, les gronderies, les mécontentements rempliront les appartements...

Le chef d'État major Milberg a été à cheval à la rencontre de Son Excellence, la haute et puissante Dame et Châtelaine de Dunajowce. ...De tous les côtés je ne vois que vieillesse, laideur et ennuis. Passer ainsi sa jeunesse est pire que mourir —

Le 7 Juillet. — Sig. Kras.

— Ostatni z tego roku list pisany jest na wyjezdnem z Polski (a więc w połowie października 1829 r.), bardzo smutny, ma następujący dopisek (francuski) kapitana Wyleżyńskiego: »Wyjechał we wtorek. Odprowadziliśmy go do Błonia. Zygmunt płakał rzewnemi łzami w chwili wyjazdu, Jenerał także, a Girardot łkał«. (Por. str. 120).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Rodowód Zygmunta Krasińskiego.

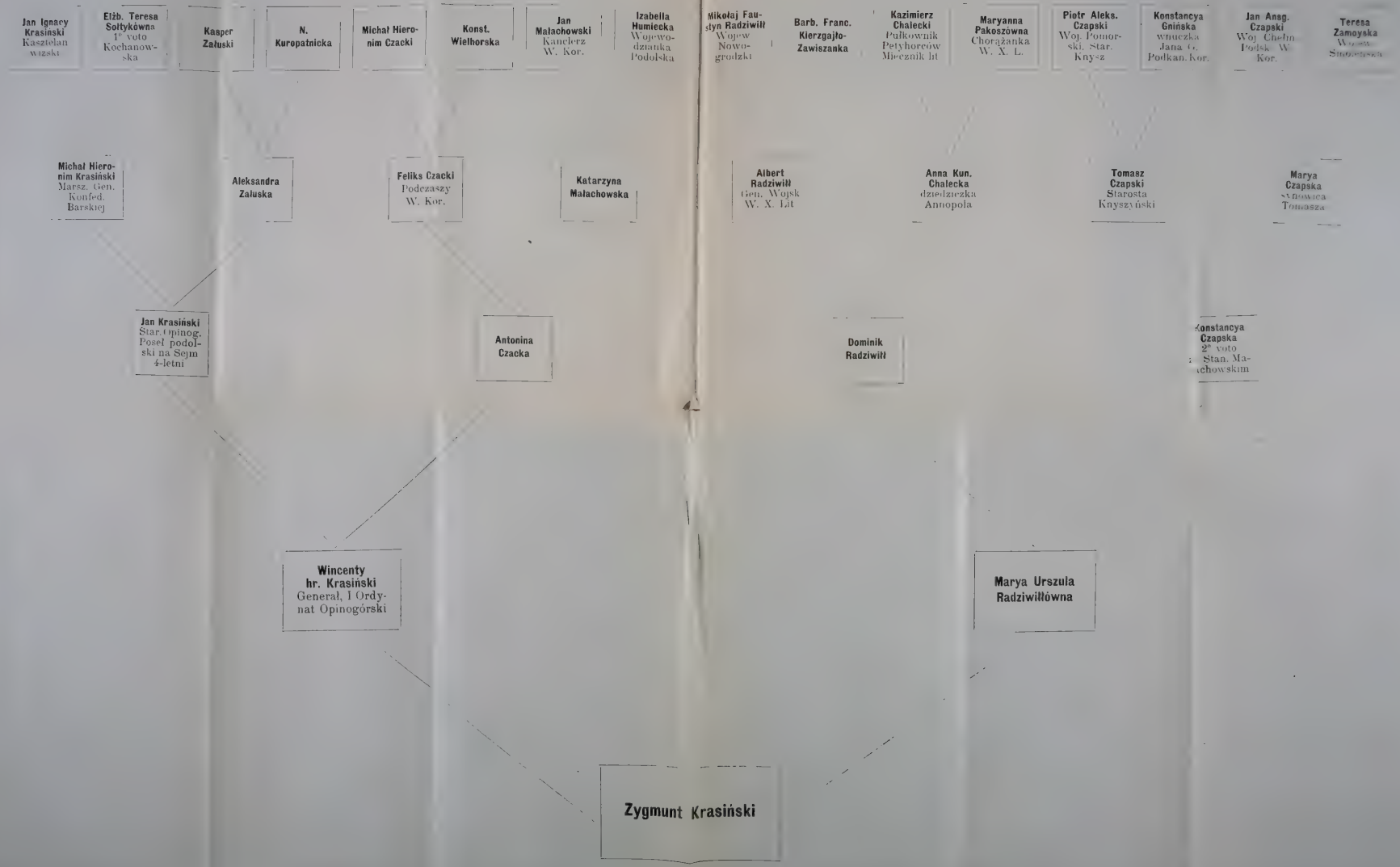

LP
K8965K
Krasiński, Zygmunt, Hrabia 499059
Pisma ... Syd. ... Józefa Kallenbacha.
Vol.7.
DATE.
NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED